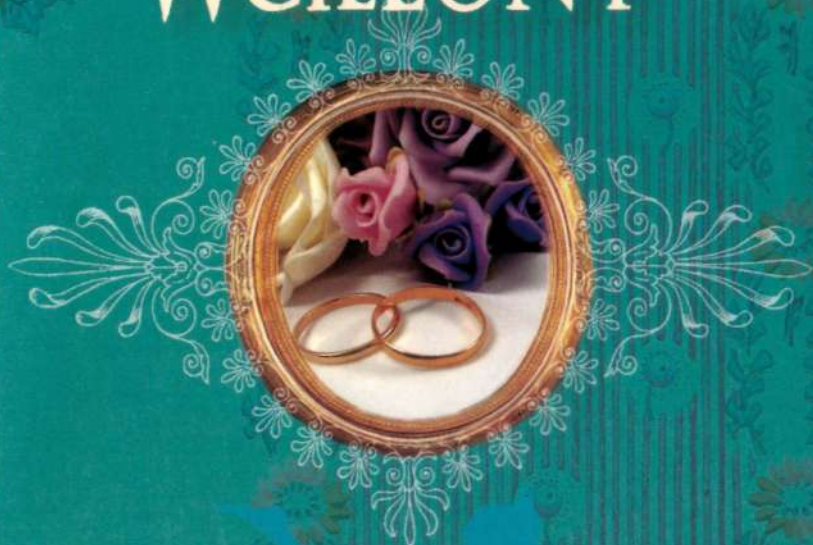


Pasjonująca... i pełna zakazanych rozkoszy!

Stephanie Laurens



# LIZ CARLYLE DIABEL WCIELONY



LIZ  
CARLYLE

DIABEŁ  
WCIELONY

przełożyła  
Anna Bielska

bis

Warszawa 2006

Tytuł oryginału: *The Devil You Know*

Projekt okładki: Olga Reszelska  
Korekta: Alicja Chylińska

Copyright © 2003 by S. T. Woodhouse  
An original publication of Pocket Books, a division of Simon  
and Schuster, Inc.  
Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo BIS 2006

ISBN 83-89685-63-9

Wydawnictwo BIS  
ul. Łódzka 44a  
01-446 Warszawa  
tel. (0-22) 877-274)5, 877-40-33; fax (0-22) 837-10-84

e-mail: [bisbis@wydawnictwobis.com.pl](mailto:bisbis@wydawnictwobis.com.pl)  
[www.wydawnictwobis.com.pl](http://www.wydawnictwobis.com.pl)

Druk i oprawa: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.

## Prolog

### *W którym zaczyna się nasza opowieść o niedoli*

Czy wierzycie w prawdy uniwersalne? Wierzenia, przestrogi, morały przekazywane z pokolenia na pokolenie niczym wysłużone frazesy? Jak rzekł niegdyś Poeta, świat jest sceną, a śmiertelnicy jedynie aktorami. Jeśli, jak czyni to wielu, przyjmiemy za pewnik to stwierdzenie, wówczas życie Randolpha Benthama Rutledge'a jednym wyda się komedią, innym zaś tragedią, w zależności od punktu widzenia.

Dla jego kompanów w rozpuście była to zapewne komedia; dla jego żony, dzieci oraz dłużników - tragedia. Jednak sam dżentelmen (a zwrotu tego należy używać w tym wypadku dość swobodnie) niegdyś ze śmiechem oświadczył, że jego życie to jedna wielka farsa, której nadano jakże znaczący tytuł *Zycie łotra*, a raczej nadałoby, gdyby tytułu nie przechwycił jakiś początkujący pisarzyna, który z pewnością skazany był na pogrążenie się w otchłani literackiej nijakości.

Saga rodzinna rozpoczęła się dawno temu, jakieś osiemdziesiąt lat przed przybyciem Wilhelma Zdobycy. Pewien ambitny wieśniak z targowego miasteczka Chipping Campden, nałożył swe towary na trzeszczący wóz, zaprzężony w osła, i wyruszył w podróż po kraju. Potomności nie były znane powo-

dy tej wyprawy, zwłaszcza że były to czasy, kiedy większość saksońskich wieśniaków rodziła się i umierała w jednym miejscu. Wiemy jednak, że mężczyzna ów nie ujechał daleko, jedynie dwadzieścia mil na południe, a mimo to odległość ta wystarczyła, by na zawsze odmienić los jego rodziny.

Wędrowiec nazywał się John z Campden. Jak głosi legenda, kiedy dotarł do zielonej doliny rzeki Coln, zatrzymał się przy rozległych polach, pokrytych skoszoną trawą, podobnych bogatym kobiercom. Tutaj wyprzągł osła, rozładował wóz i wbił po raz pierwszy łopatę w żyzną glebę. Tak też zaczęła się droga jego rodziny ku bogactwu błękitnej krwi ziemiaństwa.

Nie wiemy, w jaki sposób prosty Saksończyk dorobił się tak wspaniałego majątku, czy to dzięki uczciwej pracy czy zręcznym oszustwom, czy może nawet dzięki sprytnemu małżeństwu. Jednak przez wiele stuleci jego potomkowie ciężko pracowali, budując solidne domostwa, schludne wioski oraz potężne świątynie wełniane, nazywane tak, ponieważ za wszystko płacili popularną w Cotswolds walutą, Owcami.

Sześć wieków później, wiele lat po tym, kiedy Campdenowie stracili w jakiś sposób „p” i stali się Camdenami, kolejny John wpadł na genialny plan. Wykorzystał pieniądze pochodzące z wełny, by zbudować wspaniałą posiadłość w tym samym miejscu, gdzie według legendy zatrzymał się jego przodek. Dom ten, podobnie jak wszystkie domostwa w owym czasie, powstał z brązowego kamienia i był tak symetryczny, tak doskonały, o tak wysmakowanych proporcjach, że wieśniacy nie mogli wyjść z podziwu. Chalcote Court ze swymi wnękami, stromymi dachami i parafią świętego Michała, stojącą dosłownie

w jego cieniu, był uosobieniem bogactwa, władzy i potęgi, które wytrwałą pracą zdobyła zamieszkująca go rodzina.

Jednak koleje losu i dzieje historii miały obrócić się przeciw rodzinie Camden. Kiedy niemal dwa wieki później na świat w Chalcote przyszedł John Camden, równocześnie nastąpiły czasy wielkiej niepewności. Chociaż nie brakowało pieniędzy, lata ospy, dżumy oraz niepokojów społecznych nadwerzężyły całe konary rodzinnego drzewa. Ten ostatni John Camden był osobnikiem naznaczonym piętnem losu. Spędził on cztery dziesięciolecia, dorabiając się niemal takiej samej liczby żon, na walce o poczęcie potomka, który ocaliłby ginącą dynastię. W końcu w ostatniej bitwie o ten szczytny cel doznał ataku serca.

Ocknął się parę dni później w przepastnej sypialni o łukowym sklepieniu i otworzywszy oczy, ujrzał swe córki bliźniaczki. Po prawej stała Alice, po lewej Agnes. Obie ze smutkiem pochylały się nad łóżem, o którym John Camden wiedział, iż stało się jego łóżem śmierci. Pośłanie było tak wąskie, a włosy jego córek tak bujne i faliste, że pochylając się nad nim dziewczęta niemal stykały się ze sobą głowami. Osłabiony i otumaniony mężczyzna uznał, iż go przyduśszą i nakazał im odejść. Będąc posłusznymi córkami, dziewczyny natychmiast odstąpiły od ojca. Ale dziwnym trafem grzebień Alice zaplątał się we włosy Agnes i mnóstwo czasu zajęło im ich rozplatanie.

Przyglądając się z cichym rozbawieniem tej szamotaninie, mężczyzna uznał, iż jest to znak od Boga. Z całą siłą, jaką pozostawił mu stwórca, John Camden posłał do Oksfordu po swego adwokata. Sporządził on skomplikowany testament, który wycinał olbrzymią wyrwę pośrodku całej jego spuści-

zny. Majątek, który pozostawał w całkowitym i pewnym władaniu jego rodziny przez osiemset lat, miał zostać podzielony na pół. Alice, starsza o kwadrans, miała otrzymać tę część majątku, na której stał dwór Chalcote. Bardziej odległa część miała przypaść w udziale Agnes, młodej dziewczynie, wiodącej życie raczej rozropne, aniżeli podyktowane przyjemnościami.

John Camden wyjawiał jeszcze jedno życzenie: aby potomstwo jego córek pożeniło się między sobą, tym samym jednocząc fortunę. Co ważniejsze jednak, aby żaden kawałek ziemi nigdy nie opuścił rąk rodziny. Gdyby tak się stało, jego dusza miała nigdy nie zaznać spokoju.

Alice zaczęła działać szybko. W trakcie pierwszego tygodnia bywania na salonach podchwyciła spojrzenie młodzieńca, uważanego przez wszystkich za najatrakcyjniejszego oraz najbardziej rozpustnego dżentelmena w całej Anglii. Alice była bogata, głupiutka i szaleńczo zakochana, a ledwie jej weselne dzwony przestały bić, już Randolph Rutledge zaczął trwonić osiemsetletnią spuściznę jej rodziny.

Gdy w wyniku tego niefortunnego związku na świecie pojawiła się trójka dzieci, niewiele majątku pozostało już do zjednoczenia, a ducha Johna Camdena nigdzie nie było widać. Agnes wiodła własne życie, wyszła dobrze za mąż i na swojej części ziemi wybudowała ufortyfikowany zamek. Nadal jednak czuła się rozdrażniona z powodu przejęcia przez siostrę rodzinnego gniazda i nie zwracała uwagi na niegodziwe zachowanie szwagra, ani na cierpienia Alice.

- Nie możemy dobrze sprzedać tej przeklętej posiadłości - rzekł pewnego ranka Randolph do żony, wyglądając na dziedziniec Chalcote przez okno z sa-

lonu. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby mieszkać w tak mokrym i ponurym miejscu.

Głowa Alice bezsilnie opadła na zagłówek obitego brokatem łóżka.

- Przecież jest wiosna, Randolphie - odparła, przesuwając ostrożnie niemowlę, opatulone kocykiem. - Cam mówi, że powinniśmy cieszyć się z wiosennych deszczy. Poza tym nie możemy sprzedać Chalcote, ani nawet go zastawić, ponieważ tata wszystko razem połączył. Kiedy braliśmy ślub, wiedziałeś, że pewnego dnia wszystko trafi w ręce Cama.

- Och, przestań gadać o tym, co będzie kiedyś, Alice - rzeki gorzkim tonem Randolph, sadwiąc się w skórzanym fotelu. - Twój cudowny mały książe dostanie wszystko pewnego dnia. Muszę zagrać, ponieważ wkrótce oszaleję z nudów.

Alice przyjrzała mu się zmartwiona.

- Mógłbyś spędzić trochę czasu z Camem albo Catherine - zaproponowała, wędrując wzrokiem ku dzieciom, pochylonym nad stolikiem do gry w triktraka w przeciwległym kącie pokoju. Chłopak siedział z wyciągniętymi, długimi nogami odzianymi w wysokie buty, a stópki dziewczyny zwieszały się nad nimi. Na podłodze tuż obok nich stał jeden z wielu mosiężnych garnków. Pograżone w zabawie dzieci nie zauważały bezustannego kapania kropel spadających do naczynia z przeciekającego dachu.

Randolph pociągnął nosem i zwrócił się do żony.

- Moja droga, nie śmiałybym przeszkadzać - warknął pogardliwie. - Ten nudny prosty wieśniak to całkowicie twoja zasługa. I modlę się do Boga, oby był rzeczywiście takim zbawicielem, za jakiego go uważasz, gdyż ten marny majątek naprawdę potrzebuje zbawienia. Co do dziewczyny, uważam, że ma coś w sobie, ale...

*Ale jest tylko dziewczynką.*

Ostatnia kwestia pozostała niewypowiedziana. Alice Rutledge ponownie westchnęła i nie mogąc opanować przejmującego zmęczenia, które prześladowało ją od porodu, pozwoliła opaść powiekom. Musiała zdrzemnąć się na jakiś czas, jak to się jej często zdarzało, gdyż wybudził ją szloch niemowlęcia. Wydawało się, że miała za mało pokarmu i dziecko płaczem okazywało swoją frustrację.

- Mały żarłoczny diabeł - usłyszała pogardliwe słowa Randolpha. - Zawsze ci mało, no nie? Kobiety zawsze takie są.

Alice zmusiła się, by otworzyć oczy. Jej mąż pochylał się nad łóżkiem, wyciągając ręce ku niemowlęciu. Nie miała siły, aby mu odmówić i znowu, jak zwykle, pozwoliła odebrać sobie dziecko. Maluszek, machając rączkami z radosnym gruchaniem, pozwolił się wziąć ojcu w ramiona.

Wkrótce Randolph uciszył dziecko, kołysząc je na kolanie i śpiewając prostą knajpianą piosenkę. Alice ponownie zmusiła się do otwarcia oczu i wyciągnęła ramiona, by odebrać dziecko.

- Przestań, Randolphie! - zażądała. - To jest zbyt wulgarnie. Nie pozwolę, by uczył się takich obrzydliwych rzeczy.

Randolph, nadal bujając rozweselone dziecko na kolanie, spojrział na nią kwaśno.

- Och, zamknij się, Alice - powiedział. - Ten jest mój, słyszysz? Chłopaka z chóru i dziewczę już zniszczyłaś, ale ten... Ha! Popatrz tylko w jego oczy! Spójrz na ten uśmiech! Na Boga ten ma mój charakter i apetyt!

- Modłę się, żeby tak nie było - wypaliła Alice.

Randolph odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Alice, równie dobrze mogłabyś oddać go z gracją. Pozostała dwójkę wychowałam na swoją modłę, ale ten pulchny diabełek nosi moje imię i ma moją naturę, i będę postępował z nim tak, jak zapragnę. - A potem celowo obrzucił ją uważnym spojrzeniem. - Poza tym, moja droga, nie sądzę, byś miała siły mnie powstrzymać - dodał zbyt radosnym tonem.

Alice opuściła puste dłonie. Puste jak całe jej życie. Jediną jego radością były dzieci: Camden, Catherine i niemowlę. A Randolph miał rację. Niech go piekło pochłonie, ale miał rację. Jej dni na ziemi były policzone i Alice wiedziała o tym z przerażającą pewnością. A potem co? Dobry Boże, co potem?

Wpoiła Camowi twardą samodyscyplinę, która miała zapewnić, aby zawsze postępował, jak należy. Słodkie usposobienie i proste piękno Catherine dadzą jej z pewnością dobrego męża, takiego, który zabierze ją z dala od tego wszystkiego. Ale co z jej słodkim dzieciątkiem? Co stanie się z Bentleyem, kiedy jej zabraknie? Ponownie wypełnił ją żal i smutek wybuchnęła niekończącym się potokiem łez.

## Rozdział 1

### *W którym ostrzeżenia pani Weyden pozostają niezauważone*

*Tout vent a celni quit sait attendre* - wymruczała Frederica d'Avillez. W jej ustach zabrzmiało to raczej jak przekleństwo niż przysłowie. Były to pozostałości jakiejś starej lekcji francuskiego, które powtarzała sobie raz po raz w myślach, aż zaczęło ją to męczyć, podobnie jak mały żółto-zielony ptaszek, którego widziała na wystawie w Picadilly, i który bezustannie kręcił się na huśtawce w klatce. Ci, którzy potrafią czekać, zdobywają wszystko. Co za cholernie głupie powiedzenie. I wierutne kłamstwo.

Stojąc przy drzwiach stajni, ponuro wpatrywała się w ciemne niebo i po dłuższej chwili niepewności wyprostowała się i ruszyła w stronę tarasowych ogrodów. Idąc, niecierpliwie uderzała pejcem w udo i śpiewając pod nosem, starała się odegnąć napływające do oczu łzy. Temu również miało służyć powtarzane od miesięcy przysłowie. Jego słowa dodawały jej otuchy w trakcie nieudanego sezonu w Londynie oraz podtrzymywały ją na duchu tutaj, w domu w Essen, kiedy niecierpliwie oczekiwała powrotu Johny'ego z wielkiej wyprawy.

Ależ zyskała na swej cierpliwości! Powinna była pojechać do Szkocji z Zoe i maluchami. A zamiast

tego utknęła tutaj z ciotką Winnie i mężczyznami. Gwałtownie odgarnęła z twarzy gałązkę i maszerowała dalej w poświacie księżycy, tupiąc butami do konnej jazdy na żwirowej ścieżce. Tutaj, na dolnych piętrach tarasów, ogród prowadzony był dziko, w naturalny sposób. W oddali, przy tylnych drzwiach paliła się latarnia. Frederica powinna była ucieszyć się na ten widok, ale tym razem tak się nie stało.

Noc była chłodna, ale nie wilgotna, w powietrzu unosił się gęsty aromat świeżo zoranej ziemi. Dziewczyna wzięła głęboki, uspokajający oddech i nagle poczuła przytłaczającą falę rozpaczy. Przełała się przez jej płuca i zdusiła oddech, Frederice udało się jednak ją obezwładnić i ruszyć dalej. Lepszym uczuciem był gniew. A ona była zła. I pełna złości. Przemienne pragnienie wyrządzenia komuś krzywdy niemal ją przytłaczało. Przyjechała tu z Londynu na próżno. Pomyliła się. Pomimo wszystkich składanych szeptem obietnic i przymilnych spojrzeń Johny Ellows wcale nie miał zamiaru się z nią żenić.

Zatrzymała się gwałtownie, ledwie zauważając majaczące przed nią w świetle księżycy schody. Jak mogła aż tak się pomylić? Jak mogła być tak głupia?

Ponieważ była głupiotką, małą dziewczynką.

Prawda boli, czyż nie? Tutaj w domu wszystko było takie samo jak w Londynie. Otoczenie było tylko bardziej swojskie. Społeczeństwo, a zwłaszcza miejscowe ziemiaństwo zawsze znajdzie powód, by patrzeć na nią z wyższością. Nagle Frederica poczuła się w Essex równie nie na miejscu, co w Londynie. Na tę myśl coś się w niej załamało. Zdałoby się samoistnie pejcz dziewczyny z impetem sieknął zielony krzak, rozpryskując szczytki liści w nocnym powietrzu. Wydobyte z siebie złości napełniło ją dziwnym uczuciem satysfakcji. Miała już dość bycia idealną,

tak spolegliwą, tak cholernie... powściągliwą. Więc raz za razem zaczęła tłuc pejcem w krzaki, które rosły wzdłuż ścieżki i schodów i w ten sposób szybko weszła na tarasy.

- On mnie nie kocha! - wyszczała, waląc pejcem w jałowiec rosnący po jej lewej stronie. - Nie! Nie i nie!

Kolejną ofiarą stała się bezlistna forsycja, której gołe gałązki rozprysły się na wszystkie strony. W ciemność wystrzeliły pędy cisa. Otaczała ją bujna zieloność, a ona parła do przodu, rozdając razy pejcza każdej oświetlonej srebrem księżycy roślinie. Gorące łzy napłynęły pod powieki. Och, Johnny! Pomyślała... że on powiedział...

Ale najwyraźniej nie było tak.

W maju miał ożenić się z kuzynką. Tak kazał mu ojciec, stwierdził. Był do szaleństwa zakochany w Federice, zawsze ją kochał, ale nie mógł ryzykować wydziedziczenia. Straciłby wówczas majątek, wspaniały dwór.

Frederica przypominała mu o swoim okazałym posagu, ale to na nic się zdało. Może posąg jego kuzynki był większy? Ściśnięte gardło uniemożliwiło jej zadanie tego pytania. Tak więc, ze smutnym uśmiechem, Johnny uniósł do ust jej dłoń i na zawsze ją opuścił.

A mimo to Frederica zbyt dobrze usłyszała to, co nie zostało wypowiedziane. W jej żyłach płynęła nie dość błękitna krew, nie dość angielska, dla pełnego cnót właściciela ziemskiego Ellows, a tytuły jej kuzynów, pieniądze i wpływy były niewystarczające, gdyż Frederica urodziła się po złej stronie łoża, była zatem bękartem, osieroconym, cudzoziemskim bękartem, kimś najgorszym, kim można było być w Anglii. Przynajmniej tej nocy tak jej się zdawało.

Dotarła już niemal na najwyższy taras, otoczony niskim kamiennym murkiem i obsadzony po bokach rzędem bukszpanów. Lampa nadal paliła się, koły-

sząc na haku przy tylnych drzwiach; przyćmione żółtawe światło padało na płyty chodnikowe. Dziewczyna zamachnęła się pejcem i po raz ostatni uderzyła w rosnący najbliżej krzew bukszpanu.

- Jezusie Nazareński! - rozległ się męski głos.

Frederica odskoczyła w tył i zasłoniła usta ręką.

Zza krzaków ukazał się wielki, ciemny kształt, machając rękoma w okolicy spodni.

- Do diabła, Freddie! - wrzasnął mężczyzna, stojąc obok mieniącego się krzewu. - O mało nie dostałem zawału.

Serce podeszło dziewczynie do gardła i przysunęła się bliżej, zaglądając w ciemności. Nagle zauważyła znajomy złoty sygnet na dłoni zapinającej spodnie.

- O Boże - wyjęczała. - Bentley Rutledge, to ty? Co tu, u licha, robisz?

Rutledge roześmiał się gardłowo i zapiął ostatni guzik u spodni.

- A na co wygląda, kochana Freddie?

Oparł się jednym biodrem o ścianę.

- Następnym razem postaraj się wysłać jakieś ostrzeżenie.

- Na miłość boską, Rutledge! Czy Tess nie postawiła ci pod łóżkiem nocnika?

Kiedy minęło uczucie pierwszego szoku, Frederica nie czuła się specjalnie zażenowana. Znała Rutledge'a chyba od zawsze. Był najlepszym przyjacielem jej kuzyna Gusa i ulubieńcem Chatham Lodge, domostwa, które bezustannie wypełnione było gośćmi i chociaż często słyszano, jak ciotka Winnie twierdzi, że Rutledge to niepoprawny drań, zawsze, kiedy to mówiła, w jej oczach rozbłyskały iskierki. Frederica zmierzyła wzrokiem Rutledge'a. Winnie mówiła także inne rzeczy. Rzeczy, których młode niezamężne panny nie powinny były podsłuchiwać.



Jednak Frederica podsłuchiwała je i ani przez ułamek sekundy nie wątpiła, iż są prawdziwe. Rutledge był wysokim, przystojnym diabłem o ciepłych, piwnych oczach, przekornym uśmiešku i gęstych, ciemnych włosach, które zawsze były zbyt długie. W rzeczy samej teraz, kiedy o tym sobie przypomniwała, z każdym rokiem stawał się chyba coraz bardziej przystojny. Większy. Lepiej zbudowany. Był także silny. W dzień Bożego Narodzenia złapał ją pod jemiołą. Przypomniwała sobie, jak objął ją w pasie mocnymi dłońmi, tak że jego kciuki niemal stykały się ze sobą. A potem bez wysiłku uniósł ją, obrócił w powietrzu i pocałował w usta.

To jednak nic nie znaczyło. Co roku w święta Bożego Narodzenia Rutledge obcałowywał wszystkie damy: ciotkę Winnie, kuzynkę Evie i nawet Zoe, której nikt inny nie śmiał pocałować, ponieważ - choć była z nieprawego łoża - jej ojcem był wszechpotężny lord Rannoch. Tego roku jednak Rutledge porwał Fredericę w ramiona, kiedy byli zupełnie sami. Pocałował ją jakby od niechcienia. A potem dziwnie się zachwiał. Niemal zapomniał, by dziewczyną zakręcić w powietrzu, potem jego pocałunek stał się bardziej miękki i usta ich obojga lekko się rozchyliły. Potem opuścił ją bardzo powoli, ich ciała otarły się o siebie a jego wzrok nie spuszczał jej z oczu. Kiedy Frederica ponownie dotknęła stopami podłogi, czuła się cała dziwnie rozgrzana. Rutledge jednak natychmiast się odwrócił. Był to ostatni raz, kiedy on, lub ktokolwiek inny, pocałował ją pod jemiołą.

Dziwne, że przypomniwała sobie o tym akurat teraz. Dobry Boże, brnęła prosto ku nieszczęściu. Powróciło uczucie żalu z powodu Johnny'ego.

- Przepraszam, że cię zaskoczyłam, Rutledge - powiedziała, bawiąc się w dziwny sposób pejczem. -

Jest jednak już po północy, Nie powinienes być w łóżku?

- Och, a powinienem? - W poświęcie księżycy dostrzegła jego białe zęby, wyszczerzone w uśmiechu. Rutledge zawsze uśmiechał się na jej widok. - A co z tobą, słoneczko? O tak późnej porze wyslizgujesz się ze stajni? Kim jest ten szczęśliwiec?

Przez moment Frederica nie mogła złapać tchu.

- To nie twoja sprawa - wypaliła w końcu.

Na te słowa Rutledge odsunął się od ściany i stanął nieco chwiejnie na nogach.

- Dlaczego, Freddie! - wyszeptał, miażdżąc resztkę cygara obcasem. - To miody Ellows, prawda? Ach, ci faceci z Cambridge mają tyle szczęścia!

Ten żart dźgnął ją w samo serce, klując dotkliwie i głęboko. Frederica położyła dłoń na kamiennym postumencie.

- Dlaczego zawsze mnie przedrzeźniasz, Rutledge? - zażądała odpowiedzi, walcząc z pogardą ze łzami. - I dlaczego nigdy nie pokazujesz się tutaj, chyba że chcesz uniknąć jakiegoś skandalu? Albo męża jakiejś damy? A mówiąc o skandalu, dlaczego przemierzasz ogrody samotnie? Nie masz nikogo lepszego do towarzystwa niż mnie?

Stojący w świetle latarni Rutledge uniósł jedną brew i ruszył ku dziewczynie swym charakterystycznym, lekkim krokiem.

- Właśnie kończyłem cygaro, Freddie - rzekł nieco łagodniej. - Razem z twoimi kuzynkami wróciliśmy nieco późno z Wrotham Arms, to wszystko. Gus stwierdził, że lepiej będzie pójść pieszo i trochę przewietrzyć Trenta. Odprowadzili go spać wraz z Theo. Biedaczyna, założę się, że jutro odpokutuje za swoje sprawki.

Frederica ruszyła za Rutledge'em, szeleszcząc spódnicami, i przeskoczyła ostatnie trzy stopnie.

- Za swoje sprawki? - powtórzyła jego słowa, odwracając się do niego plecami. - A reszta z was jest niewinna niczym niemowlęta, jak przypuszczam.

- Pokój, Freddie! - roześmiał się Rutledge, chwytając ją łagodnie za ramię i obracając twarzą ku sobie. - Co się z tobą, do diabła, dzieje?

I nagle zauważył. Frederica zdała sobie z tego sprawę, kiedy poczuła wypływającą z kącika oka łzę.

- Ach, Freddie, o co chodzi? - wymruczał, ściskając dłoń na jej wełnianym okryciu. Uniósł drugą dłoń i chwycił jej brodę, opuszką kciuka ścierając z policzka łzę. - Płaczesz? Dlaczego? Kto? Powiedz mi, jak się nazywa, słoneczko, a przysięgam na Boga, że będzie martwy, zanim nastanie świt.

Na te słowa dziewczyna wybuchnęła ni to śmiechem, ni szlochem. Rutledge byłby zdolny zabić Johnny'ego, albo przynajmniej okaleczyć, gdyby go o to poprosiła. Teraz jednak z oczu płynęły jej łzy.

Rutledge chwycił jej dłoń i mocno przytulił do siebie, a jej kapelusz spadł i potoczył się po trawie.

- Och, cicho Freddie, cicho - koił ją, obejmując w pół mocnym ramieniem. - Nie płacz, słoneczko, och, nie płacz, przepraszam, że się droczyłem z tobą. Nie powinienem być. Nie płacz już.

Jego litość pogorszyła sprawę. Lub polepszyła. Dziewczyna nie była pewna. Jednak przy kolejnym, okropnym szlochu zarzuciła mu ręce na szyję. Rutledge położył dłoń na jej plecach i zaczął przesuwając ją w kojący sposób. Jego ręka była silna, ciężka, a Frederica potrzebowała dotyku. Nie miało to znaczenia, że jest to Bentley Rutledge, najgorszy drań na świecie. Nie można było go nie lubić. Bez względu na to, jak był niegodziwy, zawsze czuła się przy nim bezpiecznie. Nigdy nie był wobec niej arogancki, ani sztywny czy chłodny. Był po prostu... Bentleyem.

Poklepał ją po plecach.

- Cicho, cicho - uspokajał ją.

- Och, Bentley, jestem taka nieszczęśliwa! - wyszlochała i pozwoliła sobie skryć twarz na jego piersi i patetycznie powzdychać. Pachniał koniem, tytońniem i zbyt dużą ilością brandy, a mimo to jego siła i dotyk były niezaprzeczalnie męskie.

Powinna była jednak przytulać się do Johnny'ego.

Myśl ta pojawiła się nie wiadomo skąd, otumaniając ją. Dziewczyna ponownie wciągnęła powietrze i jej ciałem wstrząsnął kolejny spazm płaczu. W odpowiedzi na to Rutledge mocno przycisnął jej głowę pod brodę i przytulił całe jej ciało do siebie.

- Co się stało, Freddie? - wyszeptał, muskając ustami jej włosy. - Czy ktoś cię skrzywdził? Kto? Zawsze możesz zwierzyć się staremu Bentleyowi.

W jednej chwili poczuła, że mężczyzna ma rację. Bentley Rutledge był człowiekiem, któremu można było się zwierzyć, ponieważ niewątpliwie widział wszelkie niegodziwości, jakie niesie życie, a ponadto umiał trzymać język za zębami.

- To.. to.. to Johnny Ellows - wyszlochała. - Nie ożeni się ze mną w końcu.

Poczuła, jak jego dłoń znieruchomiała, a palce wbiły się w jej plecy.

- Łotr! - cicho zaklął. - Dwulicowy pies! Uganiał się za tobą, od kiedy stałaś się panną.

- Wiem! - zapłakała Frederica prosto w jego płaszcz. Ale teraz ojciec każe mu żenić się z kuzynką.

- Och, jego ojciec każe - w szerokiej piersi Rutledge'a zagrała prześmiewcza nuta. - Cóż, jego ojciec to napuszony kogut! Ellows nie zasługuje na ciebie. Ani trochę. Gus i ja zawsze to powtarzaliśmy. A teraz wiemy, że nie ma ani krzty odwagi.

Frederica pociągnęła nosem.

- Co masz na myśli?

Rutledge przytulił ją nieco mocniej.

- Ach, Freddie, mężczyzna byłby głupcem, gdyby nie zechciał walczyć o ciebie - wymruczał, poklepując ją delikatnie po głowie. - Ja bym tak zrobił, gdybym był na jego miejscu. Ale... cóż, nie jestem. Oczywiście w ogóle nie mógłbym być. Usiłuję jedynie powiedzieć, że Johnny Ellows nie ma ją, żeby... do diabła! Przepraszam cię Freddie, ale skoro ich nie ma, stać cię na więcej. O wiele więcej.

Ale Fredericę stać jedynie było na potrząsanie głową przy połach szorstkiego płaszcza Rutledge'a.

- Ale nikt inny nigdy mnie nie chciał - zdołała wyszeptać. - I nikt nigdy nie zechce. Wiem to! Spędziłam w Londynie cały sezon i żaden dżentelmen mi się nie oświadczył. To dlatego, że uważają, iż nie jestem dość dobra. Z nieprawego łoża. Wydawało mi się, że prościej będzie wrócić do domu i w końcu wyjść za Johnny'ego. Ale nawet on mnie nie chce! I teraz niechybnie uschnę w staropanieństwie.

Poczuła, jak ciało mężczyzny sztywnieje.

- Cicho, Freddie - była to niewątpliwie reprimenda. - Twój kuzyn Gus powiedział, że byłaś najpiękniejszą dziewczyną w Londynie w trakcie sezonu. Te miejskie głupki po prostu słyszały, że już poproszono cię o rękę. A może poculi się onieśmieleni osobą twego opiekuna, lorda Rannocho.

- Och, to nie chodzi o Elliota! - rozżaliła się Frederica. - To z powodu mojej matki. I... i żadna uroda tu nie pomoże.

- Do diabła! - głos Rutledge'a był dziwnie zduszony. - Twoja uroda wystarczy, by pokonać każdą przeszkodę. Zaufaj mi w tej kwestii, słoneczko, ponieważ jestem niemal tak wyczerpany, jak tylko może być mężczyzna.

Na te słowa Frederica spojrzała mu w twarz i niemal natychmiast tego pożałowała. Rutledge wpatrywał się w nią wzrokiem, który sprawił, że wstrzymała oddech. Jego usta już się nie śmiały, a w jego brązowych oczach pojawił się zadziwiająco łagodny wyraz, podobny do tego, jaki zagościł w nich w dzień Bożego Narodzenia.

Nastała długa, dziwna chwila. Później, Frederica nie była do końca pewna, dlaczego to zrobiła, ale wspięła się na palce i oparła piersi o tors Rutledge'a. Co dziwne, myślała wówczas o Johnnym, a raczej o tym, ile czasu przy nim zmarnowała. Miała niemal dziewiętnaście lat i była gotowa poznać smak życia. Prawdziwego życia. Być może Rutledge miał rację. Może Johnny na nią nie zasługiwał. Jej gorsza połowa zapragnęła, by pożałował tego, co zrobił i chciała poprosić Bentleya, by porachował mu kości. Jednak lepsza część już zapomniała o Johnnym i zastanawiała się, jak by to było poczuć na sobie usta i ręce Bentleya tak, jak kilka tygodni temu.

- Bentley? - jej głos stał się dziwnie skrzekliwy. - Pamiętasz ostatnie Boże Narodzenie?

Mężczyzna na chwilę zamarł.

- Być może, Freddie. Dlaczego pytasz?

- Mam na myśli, kiedy... kiedy mnie pocałowałeś? W Boże Narodzenie?

Rutledge wciągnął powoli powietrze.

- Hm... jak przez mgłę.

- Było miło - wyznała. - I zastanawiałam się, czy... czy mógłbyś zrobić tak jeszcze raz?

Zapadła długa, krępująca cisza.

- To nie jest dobry pomysł, Freddie - odparł w końcu.

Jego opór był zaciekawiający.

- Czemu nie? Myślałam... no wiesz, że chociaż trochę ci się podobało.

- Och, tak.

- Więc zrób to znowu, Bentley, proszę.

Jego opór skruszał.

- Do diabła, Freddie! - wykrztusił. A potem z zdobywającym się z gardła łagodnym jękiem pochylił głowę i przysunął usta ku jej wargom.

W przyszłości, pomyślał Bentley, musisz bardzo uważać, kiedy idziesz się wysikać.

Była to chyba ostatnia jego jasna myśl, zanim musnął wargami usta Freddie. W jakiś sposób, pomimo umysłu zamglonego nieco brandy, pamiętał o tym, by pocałować ją łagodnie. Wyczuwał jej ból i zmieszanie, przycisnął wargi do jej ust, a dłonią objął tył głowy, rozchylając wargi dziewczyny, aż bezgłośnie się otwarły. Freddie całowała jak chętna dziewczica, niepewna każdego kroku, lecz słodka. Tak bardzo słodka. Musiał jedynie, przynajmniej tak sobie wmaślał, dać jej odczuć, że jest godna pożądania.

Co stanowiło właśnie największy kłopot. Była godna pożądania. I w dziki sposób piękna, ze swą skórą koloru miodu i puszystymi, czarnymi włosami. Po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę trzy lub cztery lata temu, a myśli, które wówczas zaczęły kłębić się w jego głowie jak oszalałe, sprawiły, że poczuł się niczym lubieżny pies. Był to powód, dla którego uznał, iż rozsądnie będzie traktować ją, drażnić się z nią, jakby była jego siostrą. Ale, do diabła, nie całował się teraz przecież z siostrą, prawda?

Bentley wiedział, że powinien przestać, ale jak w wypadku większości swych grzeszków, po prostu nie mógł. Kiedy zaczął, było zbyt dobrze, by miał przestać. Położył więc drugą dłoń nisko na jej plecach i wsunął język w jej usta. Freddie zachłysnęła

się, wdmuchując w jego usta chłodne powietrze i przypominając mu, iż to wszystko, co robią, jest dla niej kompletnie nowe. Jednak otoczyła jego szyję ramionami i przytuliła się do niego z niewątpliwym kobiecym pożądaniem: z zaproszeniem, któremu nigdy w życiu nie odmówił.

Nagle, co jeszcze pogorszyło sprawę, zaczęła odwzajemniać jego ruchy, powoli i zmysłowo owijając swój język wokół jego i wydając z głębi niesamowicie uwodzicielskie dźwięki. Bentley naprawdę zapragnął, by tego nie robiła. Mógłby się pomodlić, aby jakiś cudem zdołał oderwać od niej usta i wrócić na górę. Do łóżka. Sam.

Jednak samodyscyplina nie była nigdy mocną stroną Bentleya i kiedy dziewczyna pogłębiła pocałunek, mocniej zacisnął dłoń na jej włosach i raptownie przycisnął jej twarz ku swojej, odsłaniając wygięcie jej szyi. Całował ją tam, całował jej piękne, łukowate brwi i policzki. Frederica ponownie westchnęła i wtedy Bentley zaczął dotykać jej ciała, zdobywając jej niewinność pocałunkami i głaszcząc jej talię, plecy oraz krągłe pośladki.

Całował ją i całował aż do zatracenia w ciemnej, uwodzicielskiej mgle. W przedziwny sposób Freddie zawsze wzbudzała w nim jakieś pragnienie. Sprawiała, że czegoś pożądał, a to prowokowało go do życiowych ekscesów. Było to pragnienie jej niewinności. Pragnienie kobiety, której nigdy wcześniej nie dotykał żaden mężczyzna. Lecz kiedy delikatnie przesunął dłonią pod jej cudowną *demere* i mocniej ją do siebie przycisnął, Frederica wciągnęła ze świstem powietrze, jej delikatne nozdrza zadrżały i Bentley zdał sobie sprawę, że może chodzić o coś znacznie poważniejszego. Już od dłuższego czasu nie mógł oderwać wzroku od tej dziewczyny.

Boże! Och, Boże... Nie może tego zrobić. Nie jej. I nie Gusowi. Niezależnie od swych niegodziwości, był dobrym i wiernym przyjacielem.

Nagle, ku jego wielkiemu zdumieniu, Frederica oderwała od niego swe usta.

- Bentley - wyszeptwała. - Naprawdę sądzisz, że jestem piękna? Godna pożądania? Pożadasz mnie?

Bentley spojrział na nią w ciemności.

- O Jezu, Freddie! Gdybyś była jeszcze odrobinę bardziej godna pożądania, Rannoch wyzwałaby mnie rano na pojedynek.

Frederica z niepewnością oblizwała wargi.

- Chodź ze mną - wyszeptwała pospiesznie. - Nie możemy tu wystawać. Ktoś może zobaczyć.

Niczym owieczka na rzeź - o ile można użyć takiego porównania - Bentley podał jej rękę i pozwolił się zaciągnąć na dół ku zacienionemu, niższemu tarasowi. Nienawidził się, kiedy Freddie zwróciła się ku niemu, a blask księżycy oblał jej idealne, nieco egzotyczne rysy. To jej brwi, stwierdził nagle. Boże, zawsze kochał jej brwi. Bentley poczuł, jak jego samokontrola topnieje.

Starał się przypomnieć sobie, że dziewczyna robi to, ponieważ została skrzywdzona. Młode kobiety zachowują się w ten sposób. Zbyt często był tego świadkiem i zawsze starał się podobnych sytuacji unikać. Starsze kobiety, takie, które bardziej lubiły, były na tyle mądre, by wiedzieć, że tuż za rogiem czai się kolejny kochanek, który ukoi ból zranionej dumy. Freddie, niech Bóg ją ma w swej opiece, o tym nie wiedziała. I do niego należało, by jej to wytłumaczyć.

Dziewczyna znowu przywarła do niego. Ręce mu drżały, lecz pewnie położył je na jej ramionach i mocno nią wstrząsnął.

- Kochanie, przestań - ostrzegł ją. - Nie rób tego. Nigdy nie wychodź w ciemną noc z mężczyzną takim jak ja.

Spojrzała na niego na wpół niewinnie, na wpół uwodzicielsko.

- Pragniesz mnie?

- Okrutnie - udało mu się w jakiś sposób pstryknąć ją po bratersku palcem w nos. - Do szaleństwa. Najmocniej jak można. A teraz rozczaruj mnie Freddie. Odejdź. Idź do łóżka. Sama.

Bez słowa dziewczyna sięgnęła ręką i owinęła palce wokół jego dłoni. Z figlarnym uśmiechem pociągnęła go na ławkę z kutego żelaza i odwróciła twarz ku niemu, by ją pocałował. Do diabła, ależ ta dziewczyna jest piękna! Kiedy przez jakiś czas nie było go w Chatham, zdążył zapomnieć o jej urodzie. A teraz pragnęła, by ją pocałował.

- Nie - wyszeptał.

- Tak - odparła. - Teraz. Proszę.

Więc usłuchał jej. Niech będzie draniem i łajdakiem, ale zrobił to, miażdżąc jej wargi, jakby moc tego pocałunku miała przywrócić jej zmysły. Zrobił to mocno, bez pardonu, odchylając siłą jej głowę do tyłu, pomimo iż całe jej ciało przyciągał ku sobie, Uniósł się unieruchamiając ją pomiędzy sobą a ławką, nie było więc sposobu, by nie poczuła jego narzmiącej męskości. Całował ją i całował, aż zniknęła cała czułość, a pozostała jedynie czysta żądza. skończyła się zabawa. Z jego piersi wydobywał się ciężki oddech. Wsunął język w jej usta w niepokojący sposób. Sposób, ukazujący czego naprawdę pragnął. Czego pożądał aż do bólu. A mimo to dziewczyna się nie zawahała.

Udało mu się jakoś oderwać od niej usta.

- Freddie, przestań! - Jego głos był niski, nieco zduszony. - To nie jest bożonarodzeniowy pocałunek. Już nie. Musimy przestać. Teraz.

Spojrzała na niego spod ciężkich powiek. W jej oczach pojawił się nagły błysk zrozumienia, pewności. Nie było już małej dziewczynki. Z cichym jękiem usta Bentleya ponownie rozchyliły się tuż przy jej szyi i zaczęły przesuwac w górę i w dół.

- Freddie - jej imię wyrwało się z jego piersi. - Kochanie, jeśli dotkniesz mnie jeszcze raz... jeśli choć muśniesz ustami moją twarz, przysięgam ci, że nie będę mógł powstrzymać się od powalenia cię na trawę i... - zamknął oczy i potrząsnął głową. - I zrobienia z tobą czegoś, co jest naprawdę, naprawdę złe.

Dziewczyna przytknęła usta do jego ucha.

- Bentley. Mam już dość bycia naprawdę grzeczną - wyszeptała. - Chcesz, żebym uszła jako stara panna?

- O mój Boże - wyszeptał. I po raz pierwszy w życiu nie było to w jego ustach bluźnierstwo.

To Freddie pierwsza zrzuciła płaszcz. On natychmiast uczynił to samo, odrzucając tym samym resztki oporu. Jego pożądanie było niczym żyjące, oddychające stworzenie, nad którym nie mógł zapanować. Zręcznie, zanim zdążył to przemyśleć, musnął ponownie jej wargi i zaczął rozpinać guziki jej koszuli. Robił to już tysiące razy, często po ciemku, często pijany, to znaczy bardziej pijany niż teraz, a mimo to ręka mu drżała i zajął mu to więcej czasu, niż powinno.

Freddie wiedziała, do czego zmierza Bentley, kiedy tylko jego palce zaczęły bawić się guzikami koszuli. Nie mogą udawać, pomyślała, nie mogą udawać, że nie wiem. Albo że to jego вина.

Wiedziała. I nie dbała o to. Wiedziała nawet mglistości, co ma zamiar poświęcić. Jednak Johnny nigdy nie całował jej w taki sposób, jak Bentley. Miała wą-

pliwości, i to ogromne, czy w ogóle wiedział, jak się to robi. Wątpiła, by wiedziała to większość mężczyzn.

Bentley był i pozostanie łobuzem. Ale z pewnością jej pożałował, a Frederica miała dość oszczędzania się dla małżeństwa, które nigdy nie nastąpi. Czaiło się w niej pożądanie, rozpalona niemal do białości krew, czego ani nie znała, ani nie pojmowała. Był to ogień. W jakiś sposób wyczuła, że Bentley to rozumie.

- Freddie - wykrztusił Bentley, gdy chłodne powietrze owiało jej piersi. - Freddie, na miłość boską powiedz coś. Słoneczko, nie jestem dobry. Powiedz nie. Powstrzymaj mnie.

Ale dziewczyna jedynie pochyliła głowę i potarła policzkiem o jego jednodniowy zarost. Był szorstki i taki przyjemny. A Bentley pachniał tak, jak powinien pachnieć mężczyzna. Połączenie dymu, mydła i potu.

- Och, do diabła - wyszeptał. A potem drżącymi rękoma zsunął batystową koszulę z jej ramion na trawę.

Dziewczyna czuła żar jego oddechu na piersiach. On zaś rozchylił wargi i zaczął je całować, ssąc, przez cienki materiał halki. Raz za razem wsuwał koniuszek piersi między zęby, a jej ciało przeszywał łagodny, wibrujący dreszcz. I kiedy Frederica poczuła, że nie znieśie dłużej tej tortury, wyprężyła ciało i wydała z siebie cichy, przeciągły jęk. Bentley zachrypiał i zajął się drugą piersią, ssąc ją, aż materiał nieprzyzwoicie przykleił się do jej nabrzmiałego utka.

Było to namiętnie przerażające. Jego dłonie mocno obejmowały plecy dziewczyny i przytulały ją. Czowała zapach jego włosów, jego żar, który wymykał się spod ubrania. Zapragnęła do bólu dotknąć go i poczuła się zawstydzona, że nie wie jak. Zadrżała jednak, kiedy jego dłonie przesunęły się po jej talii

i uchwyciły w garść jej ciężką, wełnianą spódnicę. Mężczyzna uniósł ją bez wysiłku do połowy jej ud, a potem, słysząc jej jęk, całkiem do góry. Jego usta nadal spoczywały na jej piersi, a ręka zaczęła wędrować po udzie.

- Freddie - to słowo było rozpaczliwym błaganiem.  
- Czy to oznacza „tak”? Kochanie, czy wiesz, o co pytam? Jeśli wiesz, powiedz: tak. Albo nie. Proszę.

Freddie przesunęła dłońmi po jego szerokiej klatce piersiowej i popatrzyła mu w oczy. Jego potężne mięśnie zdrząły pod jej dotykiem, dając świadectwo pożądania.

- Tak - odparła. Powoli i pewnie.

- Dobry Boże, Freddie, to samobójstwo - rzekł i opadł wraz z nią na miękką, zimową trawę, przyjmując na siebie cały jej ciężar. Spoczęła na nim, przyciskając udem jego nabrzmiałą, pulsującą męskość, którą wyczuła pod spodniami. Wiedziała, co to jest. Wychowała się na wsi. W towarzystwie trzech bardzo męskich kuzynów. Rozpostarła dłonie na jego piersi i spojrzała na niego przez zasłonę poplątanych włosów.

Delikatnymi palcami Bentley odsunął kosmyki z twarzy dziewczyny. A potem, po chwili zawahania, przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował długo i namiętnie.

Kiedy oderwał usta, ledwie mogła złapać dech. Łagodnie przesunął się na bok, a następnie położył na niej. W pożarze namiętności zdarł z niej buty, pończochy i podwiązki. Jej ciało owiało chłodne, nocne powietrze. Podtrzymując na łokciach ciężar swego ciała, pochylił się nad nią w ciemnościach.

Jego oczy. Och, jak bardzo pragnęła ponownie ujrzeć jego oczy. Dziwne, że wcześniej nie zauważyła, jak bardzo są ciepłe.

- Tak - powtórzyła, a ręka Bentleya powędrowała do rozporoka spodni, sprawnie go rozpinając. W ciemnościach dziewczyna niewiele mogła dostrzec i pomyślała, że tak będzie lepiej. Poczowała, jak jego ręka dotyka jej intymnie między udami. Z jego piersi wydobył się jęk zadowolenia, po czym mężczyzna rozchylił kolanem jej nogi.

- Och Boże, Freddie - słowa były szeptem pełnym męki. - Mam nadzieję, że zrobię to jak należy.

A potem dziewczyna poczuła jego twardą, gorącą erekcję przyciskającą się do jej ciała. Na chwilę ogarnęła ją strach. Bentley jakby to wyczuł, pochylił głowę i musnął wargami jej ucho.

- Jeśli każesz przestać, kochana, zrobię to. Potrafię.

Brzmiało to tak, jakby sam chciał się przekonać. Dziewczyna pokręciła głową i poczuła, jak jej włosy zahaczają o trawę.

- Nie, nie - rzekła spazmatycznie, po omacku wyciągając ku niemu ręce. - Weź mnie. Daj mi to. Och, Bentley, nie dbam o to. Nie dbam o to, co się stanie.

I w tej chwili mówiła prawdę. Pragnęła przyjemności, jaką obiecywało jego ciało. Pragnęła jej i bała się jednocześnie. Była jednak zbyt zmęczona oczekiwaniem. W jej żyłach tętniła gorąca krew. Jego ciężar przygniatał ją ku ziemi, a jego nogi jeszcze bardziej rozchylały jej uda.

Zbyttno się spieszył. Domyślił się, słysząc kolejne rozpaczliwe wciągnięcie powietrza. Opanował się trudem i uniósł, a potem wsunął najpierw jeden, a potem dwa palce, przesuwając nimi w górę i w dół wśród jej kręconych włosów. Umierał z pragnienia tej dziewczyny, dziewczyny, którą znał lepiej niż aby dynie jej pożądać. Ale przecież pożądał jej. A teraz był zagubiony, niemal zagubiony, w jej słodkim, dzie-

widzimy ciebie. Z każdym ruchem wślizgiwał się głębiej w jej gorące, zapraszające ciało, jednym palcem pieszcząc jej łechtaczkę. Freddie zaczęła dyszeć, potem trząść się, a dźwięk ten przypomniawszy mu, co ma się za chwilę wydarzyć.

To jest to, stary, ostrzegł się. Zrób to, a równie dobrze mógłbyś się ożenić. Złapano w pułapkę pastora.

A może i nie.

Rodzina Freddie była... cóż, dość niekonwencjonalna. A Freddie może nie jest aż tak głupia, by wziąć go za męża. Jej kuzyni z pewnością po prostu woleliby go zabić, a przynajmniej próbowaliby. Rannoch odniósłby sukces. Bentley jednak z przerażeniem pomyślał, że ten jeden raz z Freddie mógł być tego wart. Dobiegały ich dźwięki nocy i zapach opadłych liści, co w jakiś sposób sprawiało, że był bardziej świadomy leżącej pod nim kobiety.

Boże, była wilgotna od podniecenia, najwyraźniej tak. Ta myśl dała mu niesamowite poczucie siły. Pragnął, by wiała się pod nim, pragnął usłyszeć jej łagodny głos bez tchu tuż przy swym uchu. To byłoby inne, wiedział o tym. W jakiś sposób słodsze. A mimo to bał się. Czy będzie ją bolało? Czy będzie płakała? Boże, nie zniósłby tego.

Przy następnym ruchu wsunął dwa palce w sam jej środek i Freddie gwałtownie westchnęła. Z delikatną precyzją wysunął rękę i włożył ją ponownie, coraz głębiej, aż poczuł delikatne ścianki ciała, które natura stworzyła tak napięte. Nagle zapragnął wderzeć się w nią z gwałtownością, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. Będzie należała do niego. Ta szalona myśl uderzyła go niczym obuchem. Jego. Przed nim nie dotknął jej żaden mężczyzna. Niczym błyskawica przemknęła przez niego potrzeba naznaczenia jej ja-

ko jego własności, przebicia się przez ową cielesną przeszkodę i wzięcia jej w posiadanie.

Nie mógł już dłużej czekać. Objął ją jednym ramieniem, w drugą rękę ujął swą męskość i delikatnie naparł na jedwabiste ścianki jej wnętrza. Ku jego zdumieniu dziewczyna uniosła się, wychodząc mu naprzeciw i była tak wilgotna i śliska, że niemal stracił panowanie na sobą.

- Spokojnie, słoneczko, spokojnie - wyszeptał. - Ooo nie, Freddie, nie. Pozwól mi kochana. Pozwól mi to zrobić.

Jednak wiedział, że nie da się uniknąć następnego kroku. Mimo to powstrzymał się, niemal nieświadomie usiłując się wycofać. Jej ciało nadal unosiło się ku niemu niecierpliwie, niewinnie podążało za nim, a ona wbijała paznokcie w jego ramiona. Bentley mocno przycisnął jej biodra do trawy i kiedy dziewczyna wygięła się po raz kolejny, ze zduszonym jękiem wszedł w nią do połowy.

Głowa dziewczyny opadła, a ona sama wyszeptała coś. Błaganie? Prośbę? O niebiosa, była tak piękna, że Bentley pomyślał, iż zaraz zemdleje. I nagle, przy wtórze łagodnego, radosnego krzyku wszedł w nią całkowicie. Nie pamiętał prawie nic, z tego co nastąpiło potem, co było niezwykle dziwne. Zwykle obserwował się kochającego się z kobietą jakby z bo--, z dystansem i beznamiętnie.

Tym razem jednak poczuł, jakby żar i błyskawica przemknęły przez jego ciało, przyciągając go ku niej. Starał się, o Boże, jak bardzo się starał powstrzymać. Zaciśnął powieki i wbił palce w ziemię. Nie mógł jednak powstrzymać żarliwego pożądania, w którego posiadaniu się znalazł.

Tonął. Tonął w jej doskonałym, miękkim dziewczęcym cieple. Jej delikatność wciągała go, wysysając



z jego ciała wszystkie siły witalne. Raz za razem wchodził w nią. Pragnął... nie, musiał dokonać tego, aby było jej dobrze. Posiadała go, była jednością z nim, a mimo to bał się, że nie da rady zabrać jej ze sobą. Mogły to być sekundy albo godziny. I nagle, jak przez mgłę usłyszał niecierpliwy, słodki krzyk Freddie. Poczował, jak jej nogi go oplatają, przyciągając bliżej do siebie. Jej ruchy były nierówne, niewyuczone i piękne. Och tak bardzo piękne. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

Freddie ponownie wygięła się ze zduszonym drżeniem, a potem jej usta rozwarły się w niemym okrzyku, doskonałym dźwięku ekstazy. *La petite mort*. Mała śmierć. I wtedy piekło wybuchło w jego głowie. Ani przez sekundę nie pomyślał, by zwolnić, by z niej wyjść. Z każdym wstrząsającym nim dreszczem wchodził w nią i przykuwał ją swymi biodrami aż w końcu w jego umyśle rozbłysła błyskawica i jego nasienie wytrysnęło, gorące i wygłodniałe, i naznaczyło ją jako należąca do niego.

## Rozdział 2

### *Tajemnicza zagadka znikającego gościa*

Miał ziemię za paznokciami.

Bentley poruszył głową na poduszce, lecz nawet w słabym brzasku nie mógł tego nie dostrzec. Boże, to było nieco prostackie, nawet jak na niego. Otrzą---ł się i rozbudził całkowicie, wyciągając rękę i wówczas zauważył plamy z trawy na palcach. Serce mu zamarło, żołądek się skurczył. Bentley wydal siebie jęk rozpacz i przewrócił się na drugi bok, dostrzegając Freddie skuloną niczym kociak i obejmującą poduszkę.

Jej własną poduszkę. W jej pokoju.

Rozpacz ustąpiła miejsca niepokoju. Mężczyzna wskoczył nagi z łóżka, stopą zahaczył o kalesony. Uwolnwszy nogę, Bentley przyjrzał się bezładnej stercie ubrań leżącej na skraju łóżka. Zupełnie jak człowiekowi stojącemu w obliczu śmierci, całe życie, a raczej ostatnie jego sześć godzin, przemknęło mu przed oczami. Każdy szczegół obezwładniał go niczym ołowiana kula. Zapalił świecę i usiadł na krześle, skrywając twarz w dłoniach.

Dobry Boże! Pamiętał, jak wytaczał się z Wrotham Arms z braćmi Welten i pozwolił, by dołączył się do nich młody lord Trent. Pamiętał, że wypił zbyt du-

zo i pozwolił, by Trent zbyt wiele przegrał. Potem wynajęli knajpianą panienkę o ognistych włosach, żeby odciągnęła młodzieńca od gry, ale Trent jej nie chciał.

- Mogłaby być moją matką - wybełkotał, rumieniąc się.

By uratować dumę dziewczki, Bentley zapłacił jej ponownie, po czym zabrał ją na górę i sam zaczął się do niej dobierać. Był właśnie w trakcie i całkiem nieźle mu szło, zważywszy stan upojenia alkoholowego, gdy napatoczył się Trent i znowu ściągnął go na dół. Dobrze, że nadal miał na sobie spodnie. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że dziewczka należała do tego rodzaju, z jakimi zwykle się zabawiał, uznał się za szczęściarza, że nie zaraził Freddie jakimś pa-skudztwem.

Freddie. Och, Freddie...

To również pamiętał z palącą jasnością. Ostatniej nocy po tym, co uczynił jej w ogrodzie, poczuł, iż nie chce albo nie może jej zostawić. To byłoby nie po dżentelmeńsku. A przynajmniej tak sobie wmówił. Zupełnie, jakby było w idealnie dobrym tonie pozbawić dziewczynę dziewictwa bez kościelnego błogosławieństwa. Tak więc przyprowadził ją tutaj, do zacisza sypialni, wiedząc, iż dziewczyna zechce zmyć z siebie wszelkie dowody tego, co się wydarzyło. A potem zamiast przewracać się z boku na bok we własnym łóżku, miotany wyrzutami sumienia, ponownie uległ pokusie.

Było to dziwne, ale jakiś głos w jego wnętrzu kazał mu ją rozebrać. Zrobić to jak należy, podziwiać ją, tę odważną, cudowną nagrodę, którą zdobył. Jednak entuzjazm Freddie osłabł. Nagle stała się nieśmiała i aby ją ukoić, ponownie ją pocałował, długo i powoli. W reakcji na to Freddie rozpląnęła się. I to by było na tyle, jeśli chodzi o samokontrolę.

Znowu kochał się z nią, tym razem delikatnie, pieścił ją rękoma i ustami, aż jej łagodne jęki rozkoszy wypełniły noc, a ona spoczęła w jego ramionach. I znowu nie mógł się od niej oderwać. Był już jednak poranek. Coś trzeba było zrobić. Ale co? A raczej, w jaki sposób? Potarł dłońmi twarz i przyjrzał się okragłemu pomieszczeniu. Freddie zajmowała jeden z przerobionych pokoi w wieży, w najstarszej części domu. Na suficie znajdowały się masywne belki, poczerniałe od upływu lat i teraz, w brzasku dnia, ledwie widoczne. Stare, kasetonowe okno wychodziło na boczny ogród, a jego szyby w kształcie rombów oczekiwały światła dnia. Poza tym jednak Bentley znajdował się w pułapce z kamienia i to w więcej niż

jednym

znaczeniu.

A mimo to nic, oprócz honoru, nie powstrzymywało go, by stamtąd wyjść. W rzeczy samej teraz, kiedy o tym pomyślał, odejście, oczekiwanie aż ich temperatury nieco się uspokoją, wyszłoby jedynie na do---. Ale po pierwsze, musiał porozmawiać z Freddie. Podszedł do łóżka i położył dłoń na jej nagim ramieniu. Dziewczyna jednak nie poruszyła się, a on nie mógł się zmusić, by ją rozbudzić. Po części dlatego, że najwyraźniej czuł się winny. Ale po części z powodu spokojnego piękna, które emanowało z jej snu.

Jakże dziwne było to wszystko. Przez długi czas Freddie była najwykleszą dziewczyną, nie z tych, które zawróciłyby mu w głowie. Nigdy nie miał dziewczyny. Nigdy nie był z kobietą, która nie byłaby z in-sto razy przed nim. Lubił starsze kobiety. Mą-

nymi

drzejsze.

liwości

I pragnął po wszystkim niekłopotliwej możliwości zniknięcia. Rzadko sypiał z jedną kobietą przez dwie noce z rzędu i rzadko bywały dwie noce z rzędu, by z którąś nie spał. Był, jak często pogardliwie mawiał jego brat, niepoprawnym rozpustnikiem.

Jedynie raz okazał się na tyle lekkomyślny, by znaleźć sobie kochankę, której nie mógł zostawić. Na to wspomnienie nadal kręciło mu się w głowie. I tylko raz miał kochankę. Nie dlatego, że szczególnie jej potrzebował, ale ponieważ ją polubił, i ponieważ życie, które tak łatwo mógł jej ofiarować, było po stokroć lepsze od tego, które wiodła. W końcu jednak porzucił Mary, co przyniosło fatalny skutek.

Dlaczego więc Freddie? Przez ostatnie dwa lata kilka razy zwróciła na siebie jego uwagę. Na tyle często, że zaczęło go to niepokoić. Teraz widział jej delikatnie rzeźbione krągłości pod przykryciem, słyszał spokojny, równy oddech snu i odkrył, że jest to dla niego wielce kojące. Dziewczyna miała rozpuszczone długie, gęste włosy (jak przez mgłę przypominał sobie, że wyjmował z nich spinki i kokardy) rozsypane na poduszce niczym granatowoczarny wodospad. Jedwabiste, gęste rzęsy niczym wachlarz rzucały cień na jej oliwkową skórę, zawsze promieniącą ciepłem. Co dziwne, w jej obrazie nie odnajdował podobieństwa do swych niebieskookich kuzynów, chociaż wiedział, że jej ojcem był wuj Trenta, Frederic, oficer w armii, który zginął bohaterską śmiercią w Portugalii, pozostawiając narzeczoną w ciąży.

Dziewczyna uśmiechnęła się i nieco poruszyła przez sen, zakopując głębiej w poduszkę. Czując kolejne ukłucie tęsknoty, Bentley odwrócił się od łóżka i podszedł do paleniska. Ukłękł nagi i rozniecił ogień, który wygaszono na noc. Naprzeciwko stała wielka zbroja, a za nią sekretarzyk z pozłacanego drewna, wyglądający dosłownie bajecznie. Znowu rozejrzał się po pokoju i nie wiedząc, co ma począć, zaczął nakładać kalessony i zapalił stojący na sekretar-  
rzyku świecznik.

Na wierzchu stał atrament i leżał czysty papier. Bentley wrzucił do ognia kilka kartek zanim napisał coś, co mu odpowiadało. Musiało mu odpowiadać, albowiem skończył się papier. Mężczyzna usiadł na krześle i przysunął kartkę do świecy. Był zdumiony widząc, iż kartka drży w jego dłoni.

Do diabła, pomyślał, omiatając wzrokiem, co napisał. Były to słowa, przy których każdemu mężczyźnie zadrżałaby ręka. Po prawdzie Bentley czuł się, jakby był chory, nic innego jednak nie pozostawało mu zrobić. Musiał myśleć o reputacji Freddie. Oraz o zobowiązaniu wobec jej rodziny. Co postanowić? I czego on sam chce?

Rozparł się na niewielkim krześle i pomyślał. Czego chce? Oczywiście przetańczyć całe życie w spokoju i bez zobowiązań. Być całkowicie nieodpowiedzialnym. Tyle tylko wiedział i tylko tego zawsze pragnął i oczekiwał. Poza tym usiłował sam się przekonać, że Freddie i tak by go nie chciała. Jedynie dla chwili przyjemności, prawda? Jeśli myślała inaczej, jeśli w jej sercu zrodziło się dziewczęce zauroczenie jego osobą, Rannoch mógł zawsze usunąć je chirurgicznie za pomocą sztyletu. A potem zwrócić jego ostrze przeciw Bentleyowi.

Tak, najprawdopodobniej był już martwy, albo będzie, jak tylko atrament wyschnie w parafialnej zakrystii. Och, cóż. Nie na próżno zwano go diabłem wcielonym. W końcu musiało dojść do czegoś podobnego. Wzruszywszy ramionami, Bentley złożył liścik, ucałował go i położył na parapecie. Miał zamiar udać się po cichu do swego pokoju, wykapać, ubrać i czekać na nieuniknione. Doszedł już do drzwi, na-  
--- jednak nie mógł się od niej oderwać.

Westchnął, wrócił do łóżka i uniósł dłoń, by dotknąć włosów dziewczyny. W tej jednak sekundzie ze

schodów w oddali dobiegł przerażający łoskot. O Boże! Jego ręka zamarła, a przez głowę przemknęło mu tysiąc myśli. Czy to był ktoś ze służby? Tak. Z wiadrem do mycia podłogi? Nie. Bardziej przypominało to pojemnik na węgiel. Nie miał wyjścia. Zaraz wparuje służąca, aby rozpaść w kominku i reputacja Freddie będzie nieodwracalnie i beznadziejnie zniszczona.

Znowu dobiegł go dźwięk, tym razem bliższy. Nieco desperacko rzucił się w stronę okna, odbezpieczył zasuwę i otworzył je na oścież. Drugie piętro. Pod spodem rosły rododendrony i ostrokrzew. Cóż, bywało gorzej. Przynajmniej tym razem żaden rozwścieczony mąż nie celował do niego z pistoletu. Bentley chwycił w garść buty i ubranie i rzucił je na zewnątrz, a sam skoczył na parapet. Nie pamiętał potem, czy rzeczywiście skoczył, ale musiało tak się stać, ponieważ z łomotem wylądował na dole, rozpryskując dokoła gałązki i liście krzewów.

Nikt jednak niczego nie słyszał, na szczęście, gdyż dobre dwie minuty zajęło mu zaczerpnięcie oddechu. Lewą nogę miał dziwnie wygiętą, ale nie była złamana. Z twarzy sączyła mu się krew; ciepła strużka ciekła po skroni. Dźwignął się ostrożnie; krajobraz Essex wirował dokoła niczym na karuzeli.

Jakoś udało mu się stanąć na nogi i wydobyć z pogruchatanego bluszczu buty i ubranie. Jedną pończochą zaczepił o gałązkę ostrokrzewu, a spodnie poszybowały przez ścieżkę na trawnik. Chaotycznymi, niecierpliwymi ruchami pozbierał resztki ubrania i włożył je na siebie. Zerknął w górę ku oknu i dostrzegł poruszające się w przeciagu białe zasłony. Dobry Boże, ktoś naprawdę otworzył drzwi! Wołanie z bliska niemal podcięło mu nogi.

Niestety, dopiero do niego dotarło, że po ucieczce z domu, nie miał jak dostać się z powrotem do środka. Gdyby był przy zdrowych zmysłach, podczołgałby się po prostu pod bukszpany i udawał, że zemdlął po pijaku, co, zważywszy jego skłonności, byłoby całkowicie możliwe. Ale nie był przy zdrowych zmysłach.

Mógł to być kac. Albo poczucie winy. Albo lekki wstrząs mózgu. Albo, choć nigdy by się do tego nie przyznał, zwykły, stary strach przed nieuniknionym. Cokolwiek jednak powodowało nim w tej chwili, wydawało się, że najlepszym wyjściem będzie ruszyć w drogę, pokuścić w stronę stajni. Iść i iść, aż do siadzie konia i wyniesie się z Essex.

Przy odrobinie szczęścia nikt w Chatham Lodge nie zauważył go ani się nim nie zainteresuje. Często przybywał tu i wyjeżdżał bez uprzedzenia lub zapowiedzi. Zresztą już oznajmił Gusowi, że wyrusza od razu po śniadaniu, gdyż za najdalej trzy dni spo-

dziewany jest w Chalcote Court na chrzcinach najmłodszej siostrzenicy. Jej rodzice nie chcieli nawet słyszeć o tym, by odmówił zostania ojcem chrześ--m. W liściku dokładnie napisał Freddie, gdzie go można znaleźć.

Wyjaśnił wszystko bardzo dokładnie i czule. treść przedstawił w uroczym i pewnym słowach skreślonych z całą uczciwością, dzięki której jego propozycja brzmiała szczerze. Ze zgrabnych zdań nie można było wysnuć ani cienia wątpliwości bądź niepokoju. Napisał, że oczekuje jej odpowiedzi oraz, jak stwierdził, ma nadzieję, że wkrótce Freddie sprawi, iż stanie się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

I tak, mężczyzna, który miał się stać niebawem najszczęśliwszym na świecie, zawiązał fular na szyi i ruszył w poszukiwaniu konia. Kiedy jednak tylko

skręcił za róg, ponownie podniósł się wiatr, mierzwiąc mu włosy i rozwiewając poły płaszcza. Bentley, zbyt zajęty myślami o małżeństwie, pożądaniu i strachu, pochylił głowę i szedł przed siebie w stronę stajni, nie zauważając, iż podmuch wiatru uniósł coś jeszcze poza połami jego płaszcza. Złożona kartka papieru wyfrunęła z okna pokoju Freddie. Poszybowała w dal, niczym wypuszczony z niewoli motyl, wirując i podrygując w stronę ogrodu, ponad trawnikami, aż do rozciągającego się w oddali lasu.

Na ogół widok stołu podczas śniadania w Chatham przypominał lekki chaos, ponieważ domostwo było dość spore, pełne ludzi i nie obowiązywała tu bynajmniej sztywna etykieta. Każdego ranka, między ósmą a ósmą trzydzieści, tace wyładowane smakołykami i parującymi talerzami niesiono kuchennymi schodami prosto na stół. Nie stawiano ich na pomocniku, ponieważ gospodyni, praktyczna pani Penworthy, twierdziła, że tak jest bezpieczniej, biorąc pod uwagę tłum kręcących się wokół głodnych, młodych mężczyzn.

Jednak tego szczególnego dnia przy wielkim stole postawiono jedynie sześć nakryć. Pani Winfreda Weyden, nestorka tego domu, jeszcze się nie zjawiła. Przechadzała się w tę i w tę pod oknami i mówiła sama do siebie, z głową pochyloną nad jakimś listem.

- Och, mój Boże - rzekła, wybuchając śmiechem. - Zdumiewające!

- Danie na gorąco! - zaśpiewała pani Penworthy, stawiając na stół przykryty półmisek. - Gorące nerczki!

Winnie była niezniechęcona.

- Posłuchajcie tego! - rzekła do trzech młodych ludzi zgromadzonych przy stole. - Lady Bland pisze, że w ostatnim tygodniu królewskie psy gończe ścigały jelenia w samym centrum Paddington, a potem przez kanał zagnały go do kościoła!

- Zbierasz wszystkie ploteczki, mamó? - wymruczał Gus Weyden, obserwując swego kuzyna, hrabiego Trenta i modląc się, by chłopak nie skompromitował się nad talerzem parujących nerczek, które Theo właśnie odkrył.

- I jeszcze to! - rzekła ich matka, podsuwając list od lady Bland nieco bliżej światła. - Ten człowiek, który robi dylizanse, och, Theodore, jak on się nazywał? - Rzuciła list w stronę swego syna, Theo.

Ten zerknął na pismo.

- Shillibeer - odczytał, nabijając na widelec kawałek nerczki i kładąc ją na talerz. - George Shillibeer. Ma dobre stajnie przy ulicy Bury.

Winnie uśmiechnęła się lekko.

- Tak, Shillibeer. Tak czy inaczej, to wszystko dość dziwne, gdyż lady Bland twierdzi, że on coś wynalazł...

Przeżuwając jedzenie, Theo pstryknął palcami.

Winnie podała mu list.

- Omnibus, mamó - odparł, zerkając na kartkę i przełykając nerczki. - Mają je w Paryżu. Jechaliśmy tym kiedyś z Gusem.

- Naprawdę, kochanie? - zadziwiła się Winnie. - Ten ma wozic pasażerów wzdłuż New Road, dwadzieścia osób naraz za szylinga i sześć pensów od osoby.

- Tylko za szylinga, jeśli jedzie się u góry - poprawił ją Theo, rzucając spojrzenie na lorda Trenta. - Śmiem twierdzić, że tak podróżują tylko co odważ-

niejsi, no nie, Michael? Oczywiście trzęsą się jak owce na statku, ale ty... och, co? - Mówiąc to nabił na widelec ostatniego śledzia i rzucił ociekający tłuszczem kawałek ryby na talerz lorda Trenta. - Przepraszam Michael, chciałeś to?

Z cichym jękiem lord Trent przytknął oczy. Winnie natychmiast odłożyła list i ruszyła w jego stronę, o mały włos nie zderzając się z panią Penworthy i miszką gotowanych jaj.

- Michael! - pochyliła się nad młodym człowiekiem w pogniecionych, różowych jedwabiach i przytknęła dłoń do jego czoła. - O, moje drogie dziecko, wyglądasz okropnie. Masz gorączkę? Boli cię gardło? Płuca? Módl się, żebyś się teraz nie rozchorował! Nie masz nawet spadkobiercy!

- Spadkobiercy? - wykrztusił Michael.

- Mdli go, mamó, jeszcze nie umiera - odparł Theo.

- I tak Rannoch pomyśli, że to moja wina! - poskarżyła się Winnie. - Będzie jęczał i powie, że pewnie nie pilnowałam was należycie, ale naprawdę, jestem przekonana, że próbuję to robić.

Było jasne, iż przemawia przez nią poczucie winy, gdyż Winnie znana była z pobłażliwości oraz z tego, że łatwo ją było odciągnąć od obowiązków.

- Michael jest prawie dorosły, mamó - przypomniał jej Gus. - I jestem pewien, że ani Evie ani Elliot nie oczekują, iż będziesz kogokolwiek pilnowała.

Michael, siedzący tuż koło łokcia Winnie, wciągnął spazmatycznie powietrze.

- Nie przesadzaj, Win - zdołał powiedzieć, opierając się wygodnie na krześle. - Po prostu mam lekką niedyspozycję żołądka.

Theo wycelował widelec w kierunku kuzyna.

- To lepiej idź do łóżka, kolego.

Michael podniósł się chwiejnie, a Winnie zasiadła za stołem. Spojrzała znacząco na swych synów.

- Już wszystko rozumiem - powiedziała gniewnie, kiedy Michael zniknął z zasięgu wzroku. - Nie, nie! Nie ważcie się udawać przede mną niewiniątek! Michael jest nadal za miody na wasze szemrane towarzystwo. I Bentley Rutledge! Jego też powinienam udusić! Gdzie jest ten łotr?

Gus i Theo wzruszyli ramionami i w tej chwili przy stole stanęła Frederica.

- Dzień dobry - przywitała się. Mężczyźni wstali i Theo odsunął jej krzesło.

- Jeśli szukacie Michaela - ciągnęła dziewczyna. - Właśnie minęłam go na schodach.

- Nie Michaela - odparł teatralnie Theo. - Rutledge'a. Mama chce go zamordować.

Frederica wciągnęła powietrze.

- Och, nie! - powiedziała, unosząc się z krzesła. - Naprawdę, Winnie, on nie..., mam na myśli, to wszystko była moja...

Winnie przerwała jej.

- Moja droga, to bardzo miłe z twojej strony, że bronisz tych łajdaków, ale Rutledge to zły, zepsuty chłopak. I doskonale wiem, co cała czwórka robiła wczorajszej nocy.

- Och... - Frederica opadła na krzesło i ukryła trzęsące się dłonie.

Wtedy pani Penworthy wpadła do pokoju z imbrykiem kawy i przechyliła się nad ramieniem Frederiki.

- Szuka pani pana Rutledge'a, pani Weyden? - zapytała, nalewając brązowy płyn do filiżanki. - To dziwne, ale Tess mówi, że wyjechał bez walizki i nie ma żadnego znaku, by spał dzisiejszej nocy w swoim łóżku.

Frederica wyglądała, jakby miała zamiar się zakrzusił Theo uprzejmie sięgnął i klepnął ją w plecy. Dziewczyna chwyciła powietrze.

- W porządku, Freddie? - spytał.

Dziewczyna przytknęła grzbiet dłoni do ust i czując, że łzy napływają jej do oczu, odwróciła wzrok.

- Co... co niby stało się z Rutledge'em?

- To trochę zagadkowe - stwierdził Gus.

Theo przełknął kęs.

- Cóż, z pewnością wrócił z Arms wczoraj w nocy. Zostawiliśmy go na tarasie, kiedy...

- Wrotham Arms? - przerwała lodowatym tonem Winnie. - Z tej szemranej gospody?

Gus lekko się uśmiechnął.

- Tak, mam - odparł. - W każdym bądź razie poszliśmy na górę przed nim. - Zwrócił się do brata, - Theo, mam nadzieję, że nie zamknąłeś za sobą drzwi.

- Ktoś zamknął! - rzuciła pani Penworthy ze schodów. - Rano były zamknięte.

- Freddie! - Zaniepokojony wzrok Gusa spoczął na dziewczynie. - Freddie, czy przypadkiem nie wychodziłaś wczoraj w nocy?

Dolna warga dziewczyny zaczęła się trząść.

- Co...co ty sugerujesz?

Gus spojrział na nią zdziwionym wzrokiem.

- Nic, Freddie. W ogóle nic. Po prostu wiem, że niekiedy lubisz, hmm... spacerować wieczorami - usiłował mrugnąć do niej znacząco tak, by nie dostrzegła tego matka. - I pomyślałem, a raczej, miałem nadzieję, że może zostawiłaś drzwi do wieży niezamknięte. Jak to, ee... niekiedy masz w zwyczaju.

Winnie machnęła uspokajająco ręką.

- Och, Gus, dziecko poszło do łóżka z bólem głowy - przypomniała mu. - Zaraz po kolacji. Nic pamiętasz?

- Pamiętam - odparł Gus. - I mam nadzieję, Freddie, że już czujesz się dobrze.

Jednak Theo nie przejmował się udawanym bólem głowy Frederiki.

- Więc zostawiliśmy gościa w nocy przed zamkniętymi drzwiami? - Przerwał. - Tak to wygląda?

- Nie bądź śmieszny - rzekła jego matka, niecierpliwie żądając podstawki z grzankami. - Bentley Rutledge nie jest gościem.

Gus roześmiał się.

- Nie przeraża cię, mam - myśl, że mogliśmy skazać go na noc w stajni?

Na te słowa roześmiał się Theo.

- Och, nie! On nigdy nie spał w stajni, jeśli o tym mowa! Bardziej prawdopodobne, że wrócił do Wrotham Arms i poszedł do łóżka z tą rudowłosą dziewczynką, za którą zapłacił.

- Doprawdy, Theo! - Winnie teraz się przeraziła. - Pamiętaj, jeśli jesteś łaskaw, że mamy tu przy stole niewinną dziewczynę!

Theo rozejrzał się.

- Kogo? Ach, Freddie.

Freddie jednak nie wyglądała na urażoną, ani nawet specjalnie niewinną. Natomiast wyglądała na dość chorą. Poderwała się niezgrabnie od stołu.

- Przepraszam - rzekła słabym głosem. - Chyba znowu boli mnie głowa. - Z tymi słowy wybiegła z pokoju.

Na twarzy Winnie pojawił się wyraz zmartwienia, przejaw macierzyńskiej troski.

- O Boże, najpierw Michael, teraz Frederica? Może naprawdę coś wisi w powietrzu!

## Rozdział 3

### *W którym syn marnotrawny, kulejąc, wraca do domu*

- Moi najdrożsi, przynieśliście to oto dziecko, by je ochrzcić. Módlmy się zatem, aby Jezus Chrystus przyjął je do swego królestwa i uwolnił od grzechu pierworodnego - wielbny Basil Rhoades, spowity wpadającym przez witraże światłem, wygłaszał swą mowę, od czasu do czasu rzucając okiem na modlitewnik.

Bentley Rutledge stał naprzeciw pastora i miał szczerzy zamiar uważnie go słuchać. Jednak, podobnie jak wiele jego słusznych intencji, również i ta spaliła na panewce. W jakiś sposób zagubił się w porządku mszy, a jego wzrok odbiegał od kanciastej normańskiej chrzcielnicy, w której chrzczono niezliczone pokolenia rodziny jego matki. Jego wzrok błądził po kościele, aż wreszcie padł gdzieś na ponury cień prezbiterium, a jego myśli umknęły ku ciemnościom.

Niewiele pamiętał z kościoła pod wezwaniem Świętego Michała. Bywał tam od czasu do czasu na chrztach i ślubach oraz licznych pogrzebach, gdyż w rodzinie Rutledge'ów ludzie na ogół wiedli ciężki żywot i umierali młodo. Jednak duch tego miejsca, zapach omszałych ksiąg i zimnego, wilgotnego ka-

mienia wydawał mu się nieznamy, mimo iż przez większość swego dwudziestosześcioletniego życia mieszkał w cieniu tego miejsca. Spokojna intonacja modlitwy brzmiała dla niego niczym obcy język. Światło, łamiące się w odbiciach witraży, rozsiane pomiędzy filarami zdawało się z innego świata. Jego ojciec nie był częstym bywalcem kościoła, a Bentley podążył w jego ślady.

Basil odchrząknął głośno.

- Czy wyznajecie wszystkie prawdy wiary chrześcijańskiej zawarte w Dziejach Apostolskich? - zaintonował pastor. - I czy zamierzacie wychować to dziecko w wierze chrześcijańskiej?

Stojąca za Bentleyem jego siostra Catherine szturchnęła go znacząco. Spojrzał w jej zaniepokojone oczy.

- Eee., tak, wyznajemy - powiedział niezgrabnie. - I z Bożą pomocą postaram się tak uczynić.

Usta Basila zacisnęły się w milczącym gniewie.

- Czy uczynicie wszystko, by wychować ją w bojaźni bożej? - spytał, zerkając do modlitewnika. - I w przestrzeganiu dziesięciorga przykazań?

- Tak - udało się wykrztusić Bentleyowi. - Z Bożą pomocą. - Po czym zacisnął powieki i czekał aż porazi go piorun.

Jednak nic podobnego się nie wydarzyło. Powinno było coś się stać, biorąc pod uwagę tak wątpliwą obietnicę złożoną przez tak niewydarzone boże stworzenie. Basil chyba oczekiwał podobnego wydarzenia, ponieważ sam także się pogubił, wkrótce jednak sprawnie podjął odprawianie mszy, aż w końcu wyciągnął ręce, by odebrać dziecko z ramion szwagierki Bentleya, Helene.

Następnie umieścił ostrożnie niemowlę w swych objęciach i dokładnie poprawił jego szatkę do chrztu, po czym spojrzął na Bentleya.



- Nadaj imię temu dziecku.

Bentley poczuł moment paniki.

- Eee, Alice - odparł. Tyle wiedział na pewno, gdyż było to imię jego matki. Rozpaczliwie zerknął na słowa nabazgrane na marginesie modlitewnika, jednak zdążył już je rozmazać palcami. - Alice Marie Emelyn Rutledge - przeczytał szybko, modląc się, by się nie pomylić. Chyba tak było, gdyż dostrzegł dumny uśmiech Heleny.

- Alice Marie Emelyn Rutledge - powtórzył niczym echo Basil, zanurzając palce w chrzcielnicy i czyniąc znak krzyża na czole dziecka. - Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Jednak mała Emmie zaprotestowała przeciw zimnej wodzie. Zesztywniała i wydała z siebie głośny pisk, a jedną piąstką uderzyła Basila prosto w nos, strącając mu okulary. Zdezorientowany pastor wykonał ruch, jakby chciał odsunąć od siebie dziecko na wyprostowanych ramionach, lecz ono uczepiło się jego sutanny, zmuszając wielebnego do wyplątywania się z szat. Helene zrobiła krok naprzód i wyrwała z małej piąstki zwój materiału, spoglądając na pastora przeprasającym wzrokiem.

Boże, dopomóż nam wszystkim, pomyślał Bentley. Ta z pewnością wrodziła się w Rutledge'ów.

Wkrótce było po ceremonii i tłum zaczął wylewać się z kościoła na spowity zimowym słońcem dziedzińiec. Starszy brat Bentleya, lord Treyhern, szedł jako pierwszy i niósł Emmie, która była teraz nieco spokojniejsza. Siostra Bentleya, Catherine, i jego kuzynka Joan, opiekowały się gromadką dzieci, która wypadła w promienie słońca niczym kolorowa ławica ryb. Joan odwróciła się z nieśmiałym uśmiechem i w przyjacielskim geście wzięła Bentleya pod ramię.

Przez chwilę gawędzili miło, a Helene i Cam przyjmowali gratulacje.

Miło było spotkać uroczą kuzynkę. Miło było widzieć ją w dobrej formie, szczęśliwą i jeśli się nie mylił, znowu brzemienną. Przed incydentem z Freddie Joan była jedyną kobietą, z którą kiedykolwiek rozważałyby małżeństwo. Dzięki Bogu związała się z Basilem i oszczędziła im obojgu jego głupoty.

- Wkrótce musisz zjawić się w Bellevue - rzekła łagodnym tonem Joan. - Przejdziemy się kawałek i nieco pogawędzimy, Bentley. Powierzę ci pewną tajemnicę. Będzie jak za dawnych lat.

- Tak - odparł cicho. - Jak za dawnych lat, Joan.

Dzieliły ich zaledwie dwa miesiące różnicy wieku; niegdyś zwierali się sobie z wszystkiego. Byli jednak wówczas dziećmi, a teraz Bentley nie był wcale pewien, czy uda mu się osiągnąć takie porozumienie z kuzynką jak za dawnych czasów. Joan wysunęła rękę spod jego ramienia i ruszyła w stronę jednego z odbiegających dzieci. Jej mąż, Basil, nadal grzecznie uśmiechał się do niewielkiej grupy wiernych, którzy już zdążyli wyjść z kościoła.

Oczywiście wśród zgromadzonych nie mogło zabraknąć wszystkich miejscowych świętoszków wpatrzonych zgorzonym wzrokiem w Bentleya. Następnie, sądząc, że już inni nie patrzą, przyłgnęły do niego dziewczęta, poprawiając mu fular, a potem składając pocałunki na policzku, jakby wybaczały mu jakiś śmiertelny grzech.

Gdyby tylko wiedziały...

Tak, miał teraz na sumieniu grzech o wiele cięższy niż wszelkie pozostałe. Oczywiście to, co stało się z Freddie, ściśle rzecz biorąc nie było grzechem śmiertelnym, ale odczuwał go równie mocno. Po trzech dniach był już zmęczony oczekiwaniem

na karę boską, która miała go spotkać. Zastanawiał się tylko, jak blisko są już złe wieści.

Niemal widział teraz oczami wyobraźni biedną Freddie, wyznającą wszystko ze Izami przed Winnie Weyden. Widział, jak Winnie rozpacza, szlocha, a potem skrobie histeryczny liścik do lorda Rannocha. Widział niemal nadciągający ze Szkocji czarny dyliżans tego diabła Rannocha i jego samego, czyszczącego swój szkocki miecz. Widział samego siebie prowadzonego wzdłuż nawy pod naporem krótkich, szkockich sztyletów, wbijających się w jego plecy i prawie czuł sznur zawiązany wokół jego jąder, odcinający dopływ życiodajnej krwi.

Małżeństwo. Żona. Życie w zniewoleniu.

Niech mu Bóg pomoże.

Nagle poczuł dotknięcie chłodnych palców na policzku. Zamrugał i zerknął w dół na szwagierkę, Helene, której oczy promieniały ciepłem.

- Ach, nie zawiodłeś mnie, mój drogi - powiedziała z lekkim francuskim akcentem. - Wiedziałam, że tak będzie.

Czasami, pomyślał, męczy mnie już ta jej wiara we mnie. Nie wypowiedział jednak na głos tych słów. Zamiast tego odezwał się z nutką pogardy.

- Miałaś po prostu cholerne szczęście, Helene.

Nagle owiał go podmuch chłodnego wiatru, spojrzął w górę i dostrzegł, iż stoją w cieniu dzwonnicy. Tłum oddalał się przez bramę wychodzącą w stronę wsi i wylewał się ścieżką, która okrążała dziedziniec kościoła i wracała do Chalcote. W poczuciu obowiązku podążył wzrokiem za żoną brata i zaoferował jej swe ramię.

Kobieta uśmiechnęła się, podała mu rękę i podążyli w lekkim oddaleniu za resztą, w milczeniu mijając kolejne grobowce. Cmentarz oddzielony był

od sadu Chalcote kamiennym murem, w który wbudowano solidne, drewniane drzwi. Bentley przeprowadził Helene przez nie, a następnie odwrócił się, by je zamknąć.

- Bentley, czy mi się zdaje, czy ty kulejesz? - zapytała Helene, kiedy opuścił zasuwę.

- Skręciłem kolano - przyznał.

- O Boże... - kobieta zerknęła na jego nogę. - Jak to się stało?

Bentley usiłował spojrzeć na nią gniewnie.

- To nie twój interes.

Helene wzruszyła ramionami, znowu wzięła go pod rękę i zmieniła temat.

- Zmieniłeś się, Bentley, od czasu, kiedy widzieliśmy się w Nowy Rok - zadumała się. - Jesteś spokojniejszy niż zwykle. Nieco ponury. To do ciebie niepodobne. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

Bentley poczuł, jak zaciskają mu się pięści.

- Czy to mój brat cię na to namówił Helene? - Jego głos był niski i ostry. - To ma być przesłuchanie?

Jego bratowa odskoczyła, jakby ją uderzył.

- *Nom de Dieu!* - rzekła cicho. - Jak możesz się o to pytać? Wyobrażasz sobie, że Cam zauważyłby jakąkolwiek zmianę w czyimś usposobieniu? Podobnie jak większość mężczyzn, zauważa jedynie czyny.

*Tak i być może to właśnie mnie martwi.*

Myśl ta spadła na niego jak grom z jasnego nieba i w ostatniej chwili zdążył ugryźć się w język. Zwolnił i przystanął, nakrywając dłonią spoczywającą na jego ramieniu rękę Helene.

- Wybacz, Helene - rzekł spokojnie. - Niepotrzebnie to powiedziałem.

Szli w milczeniu przez sad, trawa chrzęściła pod ich stopami, a nad głowami szeleściły bezlistne

gałęzie. Catherine, Cam i pozostali byli już na wzgórzu. Zdawało się, że Helene nie pragnie ich dogonić. Mężczyzna zwolnił kroku i pozwolił się opanować uczuciu spokoju.

Helene, zupełnie jakby miała zamiar wyrwać go z tej oazy beztroski, ścisnęła go lekko za ramię.

- Módl się, by nie być takim spokojnym. Martwisz mnie. Opowiedz mi raczej o swoich przygodach, przynajmniej o tych, które nadają się dla uszu damy. Przyjechałeś prosto z Londynu?

- Mniej więcej - odparł Bentley, schylając się, by zdjąć gałązkę z płaszcza Helene. - Spędziłem kilka dni w Essex. Wróciłem przez Hampstead, by się przebrać.

- Widzę, że ubrałeś się stosownie do okazji - uśmiechnęła się Helene. - Imponująco.

- Wystarczy jako wyraz szacunku? - spojrzął, wykrzywając twarz przed promieniami słońca. - Śmiem zauważyć, że wielce uraduje to mego brata.

Helene nie odpowiedziała, lecz nadal ciągnęła pełnym zdumienia tonem.

- Niebawem zacznie się sezon. Spędzisz go w mieście, Bentley?

- Umizgując się do wszystkich debiutantek? - roześmiał się i zaczął łamać gałązkę na kawałeczki, rzucając je za siebie. - Nie sędzę.

- Może ci się spodobać, Bentley. Twoi znajomi się nie wybierają? Nie chciałbyś poznać nowych... hmm... osób?

Bentley rzucił jej ponure spojrzenie.

- Dobry Boże, Helene, starasz się mnie wyswatać?

Roześmiała się na te słowa.

- Boże, nie! Nie jesteś takim typem, Bentley. Ale mimo to mógłbyś się zastanowić nad utrzymywaniem lepszych przyjaźni, wiesz?

Mężczyzna zatrzymał się raptownie na ścieżce.

- Nie mogę uwierzyć, że słyszę to od ciebie, Helene. Akurat od ciebie! Co stało się z twoimi egalitarnymi poglądami? Poza tym nie wszyscy moi przyjaciele są takimi łotrami, jakimi maluje ich Cam. Na przykład August Weyden. Jest dość dobrze urodzony.

- Właśnie o to mi chodziło - podkreśliła delikatnie Helene. - On i jego brat Theodore wyglądają na dość miłych dżentelmenów. Powinieneś spędzać z nimi więcej czasu. Oczywiście będą w mieście podczas sezonu.

- Tak? - Bentley spojrzął na nią dziwnie. - Myślałem, że wybierali się tam jedynie pod przymusem.

Helene z gracją przeskoczyła błotnistą kałużę.

- Najstarsza córka lorda Rannocha ma się w tym roku pokazać po raz pierwszy na salonach.

Bentley nic już nie rozumiał.

- Masz na myśli małą Zoe Armstrong? Helene, ona jest jeszcze dzieckiem!

- Ach, ale ma przynajmniej skończone siedemnaście lat - wymruczała Helene.

Z lekkim ukłuciem poczucia winy Bentley przypomniał sobie, że Zoe jest jedynie rok lub dwa młodsza od Freddie. A Zoe wydawała mu się dzieckiem. Jak przez mgłę przypomniał sobie stos zaproszeń, który spoczywał na jego biurku zeszłej wiosny, kiedy odbywał się debiut Freddie. Zaproszenia zdziwiły go nawet mimo tego, że ich nie przyjmował. Był wówczas zupełnie pewien, że Freddie jest zbyt młoda na takie wydarzenia.

Nie była jednak zbyt młoda, by jej pożądać, prawda? Wówczas był nieco zawstydzony własnymi uczuciami. Teraz czuł się niemal jak pokutnik. I nagle poczuł się bardzo, bardzo staro.

- Tak więc zrobisz to? - Helene przerwała tok jego myśli. - Zostaniesz w mieście na sezon i przyjmiesz chociaż parę zaproszeń z tych, które otrzymasz?

- Za nic w świecie, Helene - Bentley przyspieszył kroku, lekko ciągnąc ją za ramię.

Nagle jednak owiało go poczucie lodowatego chłodu. Prawda była taka, że być może nie miał żadnego wyboru co do uczestniczenia w wydarzeniach nadchodzącego sezonu. Zanim nadejdą jakiegokolwiek zaproszenia, może dawno być już żonaty. A mężczyzna po ślubie należy w równym stopniu do towarzystwa, jak i do samego siebie. Pojawianie się w towarzystwie ma znaczenie. Nie można sobie pozwolić, by człowieka wynoszono z szulerni lub podłych domów publicznych. To, w jaki sposób prowadzi się mężczyzna, wpływa na reputację żony. A dżentelmen nigdy, przenigdy nie zawstydzą żony.

On również nie zrobiły tego, zdał sobie ze smutkiem sprawę. Musiałyby nauczyć się być taktownym, raczyć się swymi przyjemnościami z nowo odkrytym szacunkiem dla dyskrecji. Przynajmniej tyle byłby winny Freddie. Tak więc Bentley wspiał się na wzgórze, wyobrażając sobie siebie jako bardzo wspaniałomyślnego i godnego zaufania mężczyznę.

Winnie Weyden starannie złożyła ostatni list i ułożyła go pośrodku stolika w salonie.

- Pięć tygodni! - wykrzyknęła, wpatrując się nieobecny wzrokiem w palenisko. - Och, Boże! Tyle trzeba zrobić! Musimy nająć chyba jeszcze jedną praczkę. Oraz powiadomić krawcową. Będziemy potrzebowały zwoju niebieskiego jedwabiu dla Zoe. Ponadto kapeluszy i rękawiczek...

Siedzący przy pianoli Theo spojrzał na brata, wracając oczami i nie gubiąc ani jednej nuty. Gus uniósł wzrok znad szachownicy, przy której siedział wraz z Freddie.

- Pięć tygodni do czego? - spytał niewinnie. - Naprawdę, mam, zaczynasz rozmawiać sama ze sobą.

Urażona już wcześniej Frederica, opadła bezwolnie na oparcie krzesła.

- Czyta list od kuzynki Evie - powiedziała niskim głosem. - Evie i Elliot wracają do domu ze Szkocji.

- A wtedy my jedziemy prosto do miasta - dodała Winnie tonem cierpiénicy. - Trzeba przygotować Zoe do debiutu w nowym sezonie, a czasu tak mało! I ty Freddie! Suknie balowe z zeszłego roku po prostu się już nie nadają.

Freddie z przerażeniem odwróciła się od szachownicy.

- Moje suknie?

Ale Winnie już coś obliczała.

- Przynajmniej sześć nowych - wymruczała, odliczając je na palcach. - Chyba że odprujemy obrąbek z dekoltu tej sukni w kolorze kości słoniowej, w końcu nie jesteś już debiutantką.

Gus przysunął figurę konia niebezpiecznie blisko królowki Freddie, ale ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

- Winnie, z pewnością nie muszę pokazywać się w kolejnym sezonie.

Winnie uniosła brwi.

- Jesteś już w towarzystwie, moja kochana - odparła surowo. - Z pewnością nie chciałabyś, by biedna Zoe debiutowała bez twojego wsparcia? Poza tym hrabia Ellows i jego rodzina będą tutaj w tym roku. - Te ostatnie słowa brzmiały wystarczająco sugestywnie.

Theo z dramatyzmem zagrał trzy ostatnie dźwięki sonaty.

- Jesteśmy zgubieni! - oznajmił przepięknym barrytonem.

- Oj tak, Freddie, jesteśmy - zgodził się Michael, poruszając się na swym miejscu koło kominka. Młody hrabia Trent spuścił stopę spoczywającą na mosiężnej osłonie paleniska i wysączył resztę sherry. - Wszyscy pojedziemy albo moja siostra Evie dowie się, dlaczego nie możemy. Przynajmniej nie jesteś skazana na obtańcowywanie wszystkich dam podpieających ściany.

- Nie, ponieważ jestem jedną z nich! - Freddie poderwała się z miejsca, niemal wywracając szachownicę. - A ja nie mogę jechać, słyszycie? Po prostu nie mogę! - I z tymi słowami wybiegła z pokoju.

- Do diabła, znowu się zaczyna! - wymruczał pod nosem Theo. - Co stało się poczciwej Freddie?

W salonie zapadła złowróżbna cisza, ale nie zatrzymało to Frederiki. Wbiegła głównymi schodami, a potem korytarzem, aż dotarła do kamiennych schodów, prowadzących do starej wieży. Biegła po krętych schodach i w końcu otworzyła drzwi do swojego pokoju. Wbiegła i rzuciła się na łóżko.

Nienawidziła tego. Nienawidziła takiego egzaltowanego zachowania. Takiego dziecinnego. Z całą pewnością nie była już dzieckiem, jeśli w ogóle kiedykolwiek nim była. Ostatnio jednak nie potrafiła panować nad emocjami. Wybuchła płaczem z powodu złamanego paznokcia. Co się z nią, do diabła, dzieje? Od tamtej nocy, kiedy Johnny z nią zerwał, wydawało się, że jej życie nigdy już nie powróci do normy. Frederica zaszlochała i skryła twarz w poduszce.

Żałowała, że nie ma z kim porozmawiać. Brakowało jej Zoe. Były przyjaciółkami od niemal dziesięciu lat. Kiedy kuzynka Evie wyszła za ojca Zoe, lorda Rannocho, Frederica była podekscytowana. Jej

starsi kuzyni: Evie, Nicolette, Gus i nawet Theo, zawsze wydawali się jej tak dorośli. Kiedy jednak Zoe wkroczyła w ich życie, Frederica odnalazła przyjaciółkę, której mogła się zwierzać. Teraz jednak posiadała tajemnicę, którą nie byłoby łatwo się podzielić z nikim, a już z całą pewnością nie z Zoe.

Bentley Rutledge.

On był tą tajemnicą. Jej grzechem. Jej wstydem. To, co zrobiła z nim tamtej ciemnej nocy, było złe. I niebezpieczne. Była przerażona tym, co zrobiła. Tym, o co poprosiła. A mimo to, gdyby miała okazję - i to było najbardziej przerażające - nie była wcale pewna, czy nie powtórzyłaby tego wyczynu. I tym razem nie zrobiłaby tego ze złości.

Frederica nie rozumiała, jak może myśleć o Bentleyu Rutledge'u i nadal gdzieś w głębi ciała czuć głęboką tęsknotę, skoro tak okrutnie ją potraktował. Czegóż jednak się spodziewała? Że obudzi się w jego ramionach i usłyszy, jak przysięga jej dożgonną miłość? Ha! Znała go o wiele lepiej. Dzięki Bogu nigdy nie była na tyle nierozsądna, by oszukiwać się, że się w nim zakochała.

Mimo to nie było cienia wątpliwości, że osoba Bentleya Rutledge'a swym pojawieniem się rozjaśniła całą okolicę. Trudno było nie zauważyć sposobu, w jaki przechylał głowę i wybuchał śmiechem, szczerym śmiechem, często z samego siebie. Był słodki dla wszystkich, szczególnie dla kobiet. A zwłaszcza jeśli czegoś chciał. Kiedyś w kuchni przytapała go na tym, jak chciał pocałować panią Penworthy, mającą wówczas sześćdziesiątkę na karku, tylko z powodu ciasta z malinami, które pragnął zjeść na deser. Pani Penworthy stuknęła go w głowę drewnianą łyżką. Jednak dostał ciasto malinowe i to tyle, że wystarczyłoby na cały tydzień.

## Rozdział 4

### *W którym panna Armstrong przysięga dochować tajemnicy*

Boże, co za łotr, pomyślała Frederica, wycierając dłonią wilgotne oczy. Teraz pozostały jej jedynie wspomnienia spokojnego uczucia, kiedy zasypiała wtulona w jego ramiona. Co gorsza, Evie i jej mąż Elliot, lord Rannoch, zarządzili, aby rodzina wkrótce powróciła do Londynu. Wszyscy będą sądzić, że Frederica po raz drugi pojawia się na targowisku pańien do wzięcia.

Nagle jej serce zamarło. Dobry Boże, co będzie, jeśli ktoś rzeczywiście poprosi ją o rękę? Zawsze marzyła o tym, by mieć własny dom i rodzinę. Niewątpliwie była to nadzieja wszystkich sierot. Nie mogła jednak w dobrej wierze wyjść za mężczyznę i nie powiedzieć mu prawdy. A na to nie miała wystarczająco dużo odwagi. Jak wytłumaczyłaby swą odmowę kuzynce Evie? Albo swemu opiekunowi, lordowi Rannochowi? Była jednak jeszcze jedna rzecz. Jeszcze gorsza. Co będzie, kiedy pojedzie do Londynu i spotka się twarzą w twarz z Bentleyem Rutledge'em? O Boże! Ależ upokorzenie.

Dopiero kilka dni później Frederica zorientowała się, jak dziwny był fakt, iż perspektywa spotkania Johnny'ego nawet w połowie nie zmartwiła jej tak, jak myśl o ponownym zobaczeniu Bentleya.

Minęły trzy dni w Chalcote. Trzy dni zupełnej ciszy. Pierwszego dnia, dnia chrzcin Emmie, Bentley trawił czas, przechadzając się bez celu po domu i przyciągając ku sobie zdziwione spojrzenia służby. Nie mógł ich obwiniać, tak mu się zdawało. Nigdy nie lubił za bardzo spędzać czasu w domu.

Drugiego dnia zapakował siostrzenicę, lady Ariane, do powozu i wyruszył do posiadłości Aldhampton, gdzie spędzili popołudnie z jego siostrą Catherine, bawiąc się z jej bliźniakami, niemowlętami Anais i Armandem. Ale wujek mógł bawić się w konika jedynie dopóty, dopóki nie dało o sobie znać jego skręcone kolano, co sprawiło, że poczuł się stary i niedołączny. Nie było lepiej przy popołudniowej herbatce, kiedy wszystkowidzące, czarne oczy męża Catherine zaczęły spoglądać na Bentleya tak, że przeszły go ciarki.

Max de Rohan, lord de Vendenheim, był niegdyś inspektorem policji, ale, jakkolwiek dziwne było jego pochodzenie, w krwi płynącej w żyłach jego rodziny było coś nienaturalnego. Nie tylko w nim, ale też w jego przerażającej babce. Stara signora Castelli była osobą, której każdy unikał. Była istotą z piekła

rodem, przy której człowiek czuł się, jakby jego dusze wywlekano na zewnątrz i sprawdzano niczym rzeczy do prania, czy nie ma na niej plam.

Trzeciego dnia Bentley zaczął czuć się niczym zwierzę w klatce, bliskie obłądu, chwycił więc broń i ruszył w stronę stajni wypuścić konie na popas. W połowie drogi napotkał jedną z służących, która niosła gar wosku pszczelego od ogrodnika. Queenie zatrzymała się, oparła naczynie o biodro i lubieżnie mrugnęła do niego okiem.

- Twój widok raduje serce dziewczyny.

Potem, ponieważ dziewczyna tego oczekiwała, Bentley podszedł do niej i dał jej solidnego klapsa w pupę.

- Ach, Queenie - odparł - założę się, że drugiego takiego tyłeczka nie ma w całym Londynie. Cud, że w ogóle mogę przebywać z dala od Chalcote.

Na te słowa dziewczyna zatrzepotała rzęsami i oblała się rumieńcem.

- Oj, daj spokój - rzekła. - Nie masz ani chwili czasu dla takich, jak ja.

Bentley zarzucił broń na ramię i uśmiechnął się.

- Queenie, kochana, wiesz, że to nieprawda - cofnął się parę kroków i wyciągnął dłoń w żalosnym geście - ale stary świętoszek Cam powiesiłby mnie za klejnoty rodzinne, gdyby odkrył, że zabawiam się z jego służbą, prawda? Być może jednak warto by było? Już ty byś się postarała, żeby było warto, Queenie?

Był w tym momencie oddalony od niej o kilka metrów i modlił się, żeby dziewczyna nie podchwyciła tej myśli. Queenie roześmiała się, machnęła z rezygnacją ręką i zwróciła się w stronę domu. Nagle jednak Bentleyowi zaświtała pewna myśl.

- Queenie, zaczekaj! - krzyknął, ruszając za nią. - Poczekaj! Słuchaj, czy nadal przynosisz poranną pocztę?

Nie wiedząc o co chodzi, służąca przytaknęła.

- Tak, ja albo któryś z odźwiernych.

Bentley zastanowił się przed wypowiedzeniem następnych słów. Queenie była zbyt doświadczona, nawet jak na jego gust, ale bardzo ją lubił. Była niegdyś prostytutką, która oddała pewnego razu wielką przysługę rodzinie, ratując Ariane od straszliwego niebezpieczeństwa. Wszyscy byli jej bardzo wdzięczni, a Bentley przekonał Cama, by dał jej posadę, albowiem zbyt dobrze znał widok żalosnych dam tej profesji staczających się po równi pochyłej na samo dno.

Queenie nie spuszczała z niego wzroku, a na jej okrągłej twarzy malował się niemal macierzyński wyraz.

- O co chodzi, panie B.? - ponagliła go. - No dalej, możesz śmiało spytać Queenie.

Bentley poczuł nagły wstyd.

- Chodzi tylko o pocztę - zaczął niezgrabnie. - Jeśli przyjdzie do mnie cokolwiek, odłóż to, dobrze? Powiedz Milfordowi, żeby nie kładł listów jak zwykle na stoliku w holu, ale dawał mi je osobiście, dobrze?

Na te słowa rysy twarzy Queenie rozpogodziły się.

- Och, biedniutki skarbie - wymruczała, poklepując go po ramieniu. - Znowu masz kłopoty?

Bentleyowi udało się roześmiać.

- Queenie - rzekł, pochylając głowę i posyłając jej pocałunek. - Nie wiesz nawet ułamek tego, o co chodzi. - I z tymi słowy ruszył w kierunku stajni.

Zanim odbezpieczył zasuwę w boksie, usłyszał skanie i szczekanie psów. Wkrótce łąsiły się u jego stóp, a on ukląkł i zaczął się z nimi witać, głaszcząc ich uszy. Poczuł zdumienie, ale i ulgę, że psy go nie zapomniały. Tego w sekrecie się obawiał. Bał się odrzucenia, odrzucenia z tego miejsca, które kochał i którym jednocześnie pogardzał.

Setery skakały obok niego, stawały na tylnych łapach i ujadły. Ruszył więc w dół wzgórza, w stronę rzeki, a potem ku ciągnącym się dalej polom. Pały się tutaj owce, wygryzające skrupulatnie zimową trawę. Psy obwąchiwały wszystkie zarośla i krzaki, które mijali. Wygięte, biało zakończone ogony niecierpliwie merdały, kiedy zwierzaki wyganiały z krzaków nieliczne ptaki, a potem zamierały w bezruchu zdumione, że nie padł żaden strzał.

Bentley nie ułożył strzelby na ramieniu, pochwalił jedynie psy i szedł dalej. Uznał, że nie przyszedł tutaj polować. Nie była nawet dobra ku temu pora roku. Nie, przyszedł tu, żeby pomyśleć. Porozmyślać o tym, jak oni tu wszyscy żyją: Helene i Cam w Chalcote z dziećmi, Catherine i jej gromadka w posiadłości Aldhampton. Nawet jego kuzynka Joan i jej pastor usatkowali się w domowym życiu. Bentley natomiast nadal dryfował. Sądził jednak, iż jakoś usatkowany jest przynajmniej w kwestii Royal Mail, w Roselands Cottage, dawnego domu Helene w Hampstead.

Kiedy się tam wprowadził, posiadłość zionęła pustką. Nie było tam nikogo oprócz starej niani Helene, która od czasu do czasu wpadała na niego, ale przeważnie pozwalała mu wchodzić i wychodzić, kiedy miał ochotę. Przy domu znajdował się przepiękny ogród różany, ale Bentley zbytnio o tym nie mówił; w końcu mężczyzna ma jakiś wizerunek, który musi utrzymać. Co najważniejsze, Hampstead leżało w pobliżu Londynu i daleko od Chalcote, co wielce mu odpowiadało. On i Cam często potrzebowali od siebie odpocząć.

Kiedy był młody i lekkomyślny, wmówił sobie, że Cam jest zwyczajnie zazdrosny, ponieważ Bentley był ulubieńcem ojca. Randolph Rutledge zachowywał się tak, jakby pogardzał starszym synem i chwy-

tał się każdej sposobności, by go przedrzeć. Później zachowanie ojca wydało się Bentleyowi niesłychanie okrutne i było mu przykro, że sam również w tym uczestniczył. Było mu także przykro z różnych innych, gorszych powodów. Cam zawsze był nieco nieruchawym typem, to prawda. Ale dzięki Bogu, że tak było; inaczej wszyscy potopiliby się w rzece Tick. Bentley był już na tyle dojrzały, aby dostrzec, że ktoś musiał wykonywać tę niewdzięczną pracę odciągania ich od niebezpiecznych sytuacji.

A mimo to nigdy nie mógł się zdobyć na podziękowanie bratu za niezwykle poświęcenia, na jakie się zdobył. Najgorszym z nich było pierwsze małżeństwo Cama, katastrofalny związek, który uratował rodzinę finansowo, ale był dla Cama uczuciowym przekleństwem. Musiał dzielić życie z mściwą, niemoralną suką, która wszystkimi pogardała. Catherine, aby stamtąd uciec, zbyt młodo wyszła za mąż, a Bentley... Cóż, nie ma sensu ciągle wracać do starych spraw. A jednak, widząc teraz wyraźnie wydarzenia z przeszłości, tym dobitniej uświadamiał sobie, że to, co stało się teraz, było niesłychane. Musiałby mieć niebywałe szczęście, gdyby nie przyszło mu teraz wypić tego piwa, którego sobie nawarzył.

Wspinając się na kolejne wzgórze, swoje ulubione miejsce, usiłował wybić sobie te myśli z głowy. Kiedy stanął na szczycie najwyższego wzniesienia, widząc krajobraz w promieniu wielu kilometrów, dostrzegł dom swej kuzynki Joan, Bellevue, połyskujący z godnością w dali. Dom zupełnie nie pasował do okolicy. Ciotka Bentley, pani Belmont, kazała zwieźć na plac budowy biały kamień aż z Portland jedynie po to, by wybudować dom jeszcze większy i bardziej wyjątkowy niż Chalcote.



Joan powiedziała, że chce się z nim zobaczyć. On również pragnął tego spotkania. Mieli udać się na długi spacer i równie długą pogawędkę, w trakcie której Joan miała mu coś powiedzieć. Jednak Bentley nie był w nastroju do dzielenia się swoimi tajemnicami, nawet z Joan.

Nagle psy wyskoczyły spod krzewu malin i zaczęły biec pod górę, płosząc spokojnie pasące się owce, a ich różowe języki falowały na wietrze. Bentley postawił pewnie stopę na skraju wzgórza i obrócił się w drugą stronę, by spojrzeć na leżące w oddali Chalcote. Dom wyglądał teraz niczym mały topaz, tonący w morzu oliwkowego aksamitu. Z tyłu budynku widniał kościół świętego Michała i cmentarz z małymi, białymi nagrobkami porzrzucanymi na trawie niczym nic nieznaczące płatki śniegu. W istocie jednak nie były nieznaczące. Nie w historii rodziny Rutledge.

Po kilku dniach od przygody z Bentleyem Rutledge'em, pewnego wietrznego popołudnia, Frederica została zaproszona przez Michaela do gry w bagatelę w salonie. Winnie zaciągnęła Theo i Gusa na herbatkę na plebanię, ale Michael jakoś się wymigał, a Frederica udała kolejny raz ból głowy. Jak dotąd wymówka ta działała bez zarzutu, ponieważ dziewczyna od dłuższego czasu nie opuszczała domu.

- Biedne dziecko! - uzalała się Winnie, stojąc w holu, gdzie Gus pomagał jej nałożyć płaszcz. - Mam nadzieję, że nie skończy się na noszeniu okularów, ale obawiam się, że nikt, kto nie jest krótkowidzem, nie cierpi tak często na bóle głowy.

Teo zbiegł głośno ze schodów, narzucając na siebie płaszcz.

- Mnie także boli głowa - zauważył urażonym tonem. - Może nie powinienem iść.

Winnie trzepnęła go po ramieniu rękawiczką.

- Nie bądź śmieszny, Theodore! - Jej złociste loki aż zatrzęsły się ze wzburzenia. - Natychmiast nakładaj palto. Nie możesz dłużej zwlekać z wypełnieniem obowiązków.

Gus i Theo, którzy wyglądali teraz raczej jak mali, przestraszeni chłopcy, a nie dorośli mężczyźni, pomogli zejść matce ze schodów, rzucając smutne spojrzenia w kierunku Michaela i Frederiki. Ci zaś ustawili stół do gry, a Michael podał dziewczynie kije do wyboru. Jakimś cudem Frederica oddała sześć celnych strzałów i kwadrans później zdecydowanie wyprzedzała Michaela.

Nagle w drzwiach zamigotał jakiś cień.

- Milordzie - odezwał się kamerdyner. - Przybył pan Ellows. Czy mam go poprosić do salonu?

Frederica wstrzymała oddech. Michael oparł kij na czubku buta.

- Skończ partię z Johnnym - odezwała się cichym tonem. - Muszę porozmawiać z kucharką w sprawie obiadu.

Zdażyła już ruszyć w kierunku drzwi, kiedy Michael złapał ją za ramię.

- O co chodzi, Freddie? - Jego niebieskie oczy błędziły po jej twarzy. - Nie masz czasu dla Johnny'ego?

- Nie.

- Nie zamierzasz chyba go odrzucić?

Przez chwilę przytrzymała jego spojrzenie.

- Po prostu muszę porozmawiać z kucharką.

Było już jednak za późno. Johnny stał w drzwiach, podając swój elegancki płaszcz Boltonowi.

- Dobry wieczór, Frederico - rzekł, kłaniając się unizenie. - Trent, mam nadzieję, że dobrze się macie.

Michael słabo się roześmiał i odstawił kij obok kija Freddie.

- Dość dobrze, biorąc pod uwagę fakt, że zostałem zmasakrowany - odparł, odwracając się w stronę dziewczyny. - Freddie, poproszę o herbatę, jeśli mi wybaczycie. Przekazać coś kucharce?

Frederica spojrzała na niego chmurnie. Po prawdzie jednak trudno było go winić. Nic nie wiedział o perfidii Johnny'ego.

- Jestem pewien - powiedział sztywno - że pan Ellows przyszedł zobaczyć się z tobą.

- W rzeczy samej - przerwał mu Johnny. I po raz pierwszy Frederica dostrzegła, jak niekorzystnie wygląda. - Mogę prosić cię na słówko, Freddie?

Co to była za sztuczka? Freddie spoglądała to na Johnny'ego, to na Michaela i, nie mając zbytniego wyboru, zgodziła się.

Michael wyszedł, zostawiając szeroko otwarte drzwi dla zachowania pozorów przyzwoitości. Frederica podeszła w stronę stojącego przy kominku krzesła.

- Proszę usiąść, panie Ellows.

Ten jednak spuścił głowę i spojrzał na nią niemal nieśmiało.

- Och, nadal się na mnie gniewasz - rzekł cichym tonem. - Cóż, nie mogę cię winić. Jednak musiałem przyjść, Freddie, musiałem.

- Dlaczego? - spytała ostro.

Johnny zarumienił się.

- Rano wyjeżdżamy do Londynu - wyszeptał. - Ojciec wynajął dom, wiesz. I chciałem zapytać, czy... czy cię tam spotkam.

Fredrica położyła dłoń na oparciu krzesła, na którym nie zechciał usiąść Johnny, i miała nadzieję, że nie widzi, jak jej palce kurczowo wbijają się w obicie.

- A dlaczego, jeśli można zapytać - odezwała się niespodziewanie spokojnym głosem. - To w końcu nie jest taki wielki dom.

Johnny przesunął się bliżej w głąb pokoju. Zatrzymał się kawałek od niej i przeczesał dłonią starannie ułożone włosy.

- Widzisz Freddie, nie to miałem na myśli.

Dziewczyna zupełnie celowo uniosła brwi.

- Cóż więc miałeś na myśli?

Johnny syknął przez zęby.

- Miałem na myśli to, czy kiedy przyjadę do ciebie do Strath House, czy lord Rannoch mnie przyjmie? Czy ty mnie przyjmiesz?

Frederice oblała fala mieszanych uczuć; poczuła, że kolana niemal jej drżą. Z pewnością nie miał zamiaru... nie, nie mógłby. Przywołała w sobie dumę i wzięła się w garść.

- Nie rozumiem, dlaczego miałoby mieć to dla pana jakiegokolwiek znaczenie, panie Ellows, ale z całą pewnością...

Uniosł rękę i dotknął delikatnie palcem ust dziewczyny.

- Johnny - poprawił ją. - Nadal jestem dla ciebie Johnny, prawda Freddie? Proszę, powiedz, że tak.

Powoli pokręciła głową.

- Nie, nie możesz być - wyszeptała. - Z pewnością to rozumiesz. Nie może być tak, jakby... jakbyśmy nadal byli przyjaciółmi. Albo... albo czymś innym. Twojej narzeczonej to by się nie spodobało, i słusznie.

Johnny wymamrotał coś pod nosem.

Frederica nie śmiała uwierzyć w to, co, jak sądziła, dobiegło do jej uszu.

- Przepraszam - powiedziała. Serce zaczęło jej walić, jak oszalałe. - Co... co powiedziałaś?

W końcu Johnny opadł sztywno na krzesło.

- Nie jestem zaręczony. - Tym razem usłyszała wyraźnie. - Moje małżeństwo z Hannah zostało... cóż, nie dojdzie do skutku. Zaistniały, jak się zdaje, różnice w poglądach.

Frederice oblał zimny strach.

- Słucham?

Wzrok Johnny'ego spoczął na oczach dziewczyny, a na jego ustach pojawił się kwaśny uśmiezek.

- Hannah uciekła do Szkocji z lokajem własnego ojca - przyznał.

Frederica pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Nie, Johnny - w jej głosie brzmiał szept przerażenia. - Nie, tak nie może być. Miałaś się z nią ożenić. Powiedziałeś... dlaczego powiedziałeś, że nie masz wyboru?

Johnny wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej Hannah sama dokonała wyboru - rzekł. - I to cholernie złego. Teraz zostanie bez jednego szylinga, a ja i tak odziedziczę majątek wuja.

- Dobry Boże, nie wierzę! - Frederica nagle poczuła się słabo. - Twoja kuzynka wyrzekła się wszystkiego, by wyjść za mąż z miłości? I teraz ojciec ma zamiar ją wydziedziczyć? Jest bardzo dzielna.

- Dlaczego, jeśli można zapytać? - Jednak w oczach Johnny'ego pojawił się błysk satysfakcji; Frederica zdziwiła się, że wcześniej go nie dostrzegła. - Zachowała się raczej lekkomyślnie. Tak czy inaczej, jestem wolny, i to jak się zdaje wolny, by robić co mi się podoba.

- Co ci się podoba?

- Frederico, zaczniemy tam, gdzie skończyliśmy - uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

Dziewczyna jednak, nadal kręcąc głową, zrobiła krok w tył.

- Nie.

Uśmiech zniknął z twarzy Johnny'ego.

- Jak to nie? - spytał. - Nie bądź uparta, Freddie. Zrobiłem to, co musiałem zrobić. Nie możesz mnie teraz za to karać.

Frederica wolno opadła na stojące naprzeciwko krzesło.

- Uważam, że powinieneś wyjść - rzekła zduszonym głosem. - Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli wyjdiesz w tej chwili. A potem, jeśli... jeśli zechcesz zostawić biłecik w Strath Mouse, będąc w mieście, jestem pewna, że moi kuzyni przyjmą cię z przyjemnością.

- A ty? - rzucił jej wyzwanie Johnny.

- Przykro mi - odparła - ale nie.

Johnny zerwał się na równe nogi.

- Dobry Boże, w głowie mi się to nie mieści!

- Zdaje mi się, panie Ellows, że najlepiej będzie przyzwyczaić się do tej myśli. - W przedziwny sposób udało jej się odnaleźć w sobie wystarczająco dużo siły, by wstać, wyprostować ramiona i z dumą wyjść na korytarz w kierunku schodów.

- Ale Freddie! - jego głos odbił się echem po schodach. - Dlaczego to robisz? Nic się naprawdę nie zmieniło.

Och, Johnny, zachciało jej się płakać. Wszystko się zmieniło.

Ona się zmieniła.

W głowie nadal wirowało jej od szoku. Powinna się roześmiać? Czy rozpłakać? Johnny Ellows był teraz cały dla niej. A mimo to nie mogła go mieć. Ponieważ w napadzie strachu i zmieszania zrobiła coś o wiele bardziej lekkomyślnego niż jego kuzynka Hannah, w dodatku uczyniła to ze złości, a nie z miłości.

Zwolniła kroku na schodach i mocno chwyciła się balustrady. Jakaś jej część chciała nadal wyjść za Johnny'ego. Na nic lepszego nie zasługiwała.

A druga część była wzburzona faktem, że nawet rozważał taką myśl. Nagle jednak, z głębi serca, dotarło do niej, że to nie Johnny'ego pragnęła. Nie, już nie. I było to przerażające odkrycie.

Minęły pełne dwa tygodnie od przyjazdu do Gloucestershire. Bentley spędzał długi i nieco niespokojny wieczór w miejscowym pubie. Dręczyły go wspomnienia przeszłości, a pragnienie ucieczki z Chalcote stało się niemal nie do okiełznania. Ponadto w Rose and Crown podawano wspaniałą pieczeń jagnięcą, a barmanka, Janie, mogła pochwalić się obfitym biustem.

Janie od zawsze była droga jego sercu, innym organom również. Jednak tego wieczoru nic, nawet pieczeń z jagnięciny, mu nie smakowało. Tak więc oparł smętnie głowę na łokciach i śledził wzrokiem krzątającą się przy stolikach Janie, której oczy ciskały gromy w jego stronę. Nieco po drugiej w nocy Bentley wdrapał się na wzgórze i dotarł do Chalcote.

Milford pojawił się natychmiast, by wziąć jego płaszcz, i delikatnie zakasłał.

- Prosił pan, panie Rutledge, by osobiście przekazywać panu pocztę - rzekł, zarzucając płaszcz Bentleya na ramię.

Bentley raptownie wyteżył uwagę.

- Co przyszło?

- Tylko to - odparł mężczyzna, wyjmując z kieszeni list. - Pani otrzymała go dziś rano. Przepraszam za spóźnienie.

- Dałeś moją pocztę Helene?

- List był zaadresowany do niej - wyjaśnił służący.

- Kiedy go otworzyła, zauważyła dołączony liścik do ciebie, przesłany z Roselands.

Bentley wyrwał list, poczuł skurcz w żołądku. Dobry Boże. Stało się. Rozpoznał pismo Gusa. Przez głowę przemknęła mu myśl, dlaczego Gus wysłał pocztę do Hampstead, kiedy wyraźnie przekazał Freddie, że będzie przebywał w Gloucestershire. Pędem przemierzył schody dzielące go od sypialni, lecz kiedy już się tam znalazł, nie mógł zdobyć się na odwagę, by list otworzyć. Rzucił go na stolik i podszedł do barku, by nalać sobie drinka. Nie potrzebował kolejnego, ale zrobił to. Trzęsącymi się rękoma otworzył karafkę i nalał sobie solidną porcję najprędniejszego koniaku. A potem z niedbałością godną Francuza wychylił wszystko duszkiem i czekał, aż alkohol rozpali mu trzewia.

Nadal jednak nie mógł tego uczynić. Przez kolejny kwadrans przemierzał pokój, zastanawiając się nad treścią listu. Dobrze, nie nad treścią, to znał, ale nad sposobem, w jaki mogła być przekazana. Czy Gus będzie chciał jego krwi? Czy też być może ucieszy się, że zostaną kuzynami? Raz jeszcze rzucił spojrzenie na list leżący spokojnie w swej bieli na stoliku, po czym gorzko się roześmiał. Z całą pewnością nie zawierał on tej ostatniej informacji. Czym innym było przyjaźnić się z łotrem, a czymś zupełnie innym, gdy ten chciał wżenić się w rodzinę.

Być może to było wyzwanie na pojedynek? Raczej nie; Bentley nigdy nie władał dobrze pistoletami, rzadko zdarzało mu się dobyć szpady. Najprawdopodobniej było to żądanie, by jak najszybciej stawił się w Chatham Lodge, całkowicie trzeźwy i stosownie ubrany ze specjalnym pozwoleniem w kieszeni. Jego kawalerski stan dobiegał końca, a zaczynało się życie naznaczone piętnem odpowiedzialności. Na tę myśl zrobiło mu się niedobrze i rzucił się po miednicę, czego nie robił od lat.

Ale i tego nie potrafił zrobić, jak należy. Wpatrywał się w rysę na porcelanie. Dobry Boże. Tak się nie da. Odstawił naczynie i jakimś cudem wziął się w garść. Nagle poczuł wstyd. W sprawie Freddie musi postąpić właściwie. To słodka, czuła istota. Na nikogo takiego nie zasługiwał. Teraz miała zostać związana z nim, biedne dziecko. W końcu usiadł i zdjął woskową pieczęć Gusa. Z lodowatym spokojem przejrzał słowa listu. Po chwili przejrzał je ponownie.

Co do diabła?

List zawierał przeprosiny. Gus zdaje się sądził, że w jakiś sposób Theo zamknął Bentleya na zewnątrz domu. Cała rodzina, jak stało w liście, była przerażona. Jego walizę, pisał Gus, dokładnie spakowano i odesłano do Hampstead. Mieli nadzieję, że Bentley wkrótce zaszczyli ich kolejną wizytą. Gus zakończył list nieco bezbarwną uwagą o rudej dziewczce oczekującej na jego uwagę w Wrotham Arms.

Do diabła!

Niech to szlag trafi! Mała, zdradliwa jędza! Nie powiedziała im! Ani słowa. To było oczywiste. Dobry Boże, jak mogła to zrobić? Jak mogła zrobić to swojej rodzinie? Samej sobie? Jemu? Co sobie myślała? Czy sądziła, że nie będzie mu zależeć? Czy po prostu wyobrażała sobie, że podaruje swoje dziewictwo jakiemś facetowi, a on po prostu cicho usunie się w cień? Nagle ręce znowu zaczęły mu się trząść, ale nie ze strachu. Był pełen gniewu i złości.

Na Boga, ta dziewczyna była jego. Z pewnością miała więcej rozsądku, by nie usiłować udawać, że tak nie jest. Z pewnością małżeństwo z nim nie było najgorszą możliwością, która ją czekała. Mogłoby być inaczej? Dobry Boże! Nie wiedział. Naprawdę nie wiedział. Czyż nie oświadczył jej się ładnie? Nie błagał, by za niego wyszła?

W każdym razie takie były jego słowa. A on ani razu nie pozwolił sobie, by powątpiewać w to, że pewnego dnia staną razem na ślubnym kobiercu. Nie pragnął tego, rzecz jasna. Była to idealna ucieczka. Mógł powiedzieć o sobie, że mu się udało. Dlaczego więc przepełniała go ślepa wściekłość? Dlaczego nagle poczuł nieodpartą chęć, by zacisnąć ręce na pięknej szyi Freddie? I dlaczego nagle otworzył szafę, wyciągnął z niej neseser i zaczął pakować do niego swoje rzeczy?

Ponieważ nie miało sensu dłużej chować się tutaj. Nie było sensu czekać na list, który miał nigdy nie nadejść. Na Boga, mógłby po prostu zapomnieć o Freddie. Następnym razem, kiedy pojechałby do Chatham Lodge, mógłby udawać, że... cóż, po prostu mógłby tam nie jechać. Mógłby nigdy więcej się tam nie pokazać. Gus i Theo, nawet ten cały Trent, gdyby zechciał, musieliby po prostu przyjechać do Londynu, gdzie mogliby się jak należy oddać rozpuście.

Na tę myśl Bentley podszedł do stolika, chwycił wiadomość od Gusa i cisnął ją na dogorywające na palenisku węgle. A potem rzucił się na ulubiony fotel oparł łokcie na kolanach i patrzył, jak brzegi kartki rozbłyskują żółtymi i złotymi płomieniami, które potem zmieniają się w czerwien żaru. Nagle ogień zajął cały papier i doszczętnie go spalił.

Frederice dni się dłużyły, przechodząc jeden w drugi z obojętną nijakością. Johnny wyjechał do Londynu, a ona nie mogła wypędzić z myśli postaci Bentleya Rutledge'a. Zoe wreszcie wróciła do domu, wypełniając go swoją osobą i opowieściami-

mi o chłodnym, nagim pięknie posiadłości jej ojca. Frederica słuchała ich jednym uchem. Nie potrafiła zdobyć się na wyznanie przyjaciółce swej tajemnicy. Wczesnym rankiem nazajutrz nie mogła jednak doczekać się widoku przyjaciółki. Wślizgnęła się więc do pokoju Zoe i gorzkim, ściszym tonem opowiedziała jej o tym, co zrobił Johnny. Zoe, mały chochlik, roześmiała się głośno i wzruszyła ramionami.

- Dobrze! - powiedziała, przemierzając pokój w rannych pantoflach. - Nie zasługuje na ciebie Freddie. Zgniotłaś mu serce obcasem i jestem z tego zadowolona. Teraz pojedziemy razem do miasta, ty i ja, i szturmem weźmiemy Londyn.

- Szturmem weźmiemy Londyn? - powtórzyła niczym echo Frederica. Leżała rozciągnięta na łóżku Zoe, przerzucając kartki magazynu o modzie, który wcisnęła jej Winnie. Uniosła się na łokciach i spod przymrużonych powiek spojrzała na twarz przyjaciółki.

- Prędzej będzie o nas głośno w Londynie z powodu plotek, Zoe. Cholerne debutantki! Już to słyszę.

Zoe uniosła głowę znad kufra, który już zaczęła pakować.

- Ja nie dbam o to, co mówią - powiedziała z naskissem, a w jej ciemnych oczach pojawił się błysk. - A plotki nie zawsze są takie złe, Freddie. Będzie o nas głośno, zobaczysz.

- W zeszłym roku wcale nie było głośno - zauważyła Freddie, nerwowo przerzucając kartki czasopisma.

Zoe roześmiała się ponownie i wrzuciła stertę pończoch w kąt kufra.

- Tak, ale w tym roku będziesz miała głębszy dekolt - powiedziała. - I w tym roku jedziesz ze mną. Przedtem byłaś tak piękna i stosowna. Taka niedo-

stępna. Poza tym twoi rodzice... tacy godni szacunku. Dzielny oficer. Piękna wdowa. Taka smutna historia pięknej miłości. - Zoe uniosła brodę i w teatralnym geście otarła oczy.

- O co ci chodzi, Zoe?

- Moi rodzice nie są godni szacunku - zachichotała. - Matka, niegodziwa francuska tancerka! Ojciec łotr bez krzty godności! W towarzystwie aż zabijają się o skandale, a ja, och, będę bardzo dostępna. I w moim towarzystwie ty także taka się wydasz. Będziemy zawracać w głowach, łamać serca i znajdziemy prawdziwą miłość!

W odpowiedzi na te słowa Frederica cisnęła żurawianą mody w głowę przyjaciółki.

- Cicho bądź, Zoe.

Ta jednak złapała pismo i zaczęła radośnie tańczyć z nim wokół łóżka.

- Kwiecień i maj! Kwiecień i maj! - zaśpiewała. - Wyjdiesz za męża, będzie raj!

Frederica zatkała rękoma uszy, starając się jej nie słuchać. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że nigdy w życiu nie wyjdzie za męża. Nie będzie też zawracać nikomu w głowie ani łamać niczyich serc. I pomodliła się o to, by nigdy nie odnaleźć prawdziwej miłości, albowiem ból byłby wówczas niewyobrażalny. Frederica, zmęczona tańcem i śpiewem Zoe, usiadła i wygramoliła się z łóżka. Kiedy jednak dotknęła stopami podłogi, pokój nagle zawirował, a potem coś wciągnęło ją w czarną przepaść.

Następną rzeczą, jaką pamiętała było to, że wpadła w sufit, a przy niej kłęczą Zoe.

- Freddie! - wołała, przyciskając chłodną dłoń do czoła Frederiki. - O rany! Dobrze się czujesz?

Frederica poczuła na twarzy kropelki potu. Szum w głowie powoli się uspokajał, teraz była w stanie

unieść się ostrożnie na łokciu. Wtedy poczuła, że jest jej niedobrze. Otworzyła szeroko oczy, przytknęła dłoń do ust i nieprzyjemne uczucie powoli ustąpiło.

Być może był to kobiecy instynkt. A może po prostu francuska natura Zoe, ponieważ smutny cień podejrzenia padł na jej twarz.

- Och, Freddie! - powiedziała bardzo łagodnym tonem. - Z pewnością nie...?

Frederica zawahała się.

- Och, Zoe! Tak bardzo się boję.

- Mój Boże - wyszeptała Zoe. - Tata udusi Johnny'ego. A ciebie zamknie do końca życia.

Frederica poczuła, jak jej głowa z powrotem opada na ziemię.

- Och, Zoe! Nie mów nic - krzyknęła, a z kącika oka potoczyła się gorąca łza. - Proszę, nie mów!

Zoe przysiadła na piętach.

- Freddie, moja kochana, czy to rozsądne?

Frederica potrząsnęła głową, a jej włosy pocierały o dywan Zoe. Nie po raz pierwszy poczuła taki atak mdłości. Ona również rozpoznawała te oznaki.

- Jeszcze kilka dni - wyszeptała. - Och, Zoe, muszę być całkowicie pewna! A potem powiem kuzynce Evie. Przysięgam.

- Dobrze, w porządku - zgodziła się z ociąganiem Zoe. - Ale lepiej od razu napisz list do Johnny'ego.

- Zoe - wyszeptała ze smutkiem Frederica. - Jest coś, ktoś... lepiej od razu wszystko ci opowiem.

## Rozdział 5

### *W którym lady Rannoch obmyśla wielce skomplikowany plan*

Strath House, londyńska rezydencja markiza Rannocha, wcale nie stała w mieście, ale dobry kawałek drogi od niego, na modnym przedmieściu Richmond. Życie Rannocha stanowiło doskonały przykład na zilustrowanie powiedzenia: „uważaj, o czym marzysz”, ponieważ dawno temu, zanurzony w otchłani smutku i nieszczęścia, markiz pragnął mieć dużą, szczęśliwą rodzinę, która rozpromieni mu dni, oraz bardzo kochającą żonę, która uprzyjemni jego nocę.

Tak więc z własnej winy markiza pod jego przestronnym, ojcowskim dachem zamieszkiwali: jego droga córka Zoe, ukochana żona Evie, dwoje młodszych dzieci oraz - od czasu, gdy wypadł z łask niezliczonej ilości niewiast, które gościły go w swych łóżkach - sir Hugh, cieszący się zrujnowaną reputacją wuj markiza. A to jedynie było pierwsze piętro. Wyżej mieszkał młodszy brat pani domu, obecnie hrabia Trent, jej siostra Nicolette, która obecnie przebywała we Włoszech, oraz kuzynka ze strony ich ojca, Frederica d'Avillez, którą wojny napoleońskie uczyniły sierotą.

Jeszcze wyżej mieszkała przyjaciółka oraz dawna guwernantka lady Rannoch, wesoła wdówka

Weyden, a niekiedy przemieszkivali tam także jej przystojni, nieco zepsuci synowie Augustus i Theodore, których nieco mylnie nazywano kuzynami. Ten olbrzymi dom, wypełniony krewnymi, przyjaciółmi i znajomymi, podlegał władzy bardzo szkockiego kamerdynera pana domu, MacLeoda, którego brwi groźnie unosiły się na każde wspomnienie słowa emerytura i którego nikt, nawet markiz, nie ośmielił się zapytać o to, ile ma lat.

Tak więc pewnego pięknego dnia na początku kwietnia, kiedy błękitu nieba nie maćiła ani jedna chmurka, lady Rannoch weszła do prywatnej biblioteki męża z zamiarem przywołania go do porządku. Było to pomieszczenie, którego bywała rzadkim gościem, gdyż, pomimo lat szczęśliwego małżeństwa, w tym pokoju markiz nadal utrzymywał na wskroś męską atmosferę. Aksamitne zasłony, zdobiące okna, przesiąknięte były zapachem dymu z cygar. Poniżej znajdował się kilkumetrowy mahoniowy stół, którego lśniący blat mieścił kryształowe karafki wypełnione wszelkimi gatunkami whisky, jakie znane były człowiekowi, wazy, karty do gry, kości i tym podobne rzeczy. Zaiste, markiz nigdy do świętych nie należał.

Podobnie jak w innych częściach domu, również i tutaj znajdowało się wiele dzieł sztuki: greckie rzeźby, porcelana z Capodimonte oraz wazy z wielu chińskich dynastii. Rannoch z trudnością mógł wymówić większość z nazw tych przedmiotów, więc po prostu nazywał je wszystkimi rupieciami, gdyż większość z nich została wybrana przez jego byłego lokaja, drobiazgowego, pedantycznego człowieka z gustem muzealnego kustosa, który traktował swego pracodawcę jako zupełnego ignoranta w sprawach kultury. Kemble stał się z biegiem czasu bardziej przyjacielem niż służącym, ale jego kolekcja pozostała, ponieważ spodobała

się pani Rannoch, która potrafiła nawet wypowiedzieć poszczególne nazwy przedmiotów.

Tego dnia jednak pani domu nie dostrzegąca ani przepychu piękna wiosny, ani geniuszu dekoracyjnego pana Kemble. Przybyła tu jako posłaniec złych wieści i kiedy już zebrała się na odwagę, wyrzuciła z siebie to, co miała do powiedzenia.

Jej mąż spojrzał na nią, jakby owładnęło ją czyste szaleństwo.

- Co się stało z Freddie? - potężny głos lorda Rannocha poruszył szyby w oknach. - Boże wszechmogący! Evie! Przysięgnij, że słuch mnie zawodzi!

Jednak jego żona nie musiała się powtarzać. Słowo *zrujnowana* nadal wisało w powietrzu, niczym, przygotowana na byka, czerwona płachta.

- Tak mi przykro - wyszeptała. - A Frederica jest oczywiście zdruzgotana.

Rannoch podniósł się i ciężkim krokiem podszedł do okien.

- Boże, winię się za to, co się stało - powiedział, uderzając pięścią we framugę. - Powinni byli pojechać z nami do Szkocji, ona i Michael.

Evie zauważyła jego zaciskające się szczęki. Odwróciła się do okna.

- Nie, to moja wina - powiedziała. - Ale mój brat jest teraz już hrabią, niemal pełnoletnim. A co do Freddie.... - Jej głos się załamał. - Cóż, była taka niecierpliwa, nie mogąc doczekać się powrotu Johnny'ego. Nie miałam serca jej odmawiać.

Jej dłoń zacisnęła się na nadgarstku męża, z pierśsi wydobył się szloch i kobieta skryła twarz na jego piersi. Rannoch poklepał ją po plecach.

- No dobrze - powiedział władczy, ale łagodnym tonem. - Widziała go aż nadto, prawda? A teraz przyjdzie za to słono zapłacić.



- Och, Elliot - wyszeptwała Evie z ustami przy jego jedwabnej kamizelce. - Nic nie rozumiesz.

- Moja kochana, wszystko się dobrze skończy. Ellows jest nieco arogancki i nieopierzony, ale który młody mężczyzna nie jest? - Poklepał ją znowu. - Dla Freddie wywiąże się ze swego obowiązku - dodał ponurym tonem. - A może powinienem znać powod tego wszystkiego.

- Och, chciałabym, żeby to było tak proste - jej słowa zabrzmiały ciężkim szeptem. - Ale to nie był Ellows.

*Nie Ellows?* W końcu lord Rannoch zrozumiał narastające w głosie jego żony przerażenie. Krew zastygła mu w żyłach, a serce niemal zamarło. Ktoś, i to nie człowiek, którego miała nadzieję poślubić, zrobił krzywdę jego małej Freddie? Który mężczyzna by się na to odważył? Spokojna, elegancka dziewczyna, która pod wieloma względami była ulubienicą pośród wszystkich jego dzieci, została uwiedziona? Albo gorzej?

Ta pierwsza myśl spowodowała, że zakręciło mu się w głowie. Dłoń zacisnął w pięść, a w głowie pojawiło się pytanie: kto to jest? Boże, wychował pod dachem zdrajcę. A zdrajca musi umrzeć.

- Kto? - wychrypiał. - Boże, jego głowa jest już moja!

Jednak Evie płakała. Zaczęło go przesładować jakieś wspomnienie z przeszłości, wizja Frederiki jako małej dziewczynki.

Kiedy zakochał się w Evie i pokochał jej rodzinę, Frederica była dzieckiem na koślawych nóżkach i widać było tylko jej wielkie, brązowe oczy. Niestłuchanie łagodne i mądre. Często ją przedrzeźniano, a on stał się jej bohaterem. Niekiedy odwzajemniała jego dobre uczynki. W jakiś sposób, który wymykał się

wyjaśnieniom, Freddie była jego przyjacielem. Przyjacielem, którego z całego serca potrzebował. Czyż nie było to dziwne, dlaczego tak szybko rozwinął w sobie wielką czułość dla tego dziecka, które nie znało ani swojej matki, ani ojca?

A teraz ktoś, kto cholernie nisko cenił swoje życie, ośmielił się ją dotknąć.

Chwycił żonę za ramiona. - Evie - powiedział, starając się nie ścisnąć jej zbyt mocno. - Kto to zrobił?

Evie zagryzła wargi, a do jej oczu napłynęła kolejna fala łez.

- Ona mówi, że to Bentley Rutledge - odpowiedziała gorzko. - Szacowny pan Randolph Bentley Rutledge. Mam więc wydrukować oświadczenia i przywitać go w naszej rodzinie?

- Rutledge! - zawył markiz. - Rutledge? Prędzej mnie piekło pochłonie! - Krew uderzyła mu do głowy. Pod wpływem impulsu Rannoch ruszył w stronę dzwonnka na służbę i niemal wyrwał go ze ściany. - I prędzej przywitam go na jego własnym pogrzebie!

Dobiegł go głos Evie.

- Obawiam się, że to nie będzie tak proste, Elliot powiedziała, przyciskając palce do skroni, jakby jej głowa miała rozpaść się na kawałki.

Rannoch krzyknął.

- Ciekawe, kto mnie powstrzyma.

Ale jego żona jedynie pokręciła głową.

- Być może Frederica - powiedziała łagodnie. - Ona mówi, to znaczy, myślę, że... och Elliot, wydaje się niemal pewne, że jest brzemienna.

Zapadła martwa cisza.

- Niech go diabli! - rozległ się mrozący krew w żyłach ryk, odbijający się od ścian i docierający do najdalszych zakątków domu. Zupełnie jakby obcą ręką Rannoch chwycił za gardło wyjątkowe popiersie Je-

rzego II autorstwa Chaffera, cenne dzieło sztuki. Bez najmniejszego wysiłku uniósł je do góry i cisnął przez okno prosto na roztaczający się pod spodem ogród. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i na wszystkie strony poleciały odpryski szyb i drzazgi. Kawałeczki cennej porcelany rozprysły się po zasłonach i po podłodze. Nos Jerzego, który nigdy nie był jego chlubą, odbił się od parapetu, a potem potoczył na parkiet. Na zewnątrz na chwilę zamarły nawet ptaki.

Evie wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w ten obraz zniszczenia. A potem Rannoch powtórzył swoje przekleństwo.

- Do diabła z nim! - Jego pięść uderzała w stolik, na którym wcześniej stało popiersie. - Niech go piekło pochłonie! Wypatroszę go jak zająca! Powoli poderżnę mu gardło! - Karafki z whisky zaczęły się trząść. - Nabiję jego głowę na Tower Bridge!

W tym momencie otworzyły się drzwi. MacLeod, kamerdyner, stanął nieruchomo w progu.

- Dzwonił pan, milordzie?

Rannoch odwrócił się.

- Chcę konia - warknął. - I chcę swój nóż. I chcę mój bat. I chcę to wszystko teraz.

MacLeod ledwie uniósł brwi.

- Tak milordzie. Pański bat, a nie pejcz?

- Mój bat, niech cię diabli.

Niewzruszony MacLeod skłonił się i zamknął drzwi.

Evie położyła dłoń na ramieniu męża. On obrócił głowę i przeszył jej twarz płonącym wzrokiem.

- Elliot - wyszeptła. - Nie możesz tego zrobić. My... dlaczego, nawet nie wiemy, gdzie jest Rutledge. I pomyśl o Freddie. O plotkach. O dziecku.

*O dziecku?*

Dziecko. Drżącą ręką dotknął czoła. Freddie będzie miała dziecko? Dobry Boże! Nie mógł tego zro-

zumieć. Wciągnął głęboko do płuc rześkie powietrze, docierające przez rozbite okno. Podmuchał owiewał mu twarz i przeganiał z głowy otumaniające myśli. Szum powoli ustawał i markiz ponownie mógł wyraźnie zobaczyć pokój. Zdał sobie sprawę, że wiatr rozwiewa włosy jego żony i spojrzał za nią, dostrzegając roztrzaskane okno.

Zamrugał.

- Dobrze zatem - powiedział cichym tonem. - Najpierw się z nią ożeni. A potem go zabiję.

Evie na siłę odciągnęła go w stronę krzesła, stojącego przy wygasłym kominku. Rannoch usiadł sztywno.

- Posłuchaj mnie, kochany - powiedziała łagodnie, lecz stanowczo. - Nie mogę wysnuwać pochopnych wniosków. Freddie mówi...

- Co mówi?

Evie wydeła usta.

- Ze to nie była jego wina.

Rannoch spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Niewinna dziewczyna pada ofiarą gwałtu i mówi, że to nie jego wina?

Evie potrząsnęła głową.

- A co, jeśli tak nie było, Elliot? - spytała. - Jeśli ona... cóż, fakt jest taki, że Freddie mówi...

- Co? - przerwał jej ostro. - Że była chętna?

Jego żona zamknęła oczy i powiedziała powoli.

- Frederica twierdzi, że jest równie winna, co Rutledge... a raczej jeszcze bardziej. Nie mogę jej nie wierzyć.

- A ja, do cholery, nie wierzę! - upierał się Rannoch. - I mam zamiar rozerwać tego łobuza na kawałki. Zanurzę go w rynsztoku. Zatruję jego studnie i spalę wieś...

- On mieszka w Hampstead - przerwała mu suchym tonem Evie.

- A kogo to obchodzi? - warknął markiz. - To miejsce jest i tak przekłete. Pożałuje dnia, w którym przekroczył próg mego domu...

Zona ucięła tę przemowę, przyciskając mocno palec do jego warg.

- Licz się ze słowami - ostrzegła go. - A mówiąc precyzyjnie, to Chatham należy do Michaela, a Frederica jest moją kuzynką.

- Więc ty obedrzyj tego łotra ze skóry - wyjęczał Rannoch nieco zawstydzony. - I nie patrz na mnie tymi wielkimi, niebieskimi oczami, udając, że nie potrafiłaś tego zrobić, bo zbyt dobrze znam twój charakter.

- Och, mogłabym to zrobić - zgodziła się Evie. - Gdybym uważała go za winnego.

- Uważasz, że ona kłamie? Myślisz, że to dziecko Ellowsa?

- Nie. - I powoli potrząsnęła głową, jakby rozważając własne słowa. - Nie, Freddie zmieniła się przez ostatni rok - odparła. - Sądzę, że uważa, iż nie przyciągnęła zbyt wiele uwagi w trakcie ostatniego sezonu. Owszem, było paru wybrednych, ale większość była nią zachwycona. Nadal pod tą całą otoczką skrywa się małe, osierocone dziecko. Samotne i bez poczucia bezpieczeństwa, ale głęboko uczuciowe.

Elliot zmrugał oczy.

- Co usiłujesz powiedzieć, Evie? To wszystko brzmi dla mnie jak zagadka.

Evie uśmiechnęła się słabo.

- Zoe mówi, że były jakieś kłopoty związane z Johnnym - odparła. - Jakaś plotka, że miał ożenić się z kuzynką. Może to wyprowadziło Fredericę z równowagi? Sprawilo, że zachowała się lekkomyślnie?

Rannoch roześmiał się gorzko.

- Czekaj, niech zgadnę! Uważasz, że to ona uwiodła Rutledge'a! O to chodzi?

Evie wzruszyła ramionami.

- Kiedyś sama usiłowałam zrobić coś podobnego - odpowiedziała łagodnie. - Z całkiem niezłym rezultatem, muszę przyznać.

Rannoch usiłował się uśmiechnąć, ale rezultat był mizerny.

- Przypominam sobie - wypalił, ale w jego głosie było teraz trochę złośliwości. Nagle, jakby zaniepokojony, oparł łokcie na kolanach i skrył twarz w dłoniach. O Boże! Rutledge to nic niewart najgorszy typ łajdaka. Nigdy nie powinien był dostać zaproszenia do jego domu, gdzie mieszkały niewinne, młode kobiety.

- Gus i Theo również ponoszą część winy, Evie - powiedział w końcu, patrząc na dywan. - Wiedzieli, jaki jest Rutledge i nie przypilnowali go. Powiniennem był im nakazać, żeby trzymali swych rozpustnych znajomych z dala od Chatham. Prowadziliśmy zbyt bez troskie życie. Zawsze pozwalaliśmy dzieciom na wszystko. Teraz musimy wypić to piwo, którego nawarzyliśmy.

- Zmiana nic tutaj nie załatwi, Elliot - głos jego żony brzmiał poważnie. - Zawsze tak żyliśmy, dokonałam takiego wyboru z wolnej i nieprzymuszonej woli. Nie pozwolę, byśmy zamknęli się w jakimś moralnym więzieniu, ograniczonym społecznymi wymogami. Ze wszystkich ludzi, ty najlepiej powinienesz wiedzieć, jak to jest.

Wtedy właśnie powrócił MacLeod, niosąc, elegancko zwinięty na srebrnej tacy, długi, czarny bat.

- Koń osiodłany, milordzie.

Evie delikatnie dotknęła kolana męża, jakby chciała go powstrzymać.

- Przykro nam bardzo, MacLeod - powiedziała łagodnie. - Ale pan jeszcze nie wyjeżdża.

Kącikiem oka Rannoch dostrzegł, jak kamerdyner mrugnął do jego żony.

- Bardzo dobrze, milady.  
Nagle markiz wyprostował się.  
- Przyprowadź na dół panienkę d'Avillez, MacLeod - zażądał. - Jej kuzynka i ja chcemy z nią pomówić.  
Drzwi zamknęły się bezszelestnie.  
- Nie bądź dla niej zbyt surowy - powiedziała jego żona tonem, który nie znosił sprzeciwu. Za parę krótkich chwil drzwi ponownie stanęły otworem.  
Rannoch zerwał się na równe nogi i odwrócił w stronę wejścia.  
Freddie była cała opuchnięta od płaczu, ale oprócz tego trzymała się nieźle. Przeszła przez pokój jak zawsze pełnym godności krokiem. Ciężkie, czarne włosy miała zwinięte w prosty węzeł. Piękne ramiona oplatał jasnoniebieski jedwab, podkreślający miodową barwę jej skóry. Była piękna. Elegancka. Dorosła kobieta. Dlaczego tak trudno przychodziło mu to przyznać?  
Pokazał jej, aby usiadła przy nich, na krzesłach koło paleniska. Evie natychmiast przysunęła się bliżej i grzbietem dłoni potarła błądy policzek dziewczyny. Rannoch jednak bywał szorstki i niekiedy porywczy, jak to Szkot, i nie widział potrzeby, by ułatwiać sobie zadanie zbędnymi przemowami i grzecznymi eufemizmami.  
- Freddie, powiedziano mi, że jesteś w ciąży - zaczął dość bezceremonialnie. - I że sprawcą wszyskiego jest Rutledge.  
Usta Frederiki zadrżały, ale jej postać nie poruszyła się.  
- Ojcem - poprawiła go, unosząc nieco brodę. - Przykro mi z tego powodu, chociaż śmiem twierdzić, że żal nic mi teraz nie pomoże.  
Markiz przytaknął.  
- Nie pomoże - zgodził się. - Powiedziałaś mu?

- Rutledge'owi? - Frederica otworzyła szeroko oczy.  
- Boże, nie!  
Owładnięty poczuciem żalu i odpowiedzialności markiz potarł palcem czubek nosa.  
- Cóż, to mamy kłopot, prawda? - powiedział w końcu. - Lepiej sprowadźmy go tutaj. A wtedy, chociaż przyznaję to z bólem, wiesz, co musi nastąpić.  
- Nie! - Dolna warga dziewczyny zaczęła drżeć. - Nie! On mnie nie chce. Nie ożeni się ze mną.  
Rannoch zazgrzytał zębami.  
- Nie? - warknął. - Nie byłbym tego taki pewien, dziewczyno.  
Niemał zerwał się na równe nogi, ale żona znowu go powstrzymała. Frederica opanowała napływające do oczu łzy.  
- Chciałam powiedzieć, *sir*, że nie chcę wychodzić za niego za męża - wypaliła. - Nie zrobię tego, przykro mi, *sir*. Ale nie mogę popełnić kolejnego straszego błędu.  
Przez moment Rannoch siedział spokojnie. *Straszny błąd* było dość adekwatnym określeniem całej egzystencji Rutledge'a. Teraz jednak wtrąciła się Evie.  
- Freddie, nie pozwolimy, by cię źle potraktował - powiedziała, pochylając się ku niej. - Przysięgam ci, że nie pozwolimy.  
Freddie wyglądała na zaskoczoną.  
- Dlaczego, nigdy nie przypuszczałabym, by mógł tak zrobić.  
- Wobec tego masz większą wiarę w tego łotra niż ja - warknął Rannoch.  
Evie spojrzała na niego niebieskimi oczami, pościemniałymi teraz niczym gradowa chmura.  
- Wielu młodych mężczyzn ma zszarganą reputację, mój drogi - dosłownie wycodziła te słowa. - Niektórym to się słusznie należy, innym nie.

*A kiedyś, Elliot, ty sam miałeś reputację zszarganą bardziej niż ktokolwiek inny.*

Usłyszał te słowa, chociaż żona ich głośno nie wypowiedziała. Ich związek był bardzo bliski i markiz znał dobrze swoją żonę. Znowu pokonała go swoją przeklemtą logiką. Z wyrazem uporu założył ręce i odwzajemnił uśmiech. Jednocześnie przestał się odzywać.

Evie ponownie zwróciła się do kuzynki.

- Dlaczego zatem nie chcesz go poślubić, Freddie? Doprawdy nie jestem taka pewna, czy masz jakiś inny wybór.

Frederica skuliła się w sobie.

- Cóż, nie uważam, by był celowo okrutny - powiedziała powoli. - W rzeczy samej sędzę, że potrafi być miły. Jest jednak pełen uroku i stanowczo zbyt przystojny. A ja nie zniosłabym męża, który flirtuje, uprawia hazard, utrzymuje dziwki i zadaje się z szemranym towarzystwem, niezależnie od tego, z jak wielkim urokiem by to robił.

Evie przyglądała się obojgu dość sceptycznie.

- Jasno powiedziane, moja droga - rzekła suchym tonem. - Raczej zbyt jasno.

Rannoch ponownie włączył się do rozmowy.

- Frederico, bylibyśmy nieodpowiedzialnymi opiekunami, gdybyśmy nie wymusili tego małżeństwa - rzekł. - Evie powiedziała mi, że upierasz się, aby po części czuć się winna i...

- Och, przynajmniej po części? - wtrąciła się Frederica, wpatrując się w sufit i pociągając nosem.

Rannoch potrząsnął głową.

- Bóg mi świadkiem, że chciałbym, by oszczędzono mi szczegółów. Ale co się stało, to się nie odstanie i ty musisz za to zapłacić. Razem z Winnie wyjedziesz do Essex natychmiast po balu Zoe. Zamie-

rzam poczekać na pana Rutledge'a w jego posiadłości. Zostanie sporządzone odpowiednie pozwolenie.

Na twarzy Frederiki pojawił się grymas świadczący o tym, że wszystko do niej dotarło.

- Nie! - krzyknęła, chwytając się oparcia fotela, jakby się bała, że wyskoczy ku górze. - Nie! On mnie nie chce, Elliot! Dlaczego chcecie mnie zmusić, bym to zrobiła? Doprawdy, nie możecie mnie zmusić.

- Nie możemy...? - powtórzył niczym echo markiz niebezpiecznie łagodnym tonem.

Evie wpiła palce w jego kolano, ale Freddie nie chciała być spokojna.

- Sam miałeś dziecko z nieprawego łoża! - rzuciła w jego stronę oskarżenie. - Nie byłeś święty! Jak więc śmiesz mi mówić, w jaki sposób mam żyć?

Rannoch poczuł, że oblewa się rumieńcem.

- Jestem mężczyzną, do diabła - warknął. - Społeczeństwo zezwala mężczyznom na nieco więcej swobody. I chociaż kocham Zoe z całego serca, nie jestem dumny z okoliczności, z powodu których cierpi przez moją bezmyślność. To ciężkie, ciężkie brzemię, które musi dźwigać moje dziecko. I ty także je dźwigasz, Frederico.

Evie celowo pochyliła się do przodu.

- Czy chciałabyś, żeby twoje dziecko przechodziło przez to, przez co ty musiałaś przechodzić, moja droga? Anglia to miejsce, gdzie twardo ocenia się ludzi, wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Z oczu Frederiki potoczyła się łza i spłynęła w dół policzka.

- Och, tak! Dobrze o tym wiem! - powiedziała łagodnym tonem. - Odeślijcie mnie więc! Pozwólcie mi jechać do domu. Do... do Figueria. To o wiele lepsze miejsce od tego. Prawe pochodzenie niewiele

tam znaczy, ponieważ nikogo tam nie obchodzi, gdzie kto się pocałował.

Evie odskoczyła do tyłu, jakby rażona piorunem.

- Och, Freddie - wyszeptwała. - Uważasz, że źle zrobiliśmy, trzymając cię tutaj? Mieliliśmy na względzie jedynie twoje dobro...

- Dosyć! - zawył Rannoch. - Freddie mówi rzeczy, których z całą pewnością nie myśli. Portugalia nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego? - w głosie Frederiki brzmiały piskliwe tony.

Rannoch zerwał się z krzesła.

- W twojej ojczyźnie znowu trwa wojna, na wypadek gdybyś o tym nie wiedziała. - W jego głosie czaiła się wściekłość, której nie potrafił ukryć. - Krwawa wojna domowa, która prędko się nie skończy. Podobnie, jak wtedy, kiedy się urodziłaś, Portugalia ponownie jest niestabilna i niebezpieczna. Dlatego w ogóle żołnierze, przyjaciele twojego ojca, wywieźli cię z tego przeklętego miejsca. I dlatego właśnie pozostaniesz pod moją opieką, dopóki nie wyjdiesz za mąż albo nie umrzesz. Czy to jest jasne?

Wtedy właśnie drzwi stanęły otworem i do pokoju wszedł Gus.

- Och, cześć! - rzekł, zatrzymując się przy oknie. - Bardzo przepraszam! Przyszedłem tylko po... dobry Boże, co stało się z Jerzym?

- Spadł - wypalił Elliot.

- Co, przez okno? - Gus roześmiał się niezbyt mądrze. - To niemal tak dziwaczne, jak sprawy starego MacLeoda. Widzieliście co niósł? Bat! Zwinięty na srebrnej tacy, równiuteńko ułożony niczym poranna poczta!

Elliot wstał i powoli, z gracją odwrócił się w jego stronę.

- Skoro już o bacie mowa - powiedział ponuro. - Zastanawiam się, czy nie powinienem był go już dawno użyć.

- Słucham, *sir*? - Gus zamrugał zdziwiony.

- Podejź tutaj! - warknął markiz. - Freddie, wyjdź. Gus, siadaj.

To nie była prośba, a Frederica wyglądała, jakby była zadowolona z tego, że może wyjść. Kiedy się podnosiła, by opuścić pokój, Gus wlepił posmutniały, pełen zrozumienia wzrok w jej spłakane oczy.

- Co, do diabła, dzieje się z Freddie? - zapytał, kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi.

Elliot stał w szerokim rozkroku, spoglądając na młodego człowieka z góry.

- Jest brzemienna - wycedził przez zęby.

- Dobry Boże! - Gus zamrugał z niedowierzaniem.

- Nie mówisz chyba poważnie.

- Jestem zupełnie poważny - wypalił markiz. - I uważam, że jesteś za to odpowiedzialny.

Gus uniósł się z krzesła.

- Dlaczego, *sir*? - Niemal się zakrztusił. - Bardzo mnie to obraża! Jak możesz w ogóle tak myśleć? O którymkolwiek z nas? To... to oburzające!

- Och, Gus - odezwała się słabo Evie. - On ma na myśli coś innego.

Rannoch usiadł i spojrzał na Gusa. Zapadła przytłaczająca cisza.

- Powiem ci, co jest oburzające. To, że niewinna dziewczyna nie może mieć wystarczającej ochrony pod moim własnym dachem - odezwał się markiz.

- Ty nas w to wpakowałeś, a teraz do głowy przychodzi mi pomysł, żeby zmusić cię do małżeństwa z nią.

- *Sir*, to nieco okrutne - wypalił Gus. - Nie miałem z tym nic wspólnego i z wielką przyjemnością sprzedałbym kulkę temu łajdakowi, który się tego dopuścił.

Rannoch zmużył oczy.

- Więc niech cię Bóg prowadzi, kiedy będziesz to robił, Augustus - rzekł ponuro. - Ponieważ on nigdy nie chybia celu, a twój grób nie będzie pierwszym, który wykopie.

Evie przyłożyła rękę do czoła, jakby miała zamiar zaraz zemdleć.

- Gus - odezwała się łagodnym tonem. - To jest dziecko Rutledge'a.

Gus wyglądał na zupełnie zaskoczonego.

- Rutledge? - odezwał się, jakby pierwszy raz w życiu słyszał to imię. - Co... stary, poczciwy Bent? I... Freddie?

Rannoch zerwał się z krzesła.

- I Freddie - potwierdził, podchodząc do kominika. - A teraz ona oświadcza, że nie chce wychodzić za niego za męża.

- To musi być jakaś pomyłka - odezwał się Gus słabym głosem. - On nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego.

Na twarzy markiza malował się wyraz prawdziwej męki.

- Zrobił to i teraz, do cholery, czuję, że powinienem przyciągnąć go tutaj z nożem na gardle - wypalił. - Powiniennem zmusić go, by zrobił wszystko dla dobra dziecka. Ale nie mogę znieść jej łez. Mówi, że będzie z niego zły mąż, a ja nie potrafię jej powiedzieć, że się myli. Och Boże, Gus, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo chciałbym go za to zamordować?

Evie wstała.

- Usiądź, mój drogi - powiedziała, ponaglając męża, by wrócił na krzesło. - Musimy myśleć jedynie o Freddie i o tym, jak zmniejszyć szkody.

- Chciałbym móc wiedzieć, jak to zrobić - wymamrotał Rannoch.

Evie zaczęła nerwowo przemierzać pokój.

- Frederica poprosiła, by ją odesłać - powiedziała cichym tonem. - Nie jest to wyjście, które ja bym wybrała, ale ten pomysł coś w sobie ma. Może powinniśmy zastosować jakiś wybieg.

Gus skulił się w sobie.

- Jakikolwiek!

Evie uśmiechnęła się słabo.

- Może moglibyśmy wysłać Frederice do Flandrii? Tam przynajmniej jest bezpiecznie. Zajmie się nią wuj Peter, poza tym mamy tam wielu lojalnych przyjaciół. Dom moich rodziców nie jest w tej chwili nikomu wynajmowany.

- A jaki to kryje się w tym wybieg? - spytał markiz.

- Rozpuścimy w Londynie plotkę, że wyjechała, aby poślubić kogoś na kontynencie.

Rannoch wyglądał na pełnego wątpliwości.

- Kogo?

Evie wzruszyła ramionami.

- Dalekiego kuzyna? Starego przyjaciela rodziny? Nie powiemy nic konkretnego i damy do zrozumienia, że znajomość ta nawiązała się podczas naszego pobytu za granicą.

Gus nieco się odprężył.

- Możemy to opóźnić.

Evie odwróciła się i ponownie przemierzyła pokój.

- Gus, Winnie i Michael mogą zabrać Freddie do Brugii za tydzień lub dwa, oficjalnie z zamiarem sfinalizowania planów matrymonialnych - zaproponowała. - Potem, jak tylko skończy się sezon Zoe, my do nich dołączymy.

Rannoch potrząsnął głową.

- Evie, kochanie, plotki zaczną się w chwili, kiedy dziewczyna powróci z dzieckiem i bez męża.

Na twarzy Evie pojawił się cień żalu.

- Freddie nie może powrócić - rzekła spokojnie. -  
W każdym razie niezbyt prędko. Oczywiście nie zostawię jej aż do chwili, kiedy urodzi się dziecko. Potem będę ją odwiedzać, gdy tylko będę mogła. A za rok lub dwa możemy udać, że jej mąż zginął w jakimś tragicznym wypadku.

Gus powoli zapalał się do tego pomysłu.

- Wtedy będzie mogła wrócić do rodziny, szukając pocieszenia - powiedział. - To brzmi bardzo rozsądnie.

Rannoch uśmiechnął się do nich kwaśno.

- Możemy spróbować - odparł. - Ale to przekreśli jakiegokolwiek szanse na jej ewentualne szczęśliwe małżeństwo.

Evie zmarkotniała na twarzy.

- Tak, wyprowadzić w pole plotkarzy to jedna sprawa, a zwodzić ewentualnego przyszłego męża, to coś zupełnie innego. Ale jak to w plotkach bywa, któż będzie zadawał pytania?

- Rutledge na pewno nie będzie - roześmiał się gorzko Gus.

Rannoch chrząknął zde gustowany.

- Mało prawdopodobne - zgodził się. - Będzie po prostu cholernie wdzięczny, że nie przyszliśmy po niego ze specjalnym pozwoleniem. A nie wątpię, że drań doskonale zdaje sobie sprawę, że lepiej byłoby dla niego, gdyby nigdy więcej nie pokazywał się w drzwiach tego domu.

## Rozdział 6

### *W którym ocena pana Kemble jest wielce pożądana*

Przez trzy dekady dom brokerski Goldstein i Stoddard znajdował się o rzut beretem od Giełdy Królewskiej i Banku Anglii w samym sercu finansowej dzielnicy Londynu, miejscu różniącym się od Mayfair niczym biel od czerni. W City pełno było nazw brzmiących poważnie i dostojnie: Cornhill, Threadneedle, Poultry i brokerski raj: Exchange Alley. Stoddard znajdował się przy ulicy Lombard, nazwanej tak na cześć jej pierwszych mieszkańców, którzy trudnili się pożyczaniem pieniędzy. Przybyli tu oni z Lombardii w trzynastym wieku i zbili, wraz z nielicznymi szczęśliwcami, niesamowite majątki.

W obecnych latach nie handlowało się tu zbyt drobnym ani ziarnem, ale poza tym na ulicy Lombard niewiele się zmieniło. Stary Goldstein dawno już nie żył, ale potomkowie zdolnych Stoddardów nadal przemierzali marmurowe schody rodzinnej firmy. Najmłodszym z nich był Ignatious, który miał głos niczym ze stali i posiadał, zupełnie nietypowy dla Anglików, zmysł oszczędności. Stoddard używał obecnie tego talentu do przeliczania stert banknotów.



- Tak, tak - westchnął do dżentelmena siedzącego przy jego biurku. - Dokładnie trzy tysiące.

Wyszkolonym ruchem nadgarstka odsunął stertę banknotów leżących na blacie i przesunął ją pod łókieć urzędnika.

- Zabierz je do księgowości i wprowadź do ksiąg.

Kiedy urzędnik wyszedł, Stoddard odłożył na bok okulary i skrzywił się w stronę swego klienta.

- Doprawdy, panie Rutledge - rzekł pogardliwie. - Obdarowujesz złodziei.

- Och, zamknij się, Stoddard! - Rutledge rozłożył ręce. - Naprawdę wyglądam na kogoś, kto połaszczczyłby się na padlinę?

Stoddard spojrział na cyniczny wyraz twarzy Rutledge'a, na kurz, który pokrywał jego ciężkie buty. Zauważył czubek rękojeści noża, wystający z jednej ze skórzanych cholewek. Tego dnia, pomimo charakterystycznej dla Stoddarda indolencji, w jego oczach widać było czujne spojrzenie.

- Nie - przyznał w końcu. - Nie wyglądasz na wartego szkód, których mógłbyś się dopuścić.

Jego klient zaśmiał się głośno.

- Widzisz, dlatego cię wynająłem, Stoddard. Ze względu na twoją brutalną szczerłość.

Stoddard sięgnął po gruby skórzany notatnik leżący na przeciwległym rogu biurka.

- Wobec tego zaczynamy - powiedział. - Jest kilka spraw, które wymagają twojej niepodzielnej i natychmiastowej uwagi.

Rutledge nieco się wyprostował.

- Jestem tu przecież, do diabła! Krótko, Stoddard. Czyż nie jestem twoim cholernym niewolnikiem?

Starszy mężczyzna posłał mu sardoniczny uśmiech.

- O gdybyż tak było - wymruczał, przesuwając opasły dokument. - To ostatnia umowa powiernicza Lloyda. Są drobne poprawki, ale...

- Wielki Boże! - Rutledge zmarszczył się na widok papierów. - Mam to wszystko przeczytać?

Stoddard, co trzeba mu przyznać, nie zrobił żadnej miny.

- Kiedy ryzykujesz takie sumy pieniędzy, tak. Zwłaszcza jeśli nadal chcesz być subskrybentem Lloyda. Jeszcze raz ostrzegam cię, że podpisanie polisy to ryzykowny interes. Prędzej radziłbym ci fundusze, a jeszcze lepiej złoto.

Rutledge leniwie się przeciągnął.

- Słaba wiara nie wypełni portfela, Stoddard - zauważył. - Możemy jutro wszystko stracić, ale do tej pory szło nam doskonale, sam musisz przyznać.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się drętwo.

- W rzeczy samej - powiedział. - Skoro więc to jest jasne, zajmijmy się kolejnymi sprawami. Tak jak się spodziewałem, Tidwells zaproponował całkiem miłą ofertę za „Królową Kaszmiru”, oczywiście jeśli nadal chcesz sprzedać statek.

- Boże, tak, pozbądź się go - rzeki Rutledge, zaplatając palce z tyłu głowy. - Wiesz, że wygrałem go zupełnie przypadkowo, a ponieważ teraz wiele osób pragnie posiadać łodzie...

- Statki - poprawił go Stoddard nieco niecierpliwie. - To statek handlowy, Rutledge, nie jakaś przeciekająca łajba.

- Dobra, dobra - odparł Rutledge, wzruszając ramionami. - Tak czy inaczej, niech ją biorą. Nie mam ochoty utrzymywać jej dłużej. A ty chcesz?

- Statki - rzekł Stoddard - to nie moja dziedzina. - Po czym rzucił kolejną stertę papierów na biurko

i wręczył Rutledge'owi pióro. - Lokata kapitału za to, jak najbardziej.

- Co to jest? - Rutledge uniósł brwi.

- Mam zamiar zainwestować twoje dochody w amerykańską stal - odezwał się z niecierpliwością Stoddard. - Zbyt wiele ryzykujesz, panie Rutledge. W Baltimore i Ohio rośnie popyt na stal. Stały, ogromny popyt.

- Jeszcze więcej kolei żelaznej, co? - rzekł powątpiewająco Rutledge. - Domyślam się, że nigdy nie będzie im dość.

- Powinieneś mieć nadzieję, żeby tak było - wypalił Stoddard. - Zainwestowałeś tam dwadzieścia procent swego kapitału. Jeśli jednak życzysz sobie przegwizdać pieniądze z większą pewnością, wyprzedaj się i wracaj do swoich szulerni.

Rutledge wziął papiery w lewą rękę i uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy równych zębów.

- Nigdy ich nie opuściłem, Stoddard - odparł pogodnie. - Myślisz, że te trzy tysiące zostawiły mi pod poduszką dobre duchy? Poza tym, jeśli miałbym być szczerzy, czym jest twoje biuro, jeśli nie jedną, wielką kostką do gry? A nasi przyjaciele z drugiej strony ulicy... - Młody człowiek wskazał ręką w stronę Cornhill. - Czy to nie zwykła zgraja bookmacherów? Dobrze ubrani, a jakże, ale Lloyd jest,...

- Bookmacherzy...? - wykrztusił Stoddard.

Rutledge uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Hazard, Stoddard, to hazard. I niewiele to zmienia, niezależnie od tego jak to nazwiemy, jeśli się go uprawia. - A potem, jakby ledwie czytając, Rutledge przebiegł wzrokiem stroną po stronie.

W istocie jednak czytał każde cholerne słowo i Stoddard doskonale o tym wiedział. Wiedział także, że Rutledge nie jest ani w połowie tak niedbały czy

okrutny, jak chciałby, by go postrzegano. Z drugiej strony trudno było pojąć, dlaczego nie chce lepiej się czesać i ubierać, skoro go na to stać.

W ciszy biura słychać było jedynie skrzypienie pióra, kiedy Rutledge od czasu do czasu składał podpis na dokumentach. Gdy wreszcie skończył, oparł się na krześle i założył nogę na nogę na pozór niedbale, ale w istocie z niebezpieczną pewnością siebie.

- Kolejne zadanie, Stoddard?

Niecierpliwym ruchem Stoddard nacisnął dzwonek na biurku.

- Pracuję dla pana, panie Rutledge - rzekł, kiedy urzędnik, który przyniósł stertę papierów, opuścił pokój. - Proszę, nie patrz na mnie, jakbym był twoją guwernantką.

- Nigdy nie miałem guwernantki, Stoddard - rzekł Rutledge ziewając. - Przynajmniej do tej pory. Jak sądzisz, ile by kosztowała jakaś wyjątkowo nęcąca?

Zostawiwszy Stoddarda, by mógł się w prywatności martwić przyszłością swego klienta, Bentley przemierzył miasto, udając się w stronę klubu przy Pall Mall, gdzie miał nadzieję na znalezienie odrobiny spokoju. Traveller's Club był jednym z klubów arystokracji, gdzie mężczyzna mógł naprawdę się odprężyć. Bentleyowi podobał się zamknięty charakter tego klubu i w końcu on również został dopuszczony do tego grona.

Na schodach wyciągnął chusteczkę i pobieżnie oczyścił zakurzone buty. Kiedy znalazł się w środku, oddał okrycie portierowi i udał się w stronę salonu. Nie było tam tłoczno. Zajął miejsce przy pustym sto-

liku, tuż przy rzędzie potężnych okien, opierając się pokusie położenia nóg na wypolerowanym blacie.

Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku modnie odzianych mężczyzn, rozprawiających nad poranną prasą i popijających herbatę. Znajdował się wśród nich jego miody przyjaciel lord Robert Rowland oraz jego starszy brat, markiz Mercer. Panowie wymienili szybkie słowa powitania. Mercer nawet przysunął w jego stronę krzesło. Bentley, będący w wyjątkowo nietowarzystkim nastroju, skinał głową. Mężczyźni wzruszyli ramionami i powrócili do rozmowy.

Wszyscy znali zwyczaj Bentleya, więc kelner przyniósł mu kawę i świeżo wyprasowany egzemplarz Timesa. Bentley przerzucił kilka stron, a wtedy młodszy z mężczyzn uniósł się i ruszył ku drzwiom.

Przechodząc obok krzesła Bentleya, pochylił się w jego stronę i klepnął go zdrowo w plecy.

- Złe wieści, Bent, o starym Weydenie, no nie? - powiedział radośnie. - I cholernie nudny interes, jeśli ktoś by mnie spytał. W końcu sezon dopiero się rozpoczął.

- Słucham?

- Co? - lord Robert uśmiechnął się. - Weyden ci nie powiedział?

- Nie powiedział czego?

- Spotkaliśmy go z Robem wczoraj w Luftom - wyjaśnił Mercer. - Weyden wyjeżdża. Zabiera rodzinę do Brugii. Mówi, że ma tam być jakiś ślub.

- Gus się żeni? - spytał pogardliwie Bentley. - Wątpię.

Robert potrząsnął głową.

- Boże nie, nie Gus! - odparł. - Jakiś facet na kontynencie.

- Bankier ze Szwajcarii, mówi hrabia Trent - wtrącił się Mercer,

- Nie, to jakiś pomniejszy pruski szlachcic - wtrącił się kolejny mężczyzna. - Bratanek lady Rannoch.

Bentley nerwowo zaszeleścił gazetą.

- Rob, zasłaniasz mi światło - rzekł. - Ale jeśli w końcu zdecydujecie się, kto się żeni, to dajcie mi znać, wyślę pannie młodej łyżkę do zupy z monogramem lub jakiś inny prezent.

- Och, to nie tajemnica! - odparł lord Mercer. - O to właśnie do diabła chodzi, Rutledge!

Bentleya opanowało dziwne uczucie

- Słucham? - spytał, odkładając gazetę.

Robert spojrział na niego dość poważnie.

- To cudowna panna d'Avillez, Rutledge. Sądziysz, że młody Trent będzie prowadził pannę młodą?

Serce mężczyzny zamarło.

- Panna d'Avillez? - wychrypiał.

Robert przytaknął.

- Słyszeliśmy, że dziewczyna była zaręczona z jakimś nic nieznaczącym facetem z Essex.

Mercer roześmiał się nieco gorzko.

- Słyszałem to od Weydena na własne uszy - powiedział. - To dość niesportowo, moim zdaniem, rozpuszczać pogłoski, że dama jest zaręczona, jeśli naprawdę tak nie jest.

- Cóż - westchnął Robert. - Nikt nie miał wystarczająco dużo odwagi, by się do niej zalecać. Nic dziwnego, że opuszcza miasto.

Młodzi mężczyźni poruszyli się, jakby zbierali się do odejścia. Bentley odsunął filiżankę z kawą i odstawił krzesło. Dobry Boże! To nie może być prawda. Nie może. Nie śmiałyby.

Mercer rzucił mu dziwne spojrzenie.

- Cóż, to nie jest nic ważnego, prawda? - Bentley słyszał te słowa, które dobiegły go, kiedy mężczyźni wychodzili. - Mają wyjechać pod koniec tygodnia.

Przez długą jak wieczność chwilę Bentley siedział, usiłując odzyskać opanowanie. Jak mogła? Jak Freddie mogła zrobić coś takiego? Co sobie myślała?

Jedno było pewne: musi ją odnaleźć. Muszą porozmawiać. I to szybko. Bentley wstał od stolika i znajdował się już w połowie korytarza, kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie wychodzi. W holu minął lorda Melcera i jego zdumionych towarzyszy, a potem biegiem puścił się po schodach. Usłyszał dobiegający zza pleców głos portiera.

- *Sir*, pana płaszcz!

Człowiek ten dogonił go, kiedy właśnie pstryknął palcami na chłopca, by podprowadzić mu konia. Bentley zarzucił płaszcz i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem po chodniku, a poły długiego płaszcza uderzały o cholewki butów za każdym razem, kiedy zmieniał kierunek marszu. Musiał pomyśleć. Wokół niego tętnił popołudniowy ruch przy Pall Mall, mijaly go eleganckie powozy i mniej ważne dorożki, zupełnie obojętne na jego wściekłość. W końcu zjawił się wierzchowiec. Bentley znalazł się w połowie drogi do Vauxhall, kiedy jego gniew przemienił się w coś znacznie gorszego. Panikę. Oraz uczucie, że został zdradzony.

To nie ma sensu, mówił sobie. Nic a nic. Dlaczego miałyby go to obchodzić? A mimo to nie zawrócił. Nie pomyślał nad roztropnością swego działania. Zanim skończył zastanawiać się nad wszystkim, był już pod wieżą zegarową w Strath i wjeżdżał na wybity kocimi łbami dziedziniec. Zręcznie zeskoczył z konia i przekazał wodze stajennemu, pracującemu w domostwie Rannocho. Dwa skrzydła krętych schodów wiły się po obu stronach fontanny i biegiły w stronę klasycznego wejścia. Bentley był tu tylko raz, ale tego domu nie dało się zapomnieć.

Szybko wbiegł po schodach z prawej strony i zastukał kołatką, nadal niepewny słów, które miał wypowiedzieć.

- Do panny d'Avillez - wyparował do odzwierne-go, który otworzył drzwi.

Strath, w odróżnieniu od Chatham Lodge, to było jednak oficjalne miejsce.

- Panienci nie ma, *sir* - odezwał się służący, kłaniając się nisko. - Zechciałby pan widzieć się z lady Rannocho?

Bentley poczuł narastającą wściekłość. Przez chwilę rozmyślał nad tą możliwością. Co jednak jej powie? *Odebrałem dziewictwo twojej kuzynce, więc wobec tego jest moja?* Nawet w obecnym stanie zmieszania, w jakim przebywał, nie uczyniłby tego.

- Przykro mi bardzo, ale nalegam. Proszę powiedzieć pannie d'Avillez, że przyszedłem.

Odzwierny słabo się uśmiechnął.

- Przykro mi, *sir*, panny d'Avillez nie ma w domu.

- Nie - Bentley potrząsnął głową. - Jestem przekonany, że kazała ci mnie odprawić. Cóż, nie pozwolę na to, słyszysz? Idź i powiedz jej, że żądam, by się z nią zobaczyć.

Odzwierny westchnął niecierpliwie i odszedł. Po chwili powrócił ze srebrną tacą i podał ją Bentleyowi z wyrazem twarzy człowieka wielce urażonego.

Dopiero teraz Bentley zdał sobie sprawę z rozmiarów własnego zmieszania. Nie podał biedakowi bileciku wizytowego. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby się przedstawić. Służący nie znał go. A on stał w drzwiach, w ubraniu niebędącym przesadnie schludnym po ośmiu godzinach noszenia i wyglądał nieco podejrzanie. Co gorsza, żądał spotkania z niezamężną młodą kobietą. Wyglądał pewnie na wio-skowego głupka, jeśli nie gorzej. Ponadto, gdyby te-

raz zostawił bilet wizytowy, to z pewnością pogorszyłoby jego sytuację...

- *Sir?* - spytał służący. - Pański bilet?

Bentley poczuł falę gorąca napływającą do twarzy.

- Przepraszam - wyjąkał. - Chyba zapomniałem o tych przeklętych wizytówkach... eee... Wróć do domu i przywiozę.

Z tymi słowy odwrócił się i ponownie ruszył schodami w dół. Drzwi za nim zamknęły się z głośnym trzaskiem, jakby chcąc powiedzieć mu, by zniknął na zawsze. Bentley poczuł się upokorzony. Ale z całą pewnością to go nie zniechęciło. Ani odrobinę. Dosiadł konia i ruszył w kierunku rzeki. W głowie mu się kręciło od nadmiaru myśli. Musi zobaczyć się z Freddie. Nie wątpił, że zamierzała go unikać. Jak zatem? W jaki sposób mu się to uda?

I nagle kiedy tak gnał z powrotem w stronę Richmond coś do niego dotarło. Było coś... tak, coś poza jego zasięgiem. Jakieś wspomnienie. Zadanie. Coś, czego doznał, a co potem zostało odrzucone z przyzwyczajenia i ze złości.

Boże, już wiedział!

Nagle spiął konia i wierzchowiec ruszył, jakby dopiero co go osiodłano. Tym razem pognał prosto do mostu Westminster i zawrócił w stronę Strandu. Nad Londynem zapadał wieczór i słońce zachodziło nad dachami miasta. W jego poświacie czerwone barwy dachówek migotały przymglone londyńskim powietrzem. Strand również był zatłoczony i dobre dziesięć minut zajęło Bentleyowi przebycie niewielkiego dystansu. Kiedy dotarł na miejsce, rzucił wodze w ręce niechlujnego, ale radosnego chłopaka, który przytroczył konia do pobliskiej latarni.

- Wezmę drugiego takiego samego - rzekł do chłopaka, kładąc rękę na jego kościstym ramieniu. - Przypilnuj konia i nie ruszaj się z miejsca.

Przeszedł kawałek chodnikiem, torując sobie drogę wśród umorusanych atramentem urzędników i smętnych sprzedawczyń, wypełniających ulice w drodze do Charing Cross, zostawiających za sobą cały, ciężki dzień pracy. Przepchnął się między dwiema ściśniętymi gorsetami matronami, trzymającymi w dłoniach czarne parasolki, i w końcu dotarł do drzwi. Zatrzymał się na moment, by odczytać mośięzną tabliczkę, na której wyryto napis: *Pan George Jacob Kemble, dostawca dóbr eleganckich.*

Dobry Boże, naprawdę nie chciał tego robić. Nie mogąc jednak wpaść na żaden lepszy pomysł, niecierpliwie pociągnął za kołatkę i wparował do środka z takim impetem, że mały dzwoneczek rozhuštał się jak szalony nad jego głową. Zza rogu wyszedł młody, elegancko ubrany młody mężczyzna; miał pięknie upomadowane włosy, a jego stopy niemal płynęły w kierunku drzwi.

- *Bonjour monsieur* - powiedział, obrzucając Bentleya podejrzliwym spojrzeniem. - Czym mogę służyć? Kamienie szlachetne? Srebro? Stara porcelana? Mamy naprawdę przepiękną porcelanę z Egiptu wydobytą niedawno w okolicach Kairu.

- Nie, dziękuję - udało się wykrztusić Bentleyowi. Urzędnik uniósł o milimetr wyżej nos.

- Wobec tego coś bardziej tradycyjnego? Mamy kolekcję szesnastowiecznych chińskich *fahua* właśnie nabytych z pewnego majątku.

- Dziękuję, nie - odparł Bentley, ale jego uwagę rozpraszało wnętrze tego niewielkiego sklepiku. To miejsce wyglądało nieco jak wnętrze parafii świętego Michała, pełne staroci, tutaj jednak powietrze prze-

sycone było czystym aromatem wosku pszczelego i octu winnego. Podłoga, a przynajmniej ta część, której nie zasłaniały tureckie kobierce, lśniła wypolerowana niczym lustro. Wypełniające pomieszczenie szklane gabloty błyszczały w słońcu. Sklep wyglądał, jakby ktoś wykupił całe Muzeum Brytyjskie. Przepełniony był dziwactwami wszelkiej maści, z których większość była zabezpieczona w gablotach, niektóre jednak wystawiono na blatach lub porozwieszano na ścianach i suficie.

Urzędnik obdarzył go łaskawym uśmiechem.

- *Tres bien!* - powiedział, strzelając palcami. - Może filiżankę herbaty w trakcie oglądania?

- Nie, dziękuję - odezwał się Bentley, wracając do terażniejszości. - Czy jest Kemble?

Nagle aksamitna kotara za ladą rozchyliła się.

- O wilku mowa - odezwał się łagodny, przekorny głos. - I oto jest!

Było to niezłe wejście, Bentley musiał to przyznać.

- Dzień dobry, Kemble - rzekł, zwrócony w stronę otoczonej zieloną draperią postaci. - Możemy zamienić słówko na osobności?

Kemble uniósł jedną brew i postukał idealnie wyrzeźbionym palcem w dolną wargę.

- Cóż mógłby słynny Bent Rutledge chcieć od prostego sklepikarza jak *moi*, mógłby się ktoś zapytać? - Jednak z zagadkowym uśmiechem szeroko rozsunął zasłonę i wykonał ruch ręki w stronę urzędnika. - Jean-Claude, nastaw czajnik.

Kiedy tylko usiedli przy biurku pana Kemble, Bentley wyznał jak na spowiedzi:

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Och, w to nie wątpię - zaszczebotał Kemble. - O co chodzi tym razem, Rutledge? Szmuglowanie klejnotów? Handel bronią? Trup w uliczce?

- Nic z tych rzeczy - wymruczał Bentley, pragnąc, by sprawa była równie prosta.

Kemble przechylił głowę na bok.

- Znowu wmieszałeś się w ten interes z opium, tak? - spytał zmartwiony.

- Dobry Boże, Kem! Nigdy nie wiedziałem, że trzymają opium w mojej posiadłości, dobrze o tym wiesz!

- Zatem przysłał cię tutaj szwagier? - Kem pociągnął nosem. - Naprawdę, drogi chłopcze, nie mogę nadal mieszać się w politykowanie i wykrywanie zbrodni przez Maksa. Policja, nie wspominając już o tych wszystkich reformatorach, denerwuje niektórych z moich partnerów handlowych, wiesz.

- Nie Max. Nie o tego rodzaju kłopoty chodzi. - Bentley wlepił wzrok w buty. - Chodzi o to, że cóż, muszę udać się na bal.

W teatralnym geście Kemble zwinął dłoń w trąbkę i przysunął ją do ucha.

- Słucham cię?

- Bal - rzekł nieco pewniejszym głosem Bentley. - Muszę iść na bal, Kemble, a nie mam lokaja. Ale ty, no wiesz, znasz ludzi. Chciałbym więc, byś mnie ustawił. Wszystko zaaranżował, zorganizował coś eleganckiego.

Na te słowa Kemble odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- O mój Boże, to chodzi o jakąś kobietę! - rzekł unosząc i opuszczając ręce, jakby dyrygował chórem. - Chodźmy zatem, jestem winien staremu Maksowi przysługę, Kopciuszku. Chodźmy zobaczyć, co mamy do wyboru. Giroux i Chenault przy Savile Row uszyją ci coś w okamgnieniu, trzeba będzie jednak zdjąć miarę.

Bentley poczuł się niczym okazały, dorodny byk stojący przy smukłej budowy panu Kemble. Ten zaś

zaczął się krzątać wokół Bentleya i mu się przyglądać.

- Boże, ależ jesteś wysoki - wymruczał. - Doprawdy, czym was karmią w tym Gloucester? A krój płaszcza, co za koszmar! Natychmiast to zdejmuj; Jean-Claude mógłby nim polerować srebra. Nie krzyw się i dawaj mi też tę kamizelkę.

Bentley westchnął, ale zrobił co mu kazano, ponieważ był zdesperowany.

- Skoro już przy tym jesteśmy, Maurice załatwi dla ciebie coś do noszenia na co dzień - wymruczał Kemble, przetrząsając zawartość szuflady i wyciągając z niej pudełko ze szpilkami. - Nie możesz wiecznie tak wyglądać, Rutledge. W końcu każdy kiedyś musi zacząć się ubierać.

Albo rozbierać, pomyślał kwaśno Rutledge.

Kiedy zarozumiały Jean-Claude wynurzył się zza kotary, Bentley był już w samej bieliźnie.

- *Ooo, a bon derriere!* - rzekł z aprobatą subiekt, stawiając tacę z herbatą.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł go Kemble ustami, w których trzymał szpilki. - Złamałby ci tylko serce.

Bentley zmrużył oczy.

- Co on powiedział?

- Powiedział, że dobrze ci w niebieskim - wymruczał Kemble, wypluwając niepotrzebne szpilki. Jean-Claude uśmiechnął się i zaczął nalewać herbatę. - A ty jesteś całkiem nieźle zbudowany pod tym obwijającym materiałem - ciągnął Kemble, odsuwając się kilka kroków do tyłu, by móc podziwiać swoje dzieło, skrupulatnie pospinaną koszulę Bentleya. - Tak, trochę założyć tutaj, trochę tam i wydaje mi się, że ta szmata, którą masz na sobie, będzie mogła posłużyć Maurice'owi chociaż za wzór.

- To znaczy, że ją potnie? - Była to ulubiona koszula Bentleya, mocno znoszona i wytarta na łokciach i przy kołnierzyku.

- *Mais oui*, na malutkie kawałeczki! - stwierdził Kemble, strzelając palcami. - I uważam, tak, naprawdę uważam, że w niebieskim jest ci do twarzy.

Bentley wzruszył ramionami.

- Lubię niebieski.

- To nie niesie za sobą żadnych konsekwencji - Kemble uśmiechnął się do niego, jakby naprawdę był wiejskim głupkiem. - Oddałeś się w moje ręce. Proszę, powiedz zatem, na kiedy ma być gotowe moje dzieło sztuki, Rutledge?

- Nie przypominam sobie dokładnie - wyznał Bentley. - Zaproszenie przyszło kilka tygodni temu i gdzieś je podziałem. Ale chyba jest na ten piątek.

- Piątek...? - przerwał mu Kemble. - Jestem byłym lokajem, nic Bogiem wszechmogącym. Jemu sześć dni zajęło stworzenie ideału.

- Cóż, ty i Maurice macie dwa - rzekł Bentley. - A ja nie muszę być ubrany idealnie, wystarczy, że będę reprezentacyjny. To pierwszy bal dziewczyny Rannocho, Zoe.

- Córki Rannocho? - Twarz pana Kemble przybrała teraz naprawdę przestraszony wyraz. - O Boże, zupełnie ci odbiło?

## Rozdział 7

### *W którym panna Armstrong mówi, co myśli*

Rankiem, w dniu balu debiutanckiego Zoe, madame Germaine i jej krawcowa osobiście zjawiły się w Strath, by dopilnować ostatecznych poprawek. Frederica i pozostałe panie zgromadziły się w salonie Evie w oczekiwaniu na krawieckie obróbki. Frederica nie podołała pierwszym falom plotek, zanim dopadły ją kolejne poranne mdłości, już piąty raz w ciągu ostatnich dni.

Dziewczyna schowała się za parawanem i zwróciła całe śniadanie, ale zaraz potem napotkała pytający wzrok *madame*. Frederica była zrezygnowana. Nie wątpiła, kto tym razem znajdzie się na ostrzu ciętego języka *madame*. To jednak nie miało znaczenia, prawda? I tak wkrótce miała jechać na wygnanie do Flandrii.

W końcu podrażniony żołądek uspokoił się. Skończono przymiarki i *madame* wraz z pomocnicą i swymi podejrzeniami spakowały się i odjechały do Londynu. Winnie odesłała Zoe, nadal w fastrydze na białej sukni, z pokoju.

- Chciałam rubinowy kolor, tak jak Freddie! - wydukała wargi w grymasie. - Nie znoszę tej głupiej bieli! Nienawidzę! Nikt mnie nie zauważy.

- Czerwień to nie kolor dla debiutantek, Zoe - fuknęła Winnie, kiedy wyszły na korytarz. - Dżentelmeni uznają cię za zbyt przystępną. Dlaczego nie możesz zachowywać się tak, jak Freddie? W zeszłym roku miała na sobie tylko pastele i wyglądała tak słodko i dziewiczo...

Zoe przerwała jej salwą śmiechu. Winnie poczerwieniała niczym burak. Pisnęła cicho i posłała przeżalone spojrzenie w stronę Frederiki, po czym szybko zamknęła drzwi. Frederica wybuchnęła płaczem i rzuciła się na obitą brokatem sofę Winnie.

Evie usiadła obok niej i pogładziła grzbietem dłoni włosy dziewczyny.

- No już, uspokój się, Freddie - wyszeptwała. - Winnie chciała jedynie pochwalić twój rozsądek.

- Nie wiem dlaczego! Zwłaszcza że najwyraźniej go nie mam!

Evie otworzyła szeroko ramiona w geście przepętnionym uczuciem. Freddie zaszlochała przeraźliwie i skryła się w jej objęciach.

- Jesteś po prostu przemęczona, kochanie - wyszeptwała Evie we włosy dziewczyny. - To tylko dziecko, wiesz, te łzy i mdłości. Zaufaj mi, jeszcze jakiś miesiąc i będzie dobrze.

Ale Frederica wiedziała, że już nigdy nie będzie dobrze. Położyła dłoń na nadal płaskim brzuchu. Cieszyła się, naprawdę bardzo cieszyła się z tego dziecka. Mimo to aż nazbyt dobrze wiedziała, że wychowanie dziecka bez ojca nie będzie łatwym zadaniem. Marzyła dla swoich dzieci o czymś lepszym, o czymś bardziej bezpiecznym niż sama miała.

Chociaż jej rodzice bardzo się kochali, o czym świadczyły listy, które Frederice po nich pozostały, umarli podczas wojny. Kiedy walki wreszcie dobiegły końca, koledzy jej ojca zabrali ją z pokrwawionej



ojczyzny jej matki i bezpiecznie przewieźli do Anglii, do babki, możnej hrabiny Trent. Jednak lady Trent nie spodobało się dziecko i kazała je odesłać. Wszyscy sądzili, że Frederica tego nie pamięta, ale pamiętała.

Wysłano ją wówczas do starszego brata jej ojca, tylko po to, by się dowiedziała, że Maxwell Stone od pięciu miesięcy nie żyje. Jednak jego córka, Evie, będąca zaledwie młodą dziewczyną, otworzyła przed nią podwoje swego domu oraz serce. To powinno było wystarczyć. Ale tak nie było. Nigdy nie było, i ta świadomość zakorzeniła w dziewczynie poczucie winy i niewdzięczności.

Tak więc Frederica rzuciła się w objęcia marzeń o romantycznej miłości. Jej wyśniony ukochany będzie inny, obiecywała sobie. Doskonały. Godny zaufania. Dający poczucie bezpieczeństwa. I bardzo, bardzo zwykły. Wyjdzie za mąż za kogoś, kto będzie umiał zapewnić jej i jej dzieciom bezpieczną przyszłość. Za kogoś mądrego, dobrze sytuowanego, kogoś, kogo będzie mogła kochać z całego serca i kto będzie zasługiwał na jej największy szacunek.

Usiłowała przekonać siebie samą, że tą osobą jest Johnny. Jednak teraz, kiedy pozostała jedynie z okruciami marzeń, mogła przyznać, że nawet przy nim gotowa była się ustatkować. Jego główną zaletą był fakt, że był jej znajomym. Był chłopakiem z sąsiedztwa. Zwykłym wiejskim szlachcicem. A wszystkie te rzeczy zdawały się pewne, bezpieczne i zwykłe. Była to oczywiście jedynie fasada. Dopiero jednak, kiedy Bentley Rutledge rozwiązał jej wielkie plany, zdołała dostrzec ten fakt.

Z pewnością nie pokochałaby takiego łotra, jak on! W końcu nie spełniał żadnego z jej kryteriów. Nie był pewny. Nie był bezpieczny. I z całą pewno-

ścią nie był zwyczajny. I gdyby choć trochę mu na niej zależało, nigdy nie uciekłby bez słowa pożegnania! I z jakiegoś powodu, na myśl o tym, Frederica znowu wybuchnęła płaczem. Dobry Boże, od tamtej nocy z nim zmieniła się bezmyślną, bezwolną kałużę łez. I pragnęła z całego serca, och jakże tego pragnęła, by móc go za to udusić.

- Uspokój się już - wyszeptwała Evie, kołysząc łagodnie dziewczynę w przód i w tył, zupełnie jakby miała sześć lat i znowu była bezdomną sierotą. - Wszystko się ułoży, Freddie. Zobaczysz. Zaufaj mi, kochanie.

W piątkowy wieczór Bentley rozmyślnie przybył do Strath House dość późno. Kolejka powozów stała już wzdłuż podjazdu i goście zaczynali powoli wychodzić. Kembel, tak jak zapowiedział, wystroił Bentleya bardzo elegancko. Jean-Claude, wyniosły sprzedawca, uznał go za *tres soigne* i usiłował poklepać po pośladku. Bentley jednak tylko się uśmiechnął i ruszył do Richmond, ubrany w marynarkę i pasujące do niej bryczesy w kolorze, który Kem określił jako ciemny zmierech, a który dla Bentleya był jedynie zbyt napompowanym określeniem wpadającego w czerń granatu. Kamizelka uszyta była ze złocistego jedwabiu, podobnego w barwie do dobrego szampa. Bentley w gruncie rzeczy wydawał się sobie dość reprezentacyjny, chociaż nowa koszula trochę go gryzła, a pończochy uniemożliwiały skrycie noża. Ach, nóż. Tak czy inaczej, tę pokusę zostawił w domu.

Na końcu podjazdu rzucił płaszcz i kapelusz do powozu i kiedy odźwierny Rannocho się odwró-

cił, Bentley zniknął w ciemnościach. Nie miał ochoty, by go anonsowano. Przynajmniej dopóki się nie dowie, z której strony wieje wiatr. Za domem położonym w pobliżu rzeki wszystko pogrążone było w ciemnościach, a cichy plusk Tamizy niemal zagłuszały odgłosy śmiechów i muzyki dobiegające z domu. Jak się spodziewał, tylne drzwi sali balowej stały otwarte na oścież.

Było zimno, nawet jak na wiosnę, więc niewielu gości wypuściło się na zewnętrzną werandę. Bentley musiał jedynie zdecydować, czy przeskoczyć przez kamienny murek, czy też udać się przez ogród. Sala balowa była pełna, ale nie panował w niej ścisk. Przez drzwi wychodzące do przyległego salonu Bentley widział lady Rannoch wraz z mężem, witających gości.

W jednym z kątów stali Gus i Theo Weyden. Muzycy zagrali skoczną wiejską melodię i Theo poprowadził Zoe Armstrong na parkiet. Gus stanął obok swojej matki, najwyraźniej plotkującej ze swą przyjaciółką i powiernicą lady Bland, powabną, ciemnowłosą wdową, której wiek był równie nieodgadniony, co jej morale. Zwykle znalazłaby się w kręgu zainteresowania Bentleya, dziś jednak nie wzbudziła w nim żadnego zaciekawienia.

Mężczyzna zaczął przemieszczać się po obrzeżu tłumu, przeczesując go wzrokiem w nadziei, że dojrzy jakiś znak obecności Freddie. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, co mógłby jej powiedzieć, kiedy ją zobaczy, Miał ochotę złapać ją za koronki przy dekolcie, lekko nią potrząsnąć i całować do utraty tchu, ale był zupełnie pewien, że nie o to chodziło.

W rzeczy samej, kiedy się nad tym zastanowił, cała sytuacja zadziwiała go. Potrzeba rozmowy z Fred-

die, dotknięcia jej, potrzeba nie o charakterze seksualnym, ale takim, którego wyjaśnić nie umiał, zaczęła męczyć go przez sen. Chcąc się z tym uporać, zaczął przechadzać się po pubach i szulerniach Londynu aż do świtu. Niekiedy nie sypiał w ogóle. To nie było w jego zwyczaju. Przez całe życie zarywał noce, ale potem rzucał się na łóżko i przez dwa dni odsypiał takie wypadki. Tym razem jednak było inaczej.

Kiedy minęła pierwsza wściekłość, wmówił sobie, że po prostu martwi się o Freddie. Że ma wobec niej pewne zobowiązania. I to była prawda. Miał jednak dziwne przeczucie, że gdyby tylko spojrzął jej w oczy, mógł poczuć ciepło jej ciała i pulsujące pod palcami tętno, wówczas może w jakiś sposób zrozumiałby, dlaczego tak się zachowuje.

Kiedy ucichły ostatnie dźwięki muzyki, przeszedł zwykłym krokiem przez salę balową, ale nigdzie nie dostrzegł tej, której szukał. Tancerze schodzili właśnie z parkietu i kilka kroków od niego szedł Theo prowadzący Zoe. Potem Gus i Theo wyszli - najwyraźniej udali się w stronę salonu do gry w karty. W olbrzymiej sali rozgorzały rozmowy, wypełniając pustkę po muzyce, ale orkiestra wkrótce ponownie zaczęła grać. Winnie Weyden powróciła do rozmowy z lady Bland, a Zoe wspinała się na palce, rzucając pełne oczekiwania spojrzenia w tłum.

Bentley wyczekał na odpowiedni moment i podszedł do niej.

- Panno Armstrong?

Zoe odwróciła się na palcach, a jej oczy zrobiły się olbrzymie niczym spodki.

Bentley podał jej ramię.

- Czy mogę mieć ten zaszczyt?

Dziewczyna zaniemówiła na chwilę, co było w jej wypadku zgoła niesłychane.

- Och, Rutledge! - udało jej się wreszcie wydusić z siebie. - Okropnie mi przykro, ale ten taniec obiecałam...

Bentley położył palec na jej wargach i mrugnął okiem.

- Ach, zapewne! - wyszeptał. - Ale biedaka tu nie ma, no nie?

Zoe wyglądała, jakby rozważała jego propozycję, a potem niczym nagły promyk słońca, tajemniczy uśmiech zagościł ponownie na jej twarzy.

Wiesz, Rutledge - powiedziała - zawsze uważałam, że jesteś zbyt mądry jak na swoje lata. - I bez żadnego słowa do pani Weyden, która nadal pogrążona była w pogawędce, Zoe wzięła jego ramię.

Nagle do głowy przysłała mu nagła myśl.

- Mam nadzieję, że masz pozwolenie, by tańczyć walca?

W oczach Zoe rozbłysły filuterne iskierki.

- Mniej więcej!

- Zoe... - rzekł ostrzegawczym tonem.

- Och nie martw się! Dzisiaj zachowuję się bardzo grzecznie.

Bentley objął ją jedną ręką w pasie, uważając by zachować należyłą odległość i razem popłynęli na parkiet. Zoe była delikatną, podobną do elfa istotą o kruczoczarnych włosach i głębokich, brązowych oczach. Jednak te oczy były zwodnicze, bo nie widać w nich było, co czai się w duszy dziewczyny. Chociaż Zoe była adoptowana, wszyscy wiedzieli, że jest córką Rannocha. Mówiono, że jej matka była drogą francuską kurtyzaną, a Bentley nie miał co do tego ani cienia wątpliwości. Zoe była wybuchową mieszanką: lisicą, łotrem i nieprzewidywalnym kłopotem w jednym. Bentley niemal współczuł Rannochowi.

- Ależ pięknie tańczysz walca, Rutledge - powiedziała Zoe z szelmowskim uśmiechem. - Cóż za elegancki strój. Jeszcze dziesięć, dwadzieścia lat i może wpuszczą cię do Athenaeum.

Nie sposób było nie zauważyć jej dobrodusznego sarkazmu. Athenaeum był to klub, do którego wstęp mieli tylko uczeni i osoby stateczne. Bentley zmarszczył się.

- Przestań, Zoe. Naprawdę mam kilka zalet.

Inne pary krążyły wokół nich; Zoe odchyliła głowę i roześmiała się.

- Ciotka Winnie mówi, że jesteś zepsutym do szpiku kości draniem - powiedziała. - Dziś jednak wyglądasz dość cywilizowanie, naprawdę. Mimo to wolę cię w tych twoich butach i w tym długim płaszczu. Wyglądasz w nich odrobinę niebezpiecznie. A damy, wiesz, wolą takich, co wyglądają niebezpiecznie od tych, którzy wyglądają elegancko.

Bentley uniósł nieznacznie jedną brew.

- Nie byłem tego świadom, Zoe - rzekł. - Może powinienem zainwestować w przepaskę na oko i hak zamiast ręki. Sądzę też, że mógłbym zacząć trzymać nóż w zębach. W końcu mężczyzna musi podtrzymywać swoją reputację.

Zoe zaczęła chichotać zupełnie nie jak dama.

- Zawsze potrafiisz mnie rozśmieszyć, Rutledge - powiedziała, kiedy mijali kolejną parę tancerzy. - Muszę jednak przyznać, że jestem nieco zszokowana widząc cię tutaj.

- Nic dziwnego - rzekł sucho. - Zwykle nie przyjmuję formalnych zaproszeń od twojej rodziny. Dzisiejszego wieczoru jednak nie mogłem oprzeć się pokusie.

- Ach - Zoe ściągnęła ciasno brwi. - Śmiem założyć, że zaproszenia były wysłane dobre kilka tygodni temu.

- No były - zgodził się. - Dlaczego? Czyżbym nagle stał się *de trop*?

Zoe nieco zbladła.

- Och, nie! - odparła. - Przynajmniej, jeśli o mnie chodzi.

Bentleyowi nie umknęła ta uwaga. Zoe jednak nadal nerwowo paplała.

- Poza tym to mój debiutancki bal, prawda? I cieszę się, że cię tu widzę. Do tej pory wieczór był potwornie nudny, ale mam pewne podejrzenia, że znajdę sposób, aby go ożywić.

- Panno Armstrong, twoja poufałość mnie przeraża - rzekł udawanym tonem. - Mam zamiar stać się najlepszym przykładem poprawności.

- Czyżby? - Zoe kokieteryjnie zatrzepotała rękami. - Ciekawe, dlaczego jakoś nie mogę w to do końca uwierzyć.

- Nie mam pojęcia - powiedział cicho. - Czyżby był ku temu jakiś powód?

Zoe zagryzła wargę, ale nie pomyliła najmniejszego kroku.

- Poprawne zachowanie - powiedziała w końcu - to wielce przeceniana cnota, jeśli o mnie chodzi. Niekiedy trzeba wziąć sprawy w swoje ręce i rzucić normy społeczne w diabły.

Bentley z gracją poprowadził dziewczynę w kolejny obrót.

- Dlaczego tak się dzieje, Zoe, że i ja zaczynam podejrzewać, że jesteś zbyt mądra jak na swój wiek?

Na jej ustach ponownie zagrał filuterny uśmiešek i przez chwilę tańczyli w milczeniu.

- Czy widziałeś dziś wieczór Freddie, Rutledge? - spytała, jakby chciała zmienić temat.

Bentley poczuł, jak gorzki uśmiech wykrzywia mu usta.

- Nie, nie widziałem - odparł spokojnie. - Chociaż bardzo bym chciał.

- Och, tak myślałam - wyznała Zoe. - Ale ona niemal wcale nie zeszała. Ostatnio słabo się czuje, co jest dość dziwne, nie sądzisz? Mimo to wygląda przecudnie w perłach mamy i swoim ulubionym, rubinowym kolorze. Madame Germaine musiała nawet powiększyć dekolt.

- Doprawdy? - Bentley poczuł, że się rumieni.

Zoe jednak nadal szczebiotała.

- Czy to nie jest niesprawiedliwe, że ja jestem chuda jak patyk i ubrana w tą straszłą białą koronkę, a Freddie tak pięknie się zaokrąglą? W końcu poszła na górę, by się ukryć przed tym okropnym Johnnym Ellowsem. Już sobie poszedł, ale był okropnie uciążliwy.

- Doprawdy? - wydusił z siebie Bentley.

Zoe niewinnie przytaknęła.

- Sypialnia Freddie jest na trzecim piętrze, ale ona wymknęła się schodami wiodącymi do galerii, więc w końcu powróci tą samą drogą, nie uważasz? - zauważyła, wpatrując się w salę balową. - Zobaczysz wejście na schody skryte w łukowatym sklepieniu pod niszą na orkiestrę. Wszystkie poziomy są z sobą połączone, jak widzisz. Czyż klasyczna architektura nie jest ciekawa?

- Tak, zaczyna mi się bardzo podobać - wymruczał Bentley.

Właśnie w tym momencie muzyka ucichła i Bentley odprowadził Zoe na drugą stronę sali. Lady Bland wtopiła się w tłum tancerzy i lodowate spojrzenie pani Weyden spoczęło na osobie Bentleya. Co gorsza, w oddali widać było nadciągającego przez tłum Rannocho, na którego twarzy malował się wyraz nieskrywanej wściekłości. Ale dlaczego? Ponie-

waż Bentley zatańczył z jego córką? To nie miało sensu. Czy Freddie wszystko wyznała? Nie, gdyby tak było, już dawno temu zjawiłby się u niego w domu.

Bentley nigdy jednak nie dał się zastraszyć, skłonił się więc i specjalnie uniósł dłoń Zoe do ust.

- Panno Armstrong - wymruczał, patrząc jej głęboko w oczy. - Z wielką przyjemnością będę oczekiwał naszego następnego spotkania. Wykład na temat klasycznej architektury był niezwykle inspirujący.

Kiedy wychodził, kilku dżentelmenów, między innymi lord Rober Rowland, przywitało go wylewnie. Inni wpatrywali się w niego niewątpliwie dlatego, że rzadko odwiedzał tak nobliwe towarzystwo. Kilka osób miało chęć szepnąć coś w ukryciu. Jednak Bentley nigdy nie dbał o opinie innych, nawet Rannochoa. Poza tym oskubał kilku z tych grzecznych panów ze sporych sumek i chętnie pozbawiłby ich reszty majątku.

Musiał się zdobyć na jakiś wybieg, by wyjść stąd i potem wejść z powrotem do sali balowej od strony galerii. Wymknął się niezauważony przez drzwi, które wskazała mu Zoe, przeskoczył przez dwa rzędy schodów i znalazł się na balkonie, który okalał z zewnątrz salę balową.

Tego wieczoru galeria była nieoświetlona, co oznaczało, że nie była otwarta dla gości. Tysiące wgaszonych świec, wiszących w żyrandolach, rzucały teraz rozdygotane cienie na balustradę. Bentley przechylił się i spojrzał w dół na niszę dla orkiestry, obserwując, jak skrzypkowie w idealnej harmonii wyciągają smyczki. Na parkiecie wirowały pary tancerzy migoczące feerią barw w skocznym tańcu. Bentley, skryty w cieniu, mógł wszystko obserwować, sam przy tym nie będąc widzianym.

Wydało mu się to w jakiś dziwny sposób przyjemne. Życie w cieniu, na obrzeżach społeczeństwa, za-

wsze mu pasowało. Odsunął się od balustrady i przeszedł wzdłuż galerii, aż odnalazł przejście prowadzące do głównych schodów. Potem zrobił kilka kroków w tył, wsunął się za marmurową kolumnę i rozpoczął oczekiwanie. Podejrzewał, że w paplaninie Zoe skryta była jakaś specjalna wiadomość dla niego. Miał tylko nadzieję, że ją zrozumie.

Jak się okazało, zrozumiał. W ciągu kilku minut na schodach pojawił się cień, odziany w rubinowy jedwab. Cień skręcił w stronę przyciemnionego korytarza. Bentley już chciał wyjść zza kolumny, ale w ostatniej chwili zamarł. Rozpoznał szept Frederiki i wycężył słuch, by zrozumieć słowa.

Odpowiedział jej męski głos.

- Ale teraz, jak możesz mi to robić, Freddie? - narzekał. - Wszystko zorganizowałem! Nawet tata się zgodził.

Bentley słyszał ciche odgłosy ich kroków dobiegające z ostatnich stopni schodów.

- Zabierz rękę z mojego ramienia - wyszczała Frederica. - Życie nie jest takie proste, Johnny, jak widzisz.

Kroki nagle zamarły zaledwie kilka centymetrów od kryjówki Bentleya.

- Och, jesteś teraz zgorzkniała, ale obiecuję, że pomogę ci o wszystkim zapomnieć - wyszczał gorączkowo Johnny. - Przysięgam. Pozwól mi tylko...

Bentley usłyszał krótki, zduszony oddech.

- Jak śmiesz! - krzyknęła Frederica.

Bentley poczuł, jak sprężają mu się wszystkie mięśnie i wyskoczył. Chwycił jedną dłońią kołnierza Johnny'ego Ellowsa, uniósł go do góry i potrząsnął nim z taką siłą, że tamtemu niemal zadzwoniły zęby. Bentley odsunął swą ofiarę na bok i spojrzał na Frederice. Nawet w mroku mógł dojrzeć jej szeroko rozwarte w przerażeniu oczy.

- Witaj, Freddie - powiedział cicho. - Uważaj w ciemnościach, kochana. Pamiętaj, nigdy nie wiadomo, na kogo się natkniesz.

Elbows tymczasem wstał na nogi.

- Słuchaj, Rutledge - warknął, kładąc dłoń na ramieniu Frederiki. - To nie twoja sprawa.

Bentley delikatnie odsunął jego rękę.

- Obawiam się Johnny, chłopcze, że właśnie stała się moja. - Jego głos był śmiertelnie spokojny. - Dotknij ją jeszcze raz bez jej wyraźniej zgody, a kolejną rzeczą, jaką zrobisz, będzie wybranie pistoletu do pojedynku. I jeśli ci twoi mądrzy uczeni w Cambridge nauczyli cię co nieco o balistyce lub rachunku prawdopodobieństwa, to będziesz sikał po nogach i modlił się do Boga. Ponieważ ja zawsze trafiam. A teraz zabieraj resztki swego rozumu z powrotem do Essex i wsadź je sobie gdzieś.

Elbows zbladł. Nerwowo spoglądał to na Bentleya, to na Frederice. A potem oddalił się, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

Bentley czekał na wyrazy wdzięczności ze strony dziewczyny, ale nic takiego nie nastąpiło. Frederica usiłowała się wymknąć. Bentley złapał ją za łokieć.

- Hola, hola, Freddie. - Ich ciała dzieliły tylko centymetry. - Wybierasz się gdzieś?

Freddie zamarła.

- To nie twój interes, Rutledge - odparła chłodno. - Doceniam twoją pomoc, ale poradziłabym sobie z Johnnym.

Jej obojętność była dla niego niczym policzek. W przypływie gniewu Bentley przyciągnął ją mocno do siebie.

- A teraz poradzisz sobie, kochanie? - wyszeptał do jej ucha. - Okropnie chciałbym to usłyszeć.

Poczuł, jak na moment opanowuje ją panika. Usiłowała się wyrwać, ale on bez skrupułów wzmocnił uścisk. Nie wiedział, czego miał się spodziewać, ale na pewno nie czegoś takiego.

- Puść moją rękę! - wypaliła. - Dlaczego nie możecie zostawić mnie w spokoju? Skąd ty się tu w ogóle wzięłeś?

Jego gniew nagle wzrósł.

- Może przybyłem, by ucałować pannę młodą, Freddie.

- Czy wy obaj oszaleliście? - wysyczała. - Idź stąd, zanim ktoś cię zobaczy.

- Jakże wzruszające jest to twoje ciepłe przywitanie, Freddie. - W jego głosie czaił się chłód. - Czy jesteś taka uprzejma dla wszystkich gości?

Frederica usiłowała spojrzeć na niego lekceważąco, ale w odpowiedzi otrzymała uśmiech przystojnego, zupełnie rozżłoszczonego mężczyzny. Tego nie będzie się tak łatwo pozbyć jak Johnny'ego.

- Byłeś za.. zaproszony? - wyjąkała. - To chyba jakaś pomyłka.

Rutledge arogancko uniósł brew.

- Dlaczegoż to, Freddie? Zastanawiam się, czy może ktoś zapomniał skreślić niewygodnych gości z listy Rannocho. - Ścisnął ją mocniej za łokieć. - Co za wstyd. Czy to oznacza, że nie dostanę zaproszenia na ślub?

Serce podeszło jej do gardła.

- Nie., to znaczy tak... - Wobec jego wściekłości, zniknęła jej zdolność do racjonalnego rozumowania.

- Przy okazji, Freddie, kiedy się to odbędzie? - zagrzytał zębami. - Chciałbym wpisać cię do kalendarzyka wydarzeń towarzyskich, zakładając, że będę mógł wcisnąć tę radosną uroczystość pomiędzy moje bachanalia i uwodzenie dziewcz.

- Bentley, proszę! - Frederica zdała sobie sprawę, ale za późno, że w jej głosie brzmi nuta desperacji. - Nie mogę z tobą rozmawiać, nie widzisz tego?

Jego twardy, kwaśny uśmiech zaczarował ją.

- A to dziwne, Freddie. To znaczy, jesteśmy takimi starymi przyjaciółmi. A ostatnim razem, kiedy na siebie wpadliśmy, byłeś bardziej wylewna.

- Nie rozumiem - wyszeptała. - Dlaczego to robisz?

W jego oczach pojawiły się złośliwe iskiery.

- Cóż, nie jestem do końca pewien, Freddie. Możliwe, że nie mam nic lepszego do roboty niż tracić wieczór z ludźmi, którzy są przesadnie ubrani, przejeżdżeni i zbyt przejęci sobą. A może po prostu usiłuję zrozumieć, dlaczego kobieta może jednego dnia tak namiętnie się ze mną kochać, a następnego wychodzić za męża za kogoś innego. Tak, chyba o to chodzi.

Frederica odwróciła twarz ku niemu.

- Proszę, odejdz, Bentley. To, co zrobiliśmy, to była straszna pomyłka.

- Boże, to nie była pomyłka! - jęknął. - Zrobiliśmy to świadomie.

- Proszę - jej głos drżał. - Błagam cię, nie rób kłopotów.

- Więc mi, do diabła, odpowiedz! - Chwyił jej brodę i zmusił, by na niego spojrzała. - Powiedz mi, jak kobieta może zrobić coś takiego, w sumie dwukrotnie, a potem odwrócić się i ogłosić swoje zaręczyny z kimś, o kim nigdy nie słyszałem? Jeśli mi to wytłumaczysz, natychmiast cię zostawię w spokoju.

Dziewczyna usiłowała go odepchnąć.

- Zabierz ręce. Teraz. Mogę wyjść za męża za kogoś zechcę.

- Czyżby? - Górował nad nią, wysoki, potężny i zdecydowanie niebezpieczny. - Powiedz mi, Fred-

die - wyszeptał łagodnie. - Czy ten człowiek wie, że dostaje wybrakowany towar? I czy wie, kto pierwszy cię miał?

Na te słowa zalała ją fala wściekłości. Niewiele myśląc, Frederica odsunęła się i uderzyła go w twarz.

- Za co, ty okrutna kocico - jęknął, chwytając jej drugą rękę.

- Puść mnie, ty świni! Bo zacznę krzyczeć!

Na jego ustach zaigrał pogardliwy uśmieszek.

- No dalej, Freddie, kochanie. Krzycz. Niech wszyscy się tu zbiegną. Nie mam nic do stracenia, dam im sporo powodów do plotek.

Spojrzała na niego poważnie i przełknęła ślinę. On naprawdę tak myślał. Naprawdę.

Bentley wyczuł jej niepewność.

- Po prostu mi powiedz, Freddie - wyjęczał, przyciągając ją znowu ku sobie. - Dlaczego wychodzisz za kogoś innego? Powiedz mi dlaczego.

Tym razem dosłyszała w jego głosie coś dziwnego. I te wiele mówiące słowa: *kogoś innego*. Frederica starała się znaleźć jakiś powód. Co on sobie myślał? Czego chciał? Czy była mu winna wyjaśnienia? Najwyraźniej bez nich nie miał zamiaru odejść, a ona nie miała zamiaru walczyć.

- Muszę zrobić to, co rodzina uważa dla mnie za najlepsze - odparła niejasno. - Taki jest los kobiet, Rutledge. Inni za nas decydują, co jest dla nas najlepsze, a my musimy słuchać.

Przez ułamek sekundy na jego twarzy pojawił się jakby wyraz żalu.

- Och, Freddie - rzekł łagodnie. - To zupełnie do ciebie niepodobne. Jesteś na to zbyt uparta.

Nagle dziewczyna poczuła, że ma dość.

- Tak, i do czego doprowadził mnie ten upór? - wybuchnęła, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

- Do niczego oprócz kłopotów, oto do czego. I nie kłam, Bentley. Nie mów, że jesteś zazdrosny, bo oboje wiemy, że tak nie jest. Tak naprawdę wcale mnie wtedy nie chciałeś i nie chcesz mnie teraz. Przyjmuję na siebie całą winę za to, co się stało. Byłam głupia, wiem, przepraszam. Ale nie znam zasad tej gry, w którą ty najwyraźniej chcesz grać. Nie wiem, co powinnam zrobić. A z całą pewnością nie wiem, dlaczego tobie miałyby zależeć.

Jej przemowa skończyła się płaczliwym tonem. W sali balowej na dole ucichła muzyka i przez długią chwilę Bentley stał w ciszy, wpatrując się w nią rozpalonym wzrokiem, pełnym gorących uczuć, których ona nie rozumiała. A jednak było w tych słowach coś, co ją ujęło, chwyciło za serce. I wtedy z jej piersi wyrwał się zduszony szloch, a Bentley chwycił ją mocno za ramiona. Przez moment było tak, jakby chciał coś powstrzymać, jakieś wielkie uczucie, fizyczny cios, sama nie wiedziała co. A potem poczuła na policzku łzę, a Bentley przycisnął ją mocno do marmurowej kolumny i przykrył jej usta swoimi.

Frederica nie mogła zebrać myśli, nie mogła nawet zaczerpnąć tchu. Usiłowała wykręcić głowę. Usiłowała odepchnąć dłońmi jego piersi, ale jego usta były natarczywe, a dotyk niecierpliwy. Przesunął ręce z jej łokci na barki, a szerokie dłonie niemal paliły jej odsłoniętą, w balowej sukni, skórę. Wsunął język między jej wargi, a ona sama nie wiedząc jak, poddała mu się. Potem objął jej twarz dłońmi, unieruchamiając ją, przytrzymując jej usta przy swoich, Tego wieczoru w pocałunku nie było dawnej beztroski. Bentleyem powodowało głębokie, nieposkromione uczucie. Nagły głód. Nieokiełznane pragnienie.

Z ociąganiem oderwał od niej swe usta.

- Nie płacz, Freddie - wyszeptał. - Boże, proszę, nie płacz.

A potem wsunął długie, mocne palce w jej włosy, delikatnie ją przytrzymując, kiedy ponownie wdziarał się w jej usta. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Frederica czuła zapach krochmalu na jego krawacie, aromat wody kolońskiej i buzujący żar męskości. Raz za razem nakrywał ustami jej wargi, delikatnie trąc o jej skórę szorstkim zarostem. Dziewczyna była przestraszona, bardziej przestraszona niż wtedy, kiedy zabrał jej dziewictwo. Wówczas był jedynie jakimś tam Rutledge'em. A ten mężczyzna był burzą uczuć.

Musiała krzyknąć w jego uścisku. Bentley, nadal obejmując dłońmi jej twarz, uniósł nieco usta i owiał jej twarz gorącym, miękkim oddechem. Na moment zamarł, a potem równie nagle jak rozpoczął napór, zwolnił uścisk i szalejąca burza ustąpiła.

Dopiero wtedy Frederica zdała sobie sprawę, że odwzajemnia pocałunki, że jej ręce przesuwają się po jego koszuli, wokół jego bioder, pod płaszczem. Ona również oddychała nierówno, spazmatycznie. Musiała zwalczyć w sobie potrzebę szukania wargami jego ust.

- Boże... - Jego szept brzmiał jak modlitwa. - O Boże!

Potem mocno ją do siebie przytulił, oplatając z całej siły ramionami. Na chwilę uległa temu szaleństwu, a potem osłabła w jego objęciach. Czuła niezwykłą siłę płynącą z jego ramion. Całe jego ciało przesycone było siłami witalnymi i mocą. A ona czuła się taka słaba. Taka zmęczona i dezorientowana. Słyszała dudnienie serca pod jedwabiem jego kamizelki.



- A teraz powiedz mi, Frederico - wydyszał nie-równym głosem. - Czy tak samo się czujesz, kiedy całuje cię twój narzeczony? Czy jego dotyk zapiera ci dech w piersiach? Powala na kolana? Powiedz, że tak. Po prostu to powiedz. A przysięgam na Boga, że zejść po schodach i wyniosę się z twego życia.

Jednak nie odpowiedziała. Jakże by mogła? Nie było nikogo innego i nigdy nie będzie. Co gorsza, wiedziała, z nagłą i jaskrawą świadomością, że przy nikim nigdy nie poczułaby się tak, jak przy tym człowieku. To właśnie było niebezpieczne, prawda? Zaledwie kilka tygodni temu była lekkomyślną dziewczyną, której zdawało się, że wie, co to namiętność. Teraz zaś jest zrujnowaną kobietą, która zbyt dobrze zna moc pożądania.

Bała się odezwać, bała się zaufać własnym emocjom. Musiała mieć na względzie dziecko. Dziecko, którego bezpieczeństwa i dobrobytu nie mogła ryzykować. Nie, nawet z takiego powodu, dla tego napływającego, ciemnego pożądania, które wciągało ją w czeluść, obiecując wspaniałą rozkosz. Nie chciała pragnąć Bentleya Rutledge'a. Desperacko pragnęła zapomnieć o wspaniałej rozkoszy, jaką jej dał. Jednak jej ciało reagowało na niego i tego nagle się przestraszyła. Przestraszyła, że nie ma doświadczenia, ani zapewne nawet ochoty, aby to zwalczyć.

Cisza zdawała się denerwować Bentleya. Odsunął ją nieco gwałtownie, a Freddie z wdzięcznością wysunęła się z jego objęć. On się nie odwrócił, by na nią spojrzeć. Oparł jedną dłoń na marmurowej kolumnie i zaczął wpatrywać się w miejsce, na którym przed chwilą znajdowały się jej stopy. Potem wziął drżący oddech. Przez długą, pełną wyczekiwania chwilę ciszę przerywały jedynie odgłosy radości i śmiechu, dobiegające z sali poniżej.

W końcu odezwał się; głowę miał opuszczoną niczym zbity pies.

- Po prostu powiedz to, Frederico - wydyszał. - Powiedz mi po prostu, co ze mną zrobiłaś i skończ z mną, do diabła.

- Co zrobiłam...? - Dziewczyna poczuła, że serce niemal jej zamarło.

Nie odrywając ręki od marmuru, Bentley powoli odwrócił głowę, aż jego oczy napotkały jej wzrok. W jego spojrzeniu czaił się ból.

- Przez kilka tygodni tkwię w rozpacz, niech cię diabli... - zdołał wykrztusić. - Jeśli mnie nie chcesz... jeśli mi wybaczasz...to powiedz to, na Boga. Wyzwól mnie z tego piekielnego poczucia winy, w którym tkwię.

*Piekielne poczucie winy.*

Okropne, brzydkie słowa dobyły się z jego ust. To tak właśnie się czuł? I co proponował? Nigdy nie obrażała siebie, by mógł wyglądać na tak zrozpaczonego i zdenerwowanego. Zupełnie to do niego nie pasowało.

Później Frederica nie mogła sobie przypomnieć, skąd wzięła odwagę, jeśli odwagą można nazwać mówienie kłamstw. Ale jakoś jej się udało.

- Wyjeżdżam z Anglii - wyszeptwała. - Nie mogę ryzykować. Potrzebuję życia, które jest bezpieczne, nudne i zwykłe. Tak będzie najlepiej dla... dla wszystkich zainteresowanych. Nie masz powodu, by czuć się winnym. - Wyciągnęła rękę, niemal bezwolnie, i położyła ją delikatnie na jego ramieniu.

Pod jej dotykiem Bentley zeszywniał. Odwrócił wzrok i wydał z siebie głęboki jęk.

- Nie czuj się winny, Bentley - powtórzyła. - Masz rację co do jednej rzeczy. To, co zrobiłam z tobą, zrobiłam z własnej woli. I to, co zrobię teraz, również będzie z własnej woli. To właśnie chciałeś usłyszeć?

Bentley wyprostował się i wbił wzrok w ponure ciemności. Frederica wstrzymała oddech, sama nie wiedziała dlaczego.

- To chyba byłoby wszystko - powiedział łagodnie, a potem ledwie rzuciwszy okiem wstecz, odszedł sztywnym krokiem w stronę galerii, skręcił za róg i zniknął.

Frederice zdawało się, że minęła wieczność. Stała bez ruchu, po prostu wsłuchując się w oddalające się kroki, które w końcu ucichły w mroku. Nagle poczuła ogromny załamanie. Zrobiło jej się słabo. Poczuli się, jakby popełniła najgorszy błąd w życiu. Czyżby? Dobry Boże, z pewnością nie. Nic jej nie zaproponował; ona o nic nie prosiła. Było tak, jak musiało być. Nawet gdyby chciał spróbować, nie był tego rodzaju mężczyzną, który nadawałby się na ojca. Nigdy też nie będzie godnym zaufania, wiernym mężem,

Jednak ta prawda nie powstrzymała jej. Frederica chwyciła w jedną rękę suknię i ruszyła w stronę balustrady. Przywarła do niej, złapała mocno rękoma i wychyliła się najdalej jak mogła. Rozpaczliwie przeszukiwała wzrokiem tłum. Jednak ostatni taniec się skończył. Sala balowa pustoszała w szybkim tempie. A Bentleya nigdzie nie było widać.

*Nie zatrzymuj się. Nie patrz w górę.*

Te dwie myśli rozbrzmiewały w głowie Bentleya, który zbiegł schodami do sali balowej. *Już prawie wyszedłeś, mówił do siebie. Teraz idź dalej.*

Torował sobie drogę przez tłum, zupełnie jakby walczył z nadchodzącym przypiływem. Barwy i dźwięki docierały do niego jak przez mgłę. Dobiegający zewsząd śmiech ciął niczym brzytwa. Jedno przywita-

nie, drugie. Dotknął łokciem czyjś ramienia. Zabrzęczało szkło. Kieliszek do szampana? Nie zatrzymywał się. Wyszedł z sali balowej na korytarz, zrzęcznie kierując się ku frontowym drzwiom.

Kiedy znalazł się w holu, podszedł do niego odźwierny, mamrocąc coś o płaszczu. Bentley nie odpowiedział. Inny służący otwierał właśnie drzwi jakiemś wychodzącemu gościowi. Bentley minął ich bez słowa, niczym lunatyk, i zanurzył się w chłodnym, wiosennym powietrzu. Znad Tamizy unosiła się lekka mgiełka, otulająca surrealistycznie dziedziniec i fontannę, która wystrzeliwała w górę strumieniami wody. W rozświetlonych latarniami ciemnościach Bentley zbiegł po schodach i zniknął w zimnej, oblepiającej go mgle.

Znalazłszy się na dole, przepchnął się przez zbiegowisko służby, koni i powozów na podjeździe. Naprzeciw domu panowała ciemność. Bentley zanurzył się w czarną otchłań, a wkrótce jego palce spoczęły na omszałych kamieniach muru po drugiej stronie dziedzińca. Odwrócił się i oparł o niego, wlepiając wzrok w odległe schody. Powinien był dziękować Bogu. Albo przynajmniej spokojnie wracać do domu. Wolał jednak po prostu stać w ciemnościach i każdym nerwem swego ciała nienawidzić Frederiki d'Avillez. Dlaczego? Dlaczego?

Jakie to miało znaczenie? Nie mógł tego zrobić. Nie potrafił hodować w sobie czystej, niczym niezmażonej nienawiści od czasów, kiedy był chłopcem. W jej miejsce pojawiło się stare, znajome uczucie pustki, w której powinno było spalić się to uczucie.

Nie wiedział, ile czasu tam stał, bez kapelusza i płaszcza, mokry od mgły i wilgoci fontanny. Od czasu do czasu do jego uszu dobiegały stłumione odgłosy rozmów albo zawodzenie skrzypiec. Każde fronto-

we okno Strath rozbłyskiwało światłem, które wydawało się ciepłe i pełne gościnności. A mimo to nie był tam mile widziany. Już nie. I to jego wina. Wiedział, że powinien odejść. A mimo to nadal wpatrywał się w zimną mgłę i wsłuchiwał w niekończące się odgłosy zabawy.

Po jakimś czasie gniew zaczął go opuszczać. Zaczął zastanawiać się, co robi Frederica i z kim. Pozwolił sobie nawet wyobrazić jej twarz, przypomnieć kolejny raz zimne, odpychające go słowa, aż poczuł się, jakby sam zadawał sobie rany ostrym nożem. Musiał spędzić w ciemnościach godziny, ale czas nie miał teraz dla niego żadnego znaczenia.

W końcu jednak gwar odjeżdżających gości przedzielił się w prawdziwy hałas. Powozy zaczęły podjeżdżać, kopyta końskie stukotały na bruku, wtórując nocnym uderzeniom zegara. A potem powoli światła zaczęły gasnąć. Najpierw wygaszono parter, potem piętra, aż w końcu światło zostało jedynie w pomieszczeniach dla służby. Paliło się też słabe światło w pokoju z lewej strony. Na trzecim piętrze.

Frederica spała na trzecim piętrze. Czy to był jej pokój? Bentley zamknął oczy i wyobraził sobie, że tak właśnie jest. Pokojówka pewnie pomagała jej się rozbierać i przygotowywać do snu. Wyobraził sobie, że widzi, jak rubinowy jedwab ześlizguje się z jej ramion o miodowym odcieniu. Delikatne, damskie części bielizny opadają wokół jej stóp, tworząc białą stertę na podłodze. Niemal widział jej małe, sterczące piersi, śniade i idealne sutki. Dziś wieczór niemal wyskakiwały z dekolту balowej sukni i kiedy o tym pomyślał, przypomniał sobie ich smak, pachnący wodą różaną, nieco słonawy, pełen kobiecej esencji.

Nagle coś dziwnego przyszło mu do głowy. Zaczęła przypominać mu się luźna uwaga Zoe.

*Madame Germaine musiała powiększyć dekolt. Ostatnio czuje się dość słabo, co jest dziwne.*

To wszystko nie miało większego znaczenia. Ale być może słowa Zoe nie były jedynie czczą paplaniwą? Nie mógł zapomnieć, jak Freddie roztapiała się w żarze jego uścisku, a mimo to nie chciała odpowiedzieć mu na pytania. Pytania, które były naprawdę dość proste. A może nie były? Zaczęło go opanowywać wrażenie strasznej pewności. Boże, jak mógł być tak ślepy? Oderwał się od muru, czując, jak krew pulsuje mu w żyłach. Tu nie chodziło o to, czego pragnie Freddie, prawda? To nawet nie chodziło o to, czego on chce, nie żeby wiedział, co to jest. Boże, to wszystko sprawka Rannocha! Czuł to przez skórę.

Gniewnie i zdecydowanie Bentley ruszył w stronę służącego, który jeszcze krzątał się na dziedzińcu. W końcu nadeszła pora, by odejść. Ale wróci tu. A potem Rannoch, lub ktoś inny, kto jest w tym domu, będzie musiał wiele zapłacić.

## Rozdział 8

### *W którym pan Amherst czyni dzieło Pana*

Markiz Rannoch był rannym ptaszkiem, a przyzwyczajenie to rozwijał przez lata rozpusty, kiedy po prostu, aby przetrwać, musiał nauczyć się jakoś trzymać się na nogach rano po zarwanych nocach. Chociaż większość jego dawnych ciągót wymarła z biegiem lat, nadal ulegał kilku z nich, a do tych trzeba zaliczyć porywczy charakter i sporadyczne napady bezsenności. Ostatnio obie te przypadłości nasiliły się, jako że - czego nikt z wyjątkiem jego żony by się nie domyślił - markiz był mężczyzną dręczonym wiecznymi wątpliwościami.

Tego ranka Rannoch stał przed świeżo oszklonym oknem w bibliotece i wpatrywał się melancholijnie w filiżankę kawy i w ogrody, których tak naprawdę nie mógł dostrzec. Mgiełka ostatniej nocy przerodziła się w gęste, białe mleko oblewające dom i jego okolice. Większość rodziny była jeszcze w łózkach; wstała tylko jego żona, Evie, oraz wychowanica, Frederica. Obawiał się, że spały równie kiepsko jak on, i z pewnością z tego samego powodu.

Markiz wyrwał się z zamyślenia, kiedy drzwi do biblioteki stanęły otworem. Odwrócił się od okna i zdziwił, widząc MacLeoda. Kamerdyner przyniósł

niewielką srebrną tacę, na której leżał bilet zapowiadający przybycie gościa. Rannoch wydał z siebie gardłowy odgłos niechęci, który mógł być zrozumiały jedynie dla drugiego Szkota.

- Tak, panie - odparł MacLeod, na którego twarzy malował się wyraz zrozumienia. - Jest bardzo wcześnie.

- To jakiś głupiec - warknął Rannoch. - Dobra, zobaczymy. Któż, u licha, ośmiela się zawracać mi głowę o tej porze?

MacLeod uśmiechnął się kwaśno.

- Oto i sam diabeł, jeśli wierzyć jego czarnej postaci.

Rannoch uniósł bilet i zerknął na niego.

- Mój Boże!

- Czy mam go poprosić? - skłonił się MacLeod.

Zanim pojawił się Bentley Rutledge, Rannoch wzmacnił się kolejną filiżanką kawy. Przelotnie rozważył spożycie czegoś mocniejszego, ale odpędził tę myśl. Bóg jeden wie, jak mogłoby się wówczas skończyć to spotkanie. Wątpliwości, które wyгнаły go z łóżka o świcie, powróciły ze zdwojoną mocą.

Markiz uniósł się sztywno, kiedy Bentley stanął w drzwiach. Młodszy mężczyzna celowo spokojnym krokiem przemierzył pokój. Potem lekceważącym gestem rzucił na biurko Rannocha zaklejony kawałek kancelaryjnego papieru.

Markiz nie był człowiekiem, który przejmowałyby się uprzejmościami.

- Jest dopiero wpół do dziesiątej, Rutledge - warknął. - Czego, do diabła, chcesz?

Młody mężczyzna uśmiechnął się do niego przez szerokość biurka.

- Tylko tego, co jest moje - rzekł, wskazując palcem kawałek papieru, który rzucił na biurko. - I przyszedłem, by to zabrać.

Rannoch omiół wzrokiem Rutledge'a. Zbyt do-  
brze rozpoznawał ten błysk w oczach i sztywną po-  
stawę człowieka, który ledwie opanowuje wściekłość.  
Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, by nie  
doceniać przeciwnika. Rutledge był zdecydowanie  
niebezpieczny i nieraz to okazał. Mając siedemna-  
ście lat, wysłał po raz pierwszy człowieka na tamten  
świat, i nie był to raz ostatni. Dał się poznać jako  
okazjonalny hazardzista, zadający się z szemranym  
towarzystwem, brał udział w przemyśle, rozprowa-  
dzaniu narkotyków, szantażach i gorszych rzeczach.  
Jedną z jego kochanek, dziwkę z portowych doków,  
znaleziono z podciętym gardłem po jakimś nieuda-  
nym interesie z opium. Inna kochanka, bardzo boga-  
ta hrabina, została uduszona we własnym łóżku. Jed-  
nak Bentleyowi zawsze udawało wymigać się ze  
skandali, po części dzięki temu, że niczym lew wy-  
grzewający się na słońcu, robił wrażenie zbyt przy-  
stojnego i zbyt leniwego, by być niebezpiecznym. Kto  
jednak w to uwierzył, popełniał gruby błąd.

Bez słowa uniósł papier przyniesiony przez Ru-  
tledge'a i przeciął pieczęć. Omiótł spojrzeniem tekst.  
Potem zrobił to ponownie. Boże wszechmogący! To  
nie wróżyło niczego dobrego.

- Chyba zupełnie ci odbiło - wypalił, rzucając  
kartkę na biurko. - Z całą pewnością się mylisz. Nie  
ma tu niczego, co należałoby do ciebie. Frederica  
d'Avillez jest moją wychowanką i pozostanie nią tak  
długo, jak będę sobie tego życzył.

Ledwie zauważył, jak dłoń mężczyzny ruszyła w je-  
go kierunku i chwyciła go za kołnierz.

- Twoja wychowanka będzie moją żoną - warknął  
Rutledge, wyciągając markiza zza biurka. - I zanim  
nadejdzie ten dzień, sam o nim zamarzysz. W zasa-  
dzie mógłbym cię zmusić, byś mnie o to błagał.

Rannoch chwycił Rutledge'a za nadgarstek i ode-  
rwał jego rękę od swego ubrania.

- Odważne słowa, głupcze - rzekł, odpychając  
Bentleya. - A jak widzę, ruchy jeszcze odważniejsze.  
Bardzo musiało zależeć ci na tym specjalnym pozwo-  
leniu, skoro zrywałeś biskupa z łóżka o tej porze.

Bentley oparł pewnie obie dłonie o blat biurka  
i pochylił się do przodu.

- Nie mamy więcej czasu do stracenia, Rannoch -  
wypalił. - Ty i ten idiota Weyden tak schrzaniłście  
sprawę, że teraz nie można uratować jej przed wsty-  
dem. Zajmiemy się tym. I zajmiemy się tym dzisiaj.

Rannoch dostrzegł, że Rutledge jest śmiertelnie  
poważny. Po części słusznie, i to jeszcze bardziej roz-  
wścieczyło markiza.

- Czy nie powinieneś być zastanowić się nad przy-  
szłym wstydem Frederiki, zanim ją uwiodłeś, panie  
Rutledge? - rzekł pogardliwym tonem. - Być może,  
zanim zawiodłeś ją do swego łóżka i odebrałeś jej  
dziewictwo, trzeba było wziąć pod uwagę fakt, że nie  
jest już dzieckiem? Dzieckiem grzecznie wychowa-  
nym, które nie pasuje do kogoś takiego jak ty?

Po raz pierwszy od chwili, gdy przekroczył próg te-  
go pokoju, Bentley spuścił oczy i ustąpił pola.

- Nie zaprzeczę, że masz rację.

Rannoch częściowo spodziewał się, że Rutledge  
będzie chciał wymigać się od poczucia winy, a kiedy  
zachował się niezgodnie z jego oczekiwaniami, mar-  
kiz wybuchnął.

- Ale nie zrobiłeś tego, niech cię lichu! - ryknął  
i uderzył pięścią w blat. - Zamiast tego, ty, gość  
w tym domu, dopuściłeś się niesłychanej samowoli  
i nadużyłeś naszego zaufania, za co należy ci się kul-  
ka w łeb. Nie, nie patrz na mnie, aby ukazać swoją  
nagłą prawość. Nie oczekuj, że poświęcę niewinną

dziewczynę na ołtarzu małżeństwa z jakimś nic niewartym, łajdakiem tylko dlatego, żeby zaspokoić jego świeżo odkryte pokłady przyzwoitości. Przysięgam, że powinienem posłać ci kulkę w łeb, choćby dla samej zasady...

Rutledge mu przerwał.

- Mogłoby to być trudniejsze, niż się spodziewasz - odszczeknął. - Ale kiedy padną słowa przysięgi i panna d'Avillez zdobędzie ochronę mego nazwiska i mojej rodziny, wtedy niewątpliwie możesz oczekiwać moich sekundantów.

- Do licha, nie - odparł markiz. - Wolałbym raczej patrzeć, jak będziesz cierpieł, a to z pewnością się stanie, już moja w tym głowa.

Rutledge wydał pogardliwie wargi.

- Pożałujesz dnia, w którym mnie poznałeś, Rannoch.

- Wielu tego żałuje, jak słyszałem - zgodził się. - Jednak dzisiaj źle wybrałeś sobie ofiarę, Rutledge. A teraz wynoś się z mego domu i uznaj się za szczęściarza, że nie pogruchotałem ci kości.

Ale ku jego przerażeniu Bentley oparł obie dłonie o biurko i pochylił się do przodu, a jego twarz wykrzywił przeraźliwy grymas.

- Teraz, przyprowadź tu dziewczynę, Rannoch - zażądał. - I powiedz jej, jaka jest jej powinność. Posłałem już po pastora i chcę, żeby odbyło się to, co ma się odbyć. Słyszysz, co mówię? Mam na sumieniu grzechy, tak. Ale znam też prawo, jakie rządzi tą ziemią, i wiem, że ona nosi moje dziecko. Będę chodził z tym po sądach, aż zamarnie piekło. A tak przy okazji, to jest Anglia, Rannoch, nie twoja, zapomniana przez ludzi i Boga, kaledońska dzicz. Mamy tutaj prawo.

- Och, brawo! - ktoś za drzwiami zaczął klaskać. - Tak mówi mężczyzna, który już miał przelotną znajomość z wymiarem sprawiedliwości.

Rannoch zerknął za szerokie barki Bentleya. W drzwiach stał Gus Weyden, opierając się niedbale łokciem o framugę.

- Przy okazji, Elliot - rzekł Gus sucho. - Twój szwagier właśnie idzie po schodach na górę i wygląda tak, jakby był naznaczony jakąś misją od Boga. - Tutaj zwrócił uwagę na Rutledge'a. - A co do ciebie, stary przyjacielu, nie mogę doczekać się, kiedy w nieco dogodniejszej, bardziej prywatnej chwili będę mógł zdefasonować tę twoją przystojną twarz.

Zanim Rutledge zdążył odpowiedzieć, za plecami Gusa pojawił się jasnowłosy mężczyzna w czarnej sutannie. Gus uśmiechnął się półgębkiem i wszedł do pokoju, a za nim podążył wielebny Cole Amherst, otulony płaszczem i trzymający w ręku czapkę z futra bobra. Trudno było uwierzyć, że ten wysoki, poważny mężczyzna jest przybrany ojcem takiego wcielonego diabła, jak lord Robert Rowland. Jeszcze bardziej zdumiewał fakt, że był on krewnym Rannocha.

Rannoch wyszedł zza biurka.

- Do diabła z tobą, Cole, czy nawet moja rodzina musi być przeciwko mnie? - wypalił markiz. - Czyż krzyż, który dźwigam, nie jest wystarczająco ciężki?

Wielebny uśmiechnął się słabo.

- Bóg nigdy nie zsyła na nas więcej ciężarów, niż możemy unieść, Elliot - rzekł cicho. - Módl się o odrobinę cierpliwości, a ciężar wyda ci się lżejszy.

- Cierpliwość? - Rannoch czuł się, jakby każda kropla krwi w jego żyłach miała zaraz wybuchnąć.

W oczach pastora pojawiły się isierki rozbawienia. Spojrzał na Rutledge'a i powiedział:

- Wyświadczyłem ci przysługę, prosząc biskupa o rozmowę o wyjątkowo nieprzyzwoitej porze. A teraz odwiedzisz mi się i pozwól porozmawiać z jego lordowską mością w cztery oczy.

Kiedy młodszy mężczyźni wyszli, Amherst położył kapelusz na skraju biurka.

- Czy to prawda, co twierdzi Bentley? - spytał, zdejmując rękawiczki i kładąc je obok nakrycia głowy.

- Wystarczająca prawda, do licha - Rannoch opadł na krzesło i machnął ręką w stronę tacy z kawą. - Częstuj się.

- Czy ona nosi jego dziecko? - Pastor ani drgnął.

Rannoch sztywno skinął głową.

- Chociaż nie mogę uwierzyć, że była na tyle głupia, by mu powiedzieć.

- A mimo to chcesz ją wydać za mąż za kogoś innego? - spytał poważnie Amherst. - Doprawdy Elliot, czy to mądre?

Rannoch przecesał palcami włosy.

- To był jedynie podstęp - przyznał. - Freddie postawiła się i powiedziała, że nie wyjdzie za Rutledge'a. Ja również nie byłbym szczęśliwy, gdyby związała się z kimś takim na całe życie. Co miałem zrobić? Postanowiłem ją stąd zabrać pod jakimś pretekstem? Zawsze była z niej dobra dziewczyna, kocham ją jak własną córkę.

Amherst podszedł do stolika i nalał sobie filiżankę kawy.

- Obawiam się jednak, że Rutledge ma rację, Elliot - powiedział, sadowiąc się z powrotem na krzesło. - W oczach Kościoła powinni się pobrać. On może spełnić swe groźby i zacząć włóczyć się po sądach. Będzie to oczywiście bezowocne, ale nieprzyjemne. Jeśli jednak chcesz oskarżyć Rutledge'a o coś bardzo nieprzyjemnego, myślę, że wiesz o co mi chodzi, i rozgłośić tę sprawę publicznie, możesz na tym polu wiele wygrać. Będziesz jednak potrzebował współpracy ze strony Frederiki. Będziesz potrzebował, aby oskarżyła go o coś, co, obawiam się, nie miało miejsca.

Markiz przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pustą filiżankę. Frederica nigdy nie wypierała się swego udziału w tej oburzającej historii. A Rannoch niejako przesadził, mówiąc o jej naiwności. Chciał, aby wina leżała całkowicie po stronie Rutledge'a, ale do licha, przecież tak nie było.

- Rozumiem, o co ci chodzi - wymruczał. - Ale Rutledge to łotr i łajdak.

- Elliot, Elliot! - wyszeptał pastor, powoli mieszając kawę. - Kiedy jesteśmy młodzi, nigdy nie jesteśmy tacy dobrzy, jakimi chciałby widzieć nas świat. Wiesz o tym. Poza tym on już nie jest młodzieńcem, a ja odkryłem, że całkiem go lubię.

- Czyżby? - jęknął Rannoch.

Amherst słabo się uśmiechnął.

- Tak, i w jakimś sensie Frederica też go lubi, Elliot. Inaczej nigdy nie uczyniłaby czegoś podobnego. Z pewnością na tyle rozumiesz ludzką naturę?

- Tak mi się zdaje - wystękał Rannoch. - Powiedz mi tylko, co o nim wiesz?

Pastor na chwilę zamilkł.

- W przeszłości - rzekł w końcu - miałem sposobność być jego sporym dłużnikiem. Jeśli interesują cię pikantne szczegóły, będziesz musiał wyciągnąć je od mojej żony.

Rannoch wyczuł delikatny smaczek starego skandalu.

- Miody Robert, tak?

Amherst przytaknął.

- I Rutledge, na przekór oczekiwaniom wszystkich, okazał się po raz kolejny lojalnym przyjacielem, pomimo iż Robert niespecjalnie zasługiwał na takie zachowanie. A to, Elliot, po części świadczy o ludzkiej dojrzałości.

Rannoch wziął z biurka pióro i zaczął obracać je w palcach.

- Uważasz, że będzie dobrym mężem dla Freddie?  
Pastor ponownie się uśmiechnął.

- To wie tylko Bóg - odparł. - Pamiętaj jednak, co powiedział Erazm. Lepszy diabeł, którego znasz, niż ten, który jest ci obcy. Co przyniesie jej przyszłość, jeśli za niego nie wyjdzie?

Markiz odsunął pustą filiżankę.

- Nie wiem.

- Ach, i w tym tkwi nasza rozterka! - odparł Amherst, również odstawiając filiżankę. - Świat jest skomplikowany, Elliot, i nie zawsze możemy chronić przed nim nasze dzieci. Rutledge przynajmniej pochodzi z doskonałej rodziny. Jego brat, lord Treyhern, jest moim dobrym przyjacielem. Jeśli, podkreślam: jeśli nie zadba odpowiednio o dziewczynę, możesz być pewien, że jego rodzina to zrobi. Włożyłem więc do kieszeni modlitewnik, a w Bentleyu pokładam nadzieję. Co powiesz, Elliot?

Przez długą chwilę Rannoch siedział bez ruchu. Potem ze zdecydowaniem człowieka pewnego siebie, trochę aroganckiego szlachcica, wstał z krzesła.

- Poczekaj tu - powiedział. - Muszę zapytać żonę.

Ostatecznie Amherst wygrał z lordem Rannochem, a żona lorda uległa mądrości Amhersta. Jednak i lady Rannoch wyraźnie podkreśliła: małżeństwo będzie musiało być decyzją Frederiki. Już jej coś obiecali, nie mogą teraz, ot tak sobie, cofnąć słowa.

Tak więc markiz spotkał się znowu z diabłem, którego znał, opanował nerwy i wyjaśnił Rutledge'owi, najlepiej jak potrafi mężczyzna, uczucia Frederiki. Potem lord Rannoch i jego żona znaleźli dziewczynę w salonie muzycznym i oznajmili jej o zmianie. Młoda

da dama nie była zachwycona. Niemniej jednak pół godziny później Bentleyowi wskazano drogę do salonu muzycznego, a pastor klepnął go zachęcająco po plecach.

Kiedy wszedł do pokoju, Freddie siedziała przy pianoli, wygrywając jednym palcem jakąś smutną melodię. Nie wyglądała na kobietę, która nosi pod sercem dziecko. Wyglądała po prostu jak... jak Freddie, z kruczoczarnymi włosami zebranymi w elegancki węzeł. I te brwi. Te piękne, urokliwe brwi. Uniosła je teraz, wstając z miejsca, wyglądając niczym pełna wdzięku egzotyczna piękność.

- Dzień dobry, Frederico. - Słowa brzmiały spokojnie i zdecydowanie. Jak na razie nieźle.

Freddie dygnęła lekko zdenerwowana.

- Dziękuję, że się dziś zjawiłeś, Rutledge - zaczęła chłodnym tonem. - Przykro mi, że Elliot nie wyjaśnił dokładnie mojego położenia.

Usiłowała to jakoś załagodzić.

- Twojego położenia? - zapytał, przechylając na bok głowę.

Freddie podeszła do niego.

- To miło z twojej strony, że starasz się o moją rękę, ale doprawdy zapewniam cię, że nie jest to konieczne.

- A ja zapewniam cię, że jest - rzucił jej wyzwanie.

- Freddie, nosisz moje dziecko.

Dziewczyna słabo się uśmiechnęła.

- O czym mi dobrze wiadomo, skoro połowę ranka spędzam na wymio... Ach, nieważne.

Bentley poczuł przez moment niepokój.

- Freddie, czy źle się czujesz? - spytał, obejmując dłonią jej łokieć. - Mam posłać po lekarza?

Freddie znowu się gorzko uśmiechnęła. Bentley zaczynał się już obawiać tego gorzkiego uśmiešku.



- Dziękuję, ale to niepotrzebne - powiedziała, ponownie robiąc krok w tył. - Nie bardziej niż moje za-mążpójście. Być może nie rozumiesz, ale w moim kraju pochodzenie z nieprawego łóżka nie jest wielką ujmą, a kiedy skończy się ta okropna wojna domowa...

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że przerwał ten potok słów.

- O nie, Freddie - wypalił, unosząc dłoń ku górze. - Słyszałem to już od Rannocha, więc nawet nie zaczynaj. Nie wyjedziesz do Flandrii, ani nie pojedziesz do domu w Portugalii. I nie wyjdiesz za mąż za jakiegoś tajemniczego narzeczonego, o co właśnie cię podejrzewam.

W jej oczach rozbłysł gniew.

- Nie jesteś jeszcze moim panem, panie Rutledge. Bentley poczuł, jak krew gotuje mu się w żyłach. Tyle z jego perswazji.

- Być może Rannoch nie wyjaśnił dokładnie mojego położenia, Freddie - powiedział, powstrzymując złość. - Ale na Boga, tu jest twój kraj. I to jest moje dziecko. I jeśli choć przez sekundę zdawało ci się, że możesz wystawić choćby mały palec poza angielską ziemię nosząc pod sercem moje dziecko, to niechybnie czeka cię niemiłe przebudzenie.

Całe jej ciało zeszywniało.

- Dlaczego, ośmielam się zapytać? - rzekła łagodnie. - Czy to groźba?

Bentley zauważył, jak ramiona dziewczyny pod niebieskim jedwabiem sukni zaczynają drżeć z gniewu.

- To dziecko jest moje, Frederico - powiedział przez zaciśnięte zęby. - I mam zamiar się nim zająć. Nawet nie myśl, żeby mi rzucać kłody pod nogi.

W jej ciemnych oczach rozbłysły buńczuczne iskierki.

- Twoje dziecko! Tobie kłody pod nogi! - wybuchnęła. - Jak śmiesz sugerować, że nie dbam o los mego dziecka? Zaufaj mi, Rutledge. Aż nazbyt dobrze wiem, jak to ważne mieć rodziców. Mieć poczucie bezpieczeństwa. Najpierw pomyśl, jak to jest być dzieckiem pozbawionym tego wszystkiego, czego ja byłam pozbawiona, a potem wykładaj mi swoje racje.

Bentley oderwał od niej wzrok i wlepił spojrzenie w głąb salonu muzycznego. No tak, naprawdę to wiedziała. Pewnie o wiele lepiej niż on. I wprawdzie jest młoda i emocjonalnie niedojrzała, ale nie głupia. Została zostawiona jako sierota. A Bentley z właściwym sobie tchórzostwem nie zainteresował się swoim pierwszym dzieckiem, córką, którą miał z biedną Mary. Przez jego lekkomyślność mała Bridget umarła. Jednak to dziecko to co innego. O nim wie. Nie popełnił dwa razy tego samego grzechu. Niemniej jednak jako o kandydacie do małżeństwa Frederica najwyraźniej nie miała o nim najlepszego zdania. A on nie mógł nie przyznać jej racji.

Podszedł do okna i wpatrzył się w bezbarwną mgłę. Dłonie zacisnął za plecami. Czul się, jakby słowa Frederiki okryły pokój całunem, który położył się też na jego nadziejach i marzeniach. Nawet na jego obawach i lękach. Ponieważ znowu wszystko sprowadzało się do jednego. Do dziecka. I do małżeństwa, w którym musi się sprawdzić.

Oderwał się od okna i podszedł do dziewczyny. Frederica siedziała przy pianoli, lekko przygarbiona. Bentley klęknął u jej stóp i chwycił w palce jej dłonie.

- Och, Freddie - powiedział, ściskając je mocno. - Musi nam się udać. Jest między nami wielka namiętność. Z pewnością uda nam się zbudować coś więcej. Nie chcesz spróbować? Czy sądzisz, że dla mnie jest to łatwe?

- Nie - odparła ze smutkiem. - Jestem pewna, że uziemienie u boku żony niezupełnie odpowiada twojemu ideałowi szczęścia. Mężczyźni twego pokroju nie pragną żony. Nie sądzę także, byś pragnął dziecka.

Bentley pochylił się ku niej i delikatnie ucałował ją w policzek.

- A dziewczyny twego pokroju nie pragną takiego męża jak ja, Freddie - wyszeptał. - Czy myślisz, że tego nie wiem? Jakoś przeżyjemy. A co do szczęścia, to śmiem powiedzieć, że to, czy znajdziemy je w naszym małżeństwie, zależy całkowicie od nas.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, zaskoczona niespodziewanym pocałunkiem.

- Pewnie myślisz, że cię złapałam w pułapkę - w jej głosie brzmiała nuta wyczerpania. - Och, Bentley, ja po prostu... po prostu nie wzięłam pod uwagę konsekwencji. Nie myślałam o tym, by mieć dziecko!

Bentley wstał i położył dłoń na jej wąskim ramieniu.

- To moja wina, Freddie - rzekł. - Nie powinniśmy... to znaczy, nie byłem... przygotowany.

Na twarzy Freddie pojawił się wyraz zakłopotania.

- Tak? A myślisz, że ja jestem?

Bentley przez chwilę nie zrozumiał, o co jej chodzi.

- Jesteś co?

- Przygotowana.

Bentley uśmiechnął się i pokręcił głową. Najlepiej wyjaśnić wszystko od razu.

- Freddie, skarbie, nie o takie przygotowanie mi chodziło. Nie rozumiesz, za każdym razem, kiedy robi się, hm, to...

- To...? - przerwała mu.

- Seks - wydusił z siebie to słowo. - Za każdym razem, kiedy się angażujesz w hm... może się zdarzyć, że będzie z tego dziecko.

Spojrzała na niego, a potem wybuchnęła sardonicznym śmiechem.

- Dobry Boże, Rutledge! Przy takim prawdopodobieństwie musiałeś spłodzić niezłą drużynę krykieta.

Bentley poczuł, jak szczęka mu się zaciska.

- Freddie, to nie twój cholerny... - Natychmiast się opanował. O mały włos nie skłamał. I przeklął. Jego interes po części był też jej interesem. Albo będzie w ciągu kilku godzin. - Tylko jedno - wydusił w końcu, wskazując palcem na jeszcze płaski brzuch dziewczyny. - Co razem daje dwoje. Ale nawet gdyby to się nie wydarzyło, nadal byłbym zobowiązany względami honoru, by się z tobą ożenić.

Frederica uniosła brodę i wstała.

- Sprawa honoru dżentelmena, tak?

- Właśnie - usiłował zdobyć się na uśmiech.

Wygięła swe egzotyczne brwi, spojrzała na niego dziwnie i zaczęła krążyć po pokoju. Bentley nie na darmo był graczem, by nie wiedzieć, kiedy ktoś wykłada złą kartę i desperacko zaczyna poszukiwać sposobu wyjścia. A czyż on nie zachowywał się dokładnie tak samo? Dlaczego tak lekkim krokiem zbliżał się ku gilotynie udomowienia? Wmówił sobie, że to z powodu tamtego incydentu z Mary i jego nieodpowiedzialnego zachowania. Wtedy zawiódł, a rezultat tego był tragiczny. Nie chciałby postąpić tak po raz kolejny.

Ale co będzie, jeśli nie zdoła stanąć na wysokości zadania? Jeśli mu się nie uda? Znajdzie się w pułapce. Znowu. I tym razem znajdzie się w tej pułapce nie sam. Pierś ścisnął mu stary, znajomy strach. Poczucił, że pocałował się z nią. Zaczynają się trząść. Dobry Boże, nie tutaj i nie teraz. Jednak czuł się, jakby z pokoju wyssano całe powietrze.

Zaczęły dręczyć go rozliczne pytania. Czy będzie dobrym mężem? Godnym zaufania ojcem? Czy może obiecać, że nigdy jej nie zostawi? Oparł dłoń o pianolę i zdołał uspokoić oddech.

Kiedy przyszła mu do głowy myśl, że się ożeni, wmówił sobie, że to jedynie lekka niewygoda. Ze nic tak naprawdę się nie zmieni. Jednak wszystko miało ulec zmianie. Freddie nie zaakceptuje niczego innego. Oboje czuli do siebie fizyczny pociąg, tak. Nawet teraz, gdy na nią patrzył, czuł jak gdzieś w środku budzi się w nim potężne uczucie. Bentley obawiał się jednak, że to może nie potrwać długo. A ona zasługuje na coś lepszego.

Przyglądał się pięknej rzeźbie jej twarzy, gdy dziewczyna przechadzała się po pokoju. I nagle zdał sobie sprawę, że żeniąc się z nią pozbawi się jednej rzeczy, która przez całe życie przyświecała jego kontaktom z innymi ludźmi. Wolności, by w każdej chwili wyjść: opuścić pokój, kraj, nawet czyjeś życie, jeśli kontakt stawał się zbyt bliski, zbyt wymagający... zbyt dla niego niewygodny. Nikt, nawet jego siostra Catherine, nie trzymał go na smyczy. Nikt nie mógł go zmusić do posłuszeństwa. Nikt nie był w stanie zastraszyć go, ani zastraszyć, by pokochał, był posłuszny lub ulegał innym emocjom. Nigdy, przenigdy, przysięgał sobie, nie będzie żył w ten sposób. I jeśli ceną, którą miał zapłacić za swoją wolność, byłaby utrata tej swoistej izolacji, w której wiódł życie, nie mógł powiedzieć, że nie będzie z tego powodu cierpiał.

Czy byłoby jednak uczciwie, by cierpiała z tego powodu Frederica?

W końcu przestała chodzić i odwróciła się, by na niego spojrzeć; wąskie ramiona wyprostowała w geście uporu.

- Skończymy tym, że się oboje znenawidzimy - powiedziała.

Tak naprawdę chciała powiedzieć: „znenawidzę cię”, pomyślał Bentley.

- Nie, nie znenawidzimy się - rzekł stanowczo. - Nie możemy. Mamy obowiązki względem dziecka.

Dziewczyna czytała chyba w jego myślach.

- Och, Bentley - powiedziała z cichym smutkiem. - Czy mogę na ciebie liczyć? Naprawdę na ciebie liczyć?

Pytanie brzmiało tak szczerze, że Bentleya znowu dopadły obawy. Ta niepewność zbliżyła go do niej, zmusiła do ujęcia jej dłoni.

- Wobec tego rok - odparł pospiesznie. - Pobierzemy się i damy sobie rok. I zobaczymy, jak nam idzie.

- Rok? - W jej głosie brzmiało przerażenie.

Bentley wziął głęboki oddech.

- Dobrze, pół roku - udało mu się z siebie wydobyć. - Spróbujemy przez pół roku. Jeśli nam to nie wyjdzie, jeśli oboje będziemy nieszczęśliwi, zamieszkamy osobno. Muszę jednak móc widywać dziecko. Muszę wiedzieć, Freddie, że wszystko jest w porządku. Musisz mi obiecać, że nigdy gdzieś daleko nie pojedziesz. Zapewnię ci dom i służbę, i wszystko, czego będzie potrzebowało dziecko, jeśli chodzi o edukację i posag.

- Bentley, do wychowania dziecka nie wystarczy jedynie to!

Nie zrozumiał jej.

- Bardzo dobrze. Pięć tysięcy rocznie na twoje wydatki.

- Pięć tysięcy funtów? - Spojrzała na niego, jakby właśnie wyrosły mu rogi.

Dobry Boże! Bentley nigdy nie podejrzewał, by Freddie była materialistką. Ale nie wiedział także jak to jest być niezamężną kobietą z dzieckiem, prawda?

- Wobec tego dziesięć tysięcy - powiedział łagodnym tonem.

- Dobrze - wypaliła. - Skoro tak chcesz.

- Czy może piętnaście?- zapytał pospiesznie. - Ile będzie trzeba. Do diabła! Jeśli się z tobą ożenię, moje dobra doczesne będą należały do ciebie. Musisz mi jednak obiecać, że się postarasz, Freddie. A ja cholernie, to znaczy... bardzo postaram się, by być dobrym mężem.

Twarz Freddie posmutniała.

- Och, Bentley! - wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami z pełnym niedowierzania wyrazem twarzy. - To wszystko brzmi tak... oburzająco. Mówisz o pieniądzach i o separacji... i, o mój Boże, jak mogliśmy do tego dopuścić?

Mężczyzna wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Boże, trzeba rozładować to napięcie.

- Cóż, Freddie - zażartował, opierając się niebadał biodrem o pianolę. - Co do mnie, to byłem trochę zaskoczony. A co do ciebie... - W tym momencie udało mu się obdarzyć dziewczynę jednym ze swych najbardziej zawadiackich uśmiechów. - Wolałbym uważać, że po prostu nie mogłaś mi się oprzeć. Ale to ty mi powiedz, Freddie, co to było?

Później Bentley nie mógł zrozumieć, dlaczego drażnił się z nią takim głupim pytaniem.

Być może miał nadzieję usłyszeć, że odkryła w sobie jakąś nieokiełznaną namiętność do niego, która będzie trwać przez całe życie. Albo namiętność do bezwartościowych drani w ogóle?

Freddie odetchnęła głęboko, złożyła obie dłonie niczym uczennica i podeszła do niego.

- Och nie wiem! Byłam po prostu tak bardzo zraniona. Tak szalona. I myślę - przerwała i potrząsnęła głową, jakby chciała wygnać z niej myśli. - Tak,

myślę, że po prostu chciałam odegrać się na Johnnym. Chciałam go ukarać.

Bentley wbił w nią pełne niedowierzania spojrzenie.

- Odegrać się na Johnnym?

Jej usta zadrżały.

- No wiesz, żeby pożałował, że mnie porzucił.

W Bentleyu ponownie zawrzała gniew i poczuł się dotknięty do żywego.

- Poszłaś ze mną do łóżka na złość komuś?

Frederica miała na tyle przyzwoitości, by wbić wzrok w podłogę.

- Po części - wyszeptała. - I chciałam zobaczyć, jak to jest... Wiesz, jak to się robi. A słyszałam, jak Winnie mówiła, że jesteś niezłym ekspertem.

- A niech mnie diabli! - przeklął, raptownie odrywając się od pianoli. Freddie nie uznała go nawet za tego, któremu nie mogła się oprzeć! Chciała po prostu zrobić na złość innemu mężczyźnie! To zabolowało go o wiele bardziej niż powinno i przywołało zbyt wiele gorzkich wspomnień. Ponownie był wytrącony z równowagi.

- Pozwól, że ci coś powiem, Federico - warknął, odwracając się w jej stronę. - Byłem w swoim życiu wykorzystywany, źle traktowany i obwiniany za wiele zła. Ale, na Boga, nie życzę sobie być wykorzystywany jako narzędzie seksualne przez kogoś, kto robi to z czystej złośliwości. Nie mam też najmniejszego zamiaru chwalić się tym na herbatce u starego Johnnym'ego. I przysięgam ci, Freddie, jeśli kiedykolwiek zastosujesz podobną sztuczkę, stłukę ci tytek na kwaśne jabłko.

Freddie lekko się wyprostowała, uniosła w zdumieniu brwi i spojrzała na niego, zadzierając dumnie nos.

- Chciałabym zobaczyć, jak usiłujesz to zrobić - syknęła. - Rannoch położyłyby twoją głowę na półmisku, gdyby w ogóle ocalała po tym, jak ja bym się z tobą rozprawiła. I wiedz, że sposób, w jaki się do mnie zwracasz, jest dla mnie wielce obraźliwy.

Bentley chwycił dziewczynę za ramię i przyciągnął jej mały, zadarty nos do swej twarzy.

- Kochanie - rzekł z pogardą. - Nie chcę być draniem, który burzy twoje romantyczne wyobrażenie, ale większość tego, co jest ze mną związane, można uznać za wielce obraźliwe. I możesz zacząć się do tego przyzwyczajać.

Freddie uniosła brwi jeszcze wyżej, otworzyła usta i natychmiast wybuchnęła płaczem.

Bentley spojrział na nią w niemym zdumieniu.

Och, do diabła z tym wszystkim, pomyślał. Teraz naprawdę przesadziłem. Puścił jej ramię i wplótł obie dłonie w jej włosy,

- O Jezu... Freddie, nie płacz! - poprosił ją. - Proszę, proszę, nie płacz. Wszystko, tylko nie to. Wiesz, że nie mogę tego znieść.

I wtedy w jakiś sposób, nagle dziewczyna znalazła się w jego ramionach, szlochając na jego piersi. To właśnie wpędziło go na początku w tarapaty. Bał się, naprawdę panicznie lękał się płaczących kobiet. A kiedy to się działo, stosował albo kupowanie płaczącej biżuterii, albo pozostawianie jej bez zmysłów. Nic dziwnego, że Freddie zaszła w ciążę. Naprawdę dorobiliby się całej drużyny krykieta. Gdyby z nim została.

- Nic na to nie poradzę! - wyszłochała, desperacko wbijając palce w materiał jego płaszcza. - Nie potrafię. Czuję się cały czas taka słaba. Śmieję się i płaczę. Jestem głodna i mam mdłości. Jakbym, och... jakbym nie była sobą. Evie mówi, że poczuję się zno-

wu dobrze, kiedy urodzi się dziecko, ale ja po prostu jej nie wierzę.

Bentley ponownie poczynił w myślach spostrzeżenie. *Dowiedz się, co takiego zrobiłeś, że płacze. Inigdy, przynigdy nie rób tego ponownie.* Potem ucałował ją w czubek głowy i jednym ramieniem objął jej nadal szczupłą talię.

- Cóż, przykro mi, Freddie. Przysięgam. Domyślam się, że nie ma znaczenia, dlaczego to uczyniliśmy.

- W twoich ustach brzmiało to tak... tak oburzająco - zapłakała, a jej słowa dochodziły do niego stłumione, gdyż skryła twarz na jego piersi. - Nie miałam zamiaru powiedzieć tego w taki sposób... Nie chciałam, by tak to zabrzmiało, Bentley. Nie chciałam. Pomyślałam tylko... och, pomyślałam... nie wiem.. czułam się tak okropnie i taka zła. A ty pachniałeś tak pięknie i zawsze byłeś taki słodki.

*Słodki...?*

Boże wszechmogący! Myślała, że jest słodki? Cały czas zapominał, jak młoda jest Freddie. Nie chciał, by ktokolwiek go podziwiał. Do diabła, nie chciał być niczym bohaterem. I nagle zaświtało mu w głowie, dlaczego tak mogłoby być.

Zawsze cieszył się przywilejem bycia niespokojnym duchem. Zawsze można było się spodziewać, że zamiast rzeczy właściwej zrobi coś najgorszego i uda mu się wymigać od konsekwencji - wystarczy, że przyjmie postawę zbitego psa oraz roztoczy wokół swój czar, któremu nie sposób było się oprzeć. Zawsze udawał, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli ewidentnie tak nie było. Nie brakowało mu do tego stopnia umiejętności wglądu w siebie, aby nie rozumiał rządzących jego zachowaniem mechanizmów.

Jednego tylko do końca nie pojmował: w jaki sposób stać się innym człowiekiem. Głową rodziny. Do tej pory Cam był zawsze chętny, w bardzo irytujący sposób chętny, do zajmowania tego miejsca. Nagle Bentley odsunął na bok zranioną dumę, zwariowane, nieokreślone uczucie, jakie żywił do Freddie, i swoją nieciekawą przeszłość. Pomyślał tylko o przyszłości. Miał zostać mężem. Ta myśl przyprawiła go o dreszcze. To właśnie się działo. Było obecne. Miał się ożenić i mieć dziecko i ponosić odpowiedzialność za opiekę nad nimi oraz ich szczęście aż do chwili, w której jego trumnę włożą do grobu na tyłach kościoła świętego Michała, Jeśli Freddie z nim zostanie.

Nagle w jego głowie pojawiła się znowu ta małostkowa myśl.

- Bentley? - usłyszał głos Freddie, jakby dobiegający z oddali. - Bentley, wszystko w porządku<sup>7</sup>

Spojrzał na nią i zamrugał. Freddie wyglądała mizernie, była zmęczona. I tak bardzo młoda. W jakiś sposób zdobył się na uśmiech, a potem, chcąc ukoić siebie i ją, przyciągnął dziewczynę do siebie i wtulił twarz w jej szyję. I ku swemu zdumieniu poczuł, że dotyk ten jest być może wart całego strachu i poświęcenia, jakie przeżywał.

- Trzymaj się mocno, Freddie - wyszeptał. - Damy sobie radę.

- Dobrze - rzekła dziewczyna. - Spróbuję.

Bentley ponownie ucałował ją w czubek głowy.

- Dobra dziewczynka - powiedział. - A teraz chodźmy na dół i zrobmy, co mamy do zrobienia. Wielebny Amherst czeka.

Natychmiast oderwała głowę.

- Teraz...? - wykrztusiła, a w jej oczach pojawiło się przerażenie. - Bentley, czy ty zwariowałaś? Nie

możemy zrobić tego teraz! Nie jesteś ubrany! I spójrz na mnie! Mam zapuchnięte oczy i czerwony nos, nawet nie mam tortu weselnego ani obrączki, ani żadnych innych rzeczy!

Bentley poczuł ukłucie irytacji.

- Freddie, kochanie, jesteś w ciąży. Czego jeszcze potrzebujesz, by wziąć ślub?

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz zupełnie taki, jak u rozkapryszonej małej dziewczynki, kiedy każe się jej iść spać.

O Boże! - pomyślał Bentley. Co za cholerne zamieszanie z tym całym ślubem!

- Boże, przepraszam, Freddie - zdobył się na te słowa. - Proszę, nie płacz. Wróć jutro.

- Jutro? - pociągnęła nosem, a w jej głosie pojawiła się nutka wdzięczności.

- Jutro - odparł znużonym tonem. - Ale kochanie, to ostatnie słowo. Jeśli nie będziesz gotowa, zarzucę ci worek na głowę i zawiozę do Gretna Green.

Dzięki swym naleganiom kolejną godzinę Bentley spędził w bibliotece Rannocho, przedstawiając mu twarde warunki ustaleń małżeńskiego kontraktu. Niezależnie od tego, jak bardzo niesmaczna wydawała mu się ta konieczność, uznał, że musi z godnością wywiązać się z obietnicy złożonej Freddie w sprawie próby na pół roku. Musiał dać jej to na piśmie, aby miała choćby niewielki wyraz jego dobrej woli. Nie potrzebował jednak pieniędzy Rannocho.

Markiz nieznacznie uniósł brwi, kiedy Bentley wspomniał, że wraz z Frederiką ustalili warunki na wypadek separacji. Potem wydał dziwny, gardło-

wy dźwięk, kiedy Bentley wyjaśnił warunki finansowe, jakie zaproponował. A gdy Bentley upierał się, by określić pokaźny posąg dla każdego zrodzonego z tego związku dziecka, markiz dosłownie zakrzuszył się kawą.

Bentley uznał, że to najbardziej satysfakcjonujący znak, jaki mógł otrzymać. Był jednym z tych zuchwałych graczy, którzy bywali i na wozie, i pod wozem, i nigdy zbytnio się tym nie przejmował. Teraz, po raz pierwszy w życiu, Bentley poczuł się prawdziwie dumny z faktu, że jego obecna sytuacja jest wyjątkowo pozytywna. I zanim zdążył zaczerpnąć tchu, dotarła do niego myśl, że teraz będzie musiał dołożyć starań, by tak pozostało.

Czując serce niemal w gardle, opuścił dom marki-za i udał się prosto na ulicę Lombard. Dosłownie mały włos dzielił go od skrajnej nędzy. Uwaga, jaką rzucił Stoddarowi, była jedynie w połowie żartem. Jeśli komuś nie poszło któregoś dnia na giełdzie, brokerzy mogli dosłownie wyczyścić go z całego majątku i wyssać do szpiku kości. Na giełdzie można było osiągnąć zyski nieprzyzwoicie wysokie, ale gdy zdarzyły się straty, równały się one zupełnemu bankructwu. I niezależnie od tego, jak pociągające było takie ryzyko, nie mógł już sobie na nie pozwolić.

Stoddard, dzięki Bogu, nie oddał jeszcze ostatniej umowy. Był dość zadowolony, mogąc wrzucić papiery do kominka i niemal rozplynał się ze szczęścia, kiedy Bentley kazał mu ulokować depozyt z całego wolnego kapitału na bezpieczne i rozsądne pięć procent. I w taki sposób zakończył się trzyletni romans Bentleya z najbardziej niewierną z kochanek, londyńską giełdą.

Stoddard uśmiechnął się promiennie, odprowadzając Bentleya do drzwi.

- Domyślam się, że zrozumiał pan błędy swojego dotychczasowego inwestowania, panie Rutledge - zarechotał, strzepując pyłek z rękawa.

- Dobrze się domyślasz - przyznał nieco posępnie Bentley. - Śmiem twierdzić, że kolejną rozrywką, której się będę musiał pozbyć, będzie hazard. Niedługo będę cierpiał na podagrę i leżał z ciepłym szalikiem na szyi.

Wstyd przyznać, ale taka była prawda. Życie, które znał, miało się zmienić. Tak więc nieco przytłoczony Bentley ruszył przed siebie. Wchłonał potrawkę z węgorka oraz kufel ciemnego piwa w ponurym pubie, którego atmosferę wyjątkowo sobie upodobał. Nieco pokrzepiony na duchu i ciele, pomaszerował na Strand.

Kembley był do połowy zanurzony w gablocie, układając rozmaite tabakiery, kiedy obok niego pojawił się Bentley. Na dźwięk dzwonka podniósł głowę, a w jego oczach pojawił się od razu wyraz nieufności.

- Znowu ty! - odezwał się, kiedy Bentley wszedł do środka. - I nie patrz na mnie jak szczeniak, który nasikał na dywan.

- Hau! - szczerknął Bentley z bezwstydnym uśmiechem. - Obawiam się, że to jednak coś poważniejszego niż dywan.

- Co znowu? - Kem wyrócił oczami.

- Ślub.

- Dobry Boże! - rzekł Kembley, odrywając się od gabloty. - Kiedy?

- Jutro. - Bentley oparł się o framugę i przybrał żaloszny wyraz twarzy.

Kembley westchnął, zamknął gablotę i przekręcił klucz.

- Masz odpowiedni strój? - rzucił wyzwanie, omijając stół, na którym stało mnóstwo starych zega-

rów. - Nie. Tak myślałem. Gdzie to ma być? Tylko, na Boga, nie mów, że u świętego Jerzego. To jest absolutnie poza moim zasięgiem.

Kościół? Bentley nigdy się nad tym nie zastanawiał. Frederica chciała mieć obrączkę i tort weselny, więc pewnie chciała też ślubu w kościele. Do diabła! To oznaczało, że czeka go więcej pracy w jeden dzień niż to, co robił w ciągu całego tygodnia. Nagle przypomniał sobie jej drżące usta i wszelkie przeszkody uciekły z jego myśli.

- Gdzie? - zapytał ponownie Kembley, rozsuwając szeroko zielone kotary, które oddzielały sklep od zaplecza. - Pamiętaj, Rutledge, ubieramy się nie tylko stosownie do okoliczności, ale też stosownie do miejsca!

Bentley wskoczył na schodek tuż za nim, szerokim łukiem omijając delikatnie wyglądające zegary. - Nie myślałem o ślubie w kościele - odparł uczciwie. - Uważasz, że powinienem?

Kembley odwrócił się raptownie, a na jego twarzy pojawił się przestach.

- Mój Boże, to chyba nie twój ślub?

- Życz mi szczęścia, Kem. - Bentley usiłował zdobyć się na uśmiech.

Ten jednak przycisnął jedynie dłoń do czoła.

- Dobry Boże! - wymamrotał. - Znałem Bentleya Rutledge'a, człowieka czynu! Sądziłem, że pozostaniesz uroczym i rozpustnym leniem.

- Cóż - odparł lekko zadumany Bentley. - Zmiany, zmiany.

Kembley przedarł się przez kotary, a Bentley ruszył za nim. Tam gospodarz chwycił pióro i wyjął je z podstawki. Zaczął coś notować.

- Modłę się, żeby Maurice nadal miał twoją miarę - wypalił, pisząc coś jednocześnie. - Dyrygent chóru

u świętego Marcina jest mi winien przysługę. Za chwilę się tam przejdziemy. I kwiaty! Potrzebne nam kwiaty, najlepiej lilie. Dobry Boże, Rutledge! Przez ciebie zostanę chyba świętym krawcem. W jaki sposób oczekujesz ode mnie, że załatwię to w jeden dzień?

- Cóż - odparł spokojnie Bentley. - Idzie ci doskonale, Kem. A ja przyszedłem tylko kupić obrączkę.



## Rozdział 9

### *W którym lord Treyhern podejrzenia najgorsze*

Rankiem w dniu ślubu Frederica strzepnęła swą ulubioną niebieską suknię i podała ją pokojówce Jennie, która usługiwała jej i Zoe. Była to jej ostatnia jasna myśl. Reszta dnia upłynęła na rozgardiaszu pakowania, uścisków, płaczów i w kompletnym chaosie. Było jak było. Dziewczyna bała się zwolnić tempo. Obawiała się, że znowu dopadną ją obawy, zanim stanie się, co ma się stać. A mimo to poranek niepozbawiony był nadziei; małego promyczka, który płonął na dnie jej serca.

Frederica miała za sobą bezsenną noc. Lecz ku jej zdumieniu nawiedziło ją niewiele wątpliwości. Brak snu spowodowany był po części właśnie nadzieją. Oraz myślami o tym, co zdarzy się po ślubie. Nie, nie był to jej wymarzony mąż. Był jednak z całą pewnością jej wymarzonym kochankiem.

- Lepszy diabeł, którego znasz, nawet jeśli to diabeł wcielony - westchnął Elliot i ucałował ją delikatnie w czubek nosa.

Przynajmniej jej dziecko otrzyma to, o czym zawsze marzyła Frederica. Dobre angielskie nazwisko oraz prawe pochodzenie, udokumentowane drzewem genealogicznym sięgającym kilkunastu pokoleń

wstecz. A w dodatku, choć głośno nigdy by się do tego nie przyznała, w jej sercu coraz raźniej płonęła malutka iskierka nadziei, która z pewnością nie znajdzie spełnienia. Niemniej Bentley Rutledge, którego do tej pory znała, nie był dokładnie tym samym mężczyzną, który wczoraj jej się oświadczył.

Zoe spędziła wczesne godziny poranka, krzątając się po sypialni Frederiki i zachowując się dość nieznośnie. Najwyraźniej przyszyły mąż Frederiki, jak się okazywało, miał wiele zalet, których wcześniej jakoś nie dostrzegała. Aby odwrócić uwagę przyjaciółki od porannych mdłości, Zoe bardzo chętnie zajęła się ich wymienianiem. Oprócz błyskotliwego umysłu, ciętego dowcipu i uroczej osobowości Bentley miał również mile serce, idealnie proste uzębienie oraz burzę czarnych, niesfornych włosów. Potem wspomniała coś o jego bezwstydnym uśmiechu, który pojawiając się uwypuklał lekki dołeczek w jego lewym policzku. A te oczy! Och, miały wspaniały, tajemniczy odcień, tak twierdziła Zoe, ciemnobrązowe tęczy z obwódkami w kolorze morskiej zieleni.

A kiedy Zoe zaczęła wzdychać nad rozmiarami jego uda, Frederica odsunęła od siebie nocnik i zaproponowała przyjaciółce, by w takim razie sama wyszła za niego za mąż, sama zaś zajęła się picciem gorącej czekolady. Zoe roześmiała się i postraszyła Frederice, że odbierze jej Jenny, którą wspaniałomyślnie zgodziła się przydzielić Frederice na podróż do Gloucestershire do rodziny Bentleya.

Wkrótce znalazła się w kościele w samym środku uroczystości, tak prostej i eleganckiej, że aż zaparło jej dech w piersiach. Kościół świętego Marcina, choć nie był wielce modny, był jednym z najpiękniejszych kościołów Londynu. Z okazji ślubu rozbłysnął tysiącami świec, wypełniony wonią poustawianych w wa-

zonach lilii, ozdobionych złotymi, satynowymi wstążkami. Dziewczyna była do głębi poruszona faktem, że Bentley zadał sobie tyle trudu, by to wszystko zorganizować.

Potem pojawił się wielebny Amherst, który wyglądał zupełnie inaczej w pełnym przepychu ornacie. Następne, co zapamiętała Freddie, to jej trzęsące się kolana, kiedy Bentley wsunął na jej palec ciepły złoty krążek i szeptem, który tak uwielbiała, poprzysiągł jej dozgonną miłość. Potem pamiętała już jedynie, jak przez mgłę, jak całowano ją w policzek i ścisłano dłoń, kiedy stała u boku swego męża na schodach kościoła.

Bentley, który nigdy nie umiał długo pozostawać poważny, nie mógł się pohamować, by nie okazać wesołkowatości. Kiedy kościelne ławki zupełnie opustoszały i goście się oddalili, z uśmiechem chwycił świeżo poślubioną żonę w płucho i uniósł do góry, a potem całował ją raz za razem na kościelnym dziedzińcu i zaczął wirować z nią wkoło coraz szybciej i szybciej, zupełnie tak, jak robił to w tamte święta Bożego Narodzenia. I nagle, zupełnie niespodziewanie, Frederica poczuła, jak serce zalewa jej fala szczęścia. W jego dotyku było coś, co dawało jej poczucie całkowitej rozkoszy, a w jego twarzy nie dostrzegała ani śladu tego, by stanął przed ołtarzem wbrew własnej woli.

Kiedy postawił ją na ziemi, była jedynie w stanie złapać oddech, chwycić go za rękę i zerknąć na monogram na jego sygnecie.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że naprawdę masz na imię Randolph? - spytała, śmiejąc się wesoło.

Podczas ceremonii imię to wydało jej się stateczne i dające poczucie bezpieczeństwa. Była panią Ran-

dolphową Bentham Rutledge. Przywoływało jej nadzieje na coś zwykłego i poważnego. Lecz gdy ją pocałował i zawirował nią na dziedzińcu, znowu stał się dla niej zwykłym Bentleyem. Jej przyjacielem. Jej kochankiem. A teraz jej mężem. I nagle poczuła się zwyczajnie szczęśliwa.

Nie miała jednak czasu, by pławić się w swym szczęściu. Nagle pan Kemble, dawny lokaj Elliota, skłonił się nisko, ucałował bardzo elegancko jej dłoń i zaczął się rozpląwać jeszcze bardziej poetycko niż Zoe nad tym, jakim niezwykłym egzemplarzem angielskiego dżentelmena jest jej mąż. Później dziewczyna odkryła w powozie przepiękny prezent ślubny: dziesięcioczęściowy rokokowy serwis do herbaty wykonany ze starego srebra oraz kopertę koloru kości słoniowej, na której idealnymi literami wykaligrafowano: *Niezawodne lekarstwo na niedyspozycję, receptura pana G. J. Kemble*. Była to dziwnie brzmiąca receptura na lekarstwo na poranne mdłości. To podziałało na Frederice jak zimny prysznic, przywracając ją do rzeczywistości.

Nie był to ślub z jej snów. Niósł jednak ze sobą wielką obietnicę i być może to właśnie było o wiele bardziej rzeczywiste niż jej dziewczęce marzenia. Kwestia ta trapiła ją, kiedy powrócili do Strath na weselne śniadanie. Jedzenie jej nie smakowało; zaczęła czuć lekki strach na myśl o tym, że oto nadchodzi moment, kiedy będzie musiała opuścić rodzinę i swój dom. Nie mogła jednak wymigać się od kolejnej rundy ślubnych życzeń. Gdzieś w okolicach wczesnego popołudnia zostały wraz z Jennie zapakowane do lśniącego czarnego powozu, zwieńczonego herbem rodowym hrabiego Treyherna, i wywiezione ze Strath. Z dała od jedynej rodziny, jaką miała Frederica, od kiedy opuściła ojczyznę.

Jej mąż jechał koło powozu na pięknej, gniadej klaczy, która zachowywała się, jakby sama była panną młodą, strzygąc radośnie uszami i posłusznie reagując na każdy ruch i ciche polecenie jeźdźcy. W każdej mijanej wiosce witano ich niczym dawno niewidzianych krewnych. Wieśniacy orzący w polu i ich żony robiące pranie przerywali swe zajęcia, by pomachać młodej parze, albo zagadnąć słówko lub dwa zza okalających gospodarstwa kamiennych murków. W pobliżu Wal-lingford napotkali nawet tabor cygański, złożony z kolorowych wozów, w których jechały śniade, ciemne włosy piękności wołające Bentleya po imieniu. Ten zaś pomachał im i pojechał dalej.

Frederica wkrótce zdała sobie sprawę, iż nie ma szans, by przed nocą dotarli do Gloucestershire. Po południu się zachmurzyło się i zaczęło się robić ciemno. Wkrótce zatrzymali się na nocleg w gospodzie w pobliżu Little Wittenham. Bentley zachowywał się jak najdoskonalszy z mężów. Zbyt grzecznie, stwierdziła Frederica, kiedy taktownie załatwił dla siebie mały pokój oraz apartament dla niej i pokojówki. Było to stosowne zachowanie przystające mężowi, jednak zupełnie nie takie, Frederica przyznała to z lekkim zmieszaniem, na jakie miała nadzieję. Westchnęła, zamykając za sobą drzwi, i od razu padła na łóżko, zastanawiając się, kiedy wreszcie dotrą do Gloucestershire.

Camden Rutledge, hrabia Treyhern, szedł właśnie obszernym korytarzem w Chalcote Court, kiedy usłyszał odgłos końskich kopyt, tętniących na podjeździe. Było chłodne, wiosenne popołudnie. Komuś musi się strasznie spieszyć, pomyślał, gdy w szybę

strzeliło kilka kamyków żwiru, którym wysypano dziedziniec. Kamerdyner ruszył ku drzwiom, a hrabia opadł na krzesło w oczekiwaniu na coś, co najwyraźniej musiało być sprawą niecierpiącą zwłoki. Wyciągnął nogi obute w ciężkie robocze buty i zapadł się nieco na siedzeniu, patrząc beznamiętnie, jak Milford zapłacił posłańcowi i go odesłał.

Hrabia był na nogach na długo przed świtem. Cały poranek spędził z zarządcą i pracownikami, którzy budowali nowy spichlerz na przydomowej farmie. Samo postawienie kamiennych murów zajęło ponad dwa miesiące, a hrabia, doglądając budowy, zmiażdżył sobie trzy palce. Tego dnia był zarówno zmęczony fizycznie, jak i poirytowany. Zbyt zdenerwowany, by zajmować się wiadomością, która miała nadejść i którą Milford niósł właśnie przez korytarz z wielce wymownym wyrazem twarzy.

Milford westchnął cicho.

- Od pańskiego brata, milordzie.

- Od tego diabła wcielonego, powiadasz! - Treyhern rozerwał pospiesznie zalakowaną kopertę palcem, z którego zszedł mu paznokieć. W trakcie czytania listu humor mu się nie poprawił.

*Drogi Cam,*

*Wielce zobowiązany jestem za pożyczenie Twojego powozu z ulicy Mortimer. Przyjeżdżam jutro. Wpadłem. Oblubienicą jest panna d'Aviñez z Essex. Bardzo ładna panienka. Nie wiem, czy ją znasz.*

*Twój zawsze sługa i brat R.B.R.*

*PS Nie zabijaj tucznego cielaka, na tę okazję wystarczy oskubany kogut.*

- Mój Boże! - Hrabia zerwał się z krzesła, nadal wpatrując w list. - Helene! - ryknął, ruszając na poszukiwania żony. - Helene! Mój Boże, wydaje mi się, że Bentley zaczął palić opium!

Państwo Rutledge przybyli do Chalcote Court wczesnym popołudniem następnego dnia i wystarczył ułamek sekundy, a rozpętał się prawdziwy chaos. Frederica poczuła niemal ulgę, kiedy zza drzwi na żwirowy dziedziniec wysypała się rodzina Bentleya, machając dłońmi i uśmiechając się do toczącego się w kierunku drzwi powozu. Nie została wychowana w domu pełnym sztywnych zasad i nawet przez krótką chwilę nie chciała mieszkać w domu, gdzie czułaby się obco.

Dama i dżentelmen, troje dzieci, kilkoro służby i brudny spaniel tańczyli wokół ich bagaży pospiesznie wyładowywanych z powozu. Treyhern starał się uspokoić psa, pomimo iż na rękach trzymał niemowlę. Lady Treyhern ruszyła, by uściskać Bentleya, który zeskoczył z konia. Frederica poczuła ulgę, widząc, że wszyscy zachowują się najzupełniej normalnie. Ciepłi i nadwyzczaj odprężeni. Nagle wydało jej się, że małżeństwo z Bentleyem Rutledge'em nie było tak okropną decyzją.

Wkrótce i ją pochwycono w objęcia, została obsypana pocałunkami przez lorda Treyherna i jego żonę, a potem przekazana w ręce najstarszej córki. Lady Ariane Rutledge wyglądała na piętnaście lat, miała niebieskie oczy i była szczupłą, a jej gęste, niemal białe włosy przypominały Frederice o kuzynce Evie. Dziewczyna miała ciepły i figlarny uśmiech, który z kolei przywołał jej na myśl Zoe. Frederica poczuła, jak budzi się w niej tęsknota za domem.

Chalcote Court był z całą pewnością dużym domem, starym i niezwykle pięknym. Domostwo usytuowane było w otoczonym murem ogrodzie, na wzgórzu górującym nad spokojną wioską. Zza murów widać było normańską dzwonnice kościoła. Wkrótce gości poproszono do długiego, słonecznego salonu, gdzie podano tacę kanapek i herbatę. Lady Ariane dołączyła do towarzystwa, a jej rodzeństwo, Gervais, Madeleine i mała Emmie, radośnie oddaliło się pod baczny okiem opiekunki.

Frederica poczuła znaczną ulgę, dowiedziawszy się, że Bentley zawiadomił rodzinę o ich małżeństwie. Nie była do końca pewna, czy taki pomysł przyjdzie mu do głowy. Może miała do niego zbyt mało zaufania? W końcu zdobył się na zorganizowanie przepięknej uroczystości ślubnej, i to w ostatniej chwili. Wkrótce dla Frederiki stało się jasne, że pomimo ciepłego powitania, rzeczywistość nowej sytuacji nie do końca dotarła do rodziny Bentleya.

Lord Treyhern, który był po prostu szczuplejszą, mniej życzliwie wyglądającą kopią brata, uśmiechał się lekko, ale wymówił zaledwie parę słów. Jednak lady Treyhern była dość wylewna i także bardzo francuska, chociaż jej akcent ledwo dało się spostrzec. Wkrótce stało się jasne, że pomiędzy nią a Bentleyem istnieje silna więź emocjonalna. Ariane częstowała gości kanapkami, Helene nalewała herbatę, a cała piątka gawędziła o ciepłej pogodzie i podróży z Londynu. Powoli jednak rozmowa zaczęła zmierzzać ku brzemiennej w skutki ciszy, która tak często zapada, kiedy wyczerpią się już wszelkie błahe tematy konwersacji.

- Cóż! - odezwała się radośnie Helene, pochylając się, by nalać herbaty Frederice. - Teraz, kiedy już odprawiliśmy należne grzeczności, musisz, Frederico,

zaspokoić naszą zwykłą ciekawość i powiedzieć, jak długo znacie się z Bentleyem.

Frederica wzięła filiżankę i spodek. Jak długo się znają?

- Cóż, wydaje mi się, że większość życia - powiedziała całkiem szczerze. - Bentley od wielu, wielu lat jest najlepszym przyjacielem mojego kuzyna Augustusa.

Samą ją zdziwił fakt, iż nie pamięta czasów, kiedy osoba Bentleya nie przewijała się przez jej życie w Chatham Lodge. Nie przypominała sobie też, by kiedykolwiek nie lubiła jego towarzystwa. Helene rozsiadła się wygodnie na krześle, a na jej twarzy odmalował się wyraz ulgi, ale hrabia natychmiast podebrał się na nogi.

- Wybaczcie mi, panie - rzekł suchym tonem. - Bentley, przejdziesz się ze mną do gabinetu? Jest pewna bardzo pilna sprawa dotycząca majątku, o której musimy porozmawiać.

Frederica zauważyła, jak na twarzy jej nowo poślubionego męża pojawiła się ciemna chmura. Bentley wstał sztywno.

- Tak, oczywiście - powiedział cichym tonem. - Nie śmiałybym pozbawiać cię mojej jakże wszechstronnej mądrości.

Zniknęli obaj za drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pokoju.

- Jego lordowskiej mości się to nie podoba - wymruczała Frederica, kiedy tylko drzwi za nimi się zamknęły.

Helene odstawiła filiżankę z herbatą.

- Och, nie, moja droga! - odparła. - Mój mąż jest po prostu zaskoczony, to wszystko. Wiadomość Bentleya była dla nas szokiem, ponieważ nie mieliśmy pojęcia, że rozważa małżeństwo. Najwyższa już pora jednak, by tak się stało, i jesteśmy szczęśliwi, Frede-

rico, bardzo szczęśliwi, że możemy powitać cię w naszej rodzinie.

- Jestem zaszczycona.

Nagle Helene celowo pochyliła się do przodu.

- Chodź - rzekła. - Pokażę ci apartamenty, które odnawiam. Zobaczymy, czy ci się podobają. Nie jest to wielki dom, ale wydaje mi się, że będzie ci tu wygodnie.

- Oczywiście. - Frederica zmusiła się do uśmiechu. - Jesteście wszyscy bardzo mili.

Biblioteka w Chalcote wyglądała tak, jaką zapamiętał ją Bentley. Był to obszerny pokój, wyłożony ciemną boazerią, z wielkim oknem w wykuszu i olbrzymim, mahoniowym biurkiem. Książek znajdowało się tu tyle, że wystarczyłoby dla całej biblioteki miejskiej. Jedyną odmianę stanowił kłębek małych kociać, z których połowa spała przy ogniu z matką, Matyldą, burą kocicą, wpatrującą się w Bentleya zaszpanymi, zmrużonymi oczami.

Reszta kociać, trzy tłuściutkie futrzane kulki kroczyły na chwiejnych nóżkach po węglarce pod bacznym spojrzeniem babki, Boadicei, która usadowiła się w pozie sfinksa na egzemplarzu *Timesa* na biurku Cama. Instynktownie Bentley ruszył w kierunku paleniska i jednego z wypchanych do granic możliwości foteli, które stały po obu jego stronach. Był zmęczony, nerwy, już na skraju wyczerpania i chciał wysłuchać kazania Cama w pozycji siedzącej, jeśli w ogóle uda mu się dotrzeć do końca, co często mu nie wychodziło.

- Domyślam się, że zrujnowałeś biedną dziewczynę! - odezwał się Cam, od razu wykładając kawę na ławę.

- Tak? - Bentley wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach; ten niedbały gest zawsze irytował jego brata. - Czy to najlepsza myśl, na jaką wpadłeś, Cam? Zawsze myślisz o gwałtach, grabieżach, porywaniu i tak dalej. A może ożeniłem się z nią dla pieniędzy.

Jego brat wyglądał na nieco zbitego z tropu.

- Cóż, cokolwiek można by o tobie powiedzieć, Bentley, nie wyobrażam sobie, byś ożenił się z kobietą dla jej majątku - odparł szorstko. - Nie lubisz pieniędzy na tyle, by sobie zawracać głowę.

- Cóż za komplement! - odezwał się gorzkim tonem Bentley. - Jak hojnie z twej strony.

Jego brat wykonał ręką zniecierpliwiony gest.

- Chcę tylko pomóc, Bentley - powiedziała. - Jeśli z twoim małżeństwem związany jest jakiś skandal, chciałbym poznać całą prawdę teraz.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. - Głos Bentleya był nadzwyczaj spokojny. - A co do skandalu, obawiam się, że jeden mały w istocie jest. Pogratuluj mi Cam. Niedługo znowu zostanę ojcem.

Bentley patrzył z niemąłą satysfakcją, jak z twarzy jego brata znikają rumieńce.

- Znowu? - stwierdził Cam. - Nigdy nim nie byłeś Bentley. Nie w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Z jakiegoś powodu odpowiedź Cama nie poruszyła w nim czułych strun, tak jak by się tego spodziewał. Po części odpowiedzialne za to było jego zmęczenie. Po części widok małego kociaka, który przewracał się i wspinał na nogawkę spodni Cama. Byłoby trudno robić z siebie zupełnego kretyna z miauczącą futrzaną kulką uczeploną u spodni.

- Owszem, tak naprawdę nigdy nie byłem ojcem - przyznał Bentley patrząc, jak jego brat ostrożnie odczepia kocie pazurki ze spodni i kładzie sobie zwie-

rzątko pod brodą. - Ale to nie moja wina, Cam. Gdybym wiedział, że moja kochanka urodziła córkę, zadbałbym o obie najlepiej jak bym potrafił. I zadbam o to dziecko najlepiej jak będę potrafił. Więc życzyś mi szczęścia, Cam? Czy też masz zamiar prawić mi dalej kazanie, które nie skończy się niczym dobrym?

- Nigdy nie życzyłem ci niczego innego, jak tylko szczęścia - odezwał się Cam wielce poważnym tonem. - A teraz życzę go także twojej żonie. Wierzę, że jej szczęście stanie się teraz najważniejszą sprawą w twoim życiu?

Bentley wlepił wzrok w płonący w kominku ogień, który rozpalony rankiem, powoli dogasał.

- Nie unieszczęśliwię jej naumyślnie, jeśli o to ci chodzi.

- Nie o to mi chodzi - rzekł raptownie Cam. - Ale cieszę się, że to słyszę. Wygląda na dobrą, dobrze wychowaną młodą damę. I także nadzwyczaj piękną. Jesteś najszczęśliwszym...

- Do diabła. Nie musisz wymieniać mi zalet mojej zony! - przerwał mu Bentley, podrywając się z krzesła. - Ani mówić mi o moim szczęściu. Zdążyłem już zauważyć jedno i drugie. A ty lepiej trzymaj się od niej z daleka. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Cam poderwał się.

- Przywiozłeś swoją żonę do tego domu z własnej i nieprzymuszonej woli - wypalił, a jego wzrok był chłodny niczym stal. - Frederica jest teraz moją siostrą. Dobry Boże, Bentley! Jakiego pokroju człowiek dobierałby się do żony własnego brata? Możesz mi to wyjaśnić? Możesz? I nie wmawiaj mi, że źle cię zrozumiałem.

Serce Bentleya zaczęło bić jak młotem. W pokoju nagle zrobiło się gorąco i duszno. O co, do diabła,

mu chodzi? O co? Nie mógł zebrać myśli. Nie mógł oddychać. Chcąc pozbyć się tego okropnego uczucia, przeczesał dłonią włosy.

- Cam, nie miałem na myśli... - zaczął niezręcznie. - Chodzi o to, że nie myślałem, że... och, do diabła! Niech mnie piekło pochłonie, jeśli wiem o co mi chodziło. Wydaje mi się, że przez małżeństwo człowiek popada w obłąd.

Chłód ze spojrzenia Cama zaczął powoli znikać.

- Uważaj zatem na kociaki - wymruczał. - Jeśli masz zamiar przemierzać teraz niespokojnie pokój.

Bentley był już w połowie drogi do okna. Zdał sobie sprawę z tego, że jest niespokojny. Gorzej niż niespokojny. I Cam z łatwością to spostrzegł. Ale też Bentley rzadko czuł się swobodnie w tym domu. Kiedy przebywał z dala od Chalcote, niekiedy tęsknił za nim jak mały chłopiec, lecz kiedy wracał, wkrótce stawał się lękliwy. Pobudzony. Ciągłe wyczekiwał czegoś, co nigdy się nie wydarzało, ale czego obecność czuł tak blisko i była ona tak straszna, jak stanie w trakcie burzy w budzącym dreszcze przeczuciu, że zaraz strzeli piorun.

Krażył bez celu po pokoju, podnosząc różne ozdobne drobiazgi i wyglądając przez okno, jakby spodziewał się, że kłopoty nadejdą od strony podjazdu dla powozów. Widział, jak na dalekim wzgórzu stary Angus i jakiś młody chłopak orzą południowy stok, wywracając zaschnięte bryły ziemi i zmieniając je w brązowe skiby urodzajnej gleby, obiecującej obfite plony.

Czy tak obiecujące jest też jego życie? - zastanowił się. Gdyby wystarczająco długo nad nim popracował, czy kiedykolwiek uda mu się osiągnąć prawdziwe szczęście? Takie uczciwie zapracowane, a nie wygrane w kartach lub skradzione komuś innemu?

Nie czuł się tak zadowolony, jak by tego chciał, teraz, gdy miał już za sobą problemy związane ze ślubem, a przed nim niczym biała karta rozciągała się przyszłość. I niezależnie od tego, jak bardzo udawał, że jest inaczej, pytanie brata sprowadziło go na ziemię. Czy jest w stanie zapewnić Freddie szczęśliwą przyszłość? Czy to jest jego obowiązek? A jaki jest jej obowiązek? Wydawało mu się nie w porządku, że ona miałaby mieć względem niego takie same zobowiązania. Myślał, że może dzięki przywiezieniu Freddie do Chalcote uda mu się odpędzić duchy przeszłości, tymczasem wydawały mu się teraz bardziej obecne niż kiedykolwiek przedtem. Czy to był błąd, że tu przyjechał?

Brat zupełnie jakby umiał czytać mu w myślach.

- Musiałeś ją tu przywieźć, Bentley - rzekł Cam poważnym tonem. - Będą gadali, wiesz. Najlepiej dla was obojga byłoby, gdybyście pozostali tu dłuższy czas. Trzeba pokazać światu, że twoje małżeństwo i żona ma prawdziwą akceptację rodziny. W ten sposób będzie jej łatwiej.

Bentley nadal stał, wpatrując się w okno.

- Zatem wiesz, kim ona jest.

- Wychowanicą lorda Rannocha - rzekł Cam. - I wiem oczywiście też, że jest... obcego pochodzenia.

- Chciałeś powiedzieć, że wiesz, iż jest z nieprawego łoża.

- Tak, to też - ton głosu Cama był łagodny.

Nagle Bentley odwrócił się od okna i stanął z nim twarzą w twarz.

- Nie dbam o to ani trochę, Cam - rzekł pospiesznie. - Lubię ją. Zawsze ją lubiłem. I będę się nią dobrze opiekował.

Cam pogłaskał w zamyśleniu kociaka.

- Lubisz ją... ale jej nie kochasz?

Bentley pokręcił głową.

- Nie... Kocham. Nie, to nie. Ale nie jestem niezadowolony z mojego losu. Postaram się go jak najlepiej wykorzystać.

- Czy Rannoch przystawił ci pistolet do głowy? - Ton głosu Cama był rzeczowy.

Bentley ostro się roześmiał,

- Oczywiście - odpowiedział. - Prawdę mówiąc podejrzewam, że poczynili wiele wysiłków, by uniknąć mojej osoby.

Cam jęknął w zadumie.

- Kiedy ma przyjść na świat dziecko? - spytał. - Powiedz mi po prostu, jak zła jest ta sytuacja, jeśli chodzi o Freddie.

Pytanie to zaskoczyło Bentleya.

- Kiedy? - powtórzył głuchym tonem. - W zimie, jak się domyślam...

- Odlicz około czterdziestu tygodni - zasugerował suchym tonem Cam. - Zakładam, że już nieraz pomyliłeś się w tym względzie.

Bentley przełknął ślinę i zaczął coś obliczać w myślach.

- Na początku listopada.

Cam jęknął i nieco bardziej zapadł się na krzesło. Rozdrażnione kocię zaczęło miauczeć. Bentley odezwał zwierzę od kamizelki Cama, a potem łagodnie odłożył do kosza Matyldy, która zaczęła strzyc wąsikami jakby spodziewała się jakiegoś niebezpieczeństwa. Wydawało się, że nawet kot mu nie ufa. Do diabła, sam sobie nie ufał.

- Nie mogę obarczać się winą za to opóźnienie, Cam - powiedział klękając, by pogłaskać burą kotkę. - Poprosiłem o rękę Freddie od razu. Na długo, zanim wiedziała, że jest w ciąży.

Cam uniósł brwi.

- Czyżby?

Bentley wstał i okręcił się na pięcie.

- Dobry Boże, Cam! Za kogo ty mnie masz? To dobra dziewczyna, z porządnej rodziny. Nigdy nie miałem zamiaru...

- Nie, nie - wymruczał Cam, unosząc ociężałe rękę. - Ty nigdy nie masz zamiaru.

Bentley stanął teraz koło brata.

- A niech cię! Nie zaczynaj ze mną! - ostrzegł go, celując palcem w jego twarz. - Nieraz biliśmy się w tym pokoju, a biorąc po uwagę mój obecny nastrój, już mnie ręka śwędzi, żeby pogruchotać ci kości.

Cam zerwał się na nogi.

- Powiedz mi tylko, Bentley - odezwał się zniecierpliwiony - czy pomyślałeś w ogóle o przyszłości? Czy wiesz, w jaki sposób utrzymasz tę biedną dziewczynę? Nie masz zawodu. Wyrzucano cię z każdego uniwersytetu w tym kraju. W rzeczy samej nie masz nawet dachu nad głową, jeśli nie liczyć Roselands, które należy do Helene.

- Nie potrzebuję twoich pogroźek, Cam - warknął. - Odczep się.

Cam uniósł obie dłonie do góry w uspokajającym geście.

- To nie są pogroźki, Bentley - powiedział, a w jego głosie zabrzmiały nuty zmęczenia. - Muszę po prostu upewnić się, że wszyscy są zabezpieczeni.

- Och, ty musisz! - powtórzył zgryźliwie Bentley. - Zawsze wyobrażałeś sobie, że jesteś aniołem stróżem wiecznej odpowiedzialności, prawda? Ta kobieta jednak to moje zmartwienie, Cam. Nie twoje. Trzymaj się od niej z daleka. I pozwól, że ci powiem, skoro już przy tym jesteśmy: gra w karty i podejmowanie ryzyka to o wiele bardziej lukratywne zajęcia, niż się komukolwiek mogłoby zdawać.



- Łatwo przyszło, łatwo poszło - ostrzegł go Cam, opierając na biodrach spracowane dłonie.

- Tym razem nigdzie nie pójdzie - rzekł ponuro Bentley. - Nie jestem aż takim głupcem by sądzić, że mogę nadal prowadzić takie życie, jak dawniej. Pamiętaj, drogi bracie, że z powodu nędzy straciłem już jedno dziecko. Tym razem moje dziecko nie zostanie oddane do sierocińca, żeby umrzeć powolną śmiercią z choroby i głodu. Tym razem wiem. Nie ucieknę więc do Indii ani do Wioch, ani gdziekolwiek indziej, nie wiedząc o tym, co się dzieje. I pozwól, niech ci wyjaśnię, że nie potrzebuję twojej pomocy w utrzymywaniu Frederiki. Stać mnie, Cam, by utrzymać żonę i dziecko na bardzo wysokim poziomie aż do końca życia.

Cam zgarbił się nieco, ale co dziwne, nie wyglądał na zaskoczonego.

- Cieszę się zatem - powiedział dość szczerym tonem. - Dopóki nie będziesz oczekiwał jakiegoś cudu albo niezwykłego zrządzenia losu, dzięki którym miałbyś ich utrzymać, powstrzymam się od udzielania ci porad.

- Ha! - rzekł z pogardą Bentley. - To dopiero byłoby cud!

## Rozdział 10

### *W apartamentach ogrodowych*

Kiedy Bentley powrócił do salonu, Ariane delikatnymi uderzeniami palców właśnie wygrywała na harfie słodką melodię.

Uniosła wzrok i mrugnęła do niego filuternie, nie myśląc ani jednej nuty.

Cam wszedł za nim i pochylił się, by pocałować córkę.

- Co się stało z damami, pączuszkę?

- Mama zabrała Frederice i poszły oglądać apartamenty ogrodowe - odparła niedbale.

W tej samej chwili obie panie pojawiły się w drzwiach. Helene obejmowała ramieniem Freddie, zupełnie jakby były starymi przyjaciółkami.

- Ale już wróciłyśmy - powiedziała, sadowiac się przy stoliku do herbaty. - Cam, ucieszy cię wiadomość, że prace na górze idą pełną parą. Sypialnia panów jest już skończona i malarze przenieśli rusztowania do salonu. Larkin zanoszą teraz bagaże na górę.

Bentley odwrócił się, jakby ktoś go dźgnął.

- O co chodzi, Helene?

Frederica dostrzegła nagłe napięcie w głosie jej męża. Wszyscy pozajmowali swoje miejsca.

- Przenoszę ciebie i Fredericę do apartamentów ogrodowych - oparta Helene, częstując się pozosta- wionymi kanapkami. - Mam nadzieję, że będziecie często tu gościć, więc...

- Nie. - Bentley zacisnął dłonie na oparciu krze- sła, aż pobiełały mu palce. - Nie. Nie chcę.

Helene błyskawicznie uniosła wzrok.

- Ależ to żaden kłopot, Bentley - upierała się jed- nak, trzymając w eleganckich palcach kanpkę z ogórkiem.

Bentley na wpół uniósł się z krzesła.

- Helene, nie rozumiesz - rzekł przez ściśnięte gardło. - Nie chcę. Chcę mój stary pokój.

- Twój stary pokój! - powtórzyła niczym echo, naj- wyraźniej zdziwiona. - Ależ on jest za mały!

- Lubię go - odparł. - Jest mi tam wygodnie i to jest pokój, który chcę,

Helene wyglądała na zmieszaną.

- Bentley, pomyśl o widoku, jaki miałbyś z aparta- mentów. A twój stary pokój i tak jest za ciasny dla dwóch osób.

- Jestem pewna, że nie będzie mi to przeszkadzać - przerwała jej Frederica. Nie miało to dla niej zna- czenia, gdzie będą spać, ale zaczęła zastanawiać się, co spowodowało tak nagłą odmowę Bentleya. Wy- glądał dziwnie, jakby nie mógł zacerpnąć tchu. Na jego twarzy również malował się wyraz pewnego napięcia.

- Cóż, to dość niemądre, prawda? - spytała Hele- ne, nadal wpatrując się w swego szwagra. - W końcu jak można porównywać jedną niewielką kawalerską sypialnię do przepięknych apartamentów? Dopraw- dy, Bentley! Damom potrzeba trochę przestrzeni. Gdzie ma spać pokojówka twojej żony?

- Z resztą służby - rzekł oschle. - Umieść ją z Quee- nie. Nie chcę być w pobliżu robotników. Hałas bę- dzie zakłócał nam odpoczynek.

Frederica pospieszyła, by obronić męża.

- Obawiam się, że Bentley myśli po prostu o mo- jej wygodzie - stwierdziła. - Widzisz, ostatnimi czasy bywam nieco zmęczona i często ucinam sobie popo- łudniową drzemkę.

Tak, jak myślała, napięcie na twarzy Bentleya nie- co zelżało. Helene wymieniła porozumiewawcze spojrzania z mężem.

- Och, rozumiem - wymruczała. - Cóż, jestem pewna, że jakoś sobie poradzimy, dopóki prace re- montowe nie dobiegną końca.

Frederica widziała jednak po chmurnym obliczu męża, że żadną miarą nie zamierza postępować zgodnie z planami Helene.

- Tak - odezwał się, zrywając się z krzesła. - Pójdę wobec tego i zaoszczędzę Larkinowi zbędnego wysił- ku, dobrze?

Bentley nie powrócił już na herbatę. Frederica i lord Treyhern spędzili ten czas na dość ożywionej rozmo- wie o podróżach. Frederica miała pod tym względem sporo szczęścia. Evie, ze względu na swą artystyczną działalność, często podróżowała po Europie z rodziną, dotarli nawet do Warszawy. Lord, doskonale obznajo- miony z historią i polityką, nie omieszkał wyznać, że zazdrości jej rozlicznych wojaży. Wyjaśnił jednak, że uprawianie ziemi trzyma go w Chalcote przez więk- szość roku. Resztę czasu spędzał zwykle w posiadłości rodowej w Devonshire, w zamku Treyhernów.

Bentley wspomniął, że jego starszy brat to mól książkowy i rzeczywiście lord Treyhern odznaczał się wielką bystrością umysłu. Jednak siedzący przed Fre- derica mężczyzna o spracowanych dłoniach, ubrany

w niewyszukany strój, wyglądał bardziej na wiejskiego dżentelmena niż na uczonego. Był też nadzwyczaj sprawnym rozmówcą. Pomimo to jednak, jakoś tak w trakcie trzeciej filiżanki herbaty, Frederica złapała się na niepowstrzymanej chęci ziewania. Helene nie omieszkała natychmiast tego nie zauważyć.

- Jestem przekonana, mój drogi, że Frederica jest wykończona podróżą - przerwała rozmowę. - Powinna wypocząć przed kolacją.

- Byłoby wspaniale - przyznała Frederica. Tym razem Helene poprowadziła ją schodami na górę, a potem przez długi, tonący w półmroku korytarz. Na jego końcu znajdowała się wielka, pojedyncza sypialnia, umeblowana najwyraźniej na potrzeby mężczyzny, wyłożona ciemnozielonym, orientalnym dywanem. Rozświetlało ją potrójne okno, z którego rozciągał się widok na wiejski kościół, naprzeciw okna stało olbrzymie, jakobińskie łóżko, którego materac sięgał wyżej talii dziewczyny, a jego ramy były wyższe od jej barków.

- Jak tu pięknie - powiedziała, powoli się obracając. - Prawie tak pięknie, jak by było z widokiem na ogród. Dziękuję ci, Helene.

Szwagierka ucałowała ją lekko w policzek i wyszła. Frederica wciągnęła głęboko powietrze. Chociaż jej męża nigdzie nie było widać, jego wspaniały, męski zapach zdawał się wypełniać całą sypialnię.

W tym pokoju Bentley mieszkał, od kiedy opuścił szkołę, wyjaśniła jej Helene, kiedy wchodziły po schodach. Frederica obejrzała pomieszczenie, bardzo ciesząc się myślą, że będzie dzielić ten pokój z mężem.

Wtedy właśnie z garderoby wyszła Jennie.

- Dzień dobry, panienko - powiedziała, strzepując suknie Frederiki. - Przepiękny dom, prawda? Nigdy

wcześniej nie byłam w Gloucestershire. Tak tu cicho i spokojnie, jak na prawdziwej wsi.

- Tak, to prawda - zgodziła się Frederica, zaglądając do otwartego kufra z ubraniami. - Londyn wdarł się do Richmond i nawet do Essex. Ale tutaj jest jak w niebie.

Na twarzy Jennie pojawił się uśmiech, lecz w jej oczach widać było zmęczenie.

- Powieszę suknie panienki tutaj, żeby się rozprostowały. A teraz wezmę tę wieczorową suknię do uprasowania.

- Dziękuję ci, Jennie - odparła Frederica. - Najpierw jednak zdrzemnę się i tobie radzę to samo. Powiedziano mi, że masz dzielić pokój z osobą, która nazywa się Queenie. To chyba jedna z pokojówek, jak się domyślam?

Jennie zmarszczyła nos.

- Tak, widziałam ją - odparła ponurym tonem. - Dość ostry z niej numer.

Frederica poczuła się zaskoczona.

- Czy to będzie dla ciebie jakiś problem, Jennie? Jennie wyglądała na nieco zawstydzoną.

- Och nie, panienko - zapewniła Frederice. - Jest dość miła, jestem tego pewna. A teraz już pójdę.

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, Frederica zauważyła, że w jej rzeczach brakuje kuferek z przyborami toaletowymi i flanelą do twarzy. Była jednak pewna, że widziała, jak jeden z służących niósł go na górę. Z całą pewnością zostawiono go w apartamencie. W pokoju znajdował się dzwonek na służbę, ale dziewczyna zdążyła już zauważyć, że w Chalcote trzymano niewielu służących, a nie chciała ponownie przywoływać Jennie.

Ruszyła w kierunku krętych, jakobińskich schodów, rzeźbionych w niemal poczerniałym od starości

dębie. Bez problemu dotarła do apartamentu, który pokazywała jej wcześniej Helene. Kiedy się tam znalazła, ze zdumieniem ujrzała, że drzwi do sypialni są uchylone. Jakie dziwne. To piętro rzadko było używane, jak twierdziła Helene, a apartament od kilku lat stał pusty. Ostrożnie otworzyła drzwi, które uchylły się bezszelestnie na świeżo naoliwionych zawiasach. Podobnie jak poprzednio doszedł ją słodki, mdławy zapach świeżo ściętych lili. Niemal natychmiast poczuła jednak, że w pokoju jest jeszcze ktoś i wycofała się.

*Bentley?*

Jej mąż stał przy jednym z wąskich okien, odwrócony plecami do drzwi, z rękoma szeroko rozpostartymi na framudze okna. Ramiona miał opuszczone i wpatrywał się w ogród, ale dziewczyna wyczuwała w nim jakieś napięcie. Ostrożnie weszła do środka. Nagle Bentley oderwał się od okna i odwrócił w jej stronę, wydając z siebie dziwny, gardłowy dźwięk. Wyraz jego twarzy można było określić jednym słowem: zaskoczenie. Wydawało się, że całe jego ciało drży. Podeszedł do wysokiej, mahoniowej prasowalni i raptownie otworzył drzwi, jakby się bał, że kryje się tam sam szatan.

Pomieszczenie było zupełnie puste. Przez dłuższą chwilę Bentley stał bez ruchu, wpatrzony, kurczowo zaciskając palce na drewnianych framugach. Wyglądało to bardzo dziwnie, ale nawet z tej odległości Frederica czuła coraz bardziej intensywną, lepka woń lili. Bentley przeklął szpetnie, zatrzasnął drzwi i odwrócił się. Jednak skobel puścił i jedno skrzydło otworzyło się, lśniąca w promieniach wpadającego przez okna światła. Nie zwracając na to uwagi, Bentley zaczął przemierzać pokój, a jego kroki głucho dudniły po podłodze.

Frederica obserwowała całą scenę, niepewna, co powinna zrobić. Naruszyła czyjaś prywatność. Jednak w końcu jest żoną Bentleya. Czyż nie do jej obowiązków należy pocieszać go i być przy nim w zdrowiu i chorobie? A niezależnie od przyczyny, jej mąż nie wyglądał na człowieka, który czuje się dobrze.

Nagle, przy wtórze kolejnego dziwnego dźwięku, Bentley ruszył w stronę okna. Tym razem otworzył je na oścież, oparł ręce o parapet i wychylił się do połowy na zewnątrz. Frederica zobaczyła, jak materiał jego płaszcza niebezpiecznie napina się na plecach, kiedy raz za razem spazmatycznie wciąga powietrze. Niewątpliwie przedstawiał sobą widok osoby, która usiłuje zapanować nad zawrotami głowy. Zaniepokojona, otworzyła nieco szerzej drzwi.

- Bentley...?

Jego reakcja była gwałtowna.

- Co...? - warknął, odwracając się w jej stronę. Jednak to nie ją widział. Mogłaby przysiąc na wszystkie świętości.

- Bentley? - wyszła ze smugi cienia na plamę południowego słońca, którego resztki wpadały przez okno. - Źle się czujesz?

Przez moment stał niczym wbity w ziemię. Krew odpłynęła mu z twarzy, usta miał pobladłe i zaciśnięte. A potem potrząsnął głową i zbliżył się do niej.

- Freddie? - położył dużą dłoń na jej ramieniu. - Co ty tu robisz?

- Brakuje mi mojego kuferek toaletowego - wyjaśniła, uważnie mu się przyglądając. - Szukałam flaneli do twarzy.

Wreszcie Bentley zdobył się na słaby uśmiech.

- Posłałem Larkina z twoim kufrem - rzekł, chwytając ją za rękę i prowadząc w stronę korytarza. -

Musiałaś się z nim minąć. Odprowadzę cię z powrotem na schody.

Dziewczyna uparcie się zatrzymała.

- Bentley, nic ci nie jest?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Troskliwa żona? - rzekł chłodnym tonem. - Cóż za nowe doświadczenie, Freddie. Zapach farby sprawia mnie o mdłości.

Świeża farba była dwa pokoje obok, ale Freddie nie powiedziała tego głośno.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Przez moment jakby się zachwiał, a potem po prostu wybuchnął śmiechem.

- Kochanie, to stary dom, pełen pleśni. - Niedbale, niemal zbyt niedbale, zarzucił jej rękę na ramię i ponaglił, by ruszyła w stronę schodów. - Nikt nie mówił ci o duchu starego Johna Camdena? On tutaj straszy, wiedziałaś?

- Straszy w prasowni? - spytała szorstkim tonem.

- Freddie, kochanie, kto to może wiedzieć - wyszeptał, kiedy skręcili w ciemny zaułek.

Nagle dziewczyna poczuła ukłucie pod żebrem.

Pisnęła i niemal wyskoczyła z butów.

- Bentley?

- Widzisz, tutaj jest - wyszeptał Bentley, przyciskając gorące wargi do jej ucha. - Stary John straszy niedowiarków.

Znowu szturchnął ją palcem i tym razem Freddie zanosła się od śmiechu.

- Przestań - wykrztusiła. - Już niech ci będzie! Bo wezmą mnie za wariatkę!

Bentley jednak ciągnął ją dalej.

- Och, Freddie, już cię za taką uważają - rzekł, kiedy dotarli do schodów. - W końcu wyszłaś za mnie.

Freddie raptownie stanęła.

- Bentley, dlaczego ty nigdy nie możesz być poważny?

Jego dobry humor zniknął.

- A dlaczego powinienem być? - spytał. - Nie uważasz, że mój brat jest poważny za nas dwóch? - Chwylił ją w ramiona i usiłował pocałować, ale odwróciła głowę.

- Nie rób tak. - Jego głos nagle stał się ostry.

Frederica znowu się odwróciła.

Oczy Bentleya stały się nagle ciemne i poważne. Grzbietem dłoni pogładził ją po policzku, ledwie muskając skórę. Była to czuła pieszczota, nawet pomimo tego, że drugą ręką stanowczo przytrzymał jej ramię. W nagłym olśnieniu Frederica dostrzegła w nim sprzeczność, jednoczesną zdolność zarówno do dobroci, jak i do okrucieństwa, skrytą gdzieś w jego oczach.

- Nie rób tak - wydyszał. - Nie odwracaj się ode mnie, Frederico.

Bez drgnienia powieki przytrzymała jego spojrzenie.

- Więc niczego przede mną nie ukrywaj.

Uśmiechnął się słabo, ale w uśmiechu tym było pełno gorczy.

- Obiecałaś mi pół roku, moja droga. Pół roku małżeńskiego posłuszeństwa. Czy masz zamiar dotrzymać tej przysięgi?

- Ty także złożyłeś przysięgę - wypaliła. - Na przykład obiecałeś, że będziesz interesował się tylko mną. Gdzie twój honor?

- Tutaj - odparł łagodnie, przykładając dłoń z lewej strony piersi. - Czy dałem ci powód, by weń wątpić?

Czy dał? Nie, jeszcze nie. A mimo to z jakiegoś powodu nie był do końca uczciwy. Wcześniej czy

później pozna ten powód. Jednak w tej chwili czuła, że są o włos od poważnej awantury. Lecz ich związek, tak świeży i kruchy, mógłby nie wytrzymać takiego ciosu. Uznała, że na razie nie będzie dochodzić swoich racji.

Nagle, zupełnie jakby czytał w jej myślach, Bentley posłał jej pełen uroku uśmiech, a wszystkie obawy i lęki Frederiki stopniały w płomieniu, który rozpałał jej serce. Nie mogąc się powstrzymać, przymknęła oczy i poczuła na wargach jego usta, czego w jakiś sposób się spodziewała. W jednej sekundzie wokół niej rozpostarło się słodkie ciepło, podobnie jak tamtej nocy w ogrodzie. Usta Bentleya smakowały jak pokusa i wiele obiecywały. Obiecywały niewysłowioną rozkosz, taką, której nie potrafiłaby się oprzeć. Czyż nie wystarczająco dużo nauczył ją tamtej jednej nocy?

Czy ten piękny mężczyzna, którego poślubiła, był jednocześnie grzesznikiem i aniołem? Czy żałowała, że tak się stało? Jeszcze nie. Być może... wkrótce? A może nigdy, stwierdziła, kiedy ponownie pocałował jej usta.

W końcu oderwała wargi.

- Idę na górę się zdrzemnąć, Bentley. - Słowa brzmiały głośno i gardłowo. - Idziesz ze mną? Czy znowu mam spać sama?

W półmroku czuła na sobie jego spojrzenie, gorące i wygłodniałe.

- Czy tęskniłaś za mną wczorajszej nocy, moja słodka?

Frederica przełknęła ślinę.

- Tak.

- Na górę - wydyszał. - Teraz.

Mąż Helene i jej pasierbica zdążyli zniknąć, zanim powróciła do żółtego salonu. Nie było szczególnie trudno zgadnąć, gdzie się podział Cam. Uciekł do biblioteki, by wylizać rany i uspokoić nerwy, jak zwykle po rozmowie w cztery oczy z bratem. Znalazła go leżącego na plecach na dywaniku przed paleniskiem, wpatrującego się w sufit, a kociaki latały po nim niczym oszalałe liliputy. Płaszcz i kamizelka leżały nie dbale rozrzucone na oparciu krzesła.

- Witaj, Guliwerze - odezwała się, delikatnie trącając go stopą w bok.

Cam zmarszczył twarz, wpatrując się w zdobną sztukaterię na suficie.

- Obawiam się, że chciałaś powiedzieć: naiwniaku, czyż nie? - wystękał. - Powiniennem być wyciągnąć Bentleya na dwór i dać mu porządną nauczkę.

Helene usiadła na podłozie z podkurczonymi nogami, w pozie zupełnie nieprzystającej damie.

- Nie kłóć się z nim - fuknęła, kładąc dłoń na jego udzie. - Doprawdy, kochanie, obaj tracicie niepotrzebnie energię. A teraz połóż się na brzuchu. Znowu bolą cię plecy, widzę przecież.

Cam odpędził kociaki i z jękiem obrócił się na brzuch. Helene podciągnęła mu koszulę i położyła dłonie na bardzo napiętych mięśniach pleców.

- Tak myślałam - wymruczała. - Ile belek, czy czego tam, dzisiaj dźwigałeś?

- Niewystarczająco dużo - wymamrotał z twarzą wbitą w dywan. - Biedna dziewczyna jest w ciąży, wiesz.

- Ach - odparła Helene, delikatnie masując mu plecy. - Obawiałam się, że chodzi o coś podobnego.

Był cięty niczym pokrzywa podczas chrztu Emmie. Jednak będzie z niego odpowiedzialny ojciec, Cam. Zobaczysz.

- Do diabła! On nie wie, co znaczy słowo odpowiedzialność - warknął jej mąż. - Jest równie stały co truteń.

Helene demonstracyjnie podparła dłonią brodę,

- Tak, muszę przyznać, iż istotnie kiedyś tak było.

Cam jej jednak nie słuchał.

- Dobry Boże, to najgorszy rodzaj kobieciarza! I zobacz, co zrobił! Przecież ona jest jeszcze dzieckiem, Helene.

- Tak? To dziwne! Powiedziała mi, że ma osiemnaście lat.

- Niewinna! - ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na jej wyraźny sarkazm. - Słodka dziewczyna z porządnej rodziny! Mamy cholerne szczęście, że Ranoch nie zabił go na miejscu.

- Obawiam się, że przesadzasz, mój drogi - Helene starała się go uspokoić. - Miłość, która wymknęła się nieco spod kontroli to wątpliwy powód, by kogoś zabijać.

Cam odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- Miłość? - powtórzył z przekąsem. - Czy sądzisz, że tak właśnie jest, Helene? Bentley sypia z kobietami niemal codziennie, od kiedy skończył szesnaście lat, a być może i dłużej, i wierz mi, kochana, miłość nigdy nie miała z tym nic wspólnego. Mam wszelkie podstawy, by przypuszczać, że miał na sobie...

Helene uniosła dłoń.

- Nie mów tego, Cam!

Cam zarumienił się aż po uszy.

- Ojciec go do tego zachęcał, wiesz - rzekł ponuro. - Ostatnio nie było tygodnia, by nie przyłapano go flirtującego z jakąś dojarką albo rzucającego się

w objęcia knajpianych dziewczek. Ojciec uważał, że to bardzo śmieszne.

- Zważywszy urok Bentleya, wątpię, by musiał kogokolwiek zmuszać, mój drogi - wymruczała Helene.

- Urok? - Cam spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Dobry Boże, Helene! Nawet ciebie chciał uwieść! Chyba o tym zapomniałaś.

Roześmiała się lekko.

- Nic takiego nie zrobił, Cam. Chciał sam sobie zadać ból i odegrać się na tobie. Nigdy nie chciał mnie skrzywdzić. Nie chce też skrzywdzić Frederiki. To wspaniała dziewczyna. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że jest wielkim szczęściarzem.

- Tak, jest, ale co z nią? Co się z nią stanie, Helene?

Helene kucnęła na piętach i zamyśliła się.

- Bentley będzie ją kochał i zaopiekuje się nią - odpowiedziała w końcu. - Niezbicie w to wierzę.

Cam usiłował usiąść na dywaniku przed paleniskiem.

- Wobec tego masz dużo więcej pewności w tym względzie niż ja, moja droga. Kiedy przyznasz, że Bentley sam ściąga na siebie kłopoty?

Helene straciła cierpliwość.

- A kiedy ty przyznasz, że Bentley ma kłopot?

- Oprócz własnych skłonności do braku odpowiedzialności, o to ci chodzi?

- Mam na myśli coś naprawdę poważnego, Cam - nalegała. - Być może niezbyt jasno zdołałam ci to wytłumaczyć w ciągu paru ostatnich lat.

- Co? - rzucił jej wyzwanie. - Co takiego może być złe?

- Nie wiem, do diabła! - wybuchnęła.

Cam poklepał ją delikatnie po policzku.

- Oj, nie przeklinaj, Helene - powiedział, podnosząc się i wyciągając ku niej dłoń. - Po prostu poddaj

się z gracją i przyznaj, że znowu szperałaś w tych swoich opasłych, czarnych księgach, żeby znaleźć jakieś skomplikowane łacińskie słowo na określenie młodego człowieka, który został po prostu rozpuszczony przez ojca.

Helene uśmiechnęła się, widząc wyciągniętą ku niej dłoń męża.

- Rozpuszczony? - powtórzyła, bez jego pomocy podnosząc się z podłogi. - W jaki sposób go rozpuszczono? Twój ojciec rzadko kiedy śmierdział groszem.

- Rozpuszczony przez złe nawyki - odparł łagodnie. - Przez bycie świadkiem rzeczy, których nie powinien był oglądać. Przez słuchanie nieodpowiednich rozmów, zachęt do różnych spraw, wiesz co mam na myśli.

- Och, zaczynam rozumieć - powiedziała Helene. - I wszystko to jest winą Bentleya<sup>7</sup>

Cam zaczął wkładać koszulę.

- Ja... nie, nie jest - przyznał. - Ale oni są bardzo podobni, Helene, I niezależnie od tego, co on sobie myśli, nigdy nie będę w stanie go nienawidzić.

- Och, on nienawidzi siebie wystarczająco dużo za was obu - rzekła cicho. - Nikt z jakimkolwiek poczuciem własnej wartości nie ryzykowałby tak i nie szafował lekkomyślnie własnym życiem. A Bentley najwyraźniej uważa, że na to zasługuje.

Jej mąż spojrział na nią wzrokiem przepełnionym troską.

- Helene, masz wielkie serce. Ale w tej chwili tylko to mogę stwierdzić.

Helene zdobyła się na uśmiech i podniosła jego kamizelkę.

- Wobec tego nie kłóćmy się więcej, Cam - powiedziała, przytrzymując mu kamizelkę, by mógł ją włożyć. - Zamiast tego zaplanujmy, co możemy zrobić,

by pomóc Frederice. Pierwsze dni małżeństwa to twardy orzech do zgryzienia, niezależnie od okoliczności.

- Tak, oczywiście - zgodził się, dopinając ubranie.

- Co możemy zrobić, Helene, by zaznaczyć twoją aprobatę?

- Poproszę, by odwiedziła ze mną sąsiadów - zastanowiła się. - Być może będzie mogła nawet pomóc mi w wiejskiej szkole. Jestem pewna, że Joan przywita ją w Bellevue z otwartymi ramionami. A Catherine może zaprosić nas wszystkich na obiad.

Cam zapinał guziki.

- Och, do diabła! - przerwał jej. - Zapomniałem ci powiedzieć. Cat przysłała jakiś lakoniczny list, dotyczący matki Maksa. Stara pani Castelli znowu dręczy zarządcę. Biedak postraszył, że zrezygnuje, jeśli Max nie zabierze mu jej sprzed oczu. Dziś rano wyruszyli do Londynu.

- Cóż! - roześmiała się Helene. - Cat będzie gotowa umrzeć, gdy się dowie, ile ciekawych rzeczy przegapiła. A teraz chodź, kochany. Potrzebna ci długa, gorąca kąpiel, żeby trochę odprężyć mięśnie. A potem może przyda się jakiś inny rodzaj kuracji terapeutycznej, co?



## Rozdział 11

### *W którym lady Madeleine wszystko wyjaśnia*

Kiedy Frederica otworzyła drzwi do sypialni Bentleya, słońce właśnie zachodziło za horyzont i pokój spowijała złocista poświata. Na potężnym palenisku rozpalono już na noc, a przy łóżku stał jej kuferek z przyborami toaletowymi. Usłyszała, jak za jej plecami zamykają się drzwi i Bentley przekręca klucz w zamku. I nagle poczuła się lekko zdenerwowana.

Dlaczego? To przecież tylko Bentley... prawda<sup>9</sup> Ta ciemność na schodach nic nie znaczyła. Była zmęczona, przewrażliwiona. A mimo to wyczuwała w nim coś, co można było spostrzec jedynie w jego wzroku lub w dotyku. Ona również go pragnęła. Podjęła ryzyko, by wyjść za niego za męża. Tak więc, zdenerwowana czy nie, dlaczego nie ma cieszyć się korzyściami, jakie z tego płyną? A jej mąż z całą pewnością miał jej do zaoferowania wiele korzyści. Winnie nie myliła się w tej sprawie.

Bentley minął łóżko i podszedł do kominka. Nadal miał na sobie buty do konnej jazdy i bryczesy. Zatrzymał się i odwrócił w stronę Frederiki, unosząc ramiona.

- Pani Rutledge? - rzekł cicho, unosząc jedną brew. - Czy jako moja żona pomożesz mi wy dostać się z surdutu?

Frederica natychmiast podeszła do niego i podniosła ramiona, wsuwając dłonie pod doskonalej jakości materiał, dotykając jego barków. Miał za sobą długi dzień, którego większą część spędził w siodle, pachniał koniem i potem i czymś, co było tylko i wyłącznie związane z jego osobą. Kiedy się odwrócił, owiało ją jego ciepło, a jego ramiona wyswobodziły się z surdutu. Frederica widziała wielu mężczyzn w koszuli. Ale nigdy takiego przystojnego. Jego barki były szerokie i potężne, a ciemne włosy łagodnie opadały na kołnierz, silnie kontrastując z surową białą koszulą.

Musiała chyba otworzyć usta z podziwu.

- Kochanie? - rzekł cicho. - Kamizelka?

Frederica spojrzała na niego. Naprawdę chciał, żeby go rozebrała! Była to bardzo intymna czynność. I wydawała się dość podniecająca. Jednak jej niedoświadczone palce nie dawały sobie rady z guzikami. Kiedy rozpięła ostatni, Bentley spojrzał w dół, a jego długie, ciemne rzęsy rzuciły cień na twarz.

- Dziękuję - powiedział i kamizelka opadła na ziemię.

W rozgrzanym powietrzu Freddie wyczuła woń mydła.

- Chyba nie będę umiała rozwiązać twojego fularu - rzekła.

Jego piwne oczy otworzyły się szeroko i napotkały jej wzrok. Bentley dotknął palcem jej brody.

- Nauczę cię, pani Rutledge - powiedział, uśmiechając się łobuzersko. - Nauczę cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć.

Och, jej mąż był w tym dobry. Jego dotyk był miękki niczym jedwab, głos ciemny niczym grzech. Nagłe wspomnienie przemknęło przez jej głowę - pamięć o tym, jak leżał na niej na trawie w Chatham,

jak odchylił głowę w ekstazie. Na to wspomnienie wypełnił ją topniejący żar. Uśmiechnął się do niej lekkim, wszechwiedzącym wykrzywieniem kącika ust, jakby odgadł jej najskrytsze myśli.

Zacisnął dłonie na jej palcach, aż poczuła, jak jego ciałem wstrząsa zmysłowy dreszcz. Wpatrywał się w jej oczy, a potem przycisnął jej otwarte dłonie do swego ciała. Ostrożnie, nie spuszczać z niej wzroku, poluzował węzeł fularu i zdjął go przez głowę.

Kątem oka widziała, jak spada na ziemię. Oblizwała wargi. Kimkolwiek on jest, cokolwiek do niego czuje, pożąda go fizycznie z żarliwością, która burzy jej krew. Nagle cofnął się, rozwiązał troczki swej koszuli i ściągnął ją przez głowę.

Frederica natychmiast otworzyła szeroko oczy. Policzki jej rozgorzały. Jego tors był idealnie gładki, mięśnie zdawały się wykute z kamienia, wyłaniające się z półcienia w blasku płomieni ognia.

Bentley ponownie dotknął jej twarzy.

- Zgadzasz się, moja słodka? - przeciągnął palcem w dół jej szyi, wzdłuż obojczyka, zostawiając ślad płonący niczym ogień. - Cieszę się, Frederico, bo chciałbym sprawić ci przyjemność. Tę jedną rzecz przynajmniej mogę ci ofiarować. I tę jedną rzecz robię dobrze.

Przypomniała sobie szeptem wypowiedane plotki Winnie i spłonęła rumieńcem. Bentley uśmiechnął się i pochylił głowę, by ucałować jej szyję. Palce wsunął za dekolt sukienki, zanurzając je coraz głębiej. Frederica z trudem łapała oddech. Piersi jej nabrzmiały, zrobiły się ociężałe z gorąca. Sutki jej stwardniały i wydała głuchy jęk, gdy Bentley wsunął dłoń głębiej i ujął jedną pierś.

- Podoba ci się to? - wydyszał, dotykając językiem delikatnego miejsca za jej uchem. - Powiedz mi.

Frederica usiłowała coś rzec, ale z jej gardła wydobył się jedynie głuchy dźwięk. Bentley ścisnął przez materiał sukni jej nabrzmiały sutek, a ona westchnęła z drżeniem.

- Mamy to, Frederico - powiedział z pewną satysfakcją. - Pamiętaj o tym. Nawet jeśli nie mamy niczego innego, przynajmniej mamy to.

Chciała wykrzyknąć, że to nie wszystko, że musi być coś więcej. Ale czy to prawda? W tej chwili nie była pewna, czy jej na tym zależy. Po prostu chciała, żeby Bentley jeszcze raz zabrał ją do łóżka. I zaczęła dość wyraźnie rozumieć, w jaki sposób wpakowała się w te tarapaty. To nie miało nic wspólnego z poczuciem zranienia i odrzucenia, prawda? Wykorzystała Johnny'ego jako niefortunną wymówkę. Czuła jakiś irracjonalny pociąg do tego mężczyzny, mężczyzny, który zawsze ją intrygował, Mężczyzny, który był piękny, kuszący i nieco niebezpieczny. Pragnęła gorącego spojrzenia jego piwnych oczu. Pragnęła jego niewiarygodnie pociągającego ciała, co powinno być grzeszne, a wcale nie było.

Jak wówczas, tak i teraz całe jej ciało aż bolało od jego słodkich tortur, chociaż ledwie ją dotknął. Jedną rękę położył na jej talii i pochylił głowę, muskając ustami jej brodę. Ostrymi zębami chwycił jej skórę, zsuwając wargi coraz niżej i ofiarując jej ból zwiastujący słodkie tortury. Otworzyła z westchnieniem usta i przycisnęła wargi do jego szyi, pragnąc, by nie musiała zacząć go błagać.

- Och, Frederico - wyjęczał.

I wtedy jego dłoń dotknęła jej pleców; sprawnymi, szybkimi ruchami wyjął spinki z jej włosów. W następnej kolejności zajął się guzikami. Suknia wreszcie stała się luźna i zsunęła się z jej piersi. Bentley ukląkł i na chwilę pochylił głowę, aż otarła się o jej

udo. Wsunął dłonie pod suknię i zsunął pończochy, jego szorstkie palce szarpały jedwab i drażniły jej ciało. Potem niespiesznie rozebrał ją, zdejmując po kolei każdą część garderoby, aż została w samej tylko koszuli.

- Zdejmij ją - wydyszał.

Wzrok Frederiki powędrował do ciężkich zasłon w oknach.

Sięgnął ku jej ramionom.

- Nie - wyszeptał, jakby czytał w jej myślach. - Jesteś moja. Chcę cię zobaczyć w świetle dnia.

Zapłacił za nią najwyższą cenę. Czyż nie to chciał powiedzieć? Niemal się odwróciła, ale on chwycił ją i wciągnął w objęcia.

- Nie bój się.

- Nie boję się - ale trochę się bała. Jej oddech przyspieszył. Przycisnął ją do siebie, aż poczuła nabrzmiałą pożądaniem męskość. Zdrętwiała, a on źle zinterpretował napięcie jej ciała. Przesunął dłoń nisko na plecy, a ich uda się zetknęły. Pochylił głowę i musnął ustami skroń Freddie. A potem wyszeptał te trzy krótkie słowa, w które bała się uwierzyć.

- Zaufaj mi, proszę - powiedział. - Zaufaj, że się tobą zaopiekuję, Freddie.

Poczuła, jak uginają się pod nią nogi. On przytulił ją mocniej i pocałował, niemal pozbawiając tchu. W tej chwili straciła zmysły. Jego ręce zaczęły niespokojnie błądzić po jej ciele, wzdłuż kręgosłupa, po biodrach, masując ją przez cienki materiał i wzbudzając w niej pożądanie. Frederica odsunęła się, zacisnęła pięści na materiale i ściągnęła koszulę przez głowę.

Jego wzrok spoczął na jej szyi, piersiach i przesunął się niżej.

- Piękna - wykrztusił. A potem przytulił ją do siebie i ponownie jęknął, przyciągając Freddie blisko

i wpijając palce w jej włosy. Poczuła mocniej jego ciepło i zapach. Czuła niemal tętniącą w jego żyłach krew. Wciągnął ją między swe twarde, umięśnione uda, ściskając z siłą, jakiej się nie spodziewała.

- Powiedz mi, Frederico - trzymał rękę w jej włosach i odsunął jej głowę do tyłu, aż ich oczy się napotkały. - Powiedz mi, że pragniesz tego, tak samo jak ja. Czy już cię przekabaciłem? Czy też jesteś jeszcze zbyt niewinna?

Instynktownie objęła go ramionami. Zobaczyła jego rozpalony i dziki wzrok. Nie mogąc znieść tego widoku, opuściła powieki. Był to jednak próżny trud; nie mogła się oprzeć temu mężczyźnie.

- Płonę z pożądania do ciebie - wyszeptała. I była to prawda. Nie potrafiła zachować dystansu.

Bentley uśmiechnął się, lecz był to uśmiech naznaczony tą dziwną melancholią, którą już nauczyła się rozpoznawać. Popchnął ją na łóżko i stanął nad nią, zrzucając buty i pozbawiając się resztek odzieży. Wstrzymała oddech, kiedy wyswobodził się z bryczesów i bielizny, a jego męskość objawiła się w pełnej okazałości, nieposkromiona i dzika.

Dobry Boże! Z pewnością się nie zmieści.

- Och, Freddie, zmieści się - wyszeptał. Na jego twarzy znowu pojawił się niezmiśniony uśmiech. Stał teraz nagi i był piękny nie do opisanego. Nie można było wychować się w domu pełnym mężczyzn i nie spojrzeć raz czy drugi kawałka męskiego ciała. A mimo to Freddie była całkowicie pewna, że nie znała żadnego mężczyzny, który wyglądałby w ten sposób bez ubrania. Dziki, to było określenie, które najlepiej pasowało do Bentleya Rutledge'a. Szczupły, przystojny i nieokiełznany. Przywoływał jej na myśl kuszące ogrody Edenu. Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do łóżka. Frederica łapczywie

zaczepnęła łyk powietrza, a on oparł dłoń na jej ramionach i pchnął na łóżko, sam zaś osunął się na nią całym ciałem.

Materac aż jęknął. Leżała na plecach, on na lewym boku, zwrócony twarzą w stronę kominka. Bentley nie przyglądał się jej twarzy, lecz wpatrzony był we własną dłoń, która przytrzymywała jej pierś i drażniła sutek, aż stwardniał jeszcze bardziej. A potem pochylił głowę i włożył do ust napęczniałą, różową rozetkę, delikatnie chwytając ją zębami. Dziewczyna krzyknęła gwałtownie, prężąc ciało. W odpowiedzi na to Bentley objął ją nogami, ponownie zmuszając, by się położyła.

Słodycz. Niespotykana. Wyssał z jej ust żar i ogień, ssąc je i miażdżąc wargami, aż zawiódł ją niemal na skraj szaleństwa. Szeroką dłonią delikatnie pieścił jej plecy, przesuwając nimi po łagodnie wypukłym brzuchu, a w końcu wsunął ją pomiędzy uda. Rozdzielił jej nogi i wsunął palce w sam środek jej ciała, a ona zaczęła dyszeć i wić się w jego uścisku. Bentley panował nad każdym jej odgłosem, nad każdym dreszczem. Wywoływał je, prowokował niczym jej władca.

- Och, proszę... - usłyszała własny głos.

I wtedy uniósł się, jego postać była spowita mrokiem i potężna. Ramiona miał muskularne, kości mocne. Uda miał grube i twarde, nieco przyciemnione włosami, kręconymi i gęstymi w miejscu, gdzie się stykały. Jego erekcja pulsowała i wyginała się ku górze, a on dotknął się, ześlizgując dłoń po swym orężu, jakby chciał powstrzymać niecierpliwość.

- Rozłóż nogi - polecił jej.

Zrobiła to i chętnie podkurczyła kolana, by przyjąć go do siebie. Ale on nie wszedł na nią i nie znalazł się w niej tak, jak tego pragnęła. Ukłękł między

jej udami i delikatnymi ruchami zaczął masować jej brzuch, a potem schylił głowę i delikatnie go ucałował. Zapadł zmrok, złoty poblask z kominka oświetlał pokój. Bentley uniósł wzrok; w jego oczach dostrzegła wyraz rozczulenia, kiedy pieścił jej brzuch. Wyczula, że myśli o dziecku. Doznała jakiegoś nowego rodzaju radości, która zalała jej serce. Jej mąż zamknął oczy.

Bentley usiłował uspokoić oddech. Zwolnić nieco rozszalały bieg myśli. Chciał, nie, musiał nieco się od tego zdystansować. To było zbyt wiele jak na niego. Wszystko zbyt realne. Nie była to jednak wyłącznie potrzeba satysfakcji seksualnej. Bentley pragnął jej, owszem. Pragnął jej tak bardzo, że odczuwał w środku jakieś wewnętrzne drżenie i nie było to, niech mu Bóg wybaczy, związane z organem, który miał między nogami. To uczucie zaniepokoiło go, podobnie jak powinno było zastanowić kilka tygodni temu. Ta nagła potrzeba, pożądanie kogoś, nie tylko cielesnie, ale niemal metafizycznie, nie było przeznaczone dla niego.

Czy stało się tak z powodu nasienia, jakie w niej zostawił? Całował ją raz za razem, myśląc o dziecku, które poczęli. Czy to dlatego inaczej się czuł, kochając się z nią? Czy to dlatego nie mógł oderwać myśli i po prostu skupić się na fizycznej satysfakcji, od której płonęło mu ciało? Nie otwierając oczu, przesunął dłońmi po jej jędrnym brzuchu. Nie, pomyślał, nie. Obawiał się, że nie. Nigdy nie pragnął w ten sposób Mary, nie mógł sobie tego wyobrazić, nawet pomimo tego, iż wiedział, że urodziła mu dziecko.

Boże, jak strasznie pragnął kochać się z tą dziewczyną. Jak bardzo chciał w nią wejść, kołysać się w niej, połączyć z nią, aż jego oddech stanie się gorący i szybki, a myśli uciekną i twarz spłynie mu potem.

Aż wytryśnie, a ona, kobieta, która powinna była być jedną z wielu niemal bezimiennych kochanek, opadnie bez tchu, krzyżąc pod ciężarem jego ciała.

Ale tym razem nie będzie tak samo, prawda? Nie, to nie takie proste. W ogarniającej go ciemności potrząsnął głową i mruknął pod nosem przekleństwo. Frederica niemal omdlewającym głosem wyszeptwała jego imię. Delikatnie musnęła palcami jego udo. Pozostało to bez odpowiedzi z jego strony.

Nie, nie mógł tego zrobić. Nie w ten sposób, z takim dystansem i beznamiętnie. Miał zamiar się z nią kochać całym sobą, świadomie, w pełnej przytomności umysłu. Nie będzie to jedynie zaspokojenie fizycznej żądz, w całej jej intensywności. Będzie to akt, święty akt małżeński. Zespolenie ciał, pełne czci, wiedział to.

Nie był to rodzaj seksu, jakiego oczekiwaby ten typ mężczyzny. Otworzył oczy i wsunął dłoń pomiędzy jej uda. Jej skóra mieniła się złociście, oczy otworzyły jej się ze zdumienia. Bentley schylił się, delikatnie muskając językiem jej najbardziej intymne miejsce, a Frederica wydała z siebie cichy krzyk. Uniosła dłoń, zatrzepotała nią, a on chwycił ją, splótł palce z jej palcami i przyciągnął jej rękę do brzucha, wsłuchując się w odgłosy wydobywające się z jej ust.

Wkrótce jej oddech stał się urywany. Całą siłą ramienia Bentley przycisnął jej ciało i unieruchomił jej pośladki, mocno wpijając się w nią ustami. Zdumiała go jej delikatna reakcja. Była naprawdę zmysłową osobą, filigranową, niemal kruchą jego młodą żoną. Czuł, jak przyspiesza, a jej biodra walczą, by wygiąć się w górę.

Chciał jednak sprawiać jej przyjemność, długo i mocno, i nie dlatego, że chciał się sprawdzić, lecz

dlatego, że okrył w tym nieznaną dotąd radość. Stało się jednak jasne, że dziewczyna nie wytrzyma długo. Puścił jej dłoń i położył palce na jej udzie. Frederica znowu zadrżała i poprosiła go o coś niskim, urywanym szeptem, W odpowiedzi na to wsunął do jej wnętrza dwa palce. Gwałtownie odchyliła głowę, całe jej ciało się wyprężyło i krzyknęła ponownie niczym zranione zwierzę.

Nie było sposobu, by ją powstrzymać. Ręce Frederiki opadły, jedną zacisnęła na udzie, a druga rozpaczliwie wpijała się we włosy Bentleya. Ostatnim, wręcz idealnym pociągnięciem języka musnęła ją, a ona zadygotała. Jej ciało uniosło się do jego ust targane spazmami, które ją rozkołysały. Bentley czuł, jak przetacza się przez nią fala za falą. A gdy zgasi ostatni spazm, a ona leżała, oddychając nierówno, uniosł się i nachylił cały nad nią.

Naprawdę płakała?

O Boże! Nie mógł znieść płaczu, a zauważył łzę, wypływającą na skroń z kącika jej oka. Co gorsza, spoglądała na niego z wyrazem twarzy, który był daleki od pochwały i niebezpiecznie blisko przypominał całkowite uwielbienie. Boże, nie zasługiwał na to. Nie na łzy, a już z całą pewnością nie na uwielbienie. Przebłysk wspomnień, ostrzeżenie, coś, co powiedział Amherst w trakcie uroczystości w kościele nagle wróciło. *Straszny dzień sądu ostatecznego, kiedy odkrywane są wszelkie tajemnice serca.* Och, nie patrzyłaby wtedy na niego takim ciepłym, roztopiającym się wzrokiem, ani nie ofiarowałaby mu z taką łatwością swych objęć. A teraz jej ramiona nadal były szeroko otwarte, a jej wargi przywoływały jego imię.

Chwycił więc w jedną dłoń swój członek, a drugą otworzył ją, odsłaniając ciepłe ciało. Zawahał się przez chwilę, ale dłużej nie mógł czekać i wszedł

w nią ostrym pchnięciem. Frederica krzyknęła, ale Bentley instynktownie wiedział, że to krzyk rozkoszy, nie bólu. Uniosła się pod nim, ponownie wyginając się w łuk, i usłyszał swój własny głos błagający ją o to, czego nie chciał.

- Kochaj mnie - wyszeptał, odchylając w tył głowę.  
- Och, Freddie, kochaj mnie, proszę.

Kochaj mnie. Jego słowa rozbrzmiały w uszach Frederiki niczym zaklęcie. Bentley wyglądał tak niespodziewanie bezbrinnie. Przytrzymała go, stapiając swe ciało z nim w jedność, dopasowując się do rytmu jego ruchów i oddając mu całą przyjemność, jaką miała do zaoferowania. Kierował nią nie tylko instynkt i chęci. Bentley poruszał się w niej powoli, torturując ją każdym pchnięciem. Oczy miał zamknięte, jego ramiona leciutko drżały. W odpowiedzi na to zsunęła dłonie, masując napięte mięśnie jego pośladków i słysząc, jak jęczy z rozkoszy.

Spijała wzrokiem obraz swojego męża. Patrzyła, jak napinają mu się żyły na szyi, a koraliki potu kapiały mu z brwi na twarz, kiedy zanurzał się w nią raz za razem. Kiedy kropla potu spadła mu z szyi w zagłębienie koło obojczyka, wysunęła język i ostrożnie ją zlizwała. Ciałem Bentleya wstrząsnął delikatny dreszcz. Zaczął przywoływać jej imię zachrypniętym i wygłodniałym głosem. Uniosła ciało, wychodząc mu na spotkanie, instynktownie zaciskając wnętrze na jego męskości i drżąc z emocji, zarówno z przyjemności, jak i z bólu, które wykrzywiły jej twarz.

I wtedy dłużej, posuwiste ruchy Bentleya rozпалиły w niej ogień. Frederica pozwoliła, by porwał ją rytm i uniosła biodra ku górze. Chciwie oddała się temu mężczyźnie i rozkoszy, o której wiedziała, że kryje się niedaleko stąd. Bentley otworzył oczy i już wiedział. Kosmyki czarnych włosów przesłoniły mu

twarz, lecz nie przerwał tempa. Raz za razem wchodził w nią, jego spocone ciało czarowało ją i kusiło obietnicą ponownej rozkoszy. Jakże ogromnie tego pragnęła. Aż do bólu. Pragnęła tego. Dla siebie. Dla niego. Dla swego męża.

Wszedł w nią raz jeszcze, mocno i głęboko, coraz mocniej i mocniej, aż krzyknęła. Jej ciało roztopiło się, zmieniło w lawę, która zaczęła opływać Bentleya. On zaś chwycił ją za ramiona i wbił się tak, że Frederica wydała z siebie przeciągły, niski dźwięk. Poczuli gorący strumień nasienia wlewający się w jej wnętrze, wytryskujący raz za razem, aż namiętność ukoiła się, a pierś Bentleya zaczęła unosić się od wysiłku.

Opadł koło niej, usiłując złapać oddech.

- Freddie - wymruczał w końcu, kładąc twarz na jej piersi. - O mój Boże!

Wyczuła w nim jakiś niepokój. Nagle położył się na boku, trzymając ją w objęciach. Patrzył jej w oczy łagodnym w półmroku wzrokiem.

- Dziecko - wyszeptał. - Nie powinniśmy...?

Frederica opadła na plecy ze zmęczenia.

- Nie - odezwała się pewnym głosem. - Nie, Bentley, to z całą pewnością nie zaszkodzi dziecku.

- Nie? - spytał z powątpiewaniem. - Jesteś pewna?

Frederica zdobyła się na słaby uśmiech.

- Całkowicie.

Pocałował ją jeszcze raz, a potem bez słowa przytulił się do niej całym ciałem, położył dłoń na jej brzuchu i natychmiast zapadł w sen.

Następnego poranka Bentley obudził się i odkrył coś niezwykłego. Przespał całą noc, co nie zdarzyło mu się w Chalcote od ponad piętnastu lat. Podparł

się na łokciu i przez opadające włosy dostrzegł złociście promienie słońca, przebijające się przez zasłony. Ledwo mógł sobie przypomnieć, jak zasuwał je poprzedniego wieczoru po kolacji.

Do jego uszu dobiegł stłumiony odgłos. Chrząknął lekko i przewrócił się na bok, widząc, że Freddie dusi w sobie ziewanie i wpatruje się w niego łagodnym zadowolonym spojrzeniem. W jego sercu wezbrała fala czułości i było to uczucie niezwykle. W jakiś sposób jeszcze bardziej zaskakujące niż przypływ emocji, który poczuł zeszłej nocy, kiedy kochał się z Freddie. Dobry Boże! Coraz gorzej z nim.

Chcąc ukryć zaskoczenie, Bentley pogładził się po twarzy.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - dziewczyna wyciągnęła rękę i musnęła palcami jego włosy. - Dobrze spałeś?

- Jak zabity - roześmiał się i przysunął do niej. - Zdaje mi się, że mogę się do tego przyzwyczaić, kochana Freddie.

- Przyzwyczaić do czego? - roześmiała się.

Potarł twarzą o jej szyć.

- Do budzenia się u twego boku.

Freddie z uśmiechem przeciągnęła się niczym kotka.

- Naprawdę możesz?

- Hm... niech się upewnię. - Bentley chwycił ją za ramię, nieco odsunął i omiótł wzrokiem jej twarz.

- Och, tak, wyglądasz niezwykle pięknie z samego rana. Powiedziałbym, że w małżeństwie to niezwykle ważne. Niektóre kobiety, wiesz, nie trzymają się tak doskonale.

Freddie uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

- Czyżbyś miał jakieś niemiłe pobudki?

Bentley skrzywił się.

- Tak, parę - przyznał. - Ale dzięki Bogu z żadną nie przyszło mi do głowy się żenić.

Roześmiała się, a on otoczył ją ramieniem i położył na plecach, pociągając ją za sobą i kryjąc w zagłębieniu swego ramienia. Boże, tutaj też pasowała idealnie. Zobaczył, że kołdra zsunęła się, ukazując wypukłości jej piersi, delikatnych i okrągłych pod materiałem koszuli nocnej, i ponownie zalała go falą czułości. Aby odepchnąć to uczucie, wsunął dłoń pod kołdrę i dotknął jej brzucha.

- Freddie, kochana, czy ty wystarczająco dużo jesz?

Dziewczyna wydeła wargi.

- Evie mówi, że przed dniem świętego Marcina będę wielka jak słonica - odezwała się. - Być może wtedy nie będę tak ładnie wyglądała.

Nagle Bentley zamknął jej usta mocnym pocałunkiem.

- Będziesz jeszcze ładniejsza - wyszeptał, a gorączkowe zapewnienie, jakie brzmiało w jego głosie, zaskoczyło nawet jego samego. Położył dłoń na jej łonie. - Tak, jeszcze piękniejsza, Freddie. Będziesz zmysłowa i kobieca, a w twoim brzuchu będzie moje dziecko. Jakże mężczyźnie miałoby się to nie podobać? - Zaczął obsypywać pocałunkami jej drobną twarz. - Ach, będziesz taka śliczna, że nie dam rady tego znieść. Będziesz musiała odganiać mnie szczotką.

Freddie parsknęła śmiechem, a on impulsywnie odrzucił kołdrę i pocałował ją tam, gdzie przed chwilą spoczywała jego dłoń. Przez delikatny materiał nocnej koszuli Bentley wyczuwał zapach kwiatowego mydła.

- Czy słyszysz, pączuszkę? - rzekł z ustami przy jej pępku. - Twoja mama będzie tak piękna, że nie bę-

dzie można się jej oprzeć, a twój tato jest tak łakomy, że możesz spodziewać się całych miesięcy kołysania.

Frederica nadal się śmiała, odrzucając głowę na poduszkę. Usiłowała pociągnąć Bentleya ku górze i w końcu uległ.

- Pączusku? - powtórzyła.

- No, to dziewczynka, wiesz - ostrzegł, opierając głowę na jej ramieniu. - Czuję to.

Frederica potrząsnęła głową.

- Nie, to chłopiec - odparła. - Winnie już tak powiedziała.

- Och, Winnie powiedziała? A ojcowski instynkt już się nie liczy?

- To dlatego, że nie masz magicznego kamyczka Winnie - powiedziała i mrugnęła okiem. - Mówi prawdę.

Bentley uniósł jedną brew.

- Och, ja też mam magiczne kamyczki - powiedział, znacząco przechylając głowę. - Chcesz je zobaczyć?

Widział, jak Freddie walczy sama z sobą, żeby się nie roześmiać.

- Nie, to magiczny kamyk na sznurku - nalegała, chwytając niewidzialny obiekt w palce i udając, że kołysze nim nad brzuchem. - Czarny onyks, który przywiozła z Florencji. Trzyma się go nad brzuchem przyszłej mamy w trakcie nowiu i jeśli dziecko jest dziewczynką, kamyk zacznie obracać się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. A jeśli chłopcem, to w przeciwnym kierunku. W przypadku Evie nigdy nie było żadnej pomyłki.

- Cóż, tym razem się myli - mruknął, kryjąc twarz na szyi Freddie i lekko ją kasając.

- A! - pisnęła. - Tak bardzo chcesz mieć córkę? Czyż mężczyźni nie pragną zazwyczaj syna?

Bentley wzruszył ramionami.

- Może wtedy, jeśli mają tytuł, który chcą komuś przekazać - zamyślił się. - Ale ja nie. Uważam, że małe dziewczynki są śliczne i pachną ładniej od chłopców. Miło wspominać, jak Ariane była dzieckiem. Znam też Madeleine i Emmie, nie mówiąc już o Anais, mojej małej siostrzyczce.

Freddie usiadła, podpierając się na poduszkach.

- Uważam po prostu, że jesteś oczarowany nawet łagodnymi przebłyskami kobiecości, a kobiety są równie mocno oczarowane tobą - powiedziała. - Ale ja uważam, że chłopcom lepiej żyje się na świecie w dzisiejszych czasach. Mają wybór. Możliwości, z których mogą korzystać w życiu i mogą być, kim zechcą.

Bentley uniósł głowę i spojrzał na nią zupełnie poważnie.

- Nasza córka będzie miała wybór i możliwości - przysiągł. - Zapewnimy jej to. Dlaczego tak się martwisz, Freddie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i bezmyślnie zaczęła skubać brzeg kołdry.

- Och, jestem chyba lekkomyślna - przyznała łagodnym tonem. - Myślę, że bardziej mówię o sobie niż o własnym dziecku - uniosła wzrok i napotkała spojrzenie męża, poważne i nieruchome. - Niezależnie od płci naszego dziecka, Bentley, i niezależnie od tego, co stanie się z naszym małżeństwem, jestem przekonana, że mojemu dziecku będzie w życiu łatwiej niż mnie. Nie podziękowałam ci za to, a powinienam była.

Bentley poczuł nagły ucisk w piersi, spowodowany niespodziewanym przypływem emocji.

- Nie jestem jakimś świętym, Freddie - rzekł cicho. - Nie rób ze mnie kogoś takiego. Miałem swoje powody, by się z tobą zenić.



Przez dłuższą chwilę milczała, a potem, nie wiadomo czemu, zmieniła temat.

- Spodobało mi się wczorajsze spotkanie z twoją rodziną - powiedziała. - Doskonale nam się rozmawiało.

- Och, zauważyłem zaangażowanie Cama - rzekł chłodnym tonem Bentley. Rozmowa o małżeństwie poruszyła w nim czule struny, a jednak ten temat pasował mu nieco bardziej.

Freddie spojrzała na niego badawczo.

- Z początku sądziłam, że nie aprobeje naszego związku - ciągnęła. - Nie uważasz, że w trakcie herbaty był nieco nieobecny myślami? Ale Helene powiedziała, że po prostu się martwi.

- Tak, Cam jest dobry w martwieniu się sprawami innych ludzi - mruknął Bentley. - I nigdy nie przejmuj się tym, czy on coś aprobeje, czy nie. Nigdy nie będziemy zależni od jego dobroczynności.

Freddie spojrzała na niego lekko zdziwiona.

- Ależ ja nigdy nie myślałam, że tak będzie - rzekła łagodnie. - O czym ty mówisz?

Bentley skrzywił się i spojrzał w sufit.

- Nieważne.

Freddie potrząsnęła głową.

- Nie jestem pewna, czy to takie nieważne - upierała się. - W trakcie herbaty atmosfera była napięta, Bentley. Potem się nieco poprawiła. Chyba nie przepadasz za swoim bratem. A on najwyraźniej ci nie ufa.

- Ach, tak... Co do tego drugiego to masz rację.

Freddie zamilkła na moment, a potem westchnęła.

- Helene mówi, że niekiedy nie mogliście się dogadać - pogładziła go po włosach uspokajającym gestem. - Jak mogę ci pomóc, Bentley?

*Trzymając się od tego z daleka.* Miał te słowa na końcu języka, wiedział jednak, że lepiej ich nie

wypowiadać. W jej delikatnym stanie mogłoby to wywołać płacz i Bóg jeden wie, do czego mogłoby to doprowadzić. Może padłby do stóp swego brata i całował ślady jego butów, a najprawdopodobniej błaga! o wybaczenie. Zresztą Freddie nie była osobą, która trzyma się z dala od kłopotów lub ślepo słucha innych. W Chatham pozwalano jej brać udział w debatach, dyskutować i myśleć, nawet jej tego uczono. Z pewnością skrzyżowała palce, ślubując mu posłuszeństwo przed ołtarzem.

- Chciałabym tylko, żebyśmy zawsze byli blisko z naszymi rodzinami - stwierdziła, oplatając palcami jego dłoń i ściskając go lekko. - To dla mnie ważne. I dla naszego dziecka.

Bentley gorzko się roześmiał.

- Bawisz się w gołąbka pokoju, Freddie? - rzekł podejrzanie swobodnym tonem. - Nie rób tego. Moje kłopoty z Camem to nie twoje zmartwienie.

Freddie jednak nie ustępowała.

- Ależ oczywiście, że mnie dotyczą, Bentley - powiedziała. - Jestem teraz twoją żoną. Razem mamy stworzyć rodzinę i staram się jedynie zrozumieć twoje...

Bentley przerwał jej kolejnym wybuchem śmiechu.

- Daruj sobie! - rzekł ostro, rzucając się na poduszkę. - Sam siebie nie do końca rozumiem.

- Bentley, nie chcę być odcięta od twojego życia.

- Och, na miłość boską, Freddie! - przerwał jej, siadając nagle na łóżku. - To nasz miodowy miesiąc. Po co roztrząsać sprawy, które nie mają znaczenia?

- Nic nie ma większego znaczenia niż rodzina, Bentley. - Ton głosu Freddie nagle stał się stanowczy. - Dla mnie jedność rodziny to najważniejsza rzecz, którą trzeba zachować za wszelką cenę, a w to wchodzi również czyjaś duma. Czyżbym nie wyraziła

się wystarczająco jasno co do moich uczuć w tej kwestii, zanim się pobraliśmy?

- Och, Freddie, jest za wcześnie rano na wytaczanie takich ciężkich dział!

Ona jednak ciągnęła dalej, niewzruszonym głosem.

- Nie. Musisz mnie wysłuchać, Bentley - odparła. - Widzisz, ja nie miałam rodziny, nie miałam, dopóki nie przygarnęła mnie Evie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to przerażające. Ty masz to wszystko... - Przerwała i zatoczyła ręką krąg. - Troskliwych krewnych, ten wspaniały dom i dobre pochodzenie. I nie doceniasz tego, Bentley. A powinieneś, bo to cenna i rzadka rzecz. Nie chcę, by nasze dziecko wychowywało się rodzinie targanej złością i niesnaskami. I nie zgodzę się na to.

- Wobec tego weszłaś do nieodpowiedniej rodziny - wypalił i w jednej chwili pożałował wypowiedzianych słów.

Żona jednak nie wymierzyła mu policzka, na który zasługiwał. Zamiast tego odwróciła się i położyła dłoń na jego sercu.

- Wysłałam za ciebie, ponieważ przekonałeś mnie, że oboje chcemy tego, co najlepsze dla naszego dziecka - wyszeptała. - Czyżbym się myliła?

Przez chwilę Bentley miał wzrok wbity w przestrzeń.

- Bentley, myliłam się?

- Nie - w końcu wyszeptał. - Nie, nie myliłaś się. Wiesz, jak się czuję, Freddie, co myślę o dziecku.

Trzymała rękę na jego piersi, a jej dłoń ogrzewała mu ciało. Jej dotyk był miły, pocieszający. I jeśli mężczyzna musi zmienić całe swoje życie, by dogodzić kobiecie, nieco pocieszenia na pewno nie zawadzi, pomyślał.

- Wiem, Freddie. Masz rację co do Cama - przyznał w końcu. - Pozwól jednak, że sam się tym zajmę w stosownym czasie, dobrze? Po prostu... nie ponaglaj mnie. Cam i ja przez większość czasu całkiem nieźle się dogadujemy.

- Ale pogodzisz się z nim, prawda? - łagodnie zażądała odpowiedzi. - Postarasz się i to szybko, ze względu na rodzinę.

Przytaknął.

- Tak, ale ten problem pomiędzy mną a Camem jest tak stary, że już nikt nie pamięta, gdzie się zaczyna - powiedział, zdając sobie sprawę, że jego słowa przynajmniej w połowie są kłamstwem. - Wiem, że trudno ci zrozumieć tę sytuację, bo pamiętam, jakie szczęśliwe życie rodzinne wiodłaś w Chatham. Nasze jednak było zupełnie inne, Freddie. Cam nie miał dzieciństwa, a Catherine była...

W tej chwili zaklekotała klamka, jakby ktoś się z nią mocował. W końcu drzwi otworzyły się i ukazała się w nich główka Madeleine. Kiedy spostrzegła, że Bentley przygląda jej się z łóżka, uśmiechnęła się i zatrzasnęła za sobą drzwi. Dziewczynki nie trzeba było zapraszać. Gdy Bentley był w domu, często zdarzało jej się wskakiwać wprost na jego łóżko, wyższe od niej.

Dobry Boże, choć tak bardzo kochał Madeleine, żałował, że zostawił otwarte drzwi i cholernie się cieszył, że razem z Freddie nie są kompletnie nadzy. Miał nadzieję, że ktoś zadał sobie trud, by wytłumaczyć dzieciom nowe zasady dotyczące tego, kto z kim i gdzie śpi. Najwyraźniej jednak tak się nie stało. Gdy Bentley chwycił rączkę dziewczynki i podciągnął ją w górę, a ona wdrapała się na łóżko i zobaczyła Frederice, zamarła.

- Och! - wymusnęło jej się.

Bentley uśmiechnął się pod nosem.

- Zaskoczona ptaszyna? - spytał, unosząc ją ku górze i sadzając sobie na kolanach twarzą zwróconą ku sobie. - To jest Freddie.

Madeleine wsadziła kciuk do ust i podejrzliwie przyglądała się nowej cioci. Ostrożnie pochyliła się do przodu i pocałowała Frederice w czubek głowy, a potem z powrotem włożyła palec do buzi.

- Przywiozłem wczoraj Freddie do domu, ponieważ teraz jest moją żoną - tłumaczył dalej, chwytając malutką rączkę Madeleine w swoją dłoń. - Mężowie i żony śpią w jednym łóżku, prawda?

Dziecko przytaknęło, ale z lekkim ociąganiem.

- Mama śpi w łóżku tatusia.

Bentley rzucił Frederice przeproszające spojrzenie.

- Masz coś przeciw temu? - powiedział samym ruchem warg i skinął głową w stronę Madeleine.

Frederica uśmiechnęła się ciepło i potrząsnęła głową.

- Dzień dobry, Madeleine - powiedziała, pochylając się w stronę dziewczynki i odgarniając włosy z jej twarzy. - Dobrze spałaś?

Dziewczynka ochotczo przytaknęła.

- Tak - odparła - ale Gervais nie. Miał koszmary, naprawdę straszne. Płakał, bo jest małym dzieckiem. Ja nigdy nie płaczę. - I Madeleine odwróciła się zniecierpliwiona w stronę Bentleya. - Wujku, wyprowadzisz psy? Mogę z tobą iść? Mam już strzelbę. Ciocia Cat kupiła mi w Londynie. Już umiem z niej strzelać.

Widząc zaniepokojony wyraz twarzy Frederiki, Bentley puścił do niej oko i potrząsnął głową.

- Och, nie dzisiaj, Madeleine.

Dziewczynka zarzuciła mu rączki na szyję.

- A kiedy?

Bentley ziewnął.

- Może jutro, ptaszyno - odparł. A potem, jakby chciał odwrócić jej uwagę, spojrział na nią szeroko otwartymi oczami. - Madeleine, chcesz znać tajemnicę?

Dziewczynka zrobiła wielkie oczy i z powagą przytaknęła.

Bentley poklepał Freddie po brzuchu i uniósł do góry brew, spoglądając na siostrzenicę.

- Tam jest dzidzius.

- Naprawdę? - Madeleine aż dech zaparło.

Bentley przytaknął.

- Taki sam kuzyn, jak Armand i Anais.

Madeleine nie mogła oderwać oczu od brzucha Freddie.

- Czy mogę posłuchać?

Kiedy Bentley przytaknął, Madeleine zeszła z jego kolan i przytknęła jedno ucho do brzucha Frederiki. Ta zrobiła naburmuszoną minę, zerkając na Bentleya, który rzucił jej przeproszające spojrzenie.

- I tak długo się tego nie ukryje - wymruczał. - Lepiej więc się pochwalmy i ztraćmy się w sobie. W ten sposób wszystkie plotkarskie języki uznają to za wspaniały romans.

Z nieco łobuzerskim spojrzeniem wpatrywał się w twarz Freddie, na której grymas niezadowolenia zmieniał się w tęskny uśmiech. W zadumie zaczęła gładzić dziewczynkę po plecach, a jej dotyk był w instynktowny sposób kojący. Bentley rozumiał jej nagły smutek. Freddie nie będzie miała gorącego romansu, prawda? I to po części było jego winą. Ale kiedy tak obserwował swoją żonę i Madeleine, pocieszał się jedną myślą. Freddie będzie wspaniałą matką. I nagle Bentley rozumiał bez cienia wątpliwości, że już jest zauroczony swoją żoną.

Wtedy główka Madeleine drgnęła.

- Słyszę go!

- O rany! - Frederica przytknęła dłonie do policzków. - Naprawdę? Jak brzmi?

Madeleine wydała z siebie dziwny, gardłowy dźwięk, podobny do miauczenia kotki w marcu, a potem zatkała rączką buzię i zachichotała.

To burczyj z głodu, domyślił się Bentley. Ale mimo wszystko radość zalała jego serce.

- Co za okropny hałas! - rzekł. - Sam lepiej posłucham.

Madeleine chichotała pomiędzy nimi, a Bentley obrócił się i przyłożył ucho do brzucha Freddie. Uniósł wzrok i mrugnął.

- O rany, miałeś rację Madeleine! - powiedział. - Ja też słyszę!

- Naprawdę? - spytała sucho Freddie. - I co on mówi? Proszę, nie miażdżcie mnie?

- Ona - poprawił ją Bentley beztrąsko. - Ona mówi... czekaj, posłucham. - Pokręcił nieco głową dla większego efektu i uszczypnął dyskretnie dziewczynę. - O tak! Słyszę, chcę... chcę, żeby tata... żeby co? Boże, nie rozumiem.

- Posłuchaj! Posłuchaj! - krzyknęła Madeleine. - Czego ona chce?

Bentley udał, że nieco mocniej przyciska ucho.

- Żeby zabrał mnie na... na... na piknik!

Frederica wybuchnęła śmiechem.

- Na piknik? - spytała, podrywając się nagle na łóżku. - Jesteś pewien?

- Całkowicie - powiedział Bentley, siadając i teatralnym gestem otrzepując ręce. - Cóż, postanowione. Uważam, Freddie, że będziesz musiała też pójść, skoro jesteście połączone.

Ale Frederica wyglądała tak, jakby nagle się obraziła. Z jej twarzy odpłynęła krew, a oczy otworzyły się szeroko. Nagle odsunęła od siebie Bentleya, który opadł na Madeleine i rzuciła się do pokoju kąpielowego. Zaniepokojony Bentley poszedł za nią, chwytając za rękę Madeleine.

- Freddie?

Jednak jedyną odpowiedzią, jaką usłyszał, był przeraźliwy odgłos wymiotów. Bentley widział, jak dziewczyna przytrzymuje się drzwi zbiełą dłońią. Niewiele myśląc, odstawił Madeleine i wparował do łazienki. Freddie stała skurczona nad miednicą, drugą dłoń miała zaciśniętą na plecach.

- O Boże - dotknął ją delikatnie. - Freddie?

Z gardła dziewczyny wydobył się ostrzegawczy, niski odgłos.

- Odejdź.

Ale kolejny spazm wstrząsnął jej kruchą postacią i dziewczyna ponownie zwymiotowała. Bentley chwycił jej włosy, odsunął je na bok i objął ją w pasie, jak mu się zdawało, kojącym gestem. Nadszedł kolejny spazm, tym razem jeszcze gorszy.

- Odejdź! - wykrztusiła.

Bentley nie posłuchał, zamiast tego pochylił się wraz z nią do przodu. Jak było do przewidzenia, dziewczyna poddała się i oparła na nim ciężar ciała. Bentley instynktownie ją wyprostował i poprawił jej włosy. Kolejny spazm poprzedził gardłowy dźwięk.

Bentley patrzył, jak jego żona cierpi i poczuł się jak najgorszy drań. Dlaczego, dlaczego nie potrafił nigdy utrzymać na wodzy swojej żądz?

- O Boże, Freddie - wyszeptał, kiedy znowu dopadła ją konwulsja. - To moja wina, tak?

- Nie - Freddie wyszeptała słabo.

- Nie, nie twoja - powtórzył młodziutki, pewny siebie głosik dobiegający gdzieś z okolic jego kolan.  
- To wina dzidziusia. Tego w jej brzuszku.

Bentley spojrział w dół i zobaczył wpatrzoną w nich Madeleine i jej ciemne loki na tle swych białych ka-  
lesonów.

- O Boże - wyjęczała Freddie, pochylając się nad miednicą.

Madeleine kontynuowała wyjaśnienia.

- Widzisz, dzidziusie dużo się wiercą i kopią.

- Tak? - wymruczał Bentley.

Madeleine przytaknęła.

- A potem gniotą środek.

- Środek?

- Flaki i wątroby, i żołądki - objaśniła, co spowodowało, że Freddie dostała kolejnego ataku. - I wtedy jest ci bardzo niedobrze.

- Aha - odezwał się Bentley słabym głosem. - Rozumiem.

Madeleine ochoczo przytaknęła.

- Wiem, bo mama miała zgnieciony środek i rzygała codziennie, zanim wyskoczyła Emmie.

W Bentleyu pojawiło się ojcowskie zaniepokojenie.

- Rzygała? - powtórzył, zaciskając ramię na talii Freddie. - Kto cię tego nauczył?

Madeleine wzruszyła ramionami.

- Nie pamiętam - rzekła obronnym tonem. - Ale słyszałam, jak Queenie mówi, że rzygi mamy to wina Emmie.

- O Boże! - Freddie omal się nie zakrztusiła.

- To nie wina Emmie - syknął Bentley, przytrzymując dygoczącą Freddie. - I przestań używać tego słowa! Poza tym dzieci nie wyskakują! Przynosi je... bocian.

- Co to jest bocian? - spytała podejrzliwie Madeleine.

- Och, musicie zaczynać! - wykrztusiła Freddie.

- Wielki ptak - wypalił Bentley. - Przynosi dzieci na świat.

Mała dziewczynka wydeła wargi.

- Więc nie jest tak, jak mówi Queenie. Powiedziała, że Emmie wyskoczyła z mamy szybciej niż maślano ciasto. Ptaki nie lubią chyba maślanego ciasta.

Obraz, który pojawił się w głowie Freddie był nie do wytrzymania. Raptownie znowu się nachyliła i zwróciła resztę tego, co miała w żołądku.

Zaledwie kilka godzin później samopoczucie Frederiki znacznie się poprawiło. Słońce ogrzewało jej plecy, a ona leżała wyciągnięta na wełnianym kocu, podparta na łokciach, by móc lepiej widzieć twarz swego męża. Bentley leżał na plecach, jedno kolano miał podciągnięte, ramieniem zasłaniał się przed rażącym słońcem. Jego kamizelka, fular i marynarka leżały niedbale rzucone na trawę. Podczas snu jego uroda nabrała bardziej miękkich rysów i pomimo delikatnego zarostu, który zacieniał mu twarz, wydawał się jakiś młodszy. Niemal niewinny.

Frederica musiała powstrzymać się od śmiechu na tę myśl. Cóż za niedorzecznie romantyczny pomysł! Czy pozwoliła, by dziwne wydarzenia poranka, lub to przyjemne popołudnie uderzyło jej do głowy? Być może. Ale dlaczego nie? Nie mogła wmówić sobie, że obie te rzeczy do głębi jej nie poruszyły.

- Musisz wyjść z domu na kilka godzin - powiedział Bentley, niosąc kosz piknikowy, który przygotowano dla niego w kuchni. - Z pewnością masz dość ludzi, których ledwie znasz i ich wścibskich nosów. Jeszcze trochę, a do drzwi zaczną stukać ciekawscy ze wsi, a oni nie odejdą z kwitkiem.

Frederice spodobał się pomysł spędzenia odrobiny czasu sam na sam z mężem. Jak wyjątkowe wydał się życie w świetle nowego dnia i w tym nowym miejscu, zastanawiała się, wpatrzona nieobecny wzrokiem we frędzle koca. Jest mężatką, wyszła za mąż za Bentleya Rutledge'a, uroczego drania, którego znała chyba całe swoje życie. Teraz jednak zaczęła dochodzić do przekonania, że prawie w ogóle go nie zna. Przy Bentleyu czuła się tak, jakby przepływała przez życie niczym w śnie, uchwycona pomiędzy starym, bardzo zwyczajnym życiem, a tym nowym, niezwykłym i zagadkowym. Jej mąż był zagadką, którą usiłowała rozwikłać. Obawiała się, że powodzenie ich małżeństwa może w dużym stopniu od tego zależeć.

Przynajmniej spacer rozjaśnił nieco jej myśli i zapomniała już o nudnościach. Dzieci, jak się okazało, miały zjeść lunch ze swymi kuzynami w Bellevue. Frederica i Bentley wyruszyli więc sami, idąc szybkim krokiem dobrych kilka kilometrów. Bentley wybrał miejsce na wzgórzu powyżej Chalcote, nieopodal kępy drzew, niedaleko ścieżki. W tym miejscu rozłożył koc i stwierdził, że jest to jego najbardziej ulubione wzgórze w całej Anglii. I Frederica zrozumiała dlaczego. Z łagodnego wzniesienia rozciągał się widok na kilometry lasów, pól upstrzonych domami z kamienia i strzelistymi wieżami kościołów. Dołem płynęła rzeka Coln, wijąc się wśród zielonych pastwisk, na których pasły się stada owiec.

Oboje rozłożyli się na kocu i raczyli posiłkiem złożonym z kurczaka na zimno, owoców, serów i świeżego chleba. Frederica nadal skubała nieśmiało, a Bentley od czasu do czasu wkładał jej do ust kawałek sera lub jabłka, jakby chciał ją zachęcić do jedzenia. Po posiłku oparł się na łokciu i zaczął zaba-

wiać Freddie opowieściami o śmiesznych wyczynach Madeleine. Słuchała go zauroczona, a łagodny wietrzyk bawił się kosmykami jej włosów.

Frederica przechyliła głowę, żeby móc lepiej widzieć profil twarzy męża. Rzeczywiście, teraz, kiedy o tym pomyślała, dostrzegła pewne podobieństwo pomiędzy Madeleine i jej wujkiem. Być może nie było to dziwne, że lord Treyhern miał tę pionową zmarszczkę między brwiami.

Frederica pomyślała ponownie o tym, co niewątpliwie dzieliło braci. Istniał między nimi pewien rodzaj rywalizacji, normalnej pomiędzy braćmi, o czym dobrze wiedziała. Gus i Theo bezustannie ścigali się, kto jest lepszy w każdej męskiej dziedzinie. Jednak ciemna chmura wyczuwalna nad Chalcote nie zwiastowała niczego, co przypominałoby zdrowe współzawodnictwo między rodzeństwem, a raczej coś, co przywodziło na myśl głęboki i nieprzenikniony smutek. Niczym niewygojona rana, która - była o tym przekonana - może się zagoić.

Nagle rozległo się bicie dzwonów kościelnych. Frederica odwróciła się, by spojrzeć w stronę błyszczącej w słońcu dzwonnicy świętego Michała. Metaliczny dźwięk dzwonów przetoczył się falą po okolicznych wzgórzach niczym smuga ciepłego, letniego deszczu. Wyobraziła sobie, że mogłaby tak leżeć zawsze, w słońcu razem z Bentleyem, wsłuchana w kościelne dzwony.

Życie jednak nie było takie proste. Dokąd zabierze ją to nowe życie u boku tego mężczyzny? Nigdy o tym nie rozmawiali, co ją zaniepokoiło. Jak długo pozostaną w Chalcote? Czy pomyślał w ogóle o tym, gdzie zamieszkają jako rodzina? W mieście? W jego domu na wsi? I czy kiedykolwiek będą naprawdę zadowoleni, zważywszy fakt, że do małżeństwa musieli ich pech i brak rozwagi?

- Zagubiona w myślach? - dobiegł ją chrapliwy szept.

Poruszyła się tak, że pięść wymsknęła się spod jej brody. Bentley roześmiał się i położył na plecach, pociągając ją za sobą.

- Czemu jesteś taka zadumana, kochana Freddie?

Freddie odprężyła się, kładąc głowę na jego piersi.

- Och, nie wiem - powiedziała w zamyśleniu. - Po prostu czuję się... jakoś zagubiona.

- Zagubiona? - pogładził ją grzbietem dłoni po policzku. - Opowiedz mi o tym, kochanie.

Frederica, z głową na jego piersi, wpatrzyła się w rosnące wkoło krzewy.

- W niepewności - wyjaśniła, starając się uspokoić nerwy. - Bentley, czy nie powinniśmy robić planów związanych z przyszłością? No wiesz...

Usłyszała, jak z jego piersi wydobywa się śmiech.

- Och, czas najwyższy! - zażartował z niej. - W końcu jesteśmy małżeństwem całe trzy dni!

Uniosła głowę i spojrzała na niego lekko zasmucona.

- Och, Bentley, czy ani przez chwilę nie możesz być poważny?

Wtedy coś w nim się zmieniło, pękło. Słyszała to w jego głosie i czuła w jego dotyku.

- Przepraszam, Freddie - odparł, a jego oddech musnął jej włosy. - Nigdy nie byłem dobry w planowaniu przyszłości, ale...

- Dlaczego? - przerwała mu.

Łagodnie zignorował to pytanie.

- ... ale jeśli powiesz mi, co chcesz wiedzieć, postaram się zacząć. A teraz powiedz mi, jakie twoje zmartwienia zaniedbałem?

Frederica oderwała wzrok od jego twarzy i wpatrzyła się w zielony krajobraz. Tak było jej łatwiej mówić.

- Po prostu muszę wiedzieć, o czym myślisz, Bentley - zaczęła, jakby przerwała się jakaś tama. - Co ci chodzi po głowie? Co czujesz? Nie możesz być aż tak niefrasobliwy, na jakiego wyglądasz. Jesteś ze mną szczęśliwy? Czy naprawdę cieszysz się z naszego dziecka? I chcę wiedzieć, jak długo mamy zamiar zatrzymać się w Chalcote, i gdzie zamieszkamy, kiedy...

- Nie podoba ci się tutaj? - przerwał jej, zatrzymując nieprzerwany potok słów. Wsunął palec pod jej brodę i uniósł jej twarz ku swojej. - Bo skoro tak, Freddie, to wyjedziemy jutro.

Potrząsnęła głową i popatrzyła mu w oczy.

- Nic, bardzo mi się tu podoba - wyszeptwała. - Uważam, że to najpiękniejsze miejsce na świecie. Ale to nie jest nasz dom, Bentley. Czy jesteśmy tu z wizytą, a potem pojedziemy do twojego domu w Hampstead? Czy kupimy dom w mieście i razem w nim zamieszkamy?

Bentley czuł napięcie w głosie żony. To nie tak, że nie dbał o takie rzeczy. Po prostu potrzebował trochę czasu w podobnych kwestiach. Freddie jednak chciała mieć dom i poczucie bezpieczeństwa w życiu. Większość kobiet tego pragnęła, to prawda. Freddie jednak potrzebowała tego bardziej niż jakakolwiek inna kobieta. Musiał o tym pamiętać.

- Chciałabyś mieszkać w mieście, Freddie?

Znowu potrząsnęła głową.

- Niezupełnie - przyznała. - Ale pomyślałam, że byłbyś...

- Byłbym co? - naciskał. - Śmiertelnie znużony na wsi?

- Tak - przyznała, wzruszając ramionami.

I nagle zdał sobie sprawę, że Freddie się myli. Uwielbiał wieś i nie było lepszego miejsca do wycho-

wywania dziecka... dzieci. Chciał mieć więcej dzieci, tego był pewien. I chciał wychowywać je tutaj, ponieważ we wszystkich jego wspomnieniach, zarówno tych dobrych jak i tych złych, ta wieś była jego domem. Chodziło tylko o to, że tutaj nie było wystarczająco dużo miejsca dla niego i Cama jednocześnie. To go stąd odciągało, raz za razem. To i potrzeba ucieczki od czegoś... od samego siebie być może.

Bentley ucałował jej brew.

- Wobec tego kupimy sobie dom na wsi - powiedział. - Śmiem twierdzić, że zawsze zakładałem, iż tak będzie.

- Czy... czy nas na to stać?

Spojrzał na nią i roześmiał się.

- Boże, tak - odparł. - Nawet na dwa lub trzy. Oczywiście Roselands jest urocze, zabiorę cię tam pewnego dnia i pokażę cudowne ogrody różane, ale w tym domu nie zmieści się drużyna krykieta, którą, jak sama powiedziałaś, chcę mieć. - Uniósł nieco ramiona i przytulił ją. Może planowanie przyszłości nie było wcale tak trudne, jak mu się zdawało. - Co jeszcze, kochana Freddie?

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę wiedzieć, czy masz kochankę - powiedziała cichym, lecz stanowczym tonem. - Jeśli tak, to od razu ci powiem, że nie będę tego tolerować. Powinam była powiedzieć ci to przed ślubem. I uważam też, że powinieneś powiedzieć mi o dziecku, o tym, o którym wspomniałeś w salonie muzycznym tamtego dnia. Czy jest pod należytą opieką? Czy to chłopiec, czy dziewczynka?

Bentley wstrzymał oddech. Niewątpliwie pytania stawały się coraz trudniejsze. Czuł prawie symboliczne ostrze noża, który wbija mu się w ciało. Nie przypominał sobie, by wspominał cokolwiek o Mary ani

Bridget. A może jednak? Do diabła. Wciągnął głęboko powietrze.

- Miałem kiedyś kochankę - zaczął ponurym tonem. - Urodziła mi dziecko. Córeczkę, Bridget. Ale zmarła, kiedy była mała.

- Och - odezwała się łagodnie Frederica.

Usłyszał w jej głosie nutkę smutku, ale po prostu nie mógł znieść myśli, by opowiedzieć jej wszystko ze szczegółami. Nie teraz, kiedy obietnica narodzin ich wspólnego dziecka jawiła się taka słodka i obiecująca.

- O co jeszcze pytałaś? - rzekł, zbierając myśli. - Ach, o kochankę! Nie, nigdy nie byłem typem, który utrzymuje na boku kobiety. I nie będzie kolejnej, Freddie. Nie, póki mieszkamy pod jednym dachem.

- Ale gdzie ona jest? - Freddie podniosła się. - Matka tej dziewczynki.

Och, nie znosił tego. Nienawidził.

- Też umarła - odparł, wstając na równe nogi. - Dawno temu. I skoro już odpowiedziałem ci wyczerpująco na pytania, tak jak chciałaś, Freddie, to wołałbym o tym więcej nie mówić.

- Dobrze, w porządku - poruszyła się, jakby chciała wstać, a on wziął jej rękę i pomógł podnieść się na nogi. Niespokojnie ruszył w kierunku kępy drzew, trzymając ją za rękę.

- Pytałaś, czy jestem szczęśliwy, Freddie - rzekł, zatrzymując się, by kopnąć leżący na drodze kamień. - Co do tego, jak się czuję na myśl o dziecku... Cóż, przykro mi, że to się wszystko tak stało, ale nie mogę powiedzieć, że się nie cieszę.

- Ja także się cieszę - spojrzała na niego, a w jej ocienionych gęstymi rzęsami oczach igrał uśmiech. Wiedział, że to za jego sprawą. Choć przez chwilę poczuła się szczęśliwa. I nagle uświadomił sobie, że jej pożąda. Ze musi ją mieć pod sobą, bez tchu i wy-



głodniała i nie tylko, by zaspokoić swoje pożądanie czy sprawić jej przyjemność, ale by przypieczętować słowa, które właśnie wypowiedzieli,

Jednak jego żona była najwyraźniej myślami gdzie indziej.

- Jak chcesz nazwać dziecko? - spytała, kładąc dłoń na brzuchu. - Jeśli to chłopiec, czy podobałoby ci się imię Randolph?

- Boże, nie! - jego reakcja była raptowna. - To był kamień u szyi. Nie byłbym aż tak okrutny, by je przekazywać dalej.

- Kamień u szyi? - Mrugnęła do niego. - Uważam, że to cudowne, odpowiednio brzmiące imię.

Bentley roześmiał się z goryczą.

- Moja droga, nigdy nie poznałaś mojego ojca - odparł. - Nie było bardziej cudownego i bardziej prawego człowieka w całej Anglii. Nie, nie Randolph. Wybierz coś innego. A może Frederick, po tobie i twoim ojcu?

Jej spojrzenie złagodniało.

- A jeśli będzie dziewczynka?

Bentley zmarszczył czoło.

- Nie wiem - zastanowił się. - Cam i Helene zajęli wszystkie dobre rodzinne imiona. Jak miała na imię twoja matka?

- Luciana - odparła. - Luciana Maria Teresa dos Santos d'Avillez.

- Ładnie - rzeki. - Luciana Maria Teresa dos Santos d'Avillez.

Tym razem uśmiech rozświetlił także jej oczy i usta. Ileż w tym uśmiechu słodczy, pomyślał Bentley. Przystanął na ścieżce i spojrzał na nią. To, co zobaczył, to nic była miłość. Nie, nie był na tyle głupi, by tak sądzić. Ale może odrobina nadziei? Udało mu się odpowiedzieć na większość jej pytań. Mocno ją przytulił.

Więc może uda się utrzymać ten zaczątek małżeństwa? Może to bezustanne pożądanie, które do niej czuł, nie jest niczym nikczemnym. Może naprawdę będzie mógł mieć normalne życie. Czy tego chciał? Nigdy nie śmiał tego rozważać.

W jej brązowych oczach wpatrzonych w niego płonęło ciepło, powoli rozlewające się na jej twarz, W odpowiedzi unióśł dłonie i przesunął kciukami po jej brodzie, a potem wplótł palce w rozpuszczone włosy. Frederica odwróciła się, przyciskając pierś do jego torsu i wspięła się na palce, z westchnieniem przyzymkając oczy.

Zupełnie jakby odpowiedziała na jego niewypowiedziane pytanie. Nadal trzymając jej twarz w dłoniach, pocałował ją, łagodnie przyciskając wargi do jej ust. Potem pocałunek stał się mocniejszy, coraz bardziej żarliwy. Boże, jak strasznie jej pragnął! Wyczuła to i otworzyła się pod nim. Jęknął i wpił się w jej wargi, miażdżąc je w desperacji. Wtedy dotarło do niej jego dzikie pożądanie i oderwała się od niego.

- Chodź - szepnęła, ciągnąc go do lasu, z dala od ścieżki. Szedł za nią coraz głębiej pomiędzy drzewa; jej suknia rozgarniała dywan zielonych paproci. Owiął ich chłodny cień, prawie całkowicie zasłaniając. Freddie przystanęła pod młodym dębczakiem i przyciągnęła go do siebie.

- Kochaj się ze mną - wyszeptała, kiedy dotknął ustami jej warg.

Bentley poczuł, jakby ziemia drgnęła pod jego stopami.

- Tutaj? Teraz?

Musnęła ustami jego brodę.

- Czyż nie jesteś zepsutym draniem? - zażartowała. - Tak, tutaj. Teraz. - A potem koniuszkami języka musnęła płatek jego ucha i przesunęła wargami

po jego szyi. Bentley z trudem przełknął ślinę, a jego gardło aż grało pod jej rozgrzanymi wargami. Wydo- był się z niego niemal nieludzki jęk i nagle zaczął jej niecierpliwie dotykać, jej ramion, piersi, krągłych pośladków. Poczł w dłoniach pełnię ciała, a jej zapach wypełnił mu nozdrza.

Freddie zaczęła gorączkowo szarpać tasiemki jego koszuli. Nakrochmalony materiał ustąpił, a jej ciepłe ręce wsunęły się gorliwie pod spód. Powoli przesunę- ła dłońmi w górę żeber, a potem rozpostarła je na je- go piersi. Delikatnie podrażniła kciukami jego sutki, a Bentley poczuł, jak całe ciało rozpałił mu żar pożą- dania. Pragnienie zespolenia się z własną żoną tliło się w nim przez większość dnia i nie potrzebował te- raz dodatkowej zachęty. Przelotnie pomyślał o tym, czy są aby wystarczająco ukryci przed niepożądanym wzrokiem, po czym sięgnął w dół, chwycił w garść muślinowy materiał i podciągnął jej suknię.

Nie odrywając ust od jej warg, przycisnął ją moc- niej do pnia drzewa. Słyszał, jak szorstka kora czepia się jej włosów i ubrania. Po omacku wsunął dłoń pod spódnice, szukając palcem wejścia pomiędzy warstwami bielizny. Znalazł je i wsunął jeden palec w jej gorące wnętrze. Tak, była chętna. Wkrótce po- czuł, jak drży.

Jego piękna żona nie była nieśmiałą dziewczynką. Objęła go rękoma w pasie, potem przesunęła dłonie niżej, jakby chciała wbić jego biodra w swoje. Nie mógł czekać. Nadszedł czas, by położyć ją na mięk- kim dywanie paproci, wejść w nią i doprowadzić na szczyt uniesienia. Już otworzył usta, żeby coś po- wiedzieć, ale w jednej chwili rozproszył się, czując, że żona sięga ręką do jego rozporka. Gorączkowo zaczęła szarpać guziki. Przyciskał ją jednak mocno, więc trudno jej było się z nimi uporać. Wydała z sie-

bie gardłowy, niecierpliwy dźwięk i poddała się. Za- częła masować dłonią jego wybrzuszoną męskość przez materiał spodni.

- Och, Freddie! - wyjęczał, odsuwając się od niej nieco. - Kochanie, guziki, weź... o Boże.

Syknęła cicho i rozpięła guziki, urywając jeden z nich... To wystarczyło. Rozchyliła płócienne kalessy, a jego męskość dumnie się wyprostowała. Ben- tley uniósł ją nieco.

- Nogi - wydyszał. - O Boże, Freddie!

Instynktownie zarzuciła mu jedną nogę na biodro. On uniósł ją wyżej i jednym silnym pchnięciem nad- dział na siebie. Frederica oparła głowę o drzewo, a jej oddech stał się urywany.

- O Boże, o Boże - stękała, kiedy wszedł w nią po- nownie. - Och, Bentley, zrób to jeszcze raz, tak, o tak.

Bentley nie pomyślał już ani razu, gdzie są. Poca- łował ją znowu wyschniętymi wargami. Szorstka ko- ra wczepiła się jej we włosy, spinka wysunęła i cięż- kie pukle opadły luźno na ramiona. Wchodził w nią raz za razem. Młody dębczak drżał, a nad ich głowa- mi, wraz z każdym ruchem Bentleya, trzęsły się gałę- zie i liście. Frederica przywarła do niego, oczy miała teraz mocno zaciśnięte, a na twarzy wyraz pożądania i niecierpliwości.

Trawiła ich wspólna gorączka. Bentleyowi prze- mknęło przez myśl wspomnienie słodkiej chwili na kocu. Ona mnie chce, chce mnie dla czegoś wię- cej, niż tylko zaspokojenie cielesnej przyjemności. Prawie oniemiał. Przy żadnej kobiecie nigdy nie po- czuł, że ma coś jeszcze do zaoferowania. Wtulo- na w jego ciało dziewczyna w jakiś instynktowny spo- sób ofiarowała mu cenny dar. Zamknął oczy i przy- jął go. Rozkoszował się nim. Powstrzymywał się tak

## Rozdział 12

### *W którym nasz bohater zostaje przytępiany na grach salonowych*

długo, jak tylko chciał, zanurzając się w jej słodkim, kobiecym zapachu. Zapachu jego żony. I kiedy poczuł, jak jej ciało przeszywa dreszcz, postarał się ze wszystkich sił, a ona oddała się spazmowi rozkoszy, opierając się bezwładnym ciałem o drzewo. A potem krzyknęła i wyciągnęła ku niemu rękę.

Wbiła palce w jego ciało.

- Bentley, och, Bentley!

Wtedy pozwolił sobie na zapomnienie i wlał swe nasienie w jej ciało, uwalniając z siebie raz za razem potężne fale ulgi i radości. Wydawało się, że chwila trwa w nieskończoność aż w końcu oparł się o swą żonę w absolutnej rozkoszy. Czysty i narodzony na nowo. Jakby nagle stał się innym człowiekiem.

Po chwili, która trwała chyba wieczność, Freddie uniosła głowę z jego ramienia i spojrzała na warstwę liści u ich stóp.

- Och! - rzekła, jakby zbudziła się ze snu. - Ależ cudownie! Nie wiedziałam, że można to robić na stojąco!

- Freddie, kochanie - wyjęczał, pozwalając jej stanąć na nogi. - No to teraz powiedziałaś.

Kolejne dwa tygodnie minęły w Chalcote jak we mgle. Maj obwieścił swą obecność wybuchem zieleni i ptasim śpiewem. Krewni Bentleya nadal byli dla Frederiki uprzejmi i nie zadawali wielu pytań. W kościele Freddie spotkała ich kuzynkę, Joan, która była żoną pastora. Po mszy, kiedy tłum wiernych zaczął wylewać się z kościoła, Frederica spostrzegła, że kościół odwiedza wielu wiernych. Helene odpowiedziała ze śmiechem, że cała wieś się zjawiła, by zobaczyć kobietę, która wzięła pod pantofel Bentleya. Ale Frederica nie była pewna, czy rzeczywiście udało jej się dokonać takiego wyczynu. Na zewnątrz niewiele się zmienił. Zachowywał się wesoło i beztrosko, jak zwykle.

Ku jej uldze nie powtórzyło się już dziwne wydarzenie, jakie miało miejsce w sypialni owego dnia. A mimo to czuć było, że coś między nimi nie jest do końca takie, jak powinno. Poza intymnymi chwilami było tak, jakby poziom bliskości, którego spodziewała się po ślubie, po prostu nie istniał. Być może zbyt wiele spodziewała się po związku zawartym w takim pośpiechu i niesprzyjających okolicznościach.

Bentley jednak był nią w dość oczywisty sposób oczarowany; pod tym względem Frederica nie była

w ogóle zawiedziona. Nie było nocy, by przynajmniej raz się nie kochali. Ponadto Bentley rozpoczynał amory także w środku dnia. Wówczas po prostu zamykał drzwi sypialni, unosił do góry jej suknię i zaspokajał ją szybko i gwałtownie. Było to pełne namiętności, gorączkowe i cudowne. A mimo to, kiedy było po wszystkim, niekiedy ją przeproszał, jakby się bał, że wziął coś, czym nie powinien się cieszyć. To nie miało sensu, skoro jej w oczywisty sposób również sprawiało to przyjemność.

Istniały również inne okoliczności, które tylko utwierdzały ją w przekonaniu, że Bentley coś przed nią skrywa. W nocy, gdy skończyli się kochać, Bentley często po prostu wychodził z łóżka, kiedy tylko się upewnił, że Freddie śpi. A ona niekiedy się budziła i widziała go stojącego przy oknie, w koszuli nocnej, ze szklaneczką brandy w ręce, a drugą ręką opierającego się o szybę, jakby czuł się uwięziony. Kiedyś obudziła się i nie widząc go w sypialni, ruszyła na poszukiwanie. Znalazła go siedzącego samotnie w żółtym salonie nad stolikiem do gry w markietę. Pionki leżały porozrzucane na planszy, a z pustej szklanki wystawały trzy stare niedopałki cygar. Bentley siedział z nogami opartymi o brzeg stolika i drzemał.

W niektóre noce po prostu znikał. Kolejnego dnia wspominał coś, że wyprawił się na piwo, ale na ogół nie mówił nic. Oczywiście nad ranem zawsze wracał do małżeńskiego łóża. Znowu się kochali i zasypiali w objęciach. W końcu jednak Frederice zrywał z pościeli atak porannych nudności i rzucała się w stronę pokoju kąpielowego, by zwalczyć mdłości. Bentley za każdym razem był tym wielce zaniepokojony. Twierdził, że jest za chuda i je stanowczo zbyt mało. Wkrótce zaczął przebąkiwać, że trzeba wezwać doktora.

Wkrótce po przyjeździe do Chalcote Frederica opowiedziała o swoim stanie Helene w nadziei, że szwagierka rozwieje obawy Bentleya. To był jednak błąd. Helene raz poroniła i znała wszelkie objawy, tak więc Frederica musiała się teraz zmagać z troskliwością dwóch osób i zdwojoną liczbą pytań. Co rano Bentley niecierpliwie przemierzał sypialnię w tę i z powrotem w oczekiwaniu, aż stan żony się poprawi, po czym zdawał Helene relację.

Ale kiedy kończył się poranny melodramat. Frederica prawie nie widywała męża. Wydawało się, że bez przerwy ucieka z domu; brał strzelbę, przywoływał psy gończe i znikał. Jednak prawie nigdy nie wracał z tych wypadów z upolowaną zwierzyną.

Dreńczył ją też fakt, że Bentley nigdy nie wspominał o przyszłości, chyba że przyparła go do muru pytaniami. Zupełnie jakby wcale o tym nie myślał, a przecież po rozmowie na pikniku Frederica wiedziała, że to nie do końca prawda. Z całą pewnością dziecko było dla niego najważniejsze. Czuła to po tym, w jaki sposób ją dotykał, zawsze masując jej brzuch, wyglądając to na zmartwionego, to na zadowolonego. Jednak nie powtórzyli już swojej rozmowy o tym, gdzie będą mieszkać, ani jakie imię nadadzą dziecku.

Być może za milczeniem Bentleya krył się jakiś powód? Powiedział, że muszą być razem przez sześć miesięcy. Obiecał jej wierność, dopóki będą mieszkać pod jednym dachem. Czy tylko czeka na to, aż ona go opuści? Czy wolałby żyć sam? Dobry Boże, miała nadzieję, że tak nie jest. Pomimo tej dziwnej powściągliwości, nadal zaskakiwał ją swą troską i łagodnym usposobieniem. I po prawdzie Frederica zaczęła się lekko niepokoić, że zaczyna się zakochiwać we własnym mężu.

Nie pozostawała jednak sama ze swoimi z pytaniami. Zaczęła spędzać więcej czasu z Camem i Helene. Z Camem łączyło ją wiele wspólnych zainteresowań i z przyjemnością rozmawiała z nim przez sporą część popołudnia. Przy kolacji dyskutowali o polityce i historii, aż Helene zaczynała ziewać, a Bentley siedział z naburmuszoną miną.

Helene także obdarzała ją ciepłem. Chalcote posiadało kilka gospodarstw, a świeżo upieczona żona pana Rutledge, jak powiedziała Helene, miała odwiedzić każde z nich. Miała też pomagać uczyć dzieci. Chociaż ostatnio zatrudniono guwernantkę dla Gervaisa, Helene sama prowadziła edukację lady Ariane. Uczyła także dwa razy w tygodniu łaciny starsze dzieci w wiejskiej szkole. Wkrótce i dla Frederiki znalazło się zajęcie. Po kilku dniach od przybycia zaproszono ją na herbatę do Joan Rhoades, której wielki majątek Bellevue sąsiedował z Chalcote.

Z początku popołudnie było bardzo udane. Bellevue okazało się nawet ładniejsze w środku niż na zewnątrz. A dzieci pastora miały nienaganne manieri. Przez ponad godzinę Frederica gawędziła z żoną pastora o szydełkowaniu, ogrodzie i wychowaniu dzieci. Wkrótce jednak zaczęła czuć, jakby Joan chciała powiedzieć jej coś innego. Nic takiego nie nastąpiło, a pora już była się pożegnać. Freddie podziękowała wylewnie gospodyni i odstawiła spodek.

- Wiesz, że byliśmy bardzo blisko - rzekła w końcu Joan, kiedy Frederica zaczęła zbierać rzeczy.

Dziewczyna nagle wstała.

- Słucham?

Joan zarumieniła się.

- Przepraszam - powiedziała i podniosła się, by odprowadzić Frederice do drzwi. - To nie miało sensu. Bentley i ja... chciałam powiedzieć, że dzieli nas zaledwie kilka tygodni różnicy wieku,

- Och, rozumiem - zdołała wydobyć z siebie Frederica.

A na twarzy Joan pojawił się wyraz prawdziwego zmieszania.

- Jako dzieci byliśmy dosłownie nierozłączni - ciągnęła. - Zawsze wymykaliśmy się razem, żeby się spotkać, bo w okolicy nie było innych dzieci w naszym wieku do zabawy.

Frederica zdobyła się na uśmiech.

- Cieszy mnie, że miał ciebie.

Joan zatrzymała się niepewnie przy drzwiach, trzymając dłoń na klamce.

- Nic dziwnego więc, że kiedy dorośliśmy uważano, że... a raczej założono, że... cóż, że pozostaniemy sobie bliscy.

Frederica uniosła brwi.

- A nie jesteście? - spytała zmieszana. - Bliscy, to mam na myśli? - Z pewnością byli, widziała Bentleya w jej towarzystwie i miała wrażenie, że darzą się sympatią.

Ale Joan z przejściem potrząsnęła głową.

- Och nie... tylko jako dobrzy przyjaciele. I kuzyni. To wszystko.

Frederica uśmiechnęła się i zarzuciła szal na ramię.

- A przecież nie ma większej przyjaźni - rzekła - niż ta, która łączy rodzinę. Mam nadzieję, że wy dwoje pozostaniecie sobie bliscy na zawsze, Joan.

Nagle, zupełnie impulsywnie, Joan ją ucałowała.

- Ach, rozumiem, dlaczego Bentley tak bardzo cię kocha, Frederico.

To ją zszokowało.

- Kocha mnie? - wyjąkała.

W końcu Joan uśmiechnęła się szeroko.

- Zawsze wiedziałam, co Bentley czuje - powiedziała. - Zwykle na długo, zanim on sam zdążył zdać sobie z tego sprawę. Czy mogę nazywać cię także moją kuzynką? Chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami. I jeśli będziesz miała jakiegokolwiek pytania, nie krępuj się.

Frederica mogła wykorzystać tę okazję i spytać Joan o przeszłość Bentleya. Ale nieco bardziej zmieszana cmoknęła Joan w policzek i wyszła. Słowa, które usłyszała, obudziły w niej isierkę nadziei, której nie chciała przesadnie podsycać.

Po wizycie w Bellevue Frederica zaczęła udzielać się jeszcze bardziej, żeby nie pozostawać w bezczynności. Popołudnia często spędzała z dziećmi w ogrodzie, albo pokoju zabaw. Mały Gervais i Madeleine byli tak uroczy, że szybko przechodzili jej poranne mdłości. Gervais miał poważne oczy ojca, ale najwyraźniej odziedziczył uśmiech po Bentleyu. A Madeleine, pomimo wcześniejszego zdziwienia na widok Freddie w łóżku Bentleya, przywiązała się do nowej cioci. Mała Emmie nie miała jeszcze trzech miesięcy, ale już prezentowała uwodzicielski uśmiech. Dzieci uwielbiały Bentleya i przy każdej okazji zwabiały go do pokoju zabaw. Tam Madeleine siadała na nim, ciągnęła go za uszy i przeszukiwała mu kieszenie, a Gervais pokazywał ołowiane żołnierzyki albo rozkładał szachownicę.

Bentley najwyraźniej był w szczególnie bliskich stosunkach z lady Ariane, którą traktował po przyjacielsku. Ariane rzeczywiście była bardzo dojrzałą

młoda dama. Frederica nie mogła jednak nie zauważyć, że żadne z młodszych dzieci nie jest do niej podobne. Minęło wiele dni, zanim dowiedziała się, że Ariane nie jest córką Helene, ale dzieckiem pierwszej żony lorda Treyhern, która zginęła śmiercią tragiczną w młodym wieku i o której nikt, nawet Ariane, nie wspominał. Jak głosiła plotka, którą Jennie przyniosła od służby, Helene zatrudniono jako guwernantkę dla Ariane po śmierci matki dziewczynki. Mówiono, że Helene uczyła się w jakiejś specjalnej szkole w Szwajcarii i mieszkała w Wiedniu, gdzie studiowała kontrowersyjną dziedzinę związaną z chorobami umysłowymi. Wszystko to brzmiało bardzo fascynująco. Czy Ariane cierpiała na taką chorobę? Ani Helene, ani Ariane nie mówiły o tym, więc Frederica nie pytała.

Tak więc jej dni mijały z kojącą jednostajnością, aż do pewnego ranka, kiedy po przebudzeniu nie zastała Bentleya w łóżku. Czując się nieco dziwnie, usiadła i naciągnęła na siebie szlafrok. W półmroku nie umiała dostrzec, która godzina na zegarze. Podeszła do okna i je odchyliła. Zaczynało powoli świtać. Gdzie, do diabła, podziewa się jej mąż? Czyżby znowu zasnął w żółtym salonie?

Coraz bardziej zaniepokojona, Frederica nałożyła pantofle i cicho zeszła na dół. Na parterze usłyszała, jak w kuchennym skrzydle krzątają się służące, rozpalające w palenisku i trzaskające garnkami. Reszta domu pogrążona była we śnie. Kiedy dotarła do salonu, zaskoczył ją widok otwartych drzwi. Bez namysłu otworzyła je na oścież i weszła do mrocznego pomieszczenia.

Nagle poczuła, że robi jej się niedobrze. Przy kominku, w ramionach jej męża, stała jedna ze służących. Freddie słyszała jego cichy, chrapliwy śmiech

i zobaczyła, jak jego dłoń chwyta kobietę w bardzo nieprzyzwoity sposób. Służąca cofnęła się z udawanym oburzeniem. W odpowiedzi na to Bentley pochylał się i pocałował ją prosto w usta.

Frederica chyba krzyknęła. Kobieta uniosła głowę i spojrzała na nią znad ramion Bentleya. W tym spojrzeniu była litość.

Frederice zrobiło się tak niedobrze, że przytknęła dłoń do ust. Nie pamiętała już, co działo się potem. Musiała wybiec pędem z pokoju, bo kolejną rzeczą, jaką pamiętała, były ostatnie stopnie na schodach. Zza pleców słyszała tupot ciężkich butów Bentleya zbliżający się coraz szybciej. Kiedy błagalnie wykrzyknął jej imię, zacisnęła zęby.

Niech go diabli, pomyślała. Niech go piekło pochłonie!

Miała wrażenie, że ta odrobina poczucia bezpieczeństwa, którą zyskała, roztrzaskała się na drobne kawałeczki. Poczowała, jak zalewa ją fala gorąca, a do oczu napływają łzy. Ależ była głupia! To było nieuchronne. Bentley Rutledge był w patologiczny sposób niezdolny do wierności. Czy nie wiedziała o tym od samego początku?

Znała również służącą. Była hałaśliwa i wcale nie grzeszyła urodą, chyba że ktoś gustował w rozczochranych włosach albo przejrzałej figurze. Miała na imię Queenie. Niezły numer, określiła ją Jennie. To najwyraźniej było niedocenianie jej umiejętności.

Kroki Bentleya były coraz bliżej.

- Freddie! - W głosie kryła się ostra nuta ostrzeżenia.

Nie zważała na to. Otworzyła drzwi w momencie, kiedy Bentley wbiegł na szczyt schodów. Bez oglądania się za siebie zatrzasnęła je i przekręciła klucz. Bentley gwałtownie zaczął szarpać się z klamką. Kiedy mu się nie powiodło, zaczął walić pięścią w drzwi.

- Otwórz te cholerne drzwi, Frederico! - warknął, cały czas łomocząc. - Natychmiast otwieraj.

Frederica rzuciła się na łóżko.

- Idź do diabła, Bentley! - krzyknęła tak głośno, że nie mógł nie usłyszeć.

Tym razem kopnął w drzwi tak mocno, że zobaczyła, jak zaczynają puszczać u dołu po jego naporem.

- Otwieraj, Frederico! - ryknął. - Otwieraj albo przysięgam, że zacznę taką awanturę, że zbiegną się tu Cam i Helene i połowa domu.

To ją wystraszyło. Zdenerwowanie to jedno, ale Anglicy nie pochwalali prostackiego ujawniania uczuć. Tyle już zdążyła się nauczyć. W strachu zacisnęła dłonie w pięści i wczepiła się w narzutę.

- Freddie! - Bentley walił w drzwi, aż zawiasy zaczęły trzeszczeć. - Do diabła, Freddie, nie każ mi wyłamywać drzwi!

Freddie otarła grzbietem dłoni oczy i zwlokła się z łóżka, aby podejść do drzwi. Kiedy tylko przekręciła klucz, Bentley wparował do środka, otwierając drzwi z taką siłą, że uderzyły w ścianę. Zatrzasnął je za sobą, a potem popatrzył na nią wzrokiem pełnym złości i ponurym.

- Na Boga, kobieto, nie rób tego nigdy więcej - jego głos był niski i ostry. - Nie waż się zamykać przede mną drzwi do mojej własnej sypialni. Słyszysz?

Freddie patrzyła, jak idzie przez pokój z gracją drapieżnika. Odwróciła się jednak do niego plecami. Dotknął jej ramienia, delikatnie, lecz stanowczo. Natychmiast się odwróciła i otwartą dłonią z całej siły uderzyła go w twarz.

- Nie waż się mnie tknąć! - syknęła.

Zobaczyła w jego oczach, że go ubodła. Straszna, ponura mina zagościła na jego twarzy. Wbił palce w jej ramię.

- Dlaczego, ty czarnooka, portugalska czarownico? - wydyszał. - Nie dajesz mężczyźnie zbyt wiele szans, prawda?

Na te słowa, usiłowała spoliczkować go po raz drugi. Ale tym razem Bentley chwycił jej rękę. Frederica ledwie pohamowała chęć, by napluć mu w twarz.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że nie jestem pełnej krwi angielską panną, to masz rację! - wypaliła, kiedy mocno ją ku sobie przyciągnął. - I jeśli spodziewasz się, że będę beczynn timer przyglądała się, jak mój mąż ściska służące i robi ze mnie idiotkę, to się grubo mylisz!

Bentley zacisnął usta z gniewu. Wyglądał na człowieka pozbawionego serca, złego, a jego twarz wydawała się jeszcze bardziej ponura przez ocieniający ją, czarny zarost.

- Boże, Freddie, to nie jest tak!

- Akurat, nie jest! - wypaliła. - Dokładnie tak jest. Masz mnie aż za taką idiotkę?

Bentley potrząsnął głową i przez chwilę jej się zdało, że widzi w jego oczach strach.

- Ja nie... - zaczął cichym tonem. - Freddie, gdybyś tylko pozwoliła mi wyjaśnić...

Ona jednak odwróciła głowę.

- Nie ma wyjaśnienia - wyszeptała. - Żadnego, którego chciałabym słuchać. A teraz, jeśli została w tobie choć odrobina z dzentelmena, wynoś się, Bentley. Wynoś się i zostaw mnie w spokoju. Źle się czuję. Nie potrzebuję cię i nie chcę. Nigdy nie chciałam i mówiłam to od początku.

Poczuła, jak jego uścisk słabnie, aż wreszcie opuścił dłonie.

- Rzeczywiście, mówiłaś - rzekł łagodnie.

Następnym dźwiękiem, jaki usłyszała, był odgłos zatraskujących się drzwi. Wtedy opanowało ją

okropne poczucie bezsilności. Rzuciła się na łóżko i zaczęła szlochać, aż poczuła, że zaraz pęknie jej serce. I tak się stało. Nagle zdała sobie z tego sprawę. W głupi sposób oddała je we władanie Bentleyowi, który wziął je i podeptał.



## Rozdział 13

### *W którym chwila wytchnienia lorda Treyherna zostaje przerwana*

Lord Treyhern miał swoje stałe zwyczaje i od dawna należało do nich spożywanie samotnego śniadania punktualnie o godzinie szóstej rano. Codziennie składało się ono z tego samego zestawu: czarnej kawy i dwóch kromek chleba, posmarowanych cienko masłem. Nikt nie miał śmiałości naruszać tej codziennej rutyny, a lord nikogo do tego nie zachęcał. Tak więc poczuł się lekko zdenerwowany, gdy pięć minut przed ustaloną porą śniadania do jadalni wkroczył jego młodszy brat z ponurą miną, w stroju z poprzedniego dnia.

Jego wygląd nie miał najmniejszego znaczenia. Pory dnia i nocy Bentleya zwykle mieszały się dość chaotycznie. Dziś jednak Bentley nie wydawał się zmęczony przykrymi przypadłościami wynikającymi z przepicia, jak można by się spodziewać. Wyglądał raczej na osobę, która boi się tego, co ją czeka. Wyglądał na tak sponiewieranego, że jego brat nie miał serca odesłać go z powrotem. A to już sporo mówiło.

- Dzień dobry - wymruczał na przywitanie. - Kawy?

Bentley sztywno skinął głową i podszedł do stolika. Postawił głośno filiżankę na spodku i chwycił im-

bryk z kawą chwytem, którym równie dobrze mógłby kogoś udusić. Nalał sobie kawy, postawił imbryk na stoliku, przysunął krzesło i opadł na nie.

- Powiedz mi tylko jedną rzecz, Cam - zażądał, wpatrując się posepnie w ciemny napój. - Czego, do diabła, chcą kobiety?

Treyhern syknął cicho przez zaciśnięte zęby.

- To tajemnica - wyznał, smarując masłem następną kromkę. - I to taka, która wiecznie się zmienia.

Bentley uniósł wzrok i wytrzymał spojrzenie brata.

- Chodzi mi o to, czy one chcą, żeby facet rozpruł sobie dla nich żyły i wytoczył krew? - spytał. - Nie ma żadnej swobody? Żadnej możliwości wytłumaczenia się? Żadnego poluzowania smyczy ani miłości w sercu?

- O Boże - Treyhern musiał zagryźć wargi, żeby się nie roześmiać. - Co zrobiłeś tym razem?

Bentley zawahał się przez chwilę.

- Nic.

- Nic? - Treyhern uniósł brew. - Chcesz mojej rady czy nie?

Bentley natychmiast się nastroszył.

- Nic od ciebie nie chcę.

Hrabia uniósł filiżankę z kawą i wlepił wzrok w brata.

- Cóż, wybac mi, Bentley - odparł. - Przysiągłbym, że przed chwilą słyszałem, jak pytasz mnie o zdanie.

Wzrok jego brata wydawał się mętny.

- Czasami, Cam, nie jestem pewien, czy mogę ufać, że w kwestii mojego małżeństwa masz na sercu moje dobro - wyszeptał. - Niekiedy boję się, że... że chciałbyś, żeby mi się nie udało.

- A niech mnie diabli! - odezwał się Treyhern głosem pełnym bólu. - Jak możesz tak mówić?

- Nie wiem - Bentley potrząsnął głową, jakby chciał lepiej coś zauważyć.

- Bentley - powiedział Treyhern nieco bardziej uprzejmie. - Dlaczego po prostu nie powiesz mi, co się stało?

Jego brat miał na tyle honoru, by spuścić wzrok.

- Podszczypywałem trochę Queenie, to wszystko - wyznał cichym tonem. - I... cóż, usiłowałem ją pocałować. Tak jakoś.

Hrabia odstawił z trzaskiem filiżankę.

- Boże wszechmogący, Bentley! - z niesmakiem odsunął talerzyk. - Tylko znowu nie to! A zwłaszcza nie Queenie! To był twój pomysł, żeby ją tu sprowadzić, właśnie po to, by unikała tego rodzaju pokus.

- Daj spokój, Cam, to nie było tak! - rzekł ostrym tonem. - To było cmoknięcie! Tylko niewinne cmoknięcie! I trochę obmacywania. Tej dziewczynie to poprawia humor, jak się ją trochę pobałamuci i od czasu do czasu uszczypnie.

Treyhern był nieco udobruchany.

- Twojej młodej żonie też zapewne poprawiło to humor, co? - wymruczał. - Złapała cię na gorącym uczynku?

- Mniej więcej - przyznał Bentley, opierając łokcie na stole i chowając głowę w dłoniach. - Nie wiem, do diabła, jak mam się wytłumaczyć, tym bardziej że ona nie chce mnie wpuścić do mojej własnej sypialni.

Treyhern przyjął rozterkę brata z niemąłą satysfakcją. Wyglądało na to, że to, co nie udało się jemu, może się udać Frederice. Przynajmniej jeden ze złych nawyków Bentleya będzie można wykorzenić.

- Cóż, stary - rzekł bardzo poważnie. - Obawiam się, że nic się na to nie da poradzić. Będziesz musiał chyba udać się do Cheltenham i kupić jakąś biżuterię.

- Biżuterię? - spytał płaczącym tonem Bentley. - Zwykle czekam z tym do chwili, aż zaczynają płakać.

- Och, ona płacze - rzekł z przekonaniem Treyhern. - Możesz na to liczyć. Leży na łożku, z twarzą w poduszkach, i wypłakuje oczy nawet teraz, kiedy o tym rozmawiamy.

Bentley ostrożnie potarł szczękę.

- Cóż, nie szlochała, kiedy mnie spoliczkowała. Płuła jak rozwścieczona kotka i przeklinała, len jej południowy charakter mnie wykończy. Mówię ci, Cam, wydaje mi się czasami, że ta cała instytucja małżeństwa to jakaś cholerna udręka.

- Och, może tak być - zgodził się hrabia, odkładając nóż. - Z całą pewnością może tak być. - I Treyhern nie mógł sobie przypomnieć, kiedy nieszczęście drugiego człowieka, tak bardzo by go cieszyło.

- Mhm! - odezwał się głos u drzwi.

Treyhern podniósł wzrok i zobaczył własną żonę, stojącą ze złożonymi rękoma i opartą o framugę drzwi. Wyglądała cudownie w jego ulubionej sukni koloru ametystu. Grube, czarne włosy miała upięte w niewyszukany sposób. Lewą brew uniosła wysoko do góry, co znaczyło, że stoi tam najprawdopodobniej od dłuższego czasu. A niech to!

Nie powiedział tego jednak na głos. Tylko się uśmiechnął i natychmiast zerwał na nogi.

- Dzień dobry, kochanie - powiedział. - Zechcesz może kawy?

Bentley już krzątał się koło stołu, podsuwając Helene jej ulubione krzesło.

- Dziękuję, poproszę - wymruczała, obdarzając Bentleya ostrożnym spojrzeniem.

Powrócił na swoje krzesło i ponownie przybrał posępną minę. Cam podał żonie filiżankę i lekko ucałował ją we włosy.

- Wczesnie wstałaś, kochanie.  
- Nie można było nie wstać po tych hałasach z góry - odparła, a jej pociemniały wzrok przeslizgnął się po sylwetce szwagra. - Bentley, co się dzieje?

Bentley przez ściśnięte gardło wyznał całą prawdę i trzeba mu oddać, że nie usprawiedliwił się ani słowem.

- To było głupie - powiedział na zakończenie opowieści. - Ale to tylko przypadek.

Helene spojrzała na niego bardzo dziwnie.

Takie rzeczy, nigdy nie dzieją się przez przypadek, Bentley - odezwała się cichym tonem. - Zrobiłeś to, i zrobiłeś zupełnie świadomie. Powinieneś się tylko sam siebie zapytać dlaczego?

- O co ci, do diabła, chodzi? Dlaczego? - Jego głos był wyniosły. - Nie miałem zamiaru poróżnić się z żoną, jeśli to miałas na myśli.

- Czyżby? - spytała Helene. - Jesteś zupełnie pewien? Bo mnie to wygląda na celowy sabotaż. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie obcałowuje i nie obściskuje służących w przekonaniu, że jego żona wcześniej czy później tego nie spostrzeże.

Bentley wydobył z siebie coś na kształt śmiechu.

- Sabotaż? - rzeki. - Doprawdy, Helene, zaczynam sądzić, że Cam ma rację. Czytasz zbyt dużo tych swoich... tych psychi... psycholo... tych swoich czarnych ksiąg.

W oczach Helene rozpały się niebezpieczne iskierki.

- Może będzie lepiej, Bentley, kiedy sam siebie spytasz, dlaczego czujesz, że nie jesteś wart oddania swej żony.

Była to najostrejsza wymiana zdań, jaką słyszał Treyhern pomiędzy swoją żoną a własnym bratem.

- Frederica wpatruje się w ciebie z całkowitym uwielbieniem już od tygodni, a mimo to prawie nie poświęcasz jej w ogóle czasu.

Na te słowa Bentley naprawdę się roześmiał.

- Och, nie zaniedbuję żony, Helene. Tego możesz być pewna.

Helene odsunęła się nieco od stołu.

- Pozwól, że coś ci powiem, Bentley - rzekła ostrzegawczym tonem. - W małżeństwie chodzi o coś więcej niż tylko o to, by zdrzeć kobiecie spodnicę i szturchnąć ją dwa razy dziennie.

- Szturchnąć! - rzekł pogardliwie Bentley. - Moja droga Helene, nie mogę mówić w imieniu mojego brata, ale zapewniam cię, że stać mnie na wiele więcej niż sztu...

Hrabia zerwał się z miejsca.

- Dobra, wystarczy! - rzeki zniesmaczony, zrywając z siebie serwetkę. - Bentley, szokujesz mnie od dawna, ale co do ciebie, Helene, jestem oburzony. Nie będziemy prowadzić takiej rozmowy w towarzystwie damy.

- W porządku - wypaliła jego żona, odsuwając krzesło. - Wobec tego wyjdę, a ty wyjaśnij mi wszystko, Cam. To z całą pewnością należy bardziej do twoich obowiązków niż moich, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego zwlekałeś z tym prawie trzydzieści lat. I jeśli pozwolisz, proponuję, że twoja rada powinna zawierać coś więcej niż tylko to, żeby kupić jej biżuterię.

I z tymi słowy Helene odwróciła się, migocząc fioletowym jedwabiem, i wyszła z podniesioną głową z jadalni, zostawiając obu mężczyzn wpatrzonych w niewypitą kawę.

W pomieszczeniu zawisła ponura cisza. Bentley klasnął w dłonie.

- Cóż! - rzeki. - O co chodzi? Co takiego masz mi wyjaśnić, braciszku? Coś, co ma pomóc utrzymać harmonię w małżeństwie?

Hrabia opadł na krzesło.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - wyznał. - Wiem tylko, że moja żona jest wściekła, śniadanie to katastrofa i zanosi się na to, że reszta dnia będzie taka sama.

Bentley przytaknął.

- Weźmiemy zatem powóz do Chaltenham? - zaproponował. - Ponieważ szczerze, Cam, uważam, że Helene będzie wyglądała cudownie w jakichś nowych szafirowych kolczykach, a tobie będą one potrzebne. Zwłaszcza jeśli ograniczasz się tylko do *szturchania* jej.

Frederica siedziała podparta na poduszkach i na dal usiłowała opanować łzy i nerwy, kiedy usłyszała, jak drzwi ponownie się otwierają. W głupiej nadziei poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Sądziła, że to Bentley wraca, by rzucić się do jej stóp i błagać o przebaczenie. Ale to nie był on. Było jeszcze gorzej. W drzwiach stała służąca o imieniu Queenie. Trzymała tacę, na której leżał talerz z sucharkami i filiżanka z gorącą herbatą. Frederica była tak zaskoczona, że zaniemówiła.

Queenie również wyglądała na zmieszaną.

- Proszę tutaj popatrzeć, pani Rutledge - zaczęła, kładąc tacę. - Nie ma co tak chlipać.

Freddie wyprostowała się.

- Chlipać?

Queenie przytaknęła ze znanstwem.

- Tak, jest pani w ciąży, wystarczy spojrzeć na panią i już widać - powiedziała, wyciągając z kieszeni fartucha małe zawiniątko i wysypując jego zawartość

do herbaty. - Kobiety mają wtedy mdłości i robią się drażliwe. Zrobię więc dla pani ten napój. Nauczyłam się paru sztuczek w młodych latach, a teraz zrobiłam to specjalnie dla hrabiny. Strasznie cierpi kiedy jest w ciąży, biedactwo.

Frederica zacisnęła chustkę w pięści, starając się nie rozpłakać w obecności tej kobiety.

- Słucham? - spytała suchym tonem.

Służąca nie chciała spojrzeć jej w oczy. Chwyliła łyżeczkę i zaczęła mieszać herbatę.

- Wiem, że nie powinnam tego wspominać, proszę pani, ale to, co pani widziała w salonie, to nie tak, jak pani myśli... To jedynie pan B. usiłował połechtać nieco próżność starej kobiety. - Wzruszyła ramionami i odłożyła łyżeczkę. - Głupie to z jego strony, oczywiście, ale tak się stało. Pan B. najpierw działa, a potem myśli.

Zjakiegoś powodu, którego nie rozumiała, Frederica przyjęła oferowaną jej filiżankę z herbatą. Zastanowiła się przez chwilę, czy może Queenie nie chce jej otruć. Zawartość naczynia była mętna, ale w dziwny sposób orzeźwiająca.

- Proszę to wypić - rzekła z uporem służąca. - Wszystko, szybkoitko.

Frederica posłuchała jej. Mikstura miała obrzydliwy smak, ale nie była trująca.

Queenie zabrała pustą filiżankę. - Nie, pan B. mnie nie chce, proszę pani - ciągnęła dalej nieco smutnym głosem. - To tylko taki mały żart. Robimy to od lat. Ale teraz to żonaty mężczyzna i te wygłupy muszą się skończyć, prawda? Sama to zrozumiałam i będę się zachowywała tak, jak powinnam. A on też miał czas, by się nad tym zastanowić.

- O tak, lepiej niech się nad tym zastanowi - powiedziała ponurym głosem Frederica.

Sztywne rysy twarzy kobiety rozjaśnił niespodziewany uśmiech.

- Niech mu pani da trochę czasu, żeby się przyzwyczaił do tego, że jest żonatym mężczyzną - powiedziała Queenie. - To dobry człowiek, ten pani mąż. Pan B. jest ulubieńcem służby.

- Zaczynam to rozumieć - wymruczała Frederica. - Ale nadal nie rozumiem, o co chodzi w tym schlebieniu twojej próżności.

- Och, to chodzi o to, że kiedyś zarabiałam na życie, leżąc na plecach - powiedziała lekkim tonem. - Zanim pan B. i lord przywieźli mnie do Chalcote. To było zaraz po tym, jak ten zły człowiek uciekł z małą Ariane i panią.

- Na plecach? - spytała Frederica, nadal do końca nie rozumiejąc, o co chodzi. - I o jakim złym człowieku mówisz?

- Ooo - na twarzy Queenie pojawił się wyraz zmieszania. - Powiedzmy, że kiedyś miałam wielu adoratorów i niech tak pozostanie, dobrze? A ten nikczemny człowiek... Cóż, lepiej niech pani zapyta męża. Nie mogę mówić wszystkiego. Ale powiem od razu, że człowiek ten prosił się o to, by go zabić i pan B. dobrze wywiązał się z zadania. Nie można go za to ani trochę winić.

- Prosił się, by go zabić? - Freddie zaczęła się zastanawiać, czy ta kobieta ma coś nie w porządku z głową.

Queenie wydeła wargi i podała jej talerz.

- A teraz niech pani zje parę sucharków i się położy. Za pięć minut będzie się pani czuła jak skowronek. - Służąca spojrzała na nią ostrzegawczo. - I myślę sobie, że zechce pani się ubrać i zejść do jadalni, ponieważ lord Treyhern i pan B. mają zamiar to wszystko załatwić.

- Czyżby? - wymruczała Frederica. - Tak, śmiem twierdzić, że masz rację. Zawsze koło siebie krąży.

Queenie ruszyła do paleniska i zaczęła rozcierać popiół.

- Och, oni po prostu tacy są - powiedziała, kręcąc szeroką pupą. - Zupełnie jak koguty. Bywało już kiedyś gorzej, jak mówią ludzie, kiedy lord Treyhern sprzątnął pannę Belmont panu B. sprzed nosa. Śmiem twierdzić, że panu B. podobała się ta dziewczyna, ale ona ani o tym myślała, tak mówi Naffles, a kto by się lepiej znał na tych sprawach niż ona.

*Panna Belmont?* Kim była panna Belmont? Frederica przytaknęła, nie chcąc by kobieta przerywała paplaninę.

Queenie przez chwilę szurała przy węglarce.

- Oczywiście, to ona śmiała się ostatnia, prawda?

- Z pewnością tego nie wiem - odparła Frederica, ale Queenie była tak zajęta porannymi obowiązkami, że zdawała się tego nie zauważać.

- A jakże, uciekła przecież do Gretna Green! - zachichotała Queenie. - I już nie chciała żadnego z Rutledge'ów, pomimo ich przystojnego wyglądu i uroku. Nie, chciała biednego wikariusza, wzięta go w samej koszuli, ta panna Belmont! - Nagle Queenie przysiadła i raptownie podrzuciła głowę. - O Boże! - wyszeptała z przestachem. - Naffles powiedziałyby, że rozpowiadam plotki. - Chwyliła pojemnik na węgiel i szybko dygnęła. - Przyślę Larkina, żeby rozpałił w kominku, proszę pani.

I potem Queenie mignęła czarną suknią i zniknęła, trzęsąc blond włosami. Frederica westchnęła ciężko. Kobieta mówiła prawdę. O cokolwiek chodziło Bentleyowi, chyba nie chciał jej uwieść. Dla niej to było jednak niewielkie pocieszenie. Cała nadzieja w tym, że reszta tego nieszczęsnego dnia umknie

równie szybko jak Queenie. Miało być jednak zupełnie inaczej. Tyle już wiedziała. I miało się okazać, że ma rację.

Późnym popołudniem Bentley znalazł się na szczycie wzgórza. Nie wiedział do końca, w jaki sposób tam się znalazł. Stał i wpatrywał się w leżącą u podnóża wzniesienia wioskę Chalcote, kościół i cmentarz i czuł się uwięziony pomiędzy własną przeszłością a teraźniejszością. Dzień był cudowny. Nawet o tej porze popołudniowe słońce grzało mu ramiona, pomimo gromadzących się na horyzoncie chmur. Nad jego głową krążył leniwie jastrząb, którego sylwetka odbijała się czarnymi konturami na tle nieba. Bentleyowi jednak nic nie sprawiało przyjemności.

Tego poranka ruszył konno w stronę Cheltenham i w połowie drogi zdał sobie sprawę, że to kolejna z jego głupich ucieczek. Cam nie miał racji. Frederiki nie da się uspokoić jakimś gestem, nieważne jak wspaniały miałyby być. Prezent rozżłościły ją jeszcze bardziej i co gorsza, mogłaby mu tę biżuterię cisnąć w twarz, pozbawiając go oka. To, czego chciała, niezależnie od tego, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie, nie miało nic wspólnego z symbolicznymi gestami. Uwaga o wytaczaniu z siebie krwi, którą rzucił przy śniadaniu, nie do końca była żartem. Zaczynał powoli czuć, że właśnie tego się od niego oczekuje.

Jakimż był głupcem, sądząc, że to małżeństwo się uda, podczas gdy sam nie dał z siebie nic, by się o nie zatroszczyć. Oczywiście poza seksem. To zawsze była jego mocna strona, ukryte pod pościelą talenty. Czyż

nie słyszał tego od wielu kobiet? A mimo to czuł się nieco zawstydzony tym, że tak często pragnie Frederiki. Niekiedy nie mógł znieść tego, że leży koło niej, tak wielkie było jego pragnienie i tak wielki czuł do siebie niesmak. Nie mógłby wykorzystać drogiej dziwki w sposób, w jaki pragnął wykorzystać własną żonę. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio był wierny jakiejś kobiecie, ale na Boga, teraz już nie miał na nic siły, nawet gdyby chciał iść gdzie indziej. A nie chciał. Niech to diabli, nie chciał.

Był w tarapatkach. I obawiał się, że małżeństwo to była tylko ich część. Wolnym krokiem przeszedł skrajem zbrocza, prowadząc konia. Co zrobi, jeśli Freddie za pół roku go zostawi? Albo za rok? Na samą myśl krew zastygła mu w żyłach. Nie mógł znieść myśli, że daje jej wygodny powód do zerwania małżeństwa i był zdesperowany, by ją przy sobie utrzymać. Tylko że mężczyzna nie może przecież zmusić swojej żony, by z nim mieszkała, prawda? Chyba że zatrzyma dzieci w charakterze zakładników. Prawo na to pozwala. Ale to byłoby okrucieństwo.

Zresztą niczym zakochany szczeniak zdążył już dać jej słowo, że tak nie uczyni. I teraz był w pułapce. Ta dziewczyna, jego niewinna żona, była jak narkotyk. Nie chodzi o tę noc w ogrodzie. Dawno temu już wyczuł niebezpieczeństwo. I potwierdziło się to, kiedy jego usta dotknęły jej warg w tamte święta Bożego Narodzenia. Ten zwykły pocałunek to była najdziwniejsza rzecz, jaka mu się przytrafiła. Obudził w nim jakieś głęboko ukryte, olbrzymie pragnienie.

Bentley odpędził tę myśl i uniósł wzrok, wpatrując się w stronę Bellevue, jego wapiennych murów błyszczących w popołudniowym słońcu. Większość dnia spędził na picciu piwa i grze w kości nieopodal Withington; musiało więc teraz być koło trzeciej.

W Bellevue Joan pewnie kładzie dzieci na poobiednią drzemkę, a Basil zamyka się w bibliotece. Bentley zebrał wodze, dosiadł konia i ruszył na południe. Nie był zainteresowany długą rozmową, o której wspomniała Joan, ale być może taka przejażdżka mu się przyda. I odsunie na później porę powrotu do domu. Zdaży się zastanowić, co ma powiedzieć.

Joan bardzo się ucieszyła na jego widok. Bentley odesłał konia do stajni, a tymczasem ona poszła po płaszcz i wkrótce wyruszyli na przechadzkę po otaczających dom ogrodach, kierując się w stronę ozdobnej sadzawki. Dotarli tam w milczeniu i szli jej brzegiem, aż znaleźli się przy malej greckiej świątyni, która stała tuż nad samą wodą. Jak na zwykłe gusta Bentleya większość Bellevue była zaprojektowana w przesadnie eleganckim stylu, ale nie można było zaprzeczyć, że miejsce to miało swój czar. Były tu wspaniałe ogrody, zwłaszcza ogrody różane. Zwykle Bentley wyobrażał sobie, co zrobiłby z tymi ogrodami, gdyby należały do niego. Tego dnia jednak ta stara fantazja nie dawała mu żadnej przyjemności.

- Co się dzieje, Bentley? - słowa Joan wyrwały go z zamyślenia. - Widzę, że coś jest nie w porządku. O co chodzi?

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że stoi na ścieżce i nieobecny wzrokiem wpatruje się w sadzawkę. W końcu przyszedł przecież tak naprawdę, żeby porozmawiać.

- Boże, Joan - wymruczał. - Schrzaniłem sobie chyba całe życie. Od czego zacząć?

- Od początku - odparła Joan, prowadząc go w stronę małego mostku wiodącego łukiem ku świątyni.

- Od początku! - powtórzył zgorzkniałym tonem. - Początek już znasz, Joan. Wiesz, w którym miejscu

zrobiłem zły krok i jesteś chyba jedyną osobą, która o tym wie. Chociaż zawsze sądziłem, że Cam się domyśla.

Joan dotknęła jego ręki.

- Nie bądź niemądry - wyszeptała. - Nie domyśla się, a nawet gdyby tak było, nie miałyby to teraz najmniejszego znaczenia.

Bentley roześmiał się gorzko.

- Jeśli tak sądzisz, moja droga, to znaczy, że nie rozumiesz natury ludzkiej.

Joan była jednak uparta.

- Nie zgadzam się - powiedziała. - Ale teraz powiedz mi, co stało się tym razem.

Tak więc Bentley opowiedział jej wszystko, mniej więcej, opuszczając szczegóły, które mogłyby zawstydić jego żonę. Zaskoczył sam siebie, opowiadając Joan, w jaki sposób on i Frederica zostali małżeństwem oraz o jednym z diabelskich paktów, który musiał wykonać, by doprowadzić ją do ołtarza. Opowiedział jej także bez ogródek o niewytłumaczalnie głupiej rzeczy, jaką zrobił tego poranka, i reakcji Frederiki na to wydarzenie.

Joan naskoczyła na niego.

- Będziesz miał szczęście, jeśli od razu nie pojedzie do swojej rodziny, Bentley - rzekła ponuro. - Gdybym była na jej miejscu, rozważałabym to.

Bentley zacisnął dłonie na kamiennej balustradzie i wychylił się, spoglądając na taflę wody, w której odbijało się niebiesko-białe niebo.

- Nie, nie zrobiłabyś tak - powiedział z pełnym przekonaniem.

W jej ciemnozielonych oczach rozbłysły iskierki humoru.

- Czy to właśnie dlatego kiedyś przemknęła ci przez głowę myśl, żeby się ze mną ożenić, Bentley? -

wymruczała. - Ponieważ uznałeś mnie za takie spolegliwe dziewczę, które będzie zносиło twoje zdrożne wybryki?

Bentley wzruszył ramionami.

- Chciałem się z tobą ożenić Joan, ponieważ nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że może mnie zechcieć ktokolwiek inny - odparł całkiem uczciwie. - Byłaś moją najlepszą przyjaciółką z dzieciństwa.

- A mimo to ledwie cię widywałam, od kiedy poszedłeś do szkoły - powiedziała, drażniąc się z nim. - Nigdy nie pisałeś, rzadko przyjeżdżałeś z wizytą. Nigdy nie zwracałeś sobie głowy, żeby się o mnie starać, Bentley, ani nawet kryć się ze swymi nikczemnymi wybrykami.

Roześmiał się gorzko.

- Nigdy też nie przyszło mi to do głowy - odparł. - Zawsze byłaś obok, gdy cię potrzebowałem, Joan, i byłem przekonany, że zawsze tak będzie. Kiedy więc przyjechałem do domu i zobaczyłem, że to się może zmienić, że możesz wyjść za męża za Cama, poczułem się, jakby odebrano mi jedyną pewną rzecz w moim życiu. Jakby w ten sposób mój brat chciał mnie ukarać, albo Bóg chciał mnie ukarać. Bo gdybyś została jego żoną, wtedy nie mogłabyś być dla mnie...nie mogłabyś być nikim dla mnie.

- Nigdy nie pomyślałam o tym w taki sposób.

- Tak, ale to ty się śmiałaś ostatnia, Joan - rzekł ze smutkiem. - Pokazałaś Camowi i mnie, gdzie nasze miejsce, prawda? Wybrałaś starego Basila. Któż mógłby przypuszczać. A Cam ożenił się z Helene. Podejrzywałem, że od dawna ją kochał.

W oczach Joan pojawił się uśmiech.

- Myślę, że masz rację.

- Ale co u ciebie, Joan? Jesteś szczęśliwa z Basilem? Wyglądasz, jakbyś była, wiesz?

- Idealnie mi to pasuje, Bentley - zgodziła się. - A gdybym wyszła za ciebie, byłabym nieszczęśliwa.

- Często to słyszę - przerwał jej oschłym tonem.

Joan spojrzała na niego krzywo.

- Tak samo, gdybym wyszła za Cama - dokończyła.

- Cam zawsze wydawał mi się zbyt wszechwiedzący, a ty hmm... wydawałeś się zbyt jurny. - Na te słowa Bentley szczerze się roześmiał po raz pierwszy tego dnia, ale Joan jeszcze nie skończyła mówić. - A teraz, drogi kuzynie, mogę powiedzieć ci ten sekret?

Bentley objął ją ramieniem i ruszyli wokół świątyni.

- Mogę się domyślić - powiedział, rozglądając się dokoła nieobecny wzrokiem. Dostrzegł ptaki, które usiłowały uwić sobie gniazdo na szczycie jońskiej kolumny. - Jesteś znowu w ciąży, prawda? Za dobrze cię znam, Joan, żeby nie dostrzec, kiedy łagodnieją ci rysy twarzy.

Joan zarumieniła się.

- Tak, o to chodzi - przyznała. - Dziecko ma się urodzić w październiku, kilka tygodni przed twoim, Bentley.

- To będzie miło, Joan - rzekł cicho. - Być może, jeśli Freddie mnie nie zostawi, nasze dzieci będą mogły być kuzynami i przyjaciółmi, tak jak my byliśmy.

Na te słowa Joan zrobiła smutną minę.

- Ach, to będzie trudne - rzekła spokojnie. - Wyjeżdżamy, Bentley. Wyjeżdżamy do Australii. Basilowi zaproponowano tam posadę w seminarium. To jego marzenie, wiesz. Ma zamiar porzucić parafię świętego Michała. Nie ogłosimy tego publicznie, dopóki Cam nie znajdzie innego pastora, ale nie sądzę, Bentley, byśmy mieli kiedykolwiek tu wrócić.

Bentley okręcił się na pięcie i spojrzał jej w twarz.

- Och, Joan, to bardzo daleko - powiedział, kładąc dłoń na jej ramionach. - Czy jesteś całkowicie



pewna, że..? Tak, widzę to w twoich oczach. Och, tak mi przykro. Chalcote z mojego dzieciństwa już nigdy nie będzie takie samo.

Joan spojrzała na niego pełnym zrozumienia wzrokiem.

- Chalcote z twojego dzieciństwa zniknęło już dawno temu - powiedziała cichym głosem. - Nic już nie jest takie, jak było. Wydaje mi się, że wiesz, co mam na myśli?

Bentley opuścił dłonie.

- Być może - powiedział. - Wolałbym jednak rozmawiać o czymś innym.

- Wobec tego jedź do domu - odparła Joan. - I zacznij rozmawiać, naprawdę rozmawiać ze swoją żoną

Bentley pochylił się i pocałował ją delikatnie w brew.

- Powinienem - powiedział głosem nagle bardzo odległym. - Już dłużej nie mogę tego odkładać na później, prawda? Zastanawiam się, czy ona w ogóle tam jeszcze będzie.

- Najprawdopodobniej - odparła Joan. - Ale masz wiele do wyjaśnienia. Uważam też, Bentley, że potrzebny ci przyjaciel. Cieszę się, że mogę nim być. Wiesz? W każdej chwili. W każdej sprawie. Tak, jak za dawnych czasów.

- Wiem. - Ale w jego głosie czuć było zwątpienie. Joan uścisnęła jego rękę.

- Mówię poważnie, Bentley - powiedziała stanowczym tonem. - Prawie każdego ranka jestem teraz w zakrystii. Jeśli będziesz chciał porozmawiać, wystarczy, że wpadniesz.

Uśmiechnął się do niej łobuzersko.

- Nie martwisz się, Joan, że za każdym razem, kiedy tam przyjdę, cała parafia będzie aż huczeć od plotek?

Joan demonstracyjnie wywróciła oczami, a potem złączyli ręce i ruszyli w drogę powrotną do Bellevue.

Kiedy przyprowadzono konia, Bentley nie mógł się zebrać, by udać się do domu. Pojechał okrężną drogą, wlokąc się niespiesznie przez wieś. U stóp wzgórza zatrzymał się pośrodku drogi, wsłuchując w skrzywienie tabliczki u wejścia do Rose and Crown. Powietrze zrobiło się ciężkie i parny wiatr wiał teraz znad Severn. Nadciągała burza. Z pewnością w takich warunkach nikt nie wyruszałby w długą podróż powozem.

Być może jednak to zależało od tego, jak bardzo ten ktoś był zdeterminowany, by wyjechać. W stylu Freddie było takie impulsywne zachowanie. Już widział się oczami wyobraźni goniącego ją aż do Strath, co i tak by zrobił. Mogła jednak być już w drodze od wielu godzin. Tak więc, nadal bojąc się, że zastanie puste łóżko, zsiadł z konia i udał się w stronę drzwi do baru. Jeśli ktoś widział dyliżans podróżny opuszczający Chalcote, z pewnością czegoś się dowie. Z pewnością ktoś zechce postawić mu drinka, który cholernie by mu się przydał.

Gospoda wypełniona była dymem, gwarem rozmów i dźwiękiem smyczków. Tłum zebrał się przy palenisku; trzech mężczyzn miało instrumenty, przytupywali w takt muzyki. Pomiedzy nimi na wysokim stołku siedział jakiś Walijczyk w mundurze Królewskich Fizylierów i czystym, głębokim barytonem śpiewał głośno balladę. Bentley usiadł przy jednym ze stolików w pobliżu kuchni, zapalił pierwsze z wielu cygar i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu kogoś, z kim mógłby zagrać w kości. Albo w karty. Powałczyć. Zrobić cokolwiek, co oderwie go od myślenia.

Na nic się to jednak zdało, gdyż tak czy inaczej myśli powróciły. Już nie był w stanie ich odegnąć. Siedział więc tak, smutny i nieszcześliwy.

Wraz z upływem czasu zaczęło przybywać ludzi i dym zaczął gęstnieć, aż w jego kłębach belki pod sufitem stały się niemal niewidoczne. Pograżony w myślach, Bentley machinalnie witał się z mijającymi go osobami i stracił rachubę czasu, który spędził siedząc w gospodzie. Stracił także apetyt do picia. Nikt też nie był zainteresowany grą w kości ani w karty, ani czymkolwiek innym, ponieważ wszyscy skupili się na występie Walijczyka.

Od czasu do czasu przed oczami Bentleya przesuwała się sylwetka Janie, przeciskającej się przez tłum i roznoszącej półmiski z jedzeniem i kufle ciemnego piwa. Dziewczyna rzucała spojrzenia w jego stronę, ale nie było w nich ciepła. Było mu przykro, że jest zła, bo ją lubił. Miał jednak pilniejsze problemy niż urażona duma Janie, więc odwrócił wzrok.

Janie jednak nigdy dobrze nie przyjmowała braku zainteresowania. Kiedy się ściemniło, przeszła kilkakrotnie, świszcząc suknią obok jego stolika, niosąc wysoko tacę z brudnymi naczyniami. Rzuciła mu jeszcze jedno, pełne złości spojrzenie i w ostatnim momencie szturchnęła łokciem tył jego krzesła. Szklanka z niedopitą brandy odbiła się od jego głowy i spadła na stół. Szkło rozbiło się, a zawartość wylała na blat. Na jego butach wylądował półmisek z niedojedzoną gotowaną kapustą. Muzyka zamarła. Gdzieś z okolicy kominka dobiegło go klaskanie.

Zmuszając się do łagodnego uśmiechu, Bentley zerwał się na nogi, skłonił i zaczął ścierać brandy, która wsiąkła w klapy marynarki. Cały czas walczył ze sobą, by nie stracić panowania nad nerwami. Janie z uśmiechem wyjęła z kieszeni fartucha małą

ściereczkę, rzuciła ją Bentleyowi i odeszła. Bentley wycierał plamy, obserwując zniszczenia. Co gorsza, cały teraz śmierdział alkoholem.

Och, do diabła! Naprawdę czas już ruszyć w drogę, za chwilę na jego głowie wyląduje pewnie pieczeń z sarny razem z sosem. Chyba w ten sposób Bóg nakazywał mu zabrać cztery litery i ruszyć do domu, upaść na kolana i błagać żonę o przebaczenie za to, że okazał się takim lekkomyślnym łobuzem. Oczywiście, jeśli uda mu się ją znaleźć.

W rzeczy samej to Cam odnalazł dla niego Freddie. Odprowadziwszy konia do stajni i nasypawszy mu sporą porcję owsa, Bentley wszedł do domu kuchennym wejściem. Tam wypił szklanekę mleka, przejrzał szafki, naoliwił skrzypiący zawias w drzwiach, a potem, kiedy nie miał już więcej pretekstów, by się ociągać, ruszył korytarzem w stronę schodów. Znalazł się zaledwie w połowie drogi, kiedy dobiegł go dudniący głos brata. Bentley natychmiast zamarł w miejscu. Drzwi do gabinetu były otwarte na oścież. Wzór rodzinnych cnót siedział przy biurku, z podwiniętymi rękawami, nad oświetloną kilkoma świecami stertą papierów.

- Wołałeś mnie? - spytał Bentley, opierając się ramieniem o framugę.

Cam wstał i zaczął krążyć wokół biurka. Pogadanka, jaką tego rana zrobiła mu Helene, najwyraźniej przestała już działać, pozostawiając go w jednym z jego ponurych, nabożnych nastrojów.

- Gdzie się, do diabła, podziewałeś przez cały dzień?

Bentley zmusił się do niefrasobliwego uśmiechu i spojrzął na brata.

- Ach, tu i tam - odparł w końcu. - Czemu pytasz? Czyżbym potrzebował pozwolenia?

- Może własnej żony, na przykład - wypalił hrabia.  
- Sądziłem, że chcesz coś naprawić! A ty zamiast tego przepuszczasz cały dzień między palcami i w ogóle o niej nie myślisz.

Bentley spuścił oczy. Zauważył, że jeden z manieków Cama jest mocno ubrudzony atramentem.

- To nie twoja sprawa - powiedział, wzruszając ramionami - Ale o niczym innym nie myślałem.

- Powinieneś był myśleć o tym na gorzej!

- Czemu tak się dzieje, Cam - odparł Bentley. - Że zawsze masz usta pełne porad, kiedy nie są one potrzebne, a nigdy cię nie ma, kiedy ktoś potrzebuje twojej pomocy?

Uniósł wzrok, ale Cam chyba go nie słyszał. Na jego twarzy pojawiła się jeszcze bardziej ponura mina, nozdrza mu się rozdeły, jakby poczuł nieprzyjemny zapach.

- Czasami, Bentley, zadziwiasz mnie swoją głupotą - rzekł, pociągając raz jeszcze nosem. - Nie robiłeś dziś nic innego, tylko się upijałeś?

Bentley wydał usta.

- Niezupełnie.

- Niezupełnie...? - Ton głosu Cama był gorzki. - Cuchnie tak, jakby całe ciało parowało tym świństwem. Twoja pani będzie niewątpliwie uradowana.

Nie wyjechała! Przez chwilę zamknął oczy, ale kiedy je otworzył, Cam stał jeszcze bliżej niego.

- Do diabła, Bentley - syknął. - Jesteś pijany jak świnia, a powinieneś być teraz przy żonie. Co się na Boga z tobą dzieje? Możesz mi to wyjaśnić? Możesz?

*Co się z nim dzieje?* Nic. Wszystko. Jego życie to bałagan i nie wie, jak je naprawić.

- Odczep się po prostu, Cam! - warknął w końcu, kierując się w stronę drzwi. - Niewiele wypilem, niech cię szlag. Janie rozlała na mnie jakieś świństwo i...

Cam wybuchł.

- Janie! - wrzasnął. - Chyba sobie żartujesz! To po to zostawiłeś ten bałagan tutaj, żeby jej znowu wskoczyć do łóżka?

Miarka się przebrała. Nerwy Bentleya były w strzępach, jego nowe ubranie zniszczone, a teraz oskarża się go o to, że jest oszustem i pijakiem. Coś w nim pękło. Dotknął dłonią piersi Cama.

- Powiedziałem, żebyś się odczepił - warknął, popychając go. - To nie twój zakichany interes, nawet gdybym dziś po południu przespał się ze wszystkimi kobietami stąd aż do Newcastle. I to nie twój interes, czy jestem pijany w sztok i czy mam zamiar jutro rozwieść się z żoną. Coś ci powiem, Cam, jesteś świętszy od papieża, jesteś jak gwóźdź w tyłku i chciałbym, do diabła, żebyś się zamknął.

Pięść Cama wylądowała na podbródku Bentleya tak, że aż głowa mu odskoczyła, a w uszach zadzwoniło. Bentley poczuł, jak zalewa go fala wściekłości. O Boże, to było wspaniałe uczucie. I stało się jeszcze wspanialsze, kiedy oddał cios bratu.

Uderzył go solidnie w szczękę z lewej strony, aż Cam się zachwiał. Przytrzymał się biurka i ruszył na Bentleya z pięściami. Nastąpiło kilka celnych ciosów i kilka chybionych, ale wkrótce rozpętała się prawdziwa bójka. Tym razem Camowi udało się jako pierwszemu położyć brata na łopatki. Przycisnął go mocno do podłogi, stawiając stopę na jego piersi. Bentley chwycił go za kolano i mocno je wykręcił. Cam upadł, zahaczając brodą o kant biurka. Z przekleństwem na ustach oparł się na Bentleyu i usiłował wstać na nogi. Bentley chwycił go w pasie, znowu powalił na ziemię i chwycił za włosy. Najbardziej lubił tak robić i ocierać twarz Cama o dywan. Na Boga, nie miał takiej okazji od lat. Cam jednak zdołał się

w jakiś sposób poderwać i pociągnąć za sobą Bentleya. Zaczęli się tarzać po podłodze. I nagle, na sekundę zastygli w parodii okrucieństwa, twarzą w twarz, stękając i dysząc niczym król Jerzy usiłujący naciągnąć spodnie.

Nagle oczy Cama zamieniły się w wąskie szparki.

- To jest na twoim ubraniu! - ryknął. - Ty mały gówniarzu! Jest w twoim oddechu! Jest na twoim ubraniu!

- Tak, i co z tego? - jęknął Bentley, wykorzystując ten moment, by znaleźć się nad Camem.

Ten odepchnął go z całą siłą.

- Mój Boże, jesteś zupełnie trzeźwy - stęknął. - Czemu nic nie mówiesz?

- A powinienem? - Bentley odrzucił głowę w tył i jęknął. Stoczyli się z dywanu i Cam uderzył z trzaskiem głową w dębową podłogę.

Oczy Cama się zaszklily. - Niech cię diabli, Bentley! Pożałujesz dnia, w którym się urodziłeś. - Chwył brata za ubranie pod szyją i z całej siły nim potrząsnął.

- Już żałuję - wystękał Bentley. W jakiś sposób udało mu się rozluźnić uścisk Cama. Ten cofnął rękę z krwiożerczym spojrzeniem, ale nagle powietrze rozdarł przeraźliwy pisk.

- Puszczaj! - Frederica rzuciła się na podłogę obok nich i zaczęła odciągać ramię Bentleya. - Natychmiast puszczaj, mówię ci!

Bentley wcale nie miał zamiaru jej posłuchać, ale Cam, cholerny pantoflarz uspokoił się. Jaki więc miał wybór? Pozwolił, by Freddie go odciągnęła, ale na koniec jeszcze kopnął Cama kolanem pod zebro.

Freddie zauważyła to i uderzyła go po udzie.

- Powiedziałam, dość! - rozkazała. - Mój Boże, obu wam odbiło?

Bentley dostrzegł, że jego żona jest w koszuli nocnej, włosy ma rozpuszczone, opadające na ramiona, a policzki zaróżowione z gniewu. Z trudem przełknął ślinę. Boże, cały czas zapominał, jak piękna jest ta dziewczyna. No może z wyjątkiem tego złego spojrzenia.

Cam stanął na nogi.

- Wybacz, Federico - rzekł, przytykając grzbiet dłoni do rozciętej wargi. - Nie wiedzieliśmy, że w pokoju jest dama.

- I zdaje ci się, że to jest dobra wymówka? - wypaliła. Trzymała Bentleya bardzo mocno. - Jestem zaskoczona, lordzie! Zaskoczona zachowaniem was obu. Dorośli mężczyźni tarzają się po dywanie niczym para rozwzdrzonych dziesięciolatków!

Bentley potrząsnął głową.

- Freddie, nie rozumiesz...

Odwrociła się do niego raptownie.

- Nie, z całą pewnością nie rozumiem! - zgodziła się, a w jej czarnych oczach pojawiły się błyskawice. - I nawet nie waż się tego tłumaczyć. Nie rozumiem, dlaczego nie umiecie się porozumieć. Ale skoro istnieje jakiś problem nie do rozwiązania z bratem, Bentley, to wyzwij go na pojedynek i załatw to jak džentelmen!

- Wyzwać go? - Bentley był przerażony.

Cam spojrział z strachem na brata.

- Wybacz, Federico - rzeki znowu. - To było, hm... małe nieporozumienie. Bentley i ja... cóż żaden z nas naprawdę nie miałby ochoty się pojedynkować. Chyba o to chodzi, no nie, stary? - Uniósł brew i spojrział na brata.

Bentley wyrwał dłoń z uścisku żony i zaczął nadzwyczaj skrupulatnie poprawiać ubranie.

- Pojedynek nie jest konieczny! - wypalił. - To tylko nieporozumienie, Freddie. Puściły nam nerwy,

sprawy wymknęły się spod kontroli. To bez znaczenia.

Freddie uniosła brwi.

- Bez znaczenia?

Cam podszedł do biurka i zaczął upychać papiery pod pachą.

- Pójdę już do łóżka - wymruczał, biorąc ostatnie dokumenty. - Zgaś świece, Bentley, zanim wyjdiesz.

## Rozdział 14

### *W którym pani Rutledge twardo stawia stopę*

Droga z dołu do sypialni zdawała się nie mieć końca. Bentley szedł za Freddie, wpatrując się w słodkie kołysanie jej bioder, a na sercu z każdym stopniem robiło mu się coraz bardziej ciężko. Bójka z Camem była całkowicie usprawiedliwiona. Dlaczego więc teraz czuje się jak kompletny idiota? I w jaki sposób może przekonać Freddie, że jest wart tego, by z nim została?

Najgorsze przypuszczenia potwierdziły się, kiedy otworzył drzwi i wszedł za żoną do środka. Dwie szuflady jej sekretarzyka były wysunięte, a na krześle leżała sterta ubrań. Nie mógł dłużej czekać. Chwyił ją za ramiona i obrócił ku sobie.

- Opuszczasz mnie?

Szorstki szept spowodował, że dziewczyna aż podskoczyła.

- Słucham?

- Czy mnie opuszczasz, Freddie? Jeśli tak, po prostu mi powiedz. Dobry Boże, nie zniosę dłużej tego czekania.

Frederica słyszała mękę w jego głosie. W świetle lampy spojrzała mu przez ramię i zobaczyła otwarte szuflady sekretarzyka odbijające się w tremie. Aby

ukoić nerwy, zajęła się wcześniej porządkowaniem ubrań, ale zajęcie to nie przyniosło jej pocieszenia. Poszła więc do kuchni po kubek gorącego mleka, kiedy z gabinetu hrabiego dobiegły ją odgłosy łomotania i przekleństw.

Bentley nie spuszczać wzroku z Freddie, zdjął marynarkę i fular i rzucił je na łóżko. Podeszła do sekretarzyka i zamknęła szuflady, bojąc się odezwać. Jego wzrok palił jej plecy. Czy go opuszcza? Nie, nie miała zamiaru. Chociaż jakaś część jej pragnęła tego - podkulić ogon niczym wystraszona łasica i uciec do rodzinnego domu.

Na Boga, nie uczyni tego. Jest *mężatką*. Może znaleźć się po uszy w tarapatach, ale musi się nauczyć sobie z tym radzić. A Bentley mógłby równie dobrze nauczyć się hamować swoje nerwy i zacząć się komunikować w inny sposób niż tylko za pomocą pięści i penisa. Żadne z nich nie opuści tego małżeństwa, nie odda pola bez walki. Odwróciła się i zobaczyła, że zbliża się ku niej, ręce miał zaciśnięte w pięści, a wzrok zwrócony ku krańcowi jej koszuli nocnej.

- Opuszczasz mnie, Freddie? - wydyszał. - Odpowiedz tylko: tak czy nie, na miłość boską.

Dziewczyna zamrugła i pokręciła głową.

- Nie wyjeżdżam - powiedziała, widząc, jak z ulgą opuszcza ramiona. - Robiłam tylko porządki w szufladach, żeby dać Jennie pończochy do zacerowania. A teraz powiedz, co wyprawialiście z Camem?

Bentley z pewnym smutkiem pokręcił głową.

- Zachowywaliśmy się jak wariaci - odparł. - Cam oskarżył mnie o to, że jestem pijany, a nie jestem. Byłem w podłym nastroju, było mi siebie żal i potwornie się o ciebie bałem. Jedno doprowadziło do drugiego, a potem Cam mnie uderzył, albo ja

uderzyłem jego. Do diabła, nawet nie pamiętam. Czasami tak się między nami dzieje.

- Gdzie byłeś cały dzień? - spytała bardzo spokojnie.

Na moment zamknął oczy. Freddie widziała przez rozpiętą koszulę, jak drgają mu mięśnie na szyi.

Tego ranka poszła do jadalni, jak zasugerowała jej Queenie i odkryła, że jakieś pół godziny wcześniej wyruszył konno i nikt nie wie dokąd się udał.

- Może do Cheltenham - mruknął lord Treyhern. - Wróci.

I tak też się stało. Ale przyjechał późno i wyglądał okropnie z dwudniowym zarostem i w ubraniu z poprzedniego dnia. Cuchnął dymem i brandy, a na jego twarzy malował się wyraz poważnej zadumy. Ale był w domu. I był bezpieczny. Dziewczyna poczuła ulgę.

- Gdzie byłeś, Bentley? - spytała bardziej czułym tonem.

Jej mąż przecesał palcami włosy.

- O Boże, ledwie pamiętam - wymruczał. - Byłem w Withington i potem w Bellevue. I w gospodzie we wsi.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- A ty wyglądasz pięknie - powiedział spokojnie, nadal nie mogąc spojrzeć jej w oczy. - Nie rozumiem, dlaczego nadal tu jesteś. Sądziłem, że może już cię nie być, wiesz? Cały czas myślałem, że wrócę do domu i zastanę ten pokój pusty.

Być może było to najlepsze wytłumaczenie i przeprosiny, jakie mogła otrzymać. Na razie musiało wystarczyć. Freddie wyciągnęła rękę i pogłaskała grzbietem dłoni jego zarosnięty policzek.

- Obiecaliśmy sobie sześć miesięcy - powiedziała łagodnym, lecz stanowczym tonem. - Sześć miesięcy, żeby nauczyć się z sobą żyć, jeśli potrafimy. I to wła-

śnie robimy. Śmiem twierdzić, że się uczymy, jak... być razem.

Było to stwierdzenie, nie pytanie, ale Bentley nic nie powiedział. Chwyił natomiast jej dłoń i przytulił palce do ust, składając na nich pocałunek.

- Dziś rano powiedziałaś, że mnie nie potrzebujesz - wyszeptał, a jego długie rzęsy położyły się cieniem na policzkach. - I że nigdy mnie nie chciałaś. Freddie, zawsze to wiedziałem. Nie musiałaś tego mówić.

Frederica potrząsnęła głową.

- Nie powinnam była tego mówić.,.

- Daj spokój - przerwał jej. - Wiedziałem, że tak naprawdę mnie nie chcesz, od pierwszej chwili, kiedy dotknęłaś mnie tej okropnej nocy. Ale byłem słaby. Nie umiałem powiedzieć nie. Nie jestem mężczyzną dla ciebie, Freddie. I teraz spędziłem cały cholerny dzień zastanawiając się, po co wymusiłem to małżeństwo. Nie wiem, dlaczego ci nie zaufałem, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy dla dobra dziecka. Nie wiem, czemu w ogóle upierałem się, by się w to mieszać. I do cholery nie wiem, jak cię uczynić szczęśliwą.

- Och, Bentley - pokręciła głową i położyła jedną dłoń na brzuchu. - Mamy dziecko, o które musimy się troszczyć. Przestań czuć się winny za to, co my... tak my, zrobiliśmy. Nie jestem nieszczęśliwa, a przynajmniej nie byłam aż do dzisiaj rana...

- Boże, wiem! - przerwał jej, puszczając jej dłoń.

- Chyba trudno odzwyczaić się od starych nawyków.

Frederica z uporem wydeła wargi.

- Cóż, niektóre z tych zwyczajów będą musiały odejść do lamusa, Bentley - powiedziała łagodnym, lecz nieznośnym sprzeciwu tonem. - Nie będę tego tolerować. Masz sześć miesięcy na to, by zdecydować, czy jestem warta takiego poświęcenia.

- To był jedynie flirt - zaprotestował słabo. - Nie byłem niewierny, nawet nie miałem takiego zamiaru.

Ale Frederica miała już dość łez. Co więcej, miała już dość wymówek swego męża.

- Ale takie zachowanie jest dla mnie poniżające - rzekła stanowczo. - Jest tym samym, co publiczne oświadczenie, że nie dbasz o moje uczucia.

- Ależ dbam, Freddie - wyszeptał. - Nie wierzysz w to?

Frederica zawahała się.

- Nie jestem do końca przekonana - powiedziała zupełnie szczerze. - Nie wiem, co czujesz, ani co myślisz, Bentley. Wiem, że łączy nas wielka namiętność, która staje się coraz większa. Ale tamtego dnia, pamiętasz w salonie muzycznym w Strath? Powiedziałeś, że możemy zbudować na tym coś więcej. A mimo to nie... - potrząsnęła głową i odwróciła wzrok.

Bentley chwycił ją za ramiona.

- Nie co?

- Nie widzę, żebyś starał się to robić - wyszeptwała. - Nigdy nie rozmawiamy, nigdy nic nie planujemy. Nie dzielimy się obawami i uczuciami, Bentley. Jest między nami namiętność, ale nie ma intymności. Czasami czuję się, jakbym prawie wcale cię nie znała. Tak, dobrze nam razem w... w tym jednym miejscu. Ale ja cały czas czekam na coś więcej. A mimo to nie wiem, co więcej mogę otrzymać. Czuję się bardzo, och... Po prostu głupia i niedoświadczona i... - nagle głos jej się załamał, a łzy popłynęły nową falą.

Bentley wyczuł zmianę jej tonu w momencie, kiedy oczy dziewczyny wypełniły się łzami. Przeklinając w duchu swą głupotę, chwycił Freddie w ramiona i uniósł ją do góry. Poszedł do łóżka i usiadł przy wezgłowiu, tuląc ją do siebie. Kiedy płakała, kołował ją łagodnym głosem, a siebie ganił w myślach. Mia-

ła rację, niech mu Bóg pomoże. I chciała w tym trwać, prawda? W końcu trzeba będzie utoczyć krwi z żył, jeśli Frederica się uprze.

Cóż, tego nie mógł zrobić. Było to najgorsze z możliwych rozwiązań. Zamiast tego mogłoby być tak jak teraz, mogliby ciągnąć łzawę dyskusję i grzebać się w niedopowiedzianych półprawdach. A Frederica otrzymywałaby skrawki z czegoś, co nigdy nie będzie pełnym związkiem, on zaś starałby się utrzymać to wszystko, jak zawsze robił, za pomocą swego uroku uśmiechu i miłosnych talentów. Jezu, to przypominało grabienie siana na wietrze. Będzie jednak musiał spróbować, ponieważ - i to była najbardziej bolesna część planu - ponieważ ją kocha. Nie było to nagłe zakochanie się. Obawiał się, że kocha ją już od dawna, sam nie wiedział od kiedy. Nie była to ślepa miłość z całym swoim szaleństwem i niepewnością.

Stojąc z Joan nad sadzawką i słuchając jej słów, które wyrażały jego najgłębsze obawy - że żona może go opuścić, zrozumiał swoje uczucia. Wiedział teraz z całą pewnością. Po prostu kochał Freddie, niezależnie od tego, czy na nią zasługiwał, czy nie i gdyby ją stracił, gdyby nie znalazł sposobu, by utrzymać ją przy sobie... O Boże! Nie mógł znieść tej myśli.

Teraz, kiedy się nad tym głębiej zastanowił, wydało mu się to żałośnie śmieszne. Tak bardzo się starał, by zawrzeć to małżeństwo, by mieć ją na własnych zasadach. Starał się zmusić Freddie do tego z niewłaściwych powodów, wmawiając sobie, że zniszczył jej życie. Ze jest w ciąży. Że nie ma wyboru. Ale gorą-cokrwista Freddie nie zechciała ułatwić mu pójścia zwykłą, łatwą drogą samooszukiwania się. Zamiast tego sprawiła, że poczuł się zagrożony, zaczął się jej przypochlebiać, a w końcu błagać. Nie było teraz żadnego sposobu, w który mógłby się oszukiwać,

wmawiać sobie, że zrobił to ze względu na nią. Swoim uporem Freddie pozbawiła go wszystkich wymówek. Musiał dostrzec, że robi wszystko ze zwyczajnego, czystego egoizmu. Teraz jednak zagroziła, że pozbawi go czegoś więcej niż tylko wymówek. A czuł się tak, jakby obdzierała go ze skóry.

Płacz powoli cichł. Bentley schylił głowę i przyłożył usta do skroni Freddie; była rozpalona niczym mała Madeleine po długim płaczu. Bentley pocieszał ją, podobnie Gervaisa i Ariane, kiedy obtłukiwali sobie kolana, znał więc kolejne etapy. Potem nachodził szloch wraz z czkawką, a potem odrobina zawstydzenia. Frederica skuliła się przy nim; lewy policzek przytuliła do jego fularu, a prawą dłoń rozpostarła na piersi.

Zaskoczyła go jednak tym, że zasnęła głębokim, ciężkim snem osoby wykończonej problemami i zmartwieniem, która wreszcie odnajduje ukojenie. Bentley ostrożnie przykrył ją kołdrą, a sam zdjął ubranie i położył się koło niej, tuląc jej plecy do swej piersi. Starał się odnaleźć spokój w jej wtulonych w siebie biodrach i dotyku jej włosów na swej twarzy, ale, jak to często miało miejsce, spokój się ulotnił.

Czy źle postąpił, żeniąc się z nią? Znane mu dobrze uczucie, że zniszczył coś cennego, zaczęło dobiwać się do jego myśli. Bentley odegnał je bezlitośnie. Musiał. Nie mógł znowu dać się złapać w tę starą myślową pułapkę. To, co oboje z Freddie mieli, niemal mieli, było właściwe. Było. I jego małżeństwo nie będzie miało szans na przetrwanie, jeśli nie będzie o tym pamiętał. Już zaczął się wiercić i przewracać na łóżku, a Freddie potrzebny był sen. Ostrożnie odsunął ją od siebie, usiłując wymknąć się z łóżka, tak jak miał to w zwyczaju, ale tym razem usłyszał jej rozczarowany jęk.



- Nie - wymruczała, ledwo przytomna. - Nie idź. Nigdzie już więcej nie odchodź.

Jej czułe błaganie niemal złamało mu serce. Nie mógł jej opuścić, chociaż wiedział, że powinien. Czując ciepło jej ciała przy piersi, objął ją w pasie ramieniem i zamknął oczy; z jednej strony modlił się o sen, a z drugiej - bał się, że sen nadejdzie.

Frederica nie wiedziała, jak długo drzemała. Była zmęczona. Zmęczona i zdruzgotana, i pogrążona w takim letargu, że niemal nie mogła wybudzić się ze snów. Coś jednak świtało jej w głowie, na granicy świadomości, wypychając ją ku jawie.

Nagle obudził ją zduszony krzyk. Jej własny? Nie. Zdezorientowana usiadła, wpatrując się w zupełne ciemności. Jest w Chalcote. Jest z Bentleyem. Przeczesała dłonią włosy, odgarniając je z twarzy. Co ją obudziło? Czy to się jej przyśniło?

Leżący obok niej Bentley znowu krzyknął i potężnym kopnięciem odrzucił kołdrę, odkrywając się do połowy. Kolejny okropny dźwięk wyrwał się z jego gardła, a jego ciało ogarnęło drżenie.

Freddie przytuliła się do boku męża, obejmując go ramieniem i przyciskając usta do jego obojczyka. Nawet zlany potem i łapczywie oddychający, wydawał się jej bezpieczny i twardy niczym skała. Oparła głowę o jego pierś i z przerażeniem usłyszała, jak łomocze mu serce.

- Bentley? - szepnęła. - Obudź się, kochanie. To sen, to tylko zły sen.

- Co..? - odrzucił ramię, jakby chciał kogoś zatrzymać.

W reakcji na to przytuliła się do niego jeszcze mocniej i przesunęła dłonią po jego ciele, aby go

ukoić. Jednak jej dłoń dotknęła czegoś gorącego i twardego. Był niesłychanie pobudzony.

Zadrżał pod jej delikatnym dotykiem.

- Nie! - wydyszał słowami, które zdawały się dobiegać z czeluści piekła. - Nie, przestań!

Frederica natychmiast cofnęła dłoń. Co dziwne jego dłoń podążyła za jej ręką, chwyciła jej palce i przyciągnęła je z powrotem ku twardej męskości.

- Myślałem, że mnie pragniesz - wydyszał, przyciskając mocno jej dłoń do nabrzmiałego członka.

- Ja... tak, pragnę - delikatnie zacisnęła na nim palce, a on jęknął.

- Och, Boże... tak - wyszeptał pocierając jej dłonią górę i dół. - Tak, tak rób to, niech cię szlag.

Coś było bardzo nie w porządku.

- Bentley?

Poczuła, jak natychmiast wraca mu świadomość, a jego ciało napręża się niczym struna.

- Co? - wydyszał. - Co się dzieje?

- Jestem tutaj - uspokoiła go. - Śniło ci się. To tylko zły sen.

- Freddie?

- Już w porządku Bentley - przysunęła się bliżej, zarzucając jedną nogę na niego i tuląc go, ale on przeklął strasznie i odepchnął ją.

- Nie rób tak! - rzekł szorstko. - Nigdy, Jezu, nigdy więcej mnie tak nie przytłaczaj! Boże, dlaczego tu tak piekielnie gorąco?

Frederica usiadła.

- Co się dzieje, Bentley? - spytała łagodnie. - Coś ci się śniło. Co to było?

Bentley cicho syknął przez zaciśnięte zęby.

- Nic. Nie pamiętam.

- Bentley, jestem twoją żoną - naciskała go. - Nie powiesz mi, co się dzieje?

- Nic się nie dzieje, Freddie - upierał się. - Tylko tak tu cholernie gorąco, że ledwie mogę oddychać.

Krople deszczu zaczynały stukać o szyby i w pokoju było raczej chłodno, a mimo to Bentley spływał potem.

- Chcesz, żebym otworzyła okno? - zapytała,

Bentley wyciągnął rękę spod głowy i obrócił się, by móc spojrzeć na żonę. Nawet w ciemnościach czuła, jak jego wzrok szuka jej twarzy, jakby zastanawiał się, co powiedział albo zrobił. Nagle coś wymruczał, a potem przeklął pod nosem. Odetchnął powoli raz za razem. A potem Freddie poczuła, jak jego ciało się podnosi i usłyszała skrzypnięcie starego łóżka pod jego ciężarem. Położył się na niej, a ona, wyczuwając jego pragnienie, wyciągnęła ku niemu ręce, ciesząc się z tego ciepła i ciężaru, który przygniótł ją do materaca.

Nieco natarczywie wsunął twarde udo pomiędzy jej nogi i rozchylił je na boki. W ciemności jego usta desperacko zaczęły poszukiwać jej policzka, czoła i ust.

- Pocałuj mnie - wyszeptał w ciemnościach. - Chodź, pocałuj mnie Freddie, kochanie.

Uniosła się ku niemu, rozchylając wargi i pozwalając mu, by wszedł w nią i wciągnął ją w ciepłą otchłan nagłego pożądania. Jej pytania ucichły, kiedy wsunął język między jej wargi z całą mocą rytmicznego pocałunku. Na zewnątrz szalała burza, deszcz tłukł o szyby i okrywał ich płaszczem intymności i samotności. Dziewczyna westchnęła i przesunęła dłońmi po jego bokach i jędrnych pośladkach. Bentley jednak chwycił jej dłonie i położył je wysoko ponad jej głowę.

- Chodź do mnie, żono - wymruczał, unosząc jej biodra i wchodząc w nią raptownie i mocno. -

Chodź, jesteśmy jednym. Kochaj mnie. Spraw, bym stał się całością.

Burza rozpętała się tuż przed świtem, ale Bentley nie pozwolił sobie ponownie zasnąć. Wpatrywał się w śpiącą u jego boku żonę, aż w słabym świetle za oknem wyłonił się kształt kościelnej dzwonnicy. Freddie leżała na brzuchu, twarzą zwrócona ku niemu, jej zaciśnięta dłoń spoczywała na poduszce. Kołdra zsunęła się z jej pleców, odsłaniając delikatne kości łopatek i cudowną, ciepłą, oliwkową skórę. Bentley poczuł, jak ponownie rośnie w nim pożądanie, słodsze i mniej dzikie niż poprzednio. Ale niechciane. Zdusił je w sobie bezceremonialnie i usiadł.

Dobry Boże, nie zachował się jak należy tej nocy. Bał się tego, co może powiedzieć Freddie, kiedy się obudzi. Wstydził się tego, w jaki sposób ją wykorzystał, ujeżdżając ją niczym jakiś demon, wchodząc w nią gwałtownie, jakby usiłował... jakby chciał odegnąć pozostałości tego cholernego, okropnego snu, który zbyt często do niego powracał. Czy sprawił jej przyjemność? Czy miała orgazm? Do diabła, nawet tego nie wiedział, tak rozpaczliwie musiał zaspokoić swoją żądzę. Na samo wspomnienie tego zdarzenia poczuł się... nieczysty. Zupełnie jakby poświęcił, poniżył kogoś innego, by ratować siebie.

Zerwał się z łóżka, zdając sobie sprawę, że nie może już dłużej leżeć. Bał się zostawić Freddie, ponieważ zawsze rano dopadały ją ataki mdłości. To było związane z ciążą, wiedział o tym. Dobry Boże, ile jeszcze ciężarów jej przysporzy, zanim wszystko zostanie powiedziane i zrobione? Poczuł się, jakby znowu zaczęły walić się na niego wszystkie ściany. Musi

się stąd wydostać. Wyjść na świeże powietrze. Czeka go sporo pracy.

Szybko umył się i ogolił, wpatrując w lustro, jak miał w zwyczaju. Tego ranka wyglądał upiornie, światło świec uwypuklało ostre zmarszczki wokół ust i pokrażone oczy.

Jako chłopiec był fizycznie piękny, pełen szelmowskiego uroku, Ale nigdy, przenigdy nie był niewinny. I teraz mógł spojrzeć w lustro i zobaczyć oczami wyobraźni czas, kiedy fizyczna uroda go opuści. Kiedy jego urok stanie się jedynie ekscentrycznością. Kiedy pozostanie mu jedynie to, co uda mu się zbudować. Razem z żoną.

Jakże więc mógł jej się wydawać pociągający? Nawet tego ranka, nie golił się może nawet tydzień, tak czarny był zarost na ostrzu brzytwy. Zastanowił się, dlaczego Freddie pozwoliła mu zbliżyć się do siebie w nocy. *Przeklął* pod nosem, *zmył* z siebie resztki mydła, narzucił najwygodniejsze ubranie i wyszedł.

## Rozdział 15

### *W którym nasza bohaterka przeżywa bardzo ważne spotkanie*

Frederica obudziła się w pokoju wypełnionym światłem. Przeciągnęła się jak kotka, aż dotarło do niej podejrzenie, które natychmiast kazało jej usiąść i spojrzeć na zegar. Dobry Boże, kwadrans po dziewiątej! Odrzuciła kołdrę i narzuciła na ramiona szlafrok. W tym momencie w *drzwiach stanęła Jennie. Służąca*niosła przykryty półmisek i filiżankę czekolady.

- Och, pani już się obudziła? - zaszczębiotał, kładąc tacę na małym stoliku pomiędzy oknami. - Zajrzałam tu o ósmej, ale spała pani jak suseł.

- Dzień dobry, Jennie - Frederica pospiesznie zawiązała szlafrok. - Czy widziałas dziś pana Rutledge'a?

- Wyjechał dobrą godzinę temu - odparła. - Nie słyszałam, dokąd się udał. A teraz proszę usiąść i co nieco zjeść. Pani Naffles sprzątała ze stołu, zabrałam więc co zostało.

Jennie uniosła pokrywkę i wkoło rozszedł się zapach pieczonego bekonu. Dopiero wtedy Frederica zdała sobie sprawę z tego, że nie dopadły jej mdłości. Właściwie miała wilczy apetyt. Usiadła przy małym stoliku i zaczęła saczyć czekoladę.

- Nigdy w życiu nie opuściłam śniadania - rzekła z zażenowaniem. - Czy ktokolwiek to zauważył?

- Tylko pani Naffles - odparła służąca. - Powiedziała, że każde dziewczętom ugotować dla pani coś świeżego, kiedy pani wstanie, ale...

- Och, nie! - przerwała jej Frederica. - To wystarczy, Jennie. Jakież piękny mamy dzień! Wyjmiesz moją złotą suknię spacerową? Chyba udam się na przechadzkę.

Kiedy ubrała się i zeszła na dół, okazało się, że lord Treyhern zamknął się w swym gabinecie z papierami, a Helene była z Ariane i uczyły się gramatyki francuskiej. Frederica spotkała koło oranżerii panią Naffles i spytała o najładniejszą trasę spaceru.

Starsza kobieta zarzuciła stertę upranej bielizny na jedno biodro i spojrzała na dziewczynę przez okulary w drucianych oprawkach.

- Och, z tyłu jest ścieżka - powiedziała radośnie, przechylając głowę w stronę drzwi do oranżerii. - Idź w lewo, znajdziesz się jakieś dwie mile od Coln St. Andrews. Pójdiesz prosto, miniesz stajnie i dojdiesz przez wzgórze, a potem do Bellevue. Albo skręć w prawo, przez ogrody kucenne...

- Ach, tak i dalej mija się sady i idzie w stronę kościoła - dokończyła Frederica.

Pani Naffles przytaknęła.

- A potem przez cmentarz do wsi, jeśli chciałabyś pójść skrótem. Tamtędy najczęściej chadza pan Rutledge. Śmiejemy się z niego, że gwizdże nad własnym grobem.

Frederica lekko uniosła brwi.

- Czy poszedł tamtędy dziś rano?

- Mówił, że się wybiera do rymarza - powiedziała. - Ale to było jakiś czas temu. Może go jednak spotkasz, kiedy będzie wracał - starsza kobieta uśmiechnęła się i poszła w swoją stronę. Frederica wyszła przez oranżerię, ale z tyłu, w ogrodzie natknęła się

na wychodzących tylną bramą Gervaisa i Madeleine wraz z guwernantką.

- Dzień dobry, pani Rutledge - powitała ją wesoło panna Taft.

- Dzień dobry. - Frederica spojrzała na Gervaisa. Miał brudne rączki, a kostki pobrudzone trawą. Spojrzał na nią poważnie; wiatr bawił się jego ciemnobrązowymi włosami. Dzieci ubrane były ciepło, miały mokre buty i zaróżowione noski.

- Dla ciebie - oznajmił Gervais, wyciągając zza pleców bukiet stokrotek.

- Jakie piękne! - Frederica przyklękła, by je przyjąć.

Madeleine westchnęła głośno i zarzuciła rączkę na szyję Freddie, podając jej drugi bukiet, nieco wymięty.

- Wujek Bentley pomógł nam je zbierać - oznajmiła dziewczynka.

- Ten również jest przepiękny! - dodała Freddie. - Dziękuję.

- Uczymy się o kwiatach - przechwalała się Madeleine. - I o chrząszczach. Takich naprawdę obrzydliwych, z włośchatymi nogami.

- To nie chrząszcze - poprawił ją Gervais. - Pszczoły. Pszczoły robią kwiaty.

- Prawie dobrze - odezwała się panna Taft. - Pszczoły zapylają kwiaty.

Frederica uśmiechnęła się w stronę poważnych, dziecięcych twarzątek.

- Czy wujek Bentley też brał udział w lekcji? - zapytała. - Nie mogę sobie tego wyobrazić.

Panna Taft roześmiała się.

- Obawiam się, że był najbardziej niegrzecznym uczniem - powiedziała. - Dostał więc za zadanie pomóc w zbieraniu kwiatków Madeleine, a ja i Gervais

rozmawialiśmy o zapyłaniu krzyżowym. Niestety w trakcie tej lekcji było wiele śmiechu i tarzania się po trawie.

- Ciekawe, kto wygląda najbardziej niechlujnie? - Frederica zastanowiła się, strzepując źdźbła trawy z rękawa Madeleine. - Obawiam się, że wujkowi Bentleyowi również przyda się solidne czyszczenie.

- Ja miałam zebrać tylko żółte i białe - westchnęła Madeleine, rozbierając się niechętnie. - Wujek Bentley nie posłuchał wskazówek.

- Nie, nigdy się nie słucha, prawda? - wymruczała Frederica, przyglądając się pstrokatym barwom bukietu. Ucałowała szybko dzieci w policzki i jeszcze raz im podziękowała. A potem, życząc wszystkim miłego poranka, przeszła przez bramę i zesłała ze wzgórza, zastanawiając się, gdzie jest jej mąż.

Z ogrodów kuchennych przez wzgórze do świętego Michała nie było daleko. Brama w murze prowadziła na cmentarz. Kiedy Frederica uniosła zasuwę, otworzyła się ze zgrzytem. Kiedy dziewczyna znalazła się na cmentarzu, zaczęła iść wzdłuż murów, trzymając się ścieżki prowadzącej do bramy wychodzącej ku wsi. Ta część cmentarza pełna była pomników i kamieni nagrobnych, które częściowo wyblakły wraz z upływem czasu. Inne pokrywała warstwa zielonkawego mchu, albo przechylały się na boki, jakby były podtrzymywane przez pijane anioły.

Rosły tu również wielkie, wspaniałe drzewa, gęste ostrokrzewy i cisy. Na szczycie łagodnego wzniesienia dziewczyna wynurzyła się zza jednego z drzew i natychmiast się cofnęła. Kilka metrów dalej przy jednym z grobów klęczała ubrana w oliwkowy płaszcz kobieta i układała na płycie niezwykły bukiet z polnych kwiatów. Łagodna barwa jej prostego ubrania idealnie komponowała się z otoczeniem

i Frederica poczuła, jakby szpiegowała jakąś pradawną, leśną kapłankę składającą ofiarę.

Freddie chciała ruszyć w dalszą drogę, ale było za późno. Kobieta miała czujny słuch. Uniosła głowę, a potem z gracją wstała. Była wysoka, miała wystające kości policzkowe, szerokie usta oraz piwne, przenikliwie patrzące oczy. Oczy, które w dziwny sposób były znajome i bardzo Frederikę zaniepokoiły.

- Przepraszam panią - powiedziała dziewczyna. - Czy to jest ścieżka do wsi?

- Tak, trzeba zejść w dół i wyjść przez bramę. - Jej znoszony płaszcz miał całkowicie przemoczony obrąbek u dołu. Przeczesał źdźbła trawy, kiedy kobieta podeszła bliżej,

Frederica podziękowała jej i ruszyła przed siebie.

- Zaczekaj, proszę - kobieta uśmiechnęła się tajemniczo i odsunęła kaptur, ukazując prostą fryzurę z kasztanowych włosów, a potem wyciągnęła odzianą w rękawiczkę dłoń. - Domyślam się, że musisz być moją nową siostrą - powiedziała łagodnym, zachrypniętym głosem. - Jestem Catherine, dzień dobry.

Siostra Bentleya? Dobry Boże, czy ta osoba jest hrabiną de Vendenheim?

- Cóż za niespodziewana przyjemność - odparła Frederica, dygając niezgrabnie, nadal trzymając w ręku bukiet od dzieci. - Proszę wybaczyć mi najście.

Ale lady de Vendenheim miała w oczach iskiereki śmiechu.

- Spokojnie, dziecko, nie dygaj przede mną! - powiedziała. - Przy tobie czuję się staro, a w rzeczywistości jestem cóż, może miesiąc lub dwa starsza od swego brata.

Co dziwne hrabina miała na sobie rękawiczki do konnej jazdy. Dłoń nadal trzymała wyciągniętą. Frederica ucisnęła ją i zarumieniła się.

- Bardzo jesteście podobni.  
Lady de Vendenheim uniosła kącik ust w uśmiechu.  
- Och, jesteśmy podobni w wielu rzeczach - przyznała, kierując Fredericę w stronę ławeczki z drugiej strony cisu. - Może usiądziemy? - powiedziała, idąc przez trawę. - Właśnie kładłam kwiaty na grobie mamy. Dzisiaj jest rocznica jej śmierci.  
Zatrzymały się obok rzędu pokrytych mchem nagrobków; na kilku z nich widniało nazwisko Rutledge. Za nimi znajdowały się dwa nierówne rzędy starszych kamieni nagrobnych oraz kilka grobowców rodziny Camden.  
- Historia rodziny, moja droga - wymruczała, wskazując w ich stronę, kiedy usiadły. - W niezłą rodzinę weszłaś. To ci mogę gwarantować.  
Najwyraźniej lady de Vendenheim była równie bezpośrednia w mowie, co jej bracia. Frederica odłożyła na bok kwiaty i usiadła przy niej na ławce.  
- Widzę, że na wielu grobowcach wyryto nazwisko Camden - zauważyła. - To również nazwisko rodowe, prawda?  
Lady de Vendenheim przytaknęła, a wzrok miała trochę nieobecny.  
- Rodzina mojej matki zbudowała ten kościół i wieś - powiedziała. - Wyszła za męża za Rutledge'a z Devonshire.  
- I odziedziczyła Chalcote, prawda?  
Hrabina kwaśno się uśmiechnęła.  
- Wiele dobra jej to przyniosło - skinęła głową w stronę kwiatów, które położyła na grobie. - Miała na imię, jak widzisz, Alice. Młodo umarła. Tak młodo, że Bentley prawie jej nie pamięta. Nigdy nie doszła do siebie po jego urodzeniu, a on bardzo cierpiał wskutek braku kobiecej ręki, która by się nim zaopiekowała.

- Nie było nikogo, kto mógłby zastąpić mu matkę?  
- spytała łagodnym tonem Frederica.  
Hrabina wzruszyła ramionami.  
- Była Cassandra - rzekła z powątpiewaniem. - Pierwsza żona Cama. Niestety nie należała do opiekuńczych kobiet. Poza tym, kiedy się pobrali, Bentley był mniej więcej w wieku Gervaisa.  
- Gdzie jest pochowana?  
Hrabina wskazała na spore miejsce pomiędzy grobem jej matki a dwoma małymi kamieniami, które kończyły rząd.  
- Tam.  
- Ale... ale tam nic nie widzę.  
Hrabina znowu uśmiechnęła się tajemniczo.  
- Brak kamienia - powiedziała. - Miał ukrytą wadę. Wyobrażasz sobie? Rozpadł się kilka miesięcy temu dokładnie pomiędzy słowami *ukochana* a *żona i matka*. Kamieniarz robi nowy, ale szczerze mówiąc, to mógł być znak od Boga.  
Frederica nie wiedziała, jak ma zareagować.  
- Umarła niedawno?  
Hrabina wzruszyła ramionami.  
- Niektórzy powiedzieliby, że i tak za późno.  
- Och - znowu to samo, ta powalająca szczerść Rutledge'ów. - Nie była... lubiana?  
- Och, ależ była bardzo lubiana w pewnych kręgach - wymruczała hrabina. - Cassandra uważała życie na wsi za nudne, więc jej przyjaciele i znajomi przyjeżdżali tu całymi powozami. Życie tutaj wraz z nią i tatą przypominało życie w Brighton Pavillion.  
- Nie mogę sobie tego wyobrazić - rzekła Frederica. - Tak tu teraz spokojnie.  
Hrabina roześmiała się.  
- Być może, ale kiedyś była to nieustanna hulanka, dopóki Cam nie stracił cierpliwości. Okiełznał

Cassandrę, spakował jej kochanków i skazał ją do-  
słownie na przebywanie w domu. Rany, nadal słyszę,  
jak na niego za to wrzeszczy! Przysięgała, że się ze-  
mści, przysięgała, że go zabije, mój Boże, to był kosz-  
mar! Naprawdę, kiedy nad tym się teraz zastana-  
wiam to cud, że Bentley i ja wyrosliśmy w ogóle  
na normalne osoby - zerknęła na Fredericę i mru-  
gnęła, - No, prawie normalne.

Frederica uśmiechnęła się.

- Wygląda na to, że Bentley był bardzo samotny.

Lady de Vendenheim wzruszyła ramionami.

- Cóż, był małym cieniem ojca - przyznała. - Nie  
żeby był specjalnie zdrowy. Była pani Naffles i ja. I to  
naprawdę wszyscy.

- Twoja matka nie miała żadnych kobiet w rodzi-  
nie?

Hrabina pokręciła głową.

- Tylko siostrę, Agnes Belmont - odparła. - Ale  
ciotka Belmont nie miała serca dla biednych krew-  
nych.

*Belmont.* Czemu to nazwisko wydało jej się znajo-  
me? Frederica uśmiechnęła się.

- Bentley mówi, że duch Johna Camdena straszy  
w Chalcote - powiedziała. - Czy ludzie naprawdę  
w to wierzą?

Lady de Vendenheim znowu tajemniczo się  
uśmiechnęła.

- Och, niektórzy tak - przyznała. - Dziadek po-  
straszył tym, kiedy dzielił ziemię pomiędzy mamę  
a ciotkę Belmont. Ich dzieci miały się pobrać i zjed-  
noczyć Chalcote i Bellevue, żeby jego duch mógł  
spocząć w pokoju.

Nagle Frederica pojęła. *Bellevue. Belmont.* Czy Jo-  
an była tą dziewczyną, którą i lord Treyhern, i Ben-  
tley chcieli poślubić? Dobry Boże! Queenie mówiła

coś takiego, ale Frederica jej nie słuchała. Musiała  
znieruchomieć, ponieważ lady de Vendenheim poło-  
żyła dłoń na jej ręce.

- Pewnie słyszałaś jakieś plotki o tym, że Bentley  
był zakochany w Joan. Nie ma w tym nic z prawdy,  
moja droga. Nic nie uratuje dwóch braci, warczących  
na siebie niczym kundle z powodu kości, której ża-  
den z nich tak naprawdę nie chce.

- Tak, rozumiem. - Jednak myśl o mężu, który  
chciał ożenić się z Joan, niepokoiła ją. Rozpaczliwie  
zaczęła poszukiwać innego tematu do rozmowy. -  
A gdzie leży twój ojciec, milady? Czy również jest tu-  
taj pochowany?

- Rany, mów do mnie Catherine! - powiedziała. -  
Tak, leży tutaj, tuż za grobem matki.

Frederica zwróciła uwagę na napis.

- O Boże - wymruczała. - Również zmarł dość  
młodo. Czy był chorowity?

- O nie. Był w szczycie formy, zważywszy trzydzieści  
lat picia, grania w karty i chodzenia na dziwki. W koń-  
cu każdego dopada. Ojciec zmarł na atak serca będąc  
w sytuacji *in flagranti* z byłą guwernantką Ariane - Ca-  
therine z rezygnacją machnęła ręką. - Nie było to rów-  
nież wyciszane. Ojciec więc zmarł tak, jak żył, będąc  
na ustach całego Gloucestershire i połowy Anglii.

Mówiła o swoim ojcu niemal bez emocji, podob-  
nie jak robił to Bentley.

- Czyje są te nowsze groby? - spytała Frederica,  
zmieniając temat rozmowy. - Te na końcu z napisem  
O'Gavin. Czy należą do kolejnego rzędu?

- Nie. - Catherine zeszywniała. - To jest... to Ma-  
ry. Kobieta, z którą Bentley miał pewnego rodzaju  
związek. Kiedy był bardzo młody. Krótka znajomość,  
i coś... i dziecko. Bridget. Leży tutaj wraz ze swoją  
matką.

Frederica poczuła się, jakby z jej płuc wyssano powietrze.

- Och... rozumiem - udało jej się wydobyć z siebie. - Nie zauważyłabym, ale nazwiska...

- Tak, były Irlandkami - Catherine przerwała dziwną ciszę. - Mary była z St. Giles, nędznego, parszywego miejsca. Domyślam się jednak, że mój brat ją lubił. A może tylko było mu jej żal? Z Bentleyem to nigdy nie wiadomo.

Frederica nie wiedziała, co powiedzieć. Siostra Bentleya spoglądała na nią nieco poirytowana.

- Niekiedy - oznajmiła ponuro - mam ochotę go udusić. Nic ci o tym nie mówił, prawda?

Frederica otworzyła szeroko oczy.

- O tak, trochę powiedział.

Hrabina wyglądała na nieco zakłopotaną.

- Cóż, przynajmniej nie zwałił na mnie odpowiedzialności za całą opowieść - wymruczała, zrywając się na nogi. - Naprawdę, szczegóły są dość smutne. Ona była, oczywiście jego... cóż kochanką. To chyba najlepsze określenie. I urodziła dziecko, o czym nie wiedział, bo przebywał daleko w Indiach, jednak oddała dziecko. Do szkoły charytatywnej w Londynie, w dokach.

- Och - odezwała się Frederica, ruszając za nią. - Chyba nie do... sierocińca?

Catherine wyduła wargi.

- To jakby sierociniec - jej głos był przepełniony goryczą. - I oczywiście dziecko zmarło, jak wiele innych, które pozostawiono w tak okropnych warunkach. Nadal nie rozumiem, dlaczego nie zwróciła się do nas albo do któregoś z przyjaciół Bentleya. Ale nigdy nie dowiemy się dlaczego, ponieważ Mary niedługo potem zmarła. Obie pochowano w Londynie w grobach dla biedoty. I kiedy Bentley dowiedział się

o dziecku... wtedy... - wykonała wymowny gest ręką, wskazując na groby.

- Mój Boże, przeniósł ich ciała tutaj? - Frederica niemal nieświadomie położyła dłoń na brzuchu.

Hrabina na moment zamilkła.

- To nieco dziwne, prawda? - wypaliła w końcu. - Mam na myśli to, że Bentley byłby ostatnim człowiekiem na ziemi, który przejmowałby się takimi sprawami. A miał na tym punkcie obsesję. Ale Basil, och! Nie był wcale zadowolony z pomysłu, by pogrzebać katoliczki na cmentarzu świętego Michała. Jednak Bentley nie dał się zbyć i Cam, który ma tutaj ostatnie słowo, zgodził się w końcu, ponieważ Bentley był taki... taki zrozpaczony. Mój Boże, nigdy nie widziałam człowieka tak wściekłego na cały świat. Ani Camma. Nawet mojego męża, który ma charakter niczym diabeł wcielony.

- Chciał jedynie, by o nich pamiętano - zastanowiła się Frederica - i by były w jakiś sposób bezpieczne. Uważam, że to dobrze o nim świadczy - w rzeczywistości historia opowiedziana przez Catherine tylko ją uspokoiła, ponieważ przybliżyła ją ku wytłumaczeniu irracjonalnego strachu Bentleya o to, że zostanie odcięty od życia jego jeszcze nienarodzonego dziecka.

Siostra Bentleya przez chwilę przyglądała się jej z ciekawością.

- Jesteś nadzwyczajną dziewczyną, moja droga. - Zaczęła iść spokojnym krokiem, a na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Frederica zabrała swój bukiet i dotrzymywała jej kroku, ponieważ najwyraźniej hrabina tego oczekiwała.

Dotknęła delikatnie hrabinę w łokieć i Catherine zatrzymała się.

- Wiedziałaś, że zostałam osierocona jako dziecko? - spytała Frederica. - W Portugalii, podczas woj-



ny. Miałam szczęście, że moi angielscy kuzyni chcieli mnie przygarnąć. Być może dlatego doceniam to, co przeżył Bentley.

Catherine wzięła Frederice pod ramię.

- Uważam, że mój brat ma największe szczęście w wyborze żony - powiedziała cicho. - Wyznam, że bardzo się martwiłam, czy aby znowu nie wpakował się w tarapaty. A tymczasem okazuje się, że zrobił chyba dokładnie coś przeciwnego

- Dziękuję ci. - Frederica zarumieniła się ze szczęścia.

Catherine pochyliła się, by zmieść zeschnięte liście z podstawy grobowca.

- Okropne byłoby zostać pochowanym w miejscu, gdzie nikt nie przyjdzie opłakiwać twego odejścia, prawda? - wyszeptła

- Nie chciałabym tego - przyznała jej rację Frederica

Catherine zatrzymała się raptownie i chwila intymności, jaka narodziła się między nimi, rozpułyła się.

- To niezwykle bukiety - powiedziała. - Przyniósł je tutaj specjalnie dla kogoś?

- Nie mogłabym przyznać się do takiej bezmyślności - przyznała Frederica. - Dostałam je od Gervaisa i Madeleine. Uważam, że powinnam zostawić je tutaj, na grobie ich babci. Dzisiaj to w jakiś sposób wydaje się na miejscu.

Catherine uśmiechnęła się, a Frederica zdała sobie sprawę z tego, że bardzo polubiła siostrę Bentleya.

- Cóż, Frederico - rzekła Catherine z werwą. - Czy mogę zabrać cię z powrotem? Cam mnie oczekuje. Mój powóz stoi tuż za bramą.

Frederica nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Przyjechałaś sama z tak daleka?

- Zawsze tak robię - roześmiała się hrabina. - Powożę dość ostro. A dziś mam zaprzęgniętą parę siwków, które kupiliśmy w zeszłym tygodniu w Tatterstall. Obiecuję jednak, że nas nie wywrócę.

Frederica chciała jednak trochę pospacerować.

- Dziękuję, ale chciałabym pójść na chwilę do kościoła - powiedziała. - Cieszę się, że cię poznałam.

Catherine ucałowała ją lekko w policzek, potem nasunęła na głowę kaptur i żwawym krokiem ruszyła ku bramie. Frederica położyła kwiaty obok bukietu Catherine i zeszła zielonym zboczem w kierunku kościoła.

Kościół świętego Michała był piękną, starą budowlą i pochodził częściowo najwyraźniej z czasów saksońskich. Z tamtego okresu pochodziły też drzwi, które wyglądały na nieco zardzewiałe i stały otworem; ich dolna framuga opierała się na kolumniarkach, spęczniałych od nocnego deszczu. Obcasy półbutów Freddie zastukotały cicho, kiedy ruszyła schodami do środka. Kościół o tej porze był opustoszały i pogrążony w półmroku, promienie słońca ledwie wpadały do wewnątrz przez witrażowe okna. Frederica nie podeszła do ławek rodziny, znajdujących się przy ołtarzu, ale zatrzymała się z tyłu i wsunęła na siedzenie tuż przy jednym z wielkich normańskich łuków. Ledwie zdążyła poprawić suknię, kiedy z góry usłyszała jakieś odgłosy.

Z ciekawością wygięła szyję, rozglądając się po strzelistym sklepieniu. Najprawdopodobniej był to Basil albo Joan. Zerknęła za kamienną kolumnę i dostrzegła brązową suknię kobiety. Kiedy jednak jej oczom ukazał się jakiś mężczyzna, zdała sobie sprawę, że nie jest to pastor. To był jej mąż. Jego szerokie ramiona niemal całkowicie zasłaniały wejście

na chór. Na jednym ramieniu miał przerzuconą brudną i powiazaną linę. Na dole zatrzymał się i uniósł wolną rękę, by podać ją kobiecie.

Joan i Bentley? Na chwilę przystanęli w drzwiach, ich spojrzenia spoczęły na sobie. Frederica wiedziała, że powinna zdradzić swą obecność, ale zamiast tego patrzyła, jak Joan unosi dłoń i kładzie ją delikatnie na sercu Bentleya.

Był to intymny gest, gest pomiędzy przyjaciółmi, pomiędzy kuzynami. To wszystko.

- Jesteś pewien, Bentley? - Szept Joan przeleciał po kaplicy.

- Jestem pewien - odparł łagodnie. - Zrób to jak najszybciej i niech Frederica nic się nie domyśli.

- Uważam, że powinienes jej powiedzieć, Bentley - rzekła cicho. - Zrób, co jest najlepsze dla waszego małżeństwa, nie co jest najlepsze dla mnie.

- Och, Joan, musimy dalej o tym mówić? - W jego głosie nagle pojawiła się nutka żalu. - Nie obrażam siebie, byśmy mieli być aż tak rozdzieleni. Chyba dopiero dzisiaj dotarło to do mnie tak naprawdę.

- Już za tobą tęsknię - odparła. - Bardziej, niż mogłabym się spodziewać.

Bentley uniósł jej dłoń do ust.

- Tyle nas łączy - powiedziała. - Niektóre z tych rzeczy nie nadają się dla delikatnych uszu dobrze wychowanych pańienek, jestem pewien.

- Dobry Boże, a dla ciebie to było bardziej niestosowne? - wyszeptwała Joan. - Dlaczego zawsze musisz się zachowywać tak, jakbyś prosił o wybaczenie?

- Bo jest wiele rzeczy, które trzeba by było mi przebaczyć - rzekł, ruszając w kierunku drzwi. - Zawsze wiedziałem co robię, Joan.

- Czyżby? - zatrzymał się, słysząc napiętą strunę w jej tonie. - Były chwile, gwarantuję ci, kiedy nie wiedziałeś. A co do Frederiki, niezależnie od tego, w jaki sposób do tego doszło, jest teraz twoją żoną. Jesteś z nią związany w oczach Boga i tego nie da się cofnąć. Jeśli potrzebujesz przebaczenia, ją musisz o to poprosić.

Bentley odwrócił się, Joan nadal stała w drzwiach, a szare stopnie niknęły w cieniach za jej plecami.

- Jest kilka rzeczy gorszych od prawdomówności, Joan - wydyszał. - I kilka rzeczy bardziej trujących niż niedopowiedziane prawdy. Wydaje mi się, że prawda jest luksusem, na który mnie nie stać. - Z tymi słowami obrócił się i ruszył przed siebie, a zwój liny na jego ramieniu się zakołysał.

Joan oderwała się od schodów.

- Przepraszam, Bentley - rzekła. - Dziękuję, że zgodziłeś się wspiąć i wymienić sznur. Dziękuję.

Zatrzymał się i schylił głowę, ale nie obejrzał się za siebie.

- To żadne wielkie zadanie wymienić cholerny sznur, Joan - rzekł ponuro. - Jutro albo pojutrze pośle parę mężczyzn, by wymienili drzwi. Poprawią je tak, żeby się zamykały, kiedy pada deszcz.

Joan stała ze złożonymi rękoma.

- Byłabym wdzięczna.

Nie mówiąc nic więcej, Bentley wyślizgnął się przez drzwi. Joan odwróciła się i zniknęła za kotarami zasłaniającymi wejście do zakrystii.

## Rozdział 16

### *W którym signora Castelli wykłada karty na stół*

Tego wieczoru rodzina udała się na kolację do posiadłości Catherine, Aldhampton Manor. Catherine upierała się, by przyjechali wszyscy, razem z dziećmi, które miały spożywać posiłek w pokoju dzieciennym razem z Armandem i Anais. Frederica miała podróżować w pierwszym powozie wraz ze swym mężem. Jednak jeszcze na dziedzińcu Chalcote mała Madeleine chwyciła rączkami kolana Bentleya i nie chciała się oderwać, aż Bentley śmiejąc się, pochylił się i wziął ją na ręce. W tym samym czasie Gervais wspiął się do powozu i zajął miejsce obok Frederiki. W ten sposób cała czwórka pojechała razem, a reszta gości podażyła za nimi.

Gervais wziął ze sobą grę podróżną, którą szybko otworzył. Było to domino. Wkrótce okazało się, że bardzo chciał zagrać partyjkę z wujkiem. Madeleine, która siedziała na kolanach Bentleya, wyduła dolną wargę.

- Ja też chcę grać - powiedziała, wyciągając rączkę i chwytając garść wykonanych z kości słoniowej prostokącików.

Gervais, z całą arogancją starszego brata, wyrwał planszę.

- Nawet nie znasz cyferek, głuptasie! - upierał się.  
- Żeby grać, trzeba umieć liczyć.

W zacięzionym powozie Madeleine skryła twarzą w koszuli Bentleya, przyciskając w złości małą piąstkę do zwojów jego fulara.

- Nie jestem głuptasem - powiedziała. - Nie jestem.

- Nie, słoneczko, ani trochę nie jesteś - Bentley pocałował ją delikatnie w skroń, nie zwracając uwagi na to, że dziewczynka niszczy idealnie zawiązany fular. Piąstka Madeleine, zwinięta na jego piersi, zdawała się nie większa od jego kciuka.

- Wujku Bentley, powiedz mu, żeby pozwolił mi grać! - poprosiła.

Gervais przybrał upartą minę.

- Ona nie wie jak! - zaprotestował. - Wszystko zniszczy!

- To trudna gra - zgodziła się Frederica, obejmując chłopca ramieniem. - Ale przed nami długa droga. Może Gervais mógłby nauczyć Madeleine, jak grać?

Bentley przytaknął.

- Diabelsko trudna - zgodził się z udawaną powagą. - Ale śmiem twierdzić, że Madeleine mogłaby mnie ograć. W końcu kiedyś wziąłem dwójkę za trójkę w trakcie zażartej gry „Pod Psem Grającym na Skrzypcach”. Zastawiłem konia i buty i musiałem wracać do domu w skarpetkach!

Znad jego piersi wyrwał się dziewczęcy śmiech.

- Psy nie grają na skrzypcach - odezwała się Madeleine, w końcu unosząc głowę i pokazując twarz.

Bentley uniósł brwi.

- Tak właśnie myślałem! - przyznał, uśmiechając się do niej. - Ale mimo to przegrałem zakład również i o to, nie całego konia, tylko dwie gwinee, bo w Londynie jest taki pies!

Gervais otworzył szeroko oczy i poderwał się z siedzenia.

- Prawdziwy? Żywy?

- Ach, cóż, już nie - Bentley zrobił smutną minę.

- Biedny kundel wpadł pod dylizans pocztowy, pędzący wzdłuż High Holborn. Ale wypchano go i ustawiono na tylnych łapach na stoliku. I gra na małych skrzypcach, takich długich... - W tym miejscu Bentley wyprostował rękę, którą obejmował Madeleine i pokazał długość. - Trzyma je pod brodą. Patrzył na mnie, jakby wiedział, co robi.

- Chcę go zobaczyć - rzekł Gervais, zapominając o sprzeczce z siostrą. - Wujku Bentley, zabierz mnie, proszę, do Londynu i pokaż mi psa, który gra na skrzypcach.

W tym samym momencie Madeleine dołączyła się do tej prośby.

- Ja też! Ja też chcę jechać!

Na twarzy Bentleya pojawił się wyraz lekkiego zmieszania.

- Cóż, nie jest to chyba miejsce, gdzie wasza mama by was puściła.

- Czemu? - spojrzał na niego poważnie Gervais. - To podła speluna?

Bentley odchylił się w udawanym przerażeniu.

- Co?

Freddie pochyliła się do przodu.

- Powiedział chyba: podła speluna - powtórzyła Freddie, wyraźnie wymawiając każde słowo. - Ale z pewnością ty nie znasz w ogóle takich miejsc, mój drogi?

- O nie, on wie o nich wszystko - uświadomił ją niewinnie Gervais. - Tata mówi, że wujka Bentleya zawsze można tam znaleźć. A barmanka siedzi mu na kolanach. Słyszałam, jak mówił mamie.

- Tylko jedna? - uśmiechnęła się Freddie. - Mój drogi, w ten sposób nie podtrzymasz swojej podłej reputacji. Masz przecież dwa kolana!

Bentley spojrzał groźnie na Gervaisa.

- Chcesz grać w domino, Ger, czy masz zamiar kłapać buzią przez całą drogę? - zapytał. - Szczerze mówiąc, uważam, że boisz się porażki.

- Grajmy! Grajmy! - Madeleine zaczęła podskakiwać na kolanach Bentleya. Chwyliła za planszę, ale Bentley odsunął pulchną rączkę dziewczynki.

- Wiem, co zrobimy - odezwała się Frederica, chwytając rączkę dziewczynki i ściskając ją w pocieszającym geście. - Zrobimy rozgrywki drużynowe.

- Co to jest? - Gervais wyglądał sceptycznie.

Bentley niewinnie wzruszył ramionami.

- Och, domino drużynowe to ciężki sport - rzekł poważnym tonem. - Uprawiają go tylko najwytrwalsi gracze w najciemniejszych i najpodlejszych spelunach. Wybierzemy drużyny i po kolei będziemy losować i układać domino. Ger, uważam, że powinienes wziąć do drużyny cicię Freddie. To bardzo wytrawny gracz!

- Och, rzeczywiście! - wymruczała suchym tonem Frederica. - Bywałam w wielu podłych spelunach w moich szczenięcych latach.

Gervais spojrzał na Frederice z niekłamanym podziwem. Madeleine zaczęła klaskać w rączki.

- A ty będziesz w mojej drużynie! - powiedziała, odwracając się, by spojrzeć na wujka. - Bądź w mojej!

Bentley schylił głowę i siarczyście ucałował ją w policzek.

- Oczywiście! - powiedział. - Jak zauważył Ger, zatwardziały gracz nigdy nie gra bez dziewczyny siedzącej na jego kolanach, która przyniesie mu szczęście.

Frederica obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, a Bentley dorzucił:

- A teraz Gervais, stary, połóż klocki domina kropkami do dołu. Niech ciocia Freddie ciągnie jako pierwsza.

Przez następne pół godziny grali w absolutnej zgodzie, Bentley kołysał Madeleine na kolanach i za każdym razem, kiedy sięgała po klocek domina, łagodnie prowadził jej rączkę. Naprawdę miał dobry kontakt z dziećmi. Siostrzenice i bratankowie uwielbiali go, a te kilka tygodni w Chalcote pokazały Frederice, że miał w sobie nieprzebrane wprost pokłady cierpliwości do dzieci. Trudno było uwierzyć, że kiedyś uznała, iż byłby okropnym ojcem.

Chciał jedynie, by jej pewność była równie silna w kwestii tego, że będzie dobrym mężem. Pomimo atmosfery przyjemnego, spokojnego popołudnia, Frederica nie mogła odegnąć od siebie myśli o spotkaniu w kościele, którego była mimowolnym świadkiem tego poranka. Co to wszystko oznaczało?

*Zrób, co jest najlepsze dla twego małżeństwa*, powiedziała Joan.

*Nie wyobrażam sobie, byśmy zostali w ten sposób rozdzieleni*, powiedział Bentley.

Brzmiało to niemal jak rozstanie kochanków. A mimo to była pewna, że prawda jest inna. Owszem, przynajmniej do czasów małżeństwa, Bentley był kobieciarzem. Ale nawet jego własna siostra nie wierzyła, by był zakochany w Joan. Frederica uniosła oczy i raz jeszcze spojrzała na twarz męża.

Madeleine siedziała na jego kolanach, jej kasztanowa czupryna kryła się pod jego brodą, a jedna stopa wybijała na jego nodze rytm, który tylko dzieci są w stanie słyszeć. Nawet jeśli to go bolało, nie dał nic po sobie znać. Objął ramieniem dziewczynkę w pół

i razem grali dalej w domino, na głos licząc ilość kropek na klockach. Rzeczywiście, mógłby być dobrym ojcem. Zdając sobie sprawę z tak oczywistej rzeczy, Frederica poczuła, jakby ręka Opatrzności zdjęła jeden z ciężarów leżących jej na sercu.

Dziewczyna uśmiechnęła się i zmierzwiła miękką czuprynę Gervaisa.

- Sądzę - rzekła, stukając lekko palcem w jeden z klocków domina - że złoimy im skórę, jeśli teraz zagramy tym.

Kiedy dotarli do Aldhampton, Bentleya natychmiast obiegły kolejne dzieci. Lord i lady de Vendenheim mieli bliźniaki, mniej więcej rok młodsze niż Madeleine, które najwyraźniej uwielbiały swego wujka. Anais i Armand były pełnymi życia dziećmi, miały miękkie, czarne włoski, ciemne oczy i oliwkową cerę, zupełnie jak Frederica. Wystarczyło, że na nie spojrzała, a już poczuła się jak w domu.

Ze zdziwieniem dowiedziała się, że spodziewana jest także babka lorda de Vendenheima ze swoją kuzynką. Goście zostali sobie przedstawieni, a w salonie zaczęto rozdawać kieliszki z winem. Bentley, tłumacząc się pospiesznie, udał się baraszkować na dywanie z Madeleine i bliźniakami. Nikomu w rodzinie nie przeszkadzały piski, śmiechy i łomot, kiedy Bentley na czworakach galopował po pokoju. Catherine podniosła się raz czy drugi, by usunąć z ich drogi jakiś wazon lub inną delikatną ozdobę, ale przez resztę czasu pozostawała całkowicie nonszalancka.

Gervais, który był już ponad takie dziecięce zabawy, podszedł natychmiast do swego ojca, by opowie-

dzieć mu historie związane z grą w domino. Wkrótce rozmowy dorosłych skierowały się ku tematowi jeżdżenia i wina. Dopiero wtedy Frederica zdała sobie sprawę, że przybyli tam na prawdziwą ucztę. Babka Maksa i kuzynka przywiozły z Londynu własnego szefa kuchni. Obie panie pochodziły z północy Włoch i wielką wagę przywiązywały do posiłków.

Wkrótce Frederica zorientowała się, że starsza signora Castelli jest drobną, siwowłosą tyranką; jej kuzynka i towarzyszką, pani Vittorio, była młodsza, pulchniejsza i pełna humoru. Kiedy *signora* mierzyła wzrokiem postać Frederiki, w jej delikatnych palcach drżała wykończona złotą kulką laska. Pani Vittorio opisała kulinarne delicje, które zaplanowała na kolację. Catherine, ze swym zwykłym, tajemniczym uśmiechem zdawała się ochoczo oddawać swą pozycję w domu, którą teraz zawłaszczyły obie panie.

Wkrótce kolana Bentleya zmęczyły się i wszystkie dzieci, z wyjątkiem Ariane, udały się do bawialni, wśród wielkiego zgiełku wokół pary koników na biegunach, które signora Castelli przywiozła z Londynu. Rozległ się gong wzywający na posiłek, i jak zwykle to miało miejsce w Chalcote, lord Treyhern poprowadził Frederice do stołu. Dziewczyna była w głębi ducha rozczarowana, ponieważ miała nadzieję, że posadzą ją obok lorda de Vendenheima, mężczyzny, który wydał jej się niezwykle fascynujący.

Obserwowała go, kiedy rodzina zaczęła sadowić się przy stole. Hrabia był najwyższym mężczyzną w towarzystwie, miał lekko przygarbione ramiona i ręce, które wydawały się jednocześnie szczupłe i silne. Miał kruczoczarne włosy i ciemne oczy, a na najmniejszym palcu prawej dłoni nosił szmaragd wielkości półpensówki, ale na jego ręce nie wyglądał on na aż tak olbrzymi. De Vendenheim miał

również oliwkową cerę, ale był o wiele ciemniejszy niż jego dzieci. Miał wydatny, orli nos i pociągłą twarz. Jego długie włosy były ściągnięte z tyłu głowy. Lord Treyhern ubrany był wygodnie, jak to na wsi, Bentley nosił się z pieczołowicie wystudiowaną swobodą natomiast mąż Catherine ubrany był cały na czarno.

Pomimo francuskiego tytułu, de Vendenheim mówił z akcentem, który z całą pewnością nie był pochodzenia francuskiego. Mogło być nim nieco z niemieckiego lub włoskiego, ale nawet Frederica, która bywała w świecie, nie potrafiła tego z całą pewnością stwierdzić. Jednak niezależnie od tego, skąd pochodził, nie wyglądał na człowieka, z którym można igrzać. Helene siedziała obok niego i najwyraźniej byli parą starych przyjaciół. Wkrótce wywiązała się między nimi rozmowa na temat nowej odmiany pleśni, która nawiedziła winnice w ojczyźnie Helene.

Lord Treyhern pochylił się w stronę Frederiki.

- Być może nie wiedziałas, że mąż Catherine zajmuje się winiarstwem - powiedział. - Albo raczej powinienem powiedzieć, że jego babka się tym zajmuje. Max ma zwyczaj tego nie dostrzegać.

- Och - odezwała się zmieszana Frederica. - Myślałam, że Bentley mówił coś o tym, że jest powiązany z policją.

- Tak, to też - przytaknął Treyhern. - I nawet jest w tym dość bezlitosny, jeśli wierzyć temu, co się mówi.

Oczy Frederiki otworzyły się szeroko.

- On chyba nadal nie...

Treyhern wyglądał nieco ponuro. Wtedy jednak weszło dwóch lokajów; jeden z nich niósł półmiski z sałatkami, a drugi nalewał z kryształowej misy.

Helene skinęła głową i jej talerz został napełniony po brzegi.

- Wygląda przepysznie - odezwała się, nabierając potrawę widelcem. - Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, pani Vittorio, jak nazywają się te zielone?

- *Spinacio* - wtrąciła się *signora*, wpatrując się przez odległość stołu prosto we Frederice.

- *Si* - przytaknęła pani Vittorio i machnęła dłonią. - Szpinak. Bardzo młody. Bardzo miękki.

Ostatni lokaj dotarł do miejsca Frederiki. Napełnił jej talerz i zaczął odchodzić. Ale *signora* pstryknęła w jego stronę palcami.

- Więcej! - zażądała, wskazując na Frederice. - *Subitol*

Lokaj nie zatrzymał się ani na ułamek sekundy, dopóki nie nałożył dodatkki na talerz Frederiki. Starsza pani chwyciła widelec i wsunęła go w pełen po brzegi talerz.

- Jedz, *cañssima* - poleciła suchym głosem. - Jest ci to potrzebne.

Frederica jadła. Starsza pani rzeczywiście weszła do jadalni podparta na lasce, lecz dziewczyna doskonale wszystko widziała. Nie wątpiła, że gdyby ktoś sprawił nieprzyjemność starszej pani, ta z wielką radością chwyciłaby delikwenta i energicznie złoila mu skórę.

Reszta posiłku przebiegła w ten sam sposób, *signora* decydowała, ile i co będzie jadła Frederica i nikt przy stole nie mógł z tym dyskutować, jakby istniała gdzieś niepisana umowa, żeby sprawić tym przyjemność starszej pani. Samo jedzenie jednak nie było wyzwaniem. Każde danie było przepyszne. Wkrótce jednak uczta skończyła się, rozmowy ucichły i panie wstały od stołu. *Signora* wzięła laskę i solidnie stuknęła nią w podłogę. Wszystkie głowy obróciły się w jej stronę.

Wpatrywała się w de Vendenheima.

- Napijesz się porto, mój wnuku, w sąsiednim pokoju - powiedziała i nie była to prośba.

W kąciку ust hrabiego zaigrał nieśmiały uśmiezek.

- Oczywiście, *madame*, skoro masz takie życzenie.

Starsza pani nie pokusiła się, by mu odpowiedzieć ale odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. De Vendenheim dał znak lokajowi, aby zaniósł karafkę i kieliszki do sąsiedniego pokoju, a Bentley poderwał się, by otworzyć drzwi przed *signora*.

Starsza pani zatrzymała się jednak w progu, przystawiła czubek łaski do jego stopy i pochyliła się ku niemu.

- *Il Cavaliere di Dischi* - wyszeptwała. - Znowu się spotykamy i mamy nieskończoną sprawę, *sil*

Bentley rzucił jej jeden ze swych najbardziej zniewalających uśmiechów.

- Jakiego rodzaju, *madame*?

Starsza pani zmrużyła jedno oko.

- Chodź do biblioteki - wydyszała. - Pragnę pomówić z tobą na osobności. Weź swoje porto, jeśli chcesz. W rzeczy samej sugeruję ci z całej duszy, że lepiej będzie, jeśli je weźmiesz.

Dziesięć minut później Bentley siedł w stronę spowitej w półmroku biblioteki, niosąc w dłoni kieliszek porto. Do diabła, pomyślał, kiedy wzrok przyzwyczaił mu się do światła. - W jaki u licha sposób dałem się w to wciągnąć?

*Signora* już na niego czekała, oszalała winna wiedźma z piekła rodem, oczekująca na ofiarę niczym czarna wdowa. *Signora* Castelli była mu znana. Bentley miał okazję spotkać się już raz czy dwa z tą straszłą kobietą, ale niech go diabli, jeśli teraz wiedział, o co mogło jej chodzić.

*Signora* siedziała sztywno wyprostowana przy małym stoliku, ubrana jak zwykle w czarny jedwab; na szyi miała zawieszony złoty krucyfiks, a w uszach rubiny wielkości malin.

- Podejdź bliżej, *cavaliere* - miała łagodny, chrapliwy głos. - Jestem stara i wzrok mam coraz słabszy. Ale taki piękny mężczyzna jak ty, ach! Nawet ja mogę chcieć ci się przyjrzeć z bliska, prawda?

- Staram się usilnie sprawiać przyjemność damom - odparł swobodnym tonem.

Na te słowa starsza pani poruszyła się.

- *Si*, tak, to prawda - zgodziła się. - To połowa twojego problemu.

Bentley roześmiał się i przeszedł przez pokój do stolika stojącego w pobliżu paleniska. Na kominu palił się niewielki ogień, ale rzucał na pokój zbyt mało światła. *Signora* spojrzała na niego, połowa jej twarzy była oświetlona płomieniem, druga spowita cieniem. Światło tańczyło na jej rysach. Nagle kobieta wzięła ze stołu zwój czarnego materiału, unosząc go odsłoniła talię kart, bardzo starą i podniszczoną.

- Och, nie - rzekł Bentley, odsuwając do tyłu krzesło. - Nie, *signora*. Masz dziś przy stoliku nie tego mężczyznę, co trzeba. Nie mam ochoty zaglądać do swojej przyszłości.

Starsza pani lekko się uśmiechnęła.

- *Si*, ponieważ się jej boisz, *cavaliere* - rzekła, wstając z krzesła i podchodząc do ognia. - Wszyscy się boimy, ci, którzy są mądrzy.

Bentley wstał.

- Doprawdy, *signora Castelli* - powiedział. - Doceniam ten gest. Ale rzadko oskarża się mnie o to, że jestem mądry, i zdecydowanie wolę, by życie mnie zaskakiwało.

Na te słowa starsza pani zwróciła się do niego z ponurym wyrazem twarzy.

- Twoja żona jest w trzecim miesiącu ciąży, *cavaliere* - wypaliła. - Nie wszystko w waszym małżeństwie układa się tak, jak należy. I wydaje mi się, że w swoim życiu miałeś już wystarczająco dużo niespodzianek.

Bentley poczuł, jak serce mu zamiera. Jak zwykle, *signora* wiedziała o rzeczach, które jej w najmniejszym stopniu nie dotyczyły. Chociaż stanu jego małżeństwa z łatwością można się było domyślić, stan jego żony nie był sprawą publicznie wiadomą. Cóż jeszcze, zastanowił się, może podejrzewać ta kobieta? Odkrył, iż w jej obecności zaczyna się czuć dość niewygodnie.

To tylko ekscentryczna starsza pani, przypomniał sobie. Cam powiedział Catherine o stanie Freddie, a Catherine z całą pewnością powiedziała jej. To wszystko. Patrzył, jak kobieta przystanąła przy kominku; była wąska w ramionach, plecy miała przygarbione.

- Może pójdziesz do salonu i powrózysz nieco damom, *madame*? - zasugerował. - Jestem przekonany, że dla Helene byłoby to wielce zajmujące.

Starsza pani rzuciła mu ostatnie, zniesmaczone spojrzenie przez ramię, wyjęła z kieszeni zwitek papieru i wysypała zawartość do ognia. Oparta o komin, pochyliła się w stronę paleniska tak bardzo, aż Bentley się przestraszył, że zaraz tam wpadnie. Zarzące się węgle zaczęły skwierczeć i podskakiwać. Dym zrobił się biały, zaczął wić się spiralnie niczym wąż i uciekać w stronę szybra. *Signora Castelli* pochyliła się jeszcze niżej i wrzuciła całą talię kart prosto w dym.

Bentley natychmiast zerwał się z krzesła.



- Dobry Boże, *signora!* - chwycił ją szybko w pasie i złapał za rękę. - Uważaj, co robisz!

Starsza pani roześmiała się z niego i zakołysała się na piętach. Bentley zacisnął dłoń na jej nadgarstku i zaczął wykręcać jej ramię. Co dziwne, nawet na czarnej koronce jej mankietu nie było żadnego śladu.

- Co, czy widzisz jakieś poparzenia, *cavalierel!* - zatrajkotała. - Nie, sądziłam, że nie.

Bentley puścił jej dłoń i łagodnie dotknął jej łokcia.

- Miałaś szczęście, *signora* - powiedział, prowadząc ją do krzesła. - Co, do diabła, miałaś zamiar zrobić?

*Signora* usiadła z powrotem z wielkim wysiłkiem.

- Karty należy oczyścić - wyszeptła, rzucając spojrzenie przez ramię. - Tylko w ten sposób wizja będzie dokładna.

Bentley powrócił na krzesło.

- Z całym należnym szacunkiem, *signora*, to wszystko brzmi dla mnie, jak stek bzdur.

*Signora Castelli* wyciągnęła w jego stronę kościsty palec.

- Masz wokół siebie wystarczająco dużo zła - ostrzegła go. - Nie musisz doszukiwać się więcej w żadnych wróżbach. - Mówiąc to, rozdzieliła talię na dwie części. - Dotknij kart, *por favore*. Weź je, przetasuj i pomyśl o czymś niewidzialnym.

Bentley mrugnął do niej okiem.

- *Signora*, najwięcej szczęścia mam w kartach, kiedy tasuje je jakaś ślicznotka. Może ty je przetasujesz?

Starsza pani wydała z siebie dźwięk, jakby chciała go zbesztać.

- Jesteś takim tchórzem! - stwierdziła. - Śliczny angielski tchórz, który boi się *ii tarocchi*. Zrób to! *Subitol* Pomyśl o żonie i dziecku.

Bentley pochylił się do połowy nad stołem, opierając się na łokciu.

- Powiem ci, *signora*. Nie wiem, do licha, w jaki sposób Max radzi sobie z tobą i twoimi rządami - rzekł z uśmiechem. - Nie ujmując oczywiście nic twojej urodzie i urokowi osobistemu.

Jednak jej oczy, a przynajmniej jedno, oświetlone płomieniem ognia, rozkazywały mu.

- Zrób to! - syknęła. - A potem przełoż trzykrotnie w lewo lewą ręką.

Później Bentley nie potrafił wytłumaczyć, co go opętało, ale stało się tak, jakby przez ten krótki moment jego palce należały do kogoś innego. Następną rzeczą, jaką pamiętał, było tasowanie tych cholernych kart. A potem przekładanie lewą ręką na lewą stronę.

- Proszę! - warknął, kiedy skończył.

Starsza pani zebrała jeszcze raz karty, tasując je niesłychanie gibkimi palcami. W profesjonalny sposób rozłożyła dwa rzędy po dziesięć kart i krzyż z sześciu kart. Bentley obserwował to, lekko zaciekawiony. Widział już, jak się stawia tarota, raz nawet dał sobie powróżyc. Za każdym razem rozkładała karty w inny sposób. Tym razem był on bardzo dziwny.

Czarne oczy rzucały raz za razem spojrzenie na Bentleya, kiedy odwracała górny rząd karta za kartą.

- Patrzymy jedynie na teraźniejszość i przyszłość, *cavalierie* - wyjaśniła. - Przeszłość jest nam znana. Zbyt dobrze, *si?*

Bentley usiłował się odprężyć na krześle.

- Musisz robić, jak uważasz, *madame*.

Starsza pani stęknęła i zaczęła przyglądać się rzędom kart, od czasu do czasu przerywając i stukając palcem w jedną z nich i mruczając coś do siebie pod nosem. Potem powoli zaczęła odwracać dolny rząd; jej twarz stawała się coraz bledsza, a ręka zaczęła się trząść. Do diabła! Bentley miał nadzieję, że

kobieta nie zafunduje sobie zawału serca. De Rohan, lub de Vendenheim, czy jak tam się obecnie zwal, urwałby mu głowę, gdyby jego babcia pożegnała się z jego powodu z tym światem.

- Dziwne, bardzo dziwne - odezwała się *signora*. - Twoja przeszłość miesza się z terażniejszością, niezależnie od tego, czy chcę, czy nie. - Skończyła odkrywać dolny rząd. Bentley zauważył, że niektóre karty leżały odwrócone. Wiedział, że z reguły oznaczało to niedobre wieści. Dziwne, że zapamiętał takie szczegóły. Następnie *signora* zajęła się krzyżem, który ułożyła i odkryła górną kartę, a z jej gardła wydobył się pełen aprobaty dźwięk.

- Ach, *eccellente* - wyszeptała.

Bentley spojrzął na kartę. Była to karta, którą nazywała *ii Cavaliere di Dischi*. Król Pentagramu. Karta była tak wyblakła, że ledwie ją można było odczytać, ale to nie miało znaczenia. Widział ją już wcześniej. Na rysunku widniała postać średniowiecznego wojownika ubranego w czerwoną tunikę i siedzącego na dzikim, białym koniu, którego usiłował opanować. Twarz była niewidoczna, a ciało skryte za potężną tarczą.

Dama postukała w kartę opuszką palca.

- Biały Koń to symbol czystości i prorocstwa - rzekła ponurym tonem - oraz wyższego, lepszego ducha, który chce się uwolnić. Ale czerwony strój jeźdźca, o tak, to i pierwsza karta... - dotknęła karty w górnym rzędzie, Trzech Kielichów. - To mówi nam, że walczysz również z grzechem, panie Rutledge. I że za tą tarczą starasz się skryć swą prawdziwą naturę.

Bentley zdołał się roześmiać.

- Cóż, nic nie wiem o żadnym lepszym duchu, *madame* - odparł. - Ale ta część o grzechu jest niedaleka prawdy.

- Och, *cavaliere*, jesteś tak dzielny i tak lekkomyślny - odwróciła kolejną kartę, Siódmkę Mieczu. - Och, tak... Nieprzemyślane działanie teraz byłoby niebezpieczne - wyszeptała niemal sama do siebie. - Czekasz. Ale ta karta to *sottosopra*...

- Do góry nogami.

- *Si*, dobrze zapamiętałeś - przytaknęła mu, dotykając karty atutowej. - Te dwie razem przedstawiają mężczyznę, kogoś, kto ma władzę. Kogoś, kogo być może się obawiasz? Albo obawiasz się utraty jego szacunku do siebie? *Maledizione*, to nie jest jasne! - szybko odkryła dwie kolejne karty. - Ach, obawiasz się kary boskiej. Wet za wet, jak mawiają Anglicy.

Bentley leniwie obrócił w dłoniach kieliszek.

- Zastanawiające - wymruczał z nonszalancją. - Czy uda mu się przeprowadzić jego nikczemny plan?

Stara kobieta przytaknęła.

- *Si, e probabile*. Ale nie czytam przecież jego kart, prawda?

Bentley poczuł, jak krew krzepnie mu w żyłach. Odstawił kieliszek. Pewna myśl narodziła się w jego głowie, wypierając strach tak dalece, że niemal przestawał weń wierzyć. Z pewnością jednak nie wyobrażał sobie... nie wierzył naprawdę...

- O czymś myślisz teraz, *cavaliere* - szepnęła kobieta tak łagodnie, że musiał wyteńczyć słuch. - Upewnij się. Upewnij się, że rozumiesz istotę grzechu. Uważam, że może tego nie rozumiesz.

Bentley uniósł ponownie kieliszek i wychylił połowę jego zawartości.

- Nie wiem, o czym mówisz, *madame*.

*Signora Castelli* uśmiechnęła się sztywno.

- *Va bene* - powiedziała wzruszając ramionami i dotykając kolejnej z kart. - Ale pragniesz

przed czymś uciec. Widzę to: obrzydliwa rzecz, która niczym kajdanami przykuwa cię do przeszłości.

- Są tysiące rzeczy z mojej przeszłości, od których chciałbym uciec - odparł suchym tonem.

Starsza kobieta wskazała na kartę w górnym rzędzie, kartę szkaradnego mężczyzny stojącego nad misą pełną krwi. - Ta karta mówi mi, że dokonałeś zbędnego poświęcenia. Być może niejednym raz. Widzę poświęcenie, które było fałszywe i wyrzuty sumienia, które są bezużyteczne. Musisz odłożyć tarczę, *cavaliere*, i nie czynić więcej tej ofiary.

Bentley pochylił się nad stołem.

- Jakiego rodzaju ofiary?

*Signora* wskazała kartę leżącą poniżej i pokręciła głową.

- Ach, *caro mio*, tego nie mogę ci powiedzieć.

- Dobry Boże! - wykrzyknął. - Na co więc się to wszystko, do cholery, przydaje?

Uniosła lekko jedną brew.

- Och, teraz masz ochotę poradzić się kart? - rzuciła mu wyzwanie. - Widzisz prawdę, którą można z nich wydobyć? Rzeczy, o których wiemy i jednocześnie ich nie znamy, co?

Bentley poczuł, że zaraz powyrywa sobie wszystkie włosy.

- Przysięgam, że mówisz, *signora*, półsłówkami - warknął.

Starsza kobieta uniosła jedno ramię.

- Życie to właśnie niedopowiedzenia, *cavaliere* - odparła i musnęła palcami kolejną z kart, Szóstkę Mieczy, na której widniał przygarbiony człowiek niosący na plecach ciężką broń. - Jednak w twoim życiu jest wiele zła. Odebrano ci niewinność, a wraz z nią odeszła cała twoja siła życiowa. Twoja radość. I na jakiś czas pozostałeś w złości i zboczyłeś z drogi. To

stało się dla ciebie ciężarem. Sprawilo, że stałeś się niespokojny. *Si*, bardzo niespokojny, jak ktoś, kto nie docenia tego, co ofiarował mu Bóg.

Bentley nie chciał już tego dłużej słuchać.

- Skończmy już z tymi głupotami, signora Castelli - wypalił. - Robi się późno i moja żona potrzebuje odpoczynku.

Starsza pani spojrzała na niego krzywo.

- Wobec tego zabierz żonę do domu, panie Rutledge i dobrze się nią opiekuj - powiedziała, robiąc zamaszty ruch nad stołem. - To ostatecznie mówią nam karty. Teraz każdy twój krok musi być podyktowany dobrem żony, twojej rodziny, skoro nie możesz tego zrobić dla własnego dobra.

Bentley zmełł w ustach kolejne przekleństwo i odsunął krzesło.

- Nie wiem, czemu wszyscy ubzdurali sobie, że biję żonę czy tym podobne rzeczy - warknął, - Opiekuję się nią jak należy. Na tyle dobrze, na ile potrafię.

Na te słowa starsza pani łagodnie się uśmiechnęła.

- Ach, *si*, uważam, że się starasz - przyznała. - Chodź, uspokój się, *cavaliere*. Przepowiem ci przyszłość.

- Słucham?

Starsza pani potrząsnęła głową.

- Wypowiedz na głos pytanie - nalegała. - O coś, co jest bardzo cenne twemu sercu. A karty udzielą ci odpowiedzi. To nie musi być nic ponurego ani tajemniczego.

Do diabła, czemu by nie? Bentley szybko odegnał pierwsze pytanie, które przyszło mu do głowy, i usiłował wymyślić kolejne.

- Dobrze zatem, *signora* - odparł. - Chciałbym wiedzieć, czy moje dziecko to będzie chłopiec czy

dziewczynka. Czy twoje niezwykle karty są w stanie zaryzykować takie wyzwanie?

- Och, *si*, to proste - odparła kobieta, a jej dłoń przesunęła się ku nieodwróconym kartom u dołu krzyża. Odwróciła je i zapadła w dziwne milczenie.

Ta cisza zdenerwowała go.

- I co? - przerwał w końcu.

- Ach, *cavaliere*, nie mogę powiedzieć - wyszeptwała w końcu po chwili, która wydawała mu się wiecznością.

- Do diabła! - wybuchnął Bentley. - Nie możesz czy nie chcesz?

Kobieta powoli pokręciła głową i uniosła ku niemu zaskoczone spojrzenie.

- Nie mogę - odparła cicho. - Nie widzę. Karta nic nie mówi. Jest... bardzo niezwykła. - Starsza pani przycisnęła palce do posiwiałej skroni. - Ach, starsze się, panie Rutledge - powiedziała, przysmykając oczy. - Być może tracę dotyk, *si*? Być może powinniśmy dokończyć to innym razem, kiedy wizja będzie bardziej wyraźna.

- Jak najbardziej. - Bentley, nieco wstrząśnięty, wysączył do końca porto, odstawił kieliszek i wstał na równe nogi.

## Rozdział 17

### *W którym pani Rutledge zaczyna węszyć*

Następnego ranka Frederica zeszła do jadalni, gdzie zastała Helene i Ariane kończące śniadanie. Pano wie wyruszyli już do codziennych obowiązków: Cam udał się do Bellevue na spotkanie z Basilem w sprawach parafii, Bentley pojechał do świętego Michała z paroma krzepkimi mężczyznami, aby zdjąć uszkodzone drzwi. Frederica napełniła półmisek, ale skubała jedzenie bez entuzjizmu.

Nagle jej wzrok przyciągnął jakiś ruch za oknem. Spojrzała w górę i zobaczyła, jak malarze ładują rusztowania na stojący na dziedzińcu wóz.

- Patrz! - rzekła Ariane, zdejmując serwetkę. - Skończyli już malować stare pokoje mamy.

Helene podeszła do stolika, aby nalać sobie kolejną filiżankę kawy.

- W rzeczy samej - odparła. - Zostały jedynie zasłony do powieszenia. Frederico, nadal uważam, że powinniście tam zamieszkać razem z Bentleyem.

Frederica uniosła niepewny wzrok.

- W apartamencie ogrodowym?

- Tak - uśmiechnęła się Helene. - Pójdziemy zobaczyć?

Pokoje po odremontowaniu rzeczywiście wyglądały wspaniale, co kilka minut później Frederica musiała przyznać. Weszły tam przez salon, który łączył dwie sypialnie. W tym pokoju wiele się zmieniło. Popękane, źle wytapetowane ściany zostały zagipsowane i pomalowane na ciepłe odcienie żółtego. Dębowy parkiet został wypolerowany do delikatnego połysku, a dyskretne rozety jakobińskiego sufitu zostały pieczołowicie odrestaurowane.

- Och, Helene tu jest naprawdę pięknie! - zachwyciła się Frederica.

Helene podeszła do okna, trzymając w ręku zwój próbek materiałów na zasłony.

- Tak, ale potrzebny będzie jakiś kontrast w dekoracji okien, nie sądzisz? - zastanowiła się, przyglądając się skrawkom tkanin.

Właśnie wtedy w drzwiach stanęła jedna ze służących, cała czerwona na twarzy.

- Och, przepraszam panie - rzekła usiłując zaczerpnąć tchu. - Pani Naffles prosi, aby zechciała pani zejść na dół do kuchni rzucić okiem na pieczeń, która właśnie jest na ruszcie. Pani Naffles uważa, że pieczeń jest zbyt chuda i nie nadaje się na kolację.

- Och, jestem pewna, że jest w porządku. - Helene odłożyła próbki tkanin na stolik i spojrzała na Ariane. - A może będziecie we dwie wybrały materiał do sypialni pani?

Ariane chwyciła dwa wierzchnie kawałki.

- Te mi się podobają - powiedziała, kiedy jej macocha zniknęła za drzwiami. - Chodźmy zobaczyć, Freddie.

Frederica ostrożnie otworzyła drzwi i weszła do środka z pewną dozą nieśmiałości, ale i z ciekawością. Nie mogła wygnać z pamięci wspomnienia z ostatniej tutaj wizyty, kiedy ujrzała na twarzy Ben-

tleya wyraz pełen przerażenia. Teraz zapach farby całkowicie przytłumił aromat lilii. Stare, połyskliwe, perkalowe zasłony, zdjęte z okien, leżały na podłodze koło łóżka. Ściany wytapetowano na nowo jasno-niebieskim jedwabiem, a w kącie leżał, częściowo rozwinięty, dywan z Axminster w niebieskich i żółtych barwach.

Ariane rozejrzała się po ścianach, a potem spojrzała na materiały, jeden żakardowy w kolorze róży, a drugi w paski czerwone i koloru kości słoniowej.

- Na tyle by się zdały! - rzekła, rzucając je w powietrze. Padła na łóżko, które całe aż się zatrzęsło. - Tak czy inaczej, Freddie, ty powinnaś wybrać kolor. To w końcu ma być twój nowy pokój, no nie?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Freddie, przechadzając się po pokoju. - Nie miałybyś nic przeciw temu?

Ariane uniosła głowę i spojrzała obojętnym wzrokiem na Frederice.

- Och, nie. Dłaczego miałyby mieć coś przeciwko temu?

Frederica odwróciła wzrok.

- Słyszałam, jak mówiłaś, że to były pokoje twojej matki.

- Ach, tak - odparła Ariane. - Ale wprowadź się tu, Freddie, jeśli ci się podobają.

- Nie jestem pewna, czy Bentley chce wyprowadzić się ze swojej starej sypialni - wymruczała Frederica, gładząc ręką powierzchnię prasy do ubrań. Przez myśl przemknęła jej wizja męża zatrzaskującego drzwi. - Nie, pewnie zostaniemy tam, gdzie jesteśmy. Być może, Ariane, ty chciałabyś dostać ten pokój?

- Och, jest dla mnie o wiele za duży. - Ariane zeskoczyła z łóżka i zaczęła przechadzać się po po-

mieszczeniu, biorąc to i tamto w ręce i zaglądając do szuflad. - Czułabym się tutaj zagubiona.

Jednak Frederica ledwie usłyszała ostatnie słowa, ponieważ jej uwagę przykuł przepiękny pojemnik na pościel, który znajdował się u stóp łóżka. Leżała na nim sterta starych zasłon, które Frederica machinalnie zepchnęła na ziemię. Wieko pojemnika było ręcznie rzeźbione w liście i łodygi winorośli, które pośrodku spletały się w monogram.

- C...L...H... -wymruczała, odgarniając warstwę kurzu. - Spójrz, Ariane, to musiało należeć do twojej matki, zanim wyszła za męża.

Ariane podeszła do niej.

- Och, pamiętam to - zamyśliła się. - To była jej skrzynia posagowa. Chciałam schować tam swoją kolekcję lalek, ale nigdzie nie można było znaleźć klucza.

Frederica przyklęknęła na dywanie i przyjrzała się skrzyni.

- Ale to prosty zamek - stwierdziła. - I piękna skrzynia. Powinnaś ją mieć. Spróbuję, czy się otworzy.

- Potrafisz to otworzyć?

Frederica roześmiała się.

- No nie wiem - rzekła, przyglądając się zmrużonym okiem dziurce od klucza. - Och, tak... to nic trudnego. W sumie tylko dla dekoracji. - Ostrożnie wyjęła spinkę z szala. - Mieliśmy w Chatham Lodge pojemnik z podobnym zamkiem - rzekła, wsuwając głęboko spinkę. - Nigdy nie mieliśmy klucza.

- Otwierałaś ją w ten sposób? - Ariane była zdumiona.

- Całymi latami - rzekła Frederica. - Jeśli zamknęła się przez przypadek, używaliśmy spinki do włosów, szpilki albo czegoś podobnego, choćby

gwoźdźcia. - Przekreśliła sprawnie. Coś wewnątrz zamka puściło z metalicznym kliknięciem. Freddie z powrotem spięła szal i razem z Ariane uniosły wieko, które otworzyło się na skrzypiących zawiasach. Wnętrze skrzyni okazało się nadzwyczaj małe. Na wierzchu leżał wyjedzony przez mole szal, a na dnie spoczywały dwa wełniane koce i jakieś stare, jedwabne moskitiery.

- Patrz! - rzekła Ariane. - To było mamy ulubione!

- To? - Frederica wyciągnęła puchatą, różową część garderoby z szufladki. W powietrzu rozszedł się zapach lilii i stęchlizny.

Ariane zmarszczyła nos.

- Och, to śmierdzi.

Zajrzały głębiej i w tym momencie z szufladki uciekło całe stadko rybików.

- Och, to nie jest wystarczająco duże dla moich lalek - dodała Ariane rozczarowanym głosem.

- Upewnijmy się - Frederica, nadal na klęczkach, odgarnęła koce. Pod nimi znajdowały się stare książki, oprawiony w materiał pamiętnik i kilka pończoch nie do pary. Skrzynia naprawdę nie była tak obszerna, na jaką wyglądała z zewnątrz. Z uczuciem rozczarowania, być może bardziej ze względu na własne oczekiwania niż ze względu na Ariane, Frederica odłożyła z powrotem rzeczy. Sprawiłoby jej przyjemność, gdyby mogła dać tej dziewczynce coś, co należało do jej matki, ale zdawało się, że Ariane nie tęskni za Cassandrą Rutledge.

Frederica spojrzała raz jeszcze na skrzynię i wsunęła szufladkę na miejsce. Dlaczego miała taki dziwny kształt? Trochę przypominała jej skrzynkę, w której Evie trzymała farby i barwniki.

- Ach! - powiedziała, sięgając ręką do znajdującej się na dnie skrzyni kolejnej, zamkniętej szufladki.

Nie miała ona uchwytu, ale wyciągnięcie jej nie nastręczało trudności, gdyż umożliwiały to żłobienia na powierzchni.

Ariane zajrzała z ciekawością do środka.

- Och, to reszta pamiętników mamy - rzekła dziwnie bezbarwnym głosem. - Bez przerwy pisała pamiętnik albo listy do przyjaciół.

I była zbyt zajęta, jeśli wierzyć tonowi głosu Ariane, by zajmować się własnym dzieckiem. Frederica położyła dłoń na ramieniu Ariane.

- Bardzo za nią tęsknisz?

Ariane nie spojrzała na nią.

- Trochę - odparła. - Chodziłyśmy razem na długie spacerki.

Frederica poczuła się zmieszana. Być może Ariane mimo wszystko była blisko z matką? Z łatwością rozpoznała pamiętniki i szal. Cóż. Czas to wszystko zostawić. Frederica najwyraźniej mieszała własne dziecinne tęsknoty z uczuciami, które mogła żywić Ariane. Gdyby dziewczynka chciała skrzynię, pamiętniki czy cokolwiek innego, co przypominałoby jej matkę, nie potrzebowała do pomocy Frederiki.

Frederica uśmiechnęła się i łagodnie opuściła wieko skrzyni. Podniosła się chyba jednak zbyt szybko. Podłoga wokół niej jakby się zapadła, wszystko wokół zaczęło wirować. Przed oczami zrobiło jej się czarno.

- Freddie? - Głos Ariane dobiegał jakby zza ściany. - Freddie, dobrze się czujesz?

Frederica przytrzymała się jednego z postumentów łóżka i pokój nieco się uspokoił.

To nic. To tylko jej wyobraźnia.

- Już dobrze, tak mi się zdaje - powiedziała, nadal się przytrzymując.

Nagle jednak drzwi prowadzące na korytarz główny stanęły otworem.

- Tutaj jesteś! - lord Treyhern stanął w progu, uśmiechając się do córki. - Poczta przyszła. Milford ma list od Henrietty Middleton i zgadnij, do kogo jest adresowany.

Ariane zerwała się z podłogi z piskiem, ucałowała mocno ojca i wybiegła z pokoju, trzasnąwszy z całej siły drzwiami.

- Dzień dobry, Frederico - przywitał się hrabia, wchodząc głębiej do pokoju.

- Dzień dobry - odpowiedziała. - Tak szybko załatwiłeś sprawę z Basilem?

- Ach, tak się wydaje - Treyhern nagle posmutniał, ale zaraz się rozpogodził. - I cóż? Jak ci się tu podoba?

- Jest cudownie - rzekła dziewczyna. - Salon został całkowicie odmieniony. Nie widziałeś go jeszcze?

Treyhern uśmiechnął się z lekkim żalem.

- Nie - przyznał. - Chyba muszę sprawdzić, na co też przydały się moje gwinee.

Zniknął w salonie, a Frederica z uczuciem ulgi usiadła na skraju łóżka. Czuła słabość, która ją rozpraszała. Przez dłuższą chwilę oddychała głęboko i nasłuchiwała kroków hrabiego, który przechadzał się po sąsiednim pokoju i na moment zniknął w sypialni.

Freddie przymknęła oczy na chwilę, a kiedy je otworzyła, stojący w progu lord Treyhern wpatrywał się w nią, a z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Frederico?

Szybkim krokiem zbliżył się do łóżka. Frederica, chcąc rozproszyć jego niepokój, usiłowała wstać. To był błąd. Znowu zakreśliło jej się w głowie. Poczowała, jak uginają się pod nią kolana.

- Och! - Przed oczami zaczęło robić jej się ciemno. Otoczyły ją silne ramiona i nagle cały świat zawirował.

- Spokojnie, Frederico - usłyszała dobiegający z oddali głos. - Spokojnie. Mam cię. - Ale wszystko nagle stało się jakimś snem. Gdzieś w głowie usłyszała ryk, głośny niczym wodospad, i stukot ciężkich kroków zbliżających się z korytarza. Nagle poczuła, jak ciało hrabiego sztywnieje.

- Dlaczego, ty sukinsynu! - zawył wściekły głos.

Bentley rzucił okiem na swą żonę w objęciach brata i wiedział już, że ziścił się jego najgorszy sen. Frederica obejmowała hrabiego za szyję. Jej szal opadł z barku, a twarz miała odwróconą od drzwi, policzki opierała na piersi Cama. W głowie Bentleya rozgorzała wściekłość, gorąca i czerwona niczym krew. Szybko zbliżył się i wyrwał żonę z objęć Cama.

- Ona jest chora, idioto! - warknął Cam, kiedy Frederica osunęła się przy nim.

Wściekłość i strach odebrały jednak Bentleyowi zdolność do logicznego rozumowania. Instynktownie przycisnął Frederice do siebie i wsunął rękę pod jej kolana.

- Zabieraj swoje przeklęte łapy od mojej żony - warknął, unosząc ją do góry. - Dotkniesz ją jeszcze raz, a przysięgam, Cam, że padniesz trupem na miejscu.

Twarz jego brata przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Zasłabła - Cam cedził każde słowo, jakby mówił do dziecka. - Podtrzymałem ją.

- Do cholery, zamknij się po prostu - odparł Bentley. - Sam umiem zaopiekować się żoną.

Oczy Cama zwęziły się.

- Tak często to powtarzasz - odparł chłodnym tonem. - Zrób więc to teraz i zanieś ją do łóżka. Sprowadź doktora.

Doktora?

Poczucie rzeczywistości zaczęło powoli wypierać wściekłość. Frederica spoczywała w jego ramionach zupełnie bezwładnie. Wtedy opanowało go prawdziwe przerażenie. Miała zamknięte oczy, a twarz bladą niczym płótno. Czuł, jak jęczy i wierci się przy jego piersi. Szybko odwrócił się i wyszedł z pokoju, tuląc do siebie dziewczynę. Jego brat ruszył korytarzem; dłonie miał zaciśnięte w pięści, plecy sztywno wyprostowane. Bentley rzucił się do schodów, przeskakując po kilka stopni naraz.

- Bentley? - wyszeptwała Frederica. - Ja... ja mogę iść sama.

- Nie - padło stanowcze, lecz łagodne słowo.

- Co... co się stało? - Starła się unieść głowę. - Dlaczego tak krzyczałeś?

- Trzymaj się, Freddie - odparł, kierując się ku szczytowi schodów. - Połóżmy cię do łóżka.

- Nie, nie, nie jestem chora - zaprotestowała. - Po prostu... nie wiem... zemdlałam czy coś.

- To ciąża - powiedział Bentley ze smutkiem. - I moja wina, że zostawiłem cię w takiej sytuacji. - Udało mu się jakoś otworzyć kolaniem drzwi. Położył żonę na łóżku, ale ona chciała usiąść. Delikatnie położył ją znowu, przeklinając w duchu.

- Już dobrze - odparła, wyciągając dłoń, by pogłodzić go po policzku. - Już wcześniej bywało mi słabo. To zupełnie naturalne, kiedy jest się w ciąży.

Tak, to prawda. Wprawdzie wiedział o tym, ale ta myśl już go nie pocieszała. A jeśli coś innego jest nie w porządku? Ujął rękę Freddie i przysunął ją do ust, dotykając wargami jej palców. Przypomniawszy sobie słowa wróżby signory Castelli: to, że nie potrafiła odpowiedzieć na jego proste pytanie. Nie sposób było nie zauważyć wyrazu zaniepokojenia na twarzy star-



szej kobiety. Poczuł, jak krew tężeje mu w żyłach. Boże nie, modlił się w duchu. Proszę, tylko nie to.

Wtedy jednak do pokoju wparowała Helene.

- Spotkałam Cama, jak biegł po schodach - powiedziała, pochylając się nad łóżkiem. - Och, biedna Freddie! Mdli cię?

Frederica zarumieniła się.

- Nie - znowu usiłowała się podnieść, jakby pragnąc ich uspokoić, ale Helene przytknęła dłoń do jej czoła.

- Nie, naprawdę powinnaś spokojnie poleżeć, moja droga. Cam posiał po doktora Claytona. Módlmy się, żeby wszystko było dobrze.

I rzeczywiście, wszystko zdawało się w jak najlepszym porządku, jak niecałą godzinę później zapewniał doktor Clayton. Wszyscy razem wyszli z pokoju Frederiki i rozmawiali zaniepokojonym szeptem za drzwiami. Bentley nie potrafił opanować drżenia dłoni. Świadomość, że jego żona źle się czuje, zdawała się go przerażać. Teraz zastanawiał się, czy lekarz powiedział mu prawdę. Nie wiedział, co by począł, gdyby Frederice albo dziecku coś się stało.

- Nie wolno panu, panie Rutledge, zmuszać jej, żeby zachowywała się jak kaleka - poradził rozsądnie lekarz. - Doprawdy, nie ma powodu do niepokoju.

- Nic jej nie jest? - zapytał ostrym tonem Bentley.  
- Dziecko ma się dobrze? Jest pan całkowicie pewien?

Doktor Clayton uśmiechnął się.

- Jak najbardziej pewien, panie Rutledge - odparł.  
- To prawda, że pierwsze miesiące są ryzykowne, ale pani Rutledge jedynie zrobiło się słabo. Jeszcze tydzień czy dwa, a tego typu dolegliwości jej miną.

- Jest pan pewien? - zapytał niski, zmartwiony głos, dobiegający zza pleców Bentleya. Odwrócił się

i dojrzał swego brata, skrytego w cieniu korytarza. Był tak zaabsorbowany rozmową z lekarzem, że nie usłyszał, kiedy Cam nadszedł.

Helene natychmiast podeszła do męża.

- Już teraz wygodnie odpoczywa, Cam - powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Tak się czasami zdarza, wiesz.

Lekarz poklepał lekko ręką skórzany nesesor.

- W rzeczy samej, mój panie! - odparł radosnym głosem. - Moje najszczerze gratulacje, panie Rutledge. Proszę posyłać po mnie zawsze, jeśli cokolwiek pana zaniepokoi.

- Tak, z całą pewnością - odparł łagodnie Bentley.  
- Dziękuję.

- Tak, dziękujemy, doktorze - dodała Helene. - Odprowadzę pana do wyjścia.

Poszli razem korytarzem, prowadzącym do drzwi wyjściowych. Bentley został, stojąc w absolutnej ciszy wraz ze swym bratem. Sytuacja była bardzo niezręczna. Nie było ratunku. Spojrzał na brata i sztywno skłonił głowę.

- Proszę, abyś przyjął moje przeprosiny, Cam, za te okropne słowa, które powiedziałem - zmusił się, by to wypowiedzieć. - Nie mam wytłumaczenia, a przynajmniej takiego, którym chciałbym zawracać ci głowę.

Hrabia stał milcząc w ciemnościach przez dłuższą chwilę; ręce miał założone z tyłu, plecy sztywno wyprostowane.

- Złożmy to zatem na karb twojej troski o żonę - odparł suchym tonem. - A teraz bądź tak dobry i wybacz mi. Mam wiele pracy.

Z tymi słowy Cam odwrócił się na pięcie, pozostawiając za sobą jeszcze większą przepaść niezrozumienia i gniewu, jaka ich dzieliła.

Dobry Boże, co znowu teraz zrobił? Bentley miał ochotę sam siebie kopnąć w tyłek. I takiego samego kopniaka miał ochotę również wymierzyć bratu. Uduśić go. W jakiś chory, pokrętny sposób czuł, że mimo wszystko część winy leży również po stronie Cama. Nie za to, co się teraz stało. Niezupełnie. Ale za coś.

Nie, to nie w porządku. To jego wina. Prawda? Zawsze prosił się o kłopoty. Prosił się o nie samym swym istnieniem. Nie tak było?

Do diabła, czyżby tracił zmysły? Zapragnął krzyknąć za Camem, powiedzieć mu to, co sam ledwie wiedział. Nie zrobił tego jednak. Niezupełnie świadom swych czynów, odwrócił się plecami do brata i z całej siły uderzył pięścią w ścianę. Pod siłą ciosu pękła farba i odłamał się kawałek gipsu. Miękki, biały pył posypał się na czubki butów Bentleya. Ten spojrział w dół. Pył okazał się bardzo biały, a jego buty czarne. Ze zranionej pięści spadła kropla krwi i zalśniła na złotym dywanie. Bentley jednak nie czuł w ogóle bólu. Skoncentrował wszystkie swe myśli na kontrastujących barwach, na bieli i czerni, złocie i czerwieni, pragnąc znów oddychać. Pragnąc wygnąć z głowy wszystkie inne myśli. Nie zacząć krzyczeć.

Udało mu się. Nie krzyknął.

Frederica ostatecznie zdecydowała się nie schodzić na dół na kolację, po części dlatego, iż czuła się zakłopotana tym, że narobiła tyle ambarasu. Cała rodzina biegła przez okrągły dzień z góry na dół, dopytując się o stan jej zdrowia. Queenie przysłała kolejną miksturę, a pani Naffles upiekła cytrynowe ciasto ponczowe tylko po to, by jej zaostrzyć apetyt.

Choć zapewniała, że dobrze się czuje, Bentley nie pozwolił, by ktokolwiek ją odwiedzał. Frederica czuła się mile połączona jego troską, chociaż uważała ją za zbyt dużą. Zdawało jej się, że coś między nimi zaczynało powoli się zmieniać i pogłębiać.

Podejrzewała jednak, że między jej mężem i jego bratem jest jeszcze wiele barier do pokonania i że im szybciej się to stanie, tym lepiej. Wyobraziła sobie, że może byłoby im to łatwiej osiągnąć, gdyby jej nie było w pobliżu. Tak więc, kiedy zapadł zmrok, Frederica poprosiła o przyniesienie tacy z kolacją na górę, a Bentleyowi nakazała dołączyć do reszty rodziny w jadalni.

Bentley, wyciągnięty obok niej na łóżku, roześmiał się i odłożył na bok powieść, którą czytał, po czym pocałował ją powoli i mocno.

- Niewdzięczna dziewczyna - wymruczał, dotykając wargami jej ust. - Nie pozbędziesz się mnie, wiesz?

Frederica poczuła, jak przez jej ciało przebiega znajomy dreszcz podniecenia.

- Czyżbyś zupełnie postradał zmysły po całym dniu spędzonym tutaj ze mną?

Bentley ponownie się roześmiał, po czym schwycił jej dolną wargę ustami i zaczął ją ssać i delikatnie gryźć. Wkrótce przesunął usta ku jej szyi, drażniąc ją i smakując językiem, niżej i niżej, aż w końcu usiłowała go odepchnąć.

- Odejdź! - rozkazała mu. - Przestań mnie rozpraszać.

Zręcznie rozwiązał tasiemki jej koszuli nocnej, tej samej, którą uparcie nakazywał jej włożyć.

- Jesteś bez serca, Freddie, żeby tak mnie wykorzystywać, a potem odrzucić - wymruczał, przesuwał ustami po krągłościach jej piersi.

- Nigdy w życiu nie byłeś odrzucony przez kobietę, Bentley.

Na te słowa oderwał usta od jej ciała i spojrzał na nią przez zmierzwioną, czarną czuprynę.

- Jakże jednak mógłbym zostawić żonę, kiedy najwyraźniej potrzebuje ona większej uwagi? - wyszeptał, rzucając okiem na jej stwardniały pod materiałem koszuli nocnej sutek.

Frederica zacisnęła powieki.

- Usiłujesz mnie rozproszyć - powiedziała ostrzegawczym tonem. - Idź na kolację!

Przez chwilę wpatrywał się w nią ciemnymi, sennymi oczami.

- Dobrze - rzekł nieco poważniejszym tonem. - Obiecuj mi tylko, że kiedy wrócę, będziesz nadal w tym łóżku.

- Obiecuję.

Bentley zaczął gramolić się z łóżka, ale Frederica zatrzymała go pod wpływem nagłego impulsu.

- Bentley, ja...

- O co chodzi, Freddie? - Jego wzrok był teraz łagodny.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Przepraszam, że cię tak strasznie przeraziłam.

Bentley usiadł na brzegu łóżka.

- Z pewnością nie miałaś takiego zamiaru, Freddie - powiedział, łagodnie przeczesując palcami jej włosy. - Przepraszam, że wpędziłem cię w ten kłopot.

Frederica pokręciła głową i z trudnością przełknęła ślinę.

- Jaki to może być kłopot, skoro... tak bardzo cię kocham? - wyszeptowała. - Naprawdę cię kocham, Bentley. Teraz to wiem. Szokujące, prawda?

Bentley spojrzał na nią dziwnie.

324 Freddie...

Przerwała mu.

- Nie, nie patrz tak na mnie! Nie uśmiechaj się do mnie, jakbym była uroczą, niemądrą dziewczynką, bo nią nie jestem, słyszysz?

Bentley przez długą chwilę ciszy wpatrywał się w jej oczy, zupełnie jakby chciał zajrzeć w głąb jej myśli albo jeszcze głębiej. I nagle, jakby zbudziwszy się ze snu, potrząsnął głową, pochylił się do przodu, dotknął wargami jej ust w pocałunku nieskończonym w swej łagodności. Kiedy w końcu oderwał głowę i zaczął się odsuwać, chwyciła jego rękę.

- Bentley?

Natychmiast się odwrócił.

- Tak, Freddie?

- Czy ty... czy ty coś przede mną ukrywasz?

Jego wzrok pociemniał momentalnie.

- Czy o to chodziło w tych słowach: kocham cię? - spytał nieco szorstko. - Szantaż emocjonalny, Freddie? Nie zadziała.

Ale Freddie nie chciała ustąpić.

- Po prostu odpowiedz na pytanie.

Bentley z niedowierzaniem potrząsnął głową i przeklął pod nosem.

- Cóż mógłbym przed tobą ukrywać? - spytał. - O co mnie podejrzewasz? Czyżbym nie dbał o ciebie niczym najwierniejszy z kochanków?

- Dbasz - Frederica wydeła wargi. - Nie to miałam na myśli.

Wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

- Wobec tego masz już odpowiedź na wszystkie najważniejsze pytania, Freddie. - Znowu zdawał się być w dobrym nastroju i jakby chciał to udowodnić, pochylił się i ucałował czubek jej nosa.

-I Bentley?

-Co?

Ścisnęła go za rękę uspokajającym gestem.

- Napraw to, co jest między tobą a twoim bratem, dobrze? Postarasz się?

Na jego twarzy zagościł lekko prześmiewczy uśmiech.

- To nie jest takie proste, kochanie.

- Dlaczego nie? Rodzina powinna zawsze żyć w zgodzie.

Spojrzał na nią z powagą.

- Ty jesteś teraz moją rodziną, Freddie, prawda? - A potem, jakby chciał odwrócić jej uwagę, albo własną, chwycił ją za ramiona i znowu ucałował w usta. Tym razem jednak nie był to słodki, delikatny pocałunek. Był to pocałunek pełen nagłego pragnienia, a mimo to niemal grzesznie powolny i senny. I naprawdę odwrócił jej uwagę, niech go diabli! Wszystkie poważne myśli uciekły jej z głowy, kiedy poczuła, jak jej ciało topnieje w jego uścisku i niemo błaga o kolejną pieszczotę.

Aby podreżyć ją jeszcze bardziej, Bentley wsunął język między jej wargi tak, że już nie mogła się mu oprzeć, a potem wdarł się w jej rozwarte jękiem usta. Wolnymi, grzesznymi ruchami penetrował ich wnętrza, aż dłonie Frederiki zaczęły błądzić po jego ciele, masując mu plecy, błagalnie, w rozpaczliwym poszukiwaniu.

A potem powoli oderwał się od niej i spojrzał na nią żałośnie.

- Do diabła, Freddie! Zobacz, która godzina - powiedział. - Przez ciebie spóźnię się na kolację.

- Ty draniu! - wyszeptała cicho, a on uśmiechnął się pod nosem. - Czy ty nie możesz być choć przez pięć minut poważny?

Bentley wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Przebrał się do kolacji i szybko wybiegi, zatrzymując

się jedynie na chwilę, by przed wyjściem raz jeszcze ucałować Frederikę. Poczowała potrzebę, by wstać i trochę się poruszać. Przeciągnęła się więc, podniosła z łóżka i zaczęła porządkować pokój. Jej suknia, koszula oraz szal nadal leżały rzucone na krzesło tak, jak zostawił je Bentley. Frederica pozbierała ubrania i zaniósła je do ubieralni. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, że brakuje jej perłowej spinki od szala.

Serce jej zamarło. Spinka była urodzinowym prezentem od Winnie. Nagle przypomniała sobie, że zdjęła ją, by otworzyć kufer dla Ariane. Nie wahała się ani chwili i założywszy szlafrok, wyszła na korytarz. Poza tym przez cały dzień leżenia w łóżku dręczyły ją myśli. Z powodów, których nie potrafiła wytłumaczyć, stała się bardzo zaintrygowana zawartością skrzyni.

Wszyscy byli na kolacji, nie było więc żadnych problemów, aby się wymknąć i zejść po schodach w dół. Na korytarzu panowały ciemności, jedynie kinkiet oświetlał podest schodów, jednak bez przeszkód udało jej się dotrzeć do sypialni. W pokoju było bardzo ciemno. Frederica boleśnie potknęła się o skrzynię i przeklęła dosadnie, a potem uklękła, aby wymacać kufer. Odnalazła spinkę w miejscu, w którym ją wcześniej upuściła, i wpięła ją w szlafrok.

Wstała, tym razem powoli, a potem, po chwili zastanowienia, schyliła się znowu i uniosła wieko. Kierowana impulsem, wsunęła dłoń pod stare koce i jeden po drugim wyjęła pamiętniki Cassandry Rutledge oraz książkę, która leżała pod nimi. Czuła się nieco winna, że tak postępuje, ale zaczynała zżerać ją ciekawość co do osoby pierwszej żony lorda Treyhera. Co lubiła czytać? Jak wyglądało jej codzienne życie? Ariane nie sprawiała wrażenia, że usycha z tęsk-

noty za matką. Niezależnie jednak od tego, jaka była i co zrobiła Cassandra Rutledge, teraz już nie żyła. Cóż mogło więc szkodzić, by przejrzeć kilka starych książek dla zabicia nudy?

Kilka chwil później Frederica nie wymyśliła nic mądrzejszego. Ochoczo rzuciła książki na środek łóżka, a sama usadowiła się obok nich. Pierwszą książką było podniszczone wydanie starej powieści gotyckiej. Frederica odłożyła ją na bok i wzięła kolejną. Była to francuska książka o modzie sprzed co najmniej dziesięciu lat. Przerzuciła kilka kartek i zachichotała, widząc wysokie talie, pióra i głębokie dekolty, a potem również i tę książkę odłożyła.

Sięgnęła po trzecią, która była sporych rozmiarów, ale nie gruba. Dziewczyna domyśliła się, że musi zawierać ilustracje. Spojrzała na nią z ciekawością. Tom był oprawiony w ciemną czerwień i jeśli kiedykolwiek miał na grzbiecie jakiś tytuł, z pewnością zatartł go upływ czasu. Na pierwszej stronie znajdowała się dedykacja pochodząca niemal sprzed dwudziestu lat. Frederica rzuciła okiem na ozdobne, kobiece pismo.

*Mojemu cudownemu Randolphowi: Paryż oferuje wiele przyjemności i jedną z nich przywożę Ci do domu. Niech służy ku pokusie i inspiracji.*

*Twoja, uwielbiająca Cię Marie.*

Cóż za dziwna dedykacja. Więc ta książka wcale nie należała do Cassandry. Osoba o imieniu Mary dała ją w prezencie ojcu Bentleya. Frederica wrzuciła ramionami i otworzyła książkę gdzieś pośrodku, na przypadkowej stronie, i oczy omal nie wypadły jej z orbit.

Dobry Boże! Tak, była to rzeczywiście książka z ilustracjami. Był to zbiór kolorowych rysunków, których narysowanie musiało kosztować majątek. Były niczym więcej niż kwintesencją obsceniczności, bezpruderyjnym przedstawieniem kobiet i mężczyzn w aktach seksualnych, czyniących to w sposób przekraczający wszelkie ramy jej wyobrażenia. Jeszcze kilka stron i jej serce zaczęło walić niczym młotem. Poczuła zarówno strach i poczucie winy, jak i zwykłe ludzkie podniecenie. Dobry Boże, pomyślała obracając książkę bokiem, aby móc lepiej przyjrzeć się rysunkowi. Czy ludzkie ciało naprawdę mogło być zdolne do czegoś takiego?

Twarz paliła ją ogniem. Chciała w pierwszym odruchu wyrzucić książkę przez okno, zanim rozbudzi w sobie fascynację, lecz była zafascynowana. Nie wychowano jej pruderyjnie, ale dopiero po wyjściu za mąż zdała sobie sprawę, że istnieje wiele sposobów, w jakie kochankowie mogą sprawiać sobie nawzajem przyjemność. Sądziła, że jej mąż zna każdą sztuczkę, przedstawioną w książce i że już większości z nich zdażył ją nauczyć. Ale kiedy przewróciła kolejną kartkę i ujrzała pulchną paryską piękność zaspokajającą dwóch mężczyzn jednocześnie i używającą do tego celu rozmaitych otworów, o których dziewczynie nawet do głowy by nie przyszło, zaczęła powątpiewać, czy nawet Bentley widział wszystkie zawarte w książce sztuczki.

Kolejny rysunek był na swój sposób jeszcze bardziej fascynujący. Kobieta siedziała na mężczyźnie, który leżał na łóżku na wznak z ramionami pod głową. Kobieta dotykała się po piersiach i między udami, a mężczyzna ją obserwował. Na jego twarzy malował się wyraz prawdziwego zachwyty. Na kolejnej stronie mężczyzna siedział w fotelu, popijając szam-

pana, a jego kochanka klęczała między jego kolanami, trzymając w ustach nabrzmiąły penis.

Z każdą kolejną ilustracją oczy Freddie robiły się coraz większe i poczuła się nieco zawstydzona, przyznając się sama przed sobą, że nie może doczekać się powrotu męża. Ale czy Bentleyowi spodoba się fakt, że jego żona oglądała książkę tego rodzaju? Choć zawartość najwyraźniej ją zszokowała, poczuła pewnego rodzaju niedosyt. Najwyraźniej musi się jeszcze wiele nauczyć o tym, w jaki sposób sprawiać przyjemność mężczyźnie. Czy takie rzeczy powinno się wiedzieć instynktownie? Czy może jest dla swego męża rozczarowaniem?

Powoli zamknęła książkę. Miała wiele spraw do przemyślenia, z pewnością stary, zakurzony pamiętnik już jej nie interesował. Zarówno zmieszana, jak i niespodziewanie oświecona, dziewczyna zebrała wszystkie książki i wrzuciła je głęboko w czeluście ubieralni. Potem Freddie przebrała się w najładniejszą koszulę nocną i wślizgnęła pod kołdrę, oczekując powrotu męża.

## Rozdział 18

### *W którym nasz bohater zostaje całkowicie zaskoczony*

Było faktem oczywistym, przynajmniej w mniemaniu Bentleya Rutledge'a, że bardziej chłodnego i zasadniczego człowieka niż jego brat ziemia jeszcze nie nosiła. Hrabia Treyhern najwyraźniej od urodzenia był święty, a z wiekiem stawało się to coraz gorsze. Był takie pracowity, inteligentny, rycerski i pasowały do niego wszelkie inne określenia utożsamiane przez ogół z przymiotami charakteru, które Bentleyowi jedynie działały na nerwy. Nigdy nie mógł dorównać bratu, więc jego mottem w młodości stało się: *Po co się starać?*, a postawę tę wspierał jego własny ojciec.

Poza okazjonalnymi napadami wściekłości Cam zdawał się nie dbać o to, że Bentley nie chce dokładać starań. Być może i tak nie mógłby nic zdziałać w tym względzie. A mimo to gdzieś w głębi duszy Bentley czuł, że brat, gdyby zechciał, mógłby coś wskórać. Ale co? Nie wiedział. Dzieliła ich różnica ponad dwunastu lat, w jego oczach Cam zawsze był dorosły i, jak to określała Joan, wszechwiedzący. Niekiedy zastanawiał się, czy Cam w ogóle pomyślał o nim choćby przez chwilę po śmierci matki. Zdawało się raczej, że jest żywo zainteresowany tym, by bogato się ożenić i trzymać w ryzach ojca.

Smutna prawda brzmiała jednak tak, że jedno i drugie było nieodzowne, by uchronić rodzinę przed ruiną. A mimo to Bentley czuł niekiedy, że Cam jest tak cholernie zajęty odbudową rodzinnej fasady, że zapomina o głębszych partiach jej struktury. Bentley nie był zazdrosny o brata. Nie, był... zły. Po prostu zły. Pozostawiony z dręczącym poczuciem bycia porzuconym przez kogoś, kto powinien był, cóż... zauważać jego potrzeby.

Wreszcie to powiedziałem, chociaż w myślach, uświadomił sobie Bentley, idąc powoli po schodach. Słowa te brzmiały tak bezbrinnie, pasowały do małego, zagubionego chłopca, były tak patetyczne, że prędzej by się udławił, niż powiedział je głośno. Nigdy nie prosił Cama o pomoc, miłość czy uwagę, i na pewno nie miał najmniejszego zamiaru zaczynać robić to teraz. A mimo to nadciągające ojcostwo zaczęło budzić w jego sercu dziwne uczucia.

Wspólna kolacja okazała się żałosna. Cam był chłodny, zamknięty w sobie, natomiast Helene, jakby chcąc to zrekompensować, nadmiernie pobudzona i gadatliwa. Potem Ariane zaczęła paplać przez dobre pół godziny o liście od swej przyjaciółki Henriette i słuchając szczebiotu, Bentley miał ochotę zaraz kogoś udusić. Nawet potrawy pani Naffles mu nie smakowały: pieczeń była twarda jak rzemień i pływała w rozgotowanych warzywach.

Jedyną nadzieją na to, by wieczór nie był kompletnie nieudany, była dla Bentleya ucieczka na górę i kochanie się z żoną. Modlił się jedynie, aby Freddie była w odpowiednim nastroju. Dobry Boże, naprawdę uzależnił się od tej dziewczyny. Przy Freddie potrafił odpędzić zło i myśleć jedynie o przyszłości.

Czy to złe, zastanawiał się, wykorzystywać ciało własnej żony do odreagowania emocji? Nieważne.

Jeśli tylko będzie go pragnęła, nie miał zamiaru przestawać. Do tej pory rzadko opierał się robieniu rzeczy, które przynosiły mu ulgę, przyjemność czy satysfakcję, godząc się na poczucie winy, które z tego wynikało. Miał szczęście, że Freddie zawsze była chętna. Nie, niecierpliwa. Była cudownie zmysłowym stworzeniem o błyszczących oczach i ciepłej skórze. Od samego początku jej namiętność dawała mu rozkosz, a jej niewinność zauroczyła go.

Kiedy przyszedł do pokoju, nie spała. Ucałowała ją radośnie, nalał sobie kieliszek koniaku i opadł na krzesło przy kominku, by zdjąć buty. Wysunęła się spod kołdry, wyglądając na rozkosznie zaspaną i bosso podeszła do niego. Ku jego zdumieniu uklękła przy krześle, u jego stóp, i zaczęła mu pomagać.

- Jak było na kolacji? - spytała niskim głosem.

- Naprawdę okropnie - przyznał, kiedy udało mu się zsunąć jeden but.

- Przykro mi. - Zdjęła drugi but, a potem zerknęła na Bentleya z filuternym uśmieszkiem. - Czy mogę zrobić coś, by pomóc ci o tym zapomnieć?

Bentley, zaintrygowany gardłowym tonem jej głosu, uniósł brew i bacznie jej się przyjrzał. Miał całkiem spore doświadczenie z tego rodzaju subtelnościami kobiecego zachowania, wiedział więc, że Freddie najwyraźniej wysyła pewne sygnały. Włosy miała rozpuszczone, spadające czarnymi kaskadami na plecy, tak jak lubił. Usta miała nabrzmiałe, kuszące, a w jej wzroku było coś, co aż zapierało mu dech w piersi. Przebrała się w najcieńszą koszulę nocną, uszytą z pięknego, białego materiału, tak przejrzystego, że widać było jej piersi, które w ciągu ostatnich tygodni bardzo się zaokrągliły i powiększyły. Sutki wyglądały niczym ciemne, różane pączki, stwardniałe pod materiałem.

- Freddie, kochanie - powiedział łagodnym tonem. - Patrząc na twoje piersi, człowiek zapomina, jak się nazywa.

Frederica uśmiechnęła się i rzuciła mu spojrzenie, które można było określić jedynie mianem niegrzecznego. A potem wprawiła go w szok, przesuwając dłońmi po wewnętrznej stronie jego ud. Z jej gardła wydobył się głęboki jęk rozkoszy.

- Mmm - odezwał się. - Uważaj na te zgrabne rączki, Freddie.

Ona jednak nie słuchała go wcale. Pochyliła się ku niemu, a jej dekolt bardzo się rozchylił. Bentleyowi zaschło w ustach. Patrzył, jak jej pełne piersi kołyszą się, podczas gdy jej dłonie przesunęły się wyżej, a kciuki zaczęły mocno masować mięśnie tak mocno, że jego członek stwardniał.

O Boże! Był tak nabrzmiały, że czuł się, jakby miał w spodniach naładowany pistolet. Kiedy jednak dziewczyna przesunęła dłonie jeszcze wyżej, masując jego uda przez materiał spodni, Bentley się przestraszył się, że zaraz eksploduje prosto w ubranie.

- Freddie, kochanie - rzekł zachrypniętym tonem, chwytając jej dłoń. - Lepiej zaczekaj na mnie w łóżku.

Posłała mu chytre spojrzenie.

- A jeśli nie mogę czekać? - wymruczała.

Bentley zamknął oczy.

- Pozwól mi się tylko rozebrać - szepnęła. - A potem przysięgam, kochanie, że zaspokoję pragnienie, które cię dręczy, dobrze?

Ale tak najwyraźniej nie było. Freddie uklękła, chwyciła go jedną dłonią za tył głowy i mocno ucałowała. Wsunęła powoli język w jego usta i powolnymi ruchami sprawiła, że jego oddech stał się szybki

i przerywany. Chwilę później kucnęła na piętach i uśmiechnęła się.

- Nie chcę czekać, aż się rozbierzesz - wyszeptała, bawiąc się rozporkiem jego spodni. - Może dzisiaj zrobimy coś innego?

Bentley puścił jej palce, zastanawiając się, jak daleko jego żona ma zamiar się posunąć i dumając, co też mogło jej przyjść do głowy. W odpowiedzi na to Freddie przesunęła jedną ręką po jego kroczu, chwytając dłonią rozgrzane jądra, a drugą sprytnie rozpięła guziki. Bentley ponownie usiłował złapać jej rękę.

- Przestań, Freddie - wykrztusił. - Jesteś pewna, że wiesz, do czego zmierzasz?

Posłała mu w odpowiedzi zalotny uśmiech, a potem odsunęła jego koszulę i spodnie wraz z bielizną. Naładowany pistolet wyskoczył w całej okazałości, twardy, nabrzmiały i gorący. Ku zdumieniu Bentleya Freddie przesunęła łagodnie ręką po całej jego długości, odsuwając skórę i całkowicie obnażając głowę jego oręża. Bentleyem wstrząsnął dreszcz.

- Boże wszechmogący! - usłyszał własny jęk.

To było niesłychane. Freddie zaczęła go pieścić, z początku łagodnie, długimi, powolnymi ruchami, sprytnie naśladowując sposób, w jaki uwielbiał poruszać się w jej wnętrzu. Och, jego piękna żona była pojętną uczennicą. Dotykała go raz za razem z coraz większą wprawą. Jej palce przesunęły się po rozgrzanym ciele, drugą dłonią zaczęła pieścić jego jądra. Bentley chciał ją powstrzymać. Pragnął, by przestała. Ale w jakiś sposób, w rozgorączkowaniu, udało jej się zsunąć mu spodnie do połowy ud, a potem aż do kostek, a on zsunął się na krawędź krzesła, całkowicie wystawiony na jej pieszczoty.

Czuł się dekadentko niegrzecznie, siedząc tak przy ciepłym kominku, niemal całkowicie ubrany



z kieliszkiem brandy w rękę, podczas gdy jego żona klęczała niemal pokornie między jego udami. Dobiegła go przelotna myśl, że powinien ją odepchnąć. Wiedział, że nie powinien pozwolić Freddie, dobrze wychowanej dziewczynie, by dotykała go tak wulgarnie. I wiedział, że nie powinien pragnąć więcej. Pragnąć, by wzięła do ust jego członek. Są kobiety, którym można zapłacić, jeśli mężczyzna potrzebuje tego rodzaju przyjemności. Ale czuł się tak dobrze... Och, dobry Boże, czuł się tak rozkosznie. Przy następnym dotknięciu Freddie zacisnęła dłoń, odsuwając jego skórę tak mocno, że całym ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Aach... - wyjęczał, a jego głowa opadła do tyłu.

Właśnie wtedy, w tej chwili, kiedy nie patrzył, jego żona pochyliła głowę i wzięła go głęboko w usta, zanurzając w ciepłym, jedwabistym zmysłowym raju, którego nie sposób było opisać żadnymi słowami.

- Jezu Chryste, Freddie! - wystękał, a jego całe ciało zeszywniało. Wyprostował głowę, brandy wylała się na dywan, a jego dłoń zacisnęła się na oparciu krzesła, zupełnie jakby chciał się uchwycić ostatniej deski ratunku. Przez chwilę pozwolił sobie na rozkosz obserwowania Freddie i jej nabrzmiałych warg pieścących jego napuchnięte ciało. A potem, niechętnie, odstawił kieliszek, objął dłońmi jej twarz i łagodnie uniósł ją ku górze.

- Freddie, kochanie - udało mu się wykrztusić. - Naprawdę nie powinnaś.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

- Robię to źle?

Źle? Do diabła, nie. Widok jego członka, błyszczącego i mokrego od jej ust, niemal nie doprowadził go do eksplozji. Bentley zamknął oczy i łagodnie odsunął jej dłoń.

- Nie, ale to nie jest coś... - Szukał w głowie odpowiednich słów. - Nie powinniśmy.

- Nie? - Nie mógł nie zauważyć niepewności w jej tonie. - Nie lubisz tego?

Bentley otworzył oczy i zmusił się, by na nią spojrzeć. Usta Freddie były różowe i napuchnięte, a jej oczy wielkie i naiwne. Boże, była chodzącą niewinnością z tą burzą czarnych włosów, w koszuli nocnej, która zsunęła się z jednego ramienia. Pragnął jej do szaleństwa. Pragnął, by go wyssała do końca. Pragnął wziąć jej twarz w swoje ręce i patrzeć, jak wdiera się w jej gardło. Aż... aż..

O Boże, nie. Tak się nie da. Jego członek uparcie się wyginał. Bentley przełknął ślinę i pomodlił się o siłę.

- Freddie, kochanie, zawsze to lubiłem - przyznał zduszonym szeptem. - Ale ty nie powinnaś, to nie jest... - Nie wiedział, jak ma jej to wytłumaczyć. - Posłuchaj, Freddie, to nie jest coś, co robią żony.

Freddie spojrzała na niego podejrzliwie, a w jej oczach pojawiło się nagłe zrozumienie.

- Twoje dni z dziewczynami się skończyły, Bentley - ostrzegła go śmiertelnie łagodnym tonem. - Pamiętaj o tym i weź to ode mnie, albo się z tym pożegnaj.

Zaniepokojony Bentley potrząsnął głową.

- Nie, nie, kochanie! - wykrztusił. - Nie zrobię tego, absolutnie nawet nie pomyślałbym o czymś takim. - Ale była to żałosna odpowiedź.

- Wobec tego powinieneś mi pozwolić - uśmiechnęła się filuternie, opuściła głowę i lekko uszczypnęła zębami wewnętrzną stronę jego uda.

- Och! - pisnął. - Do diabła, Freddie, nie gryź!

- Czy mogę popieścić cię tak, jak chcę? - Jej głos był tak gorący, że mógłby rozpalić ogień.

Naprawdę była zdeterminowana. W odpowiedzi na to Bentley zamknął oczy, oplótł jej twarz dłońmi

i pokierował nią ku sobie. Bardzo powoli wsunęła w usta jego nagrzaną męskość. Bentley rozkoszował się uczuciem, kiedy jego ciało przesunęło się pomiędzy jej mokrymi wargami, pomiędzy ostrymi, białymi zębami wzdłuż jej aksamitnego języka. Zależał od jej litości i to było niebezpieczne. Podniecające. Sprośne.

Freddie chwyciła jedną dłonią podstawę jego członka, a drugą zaczęła pieścić a udo; dotykała go wyjątkowo sprawnie, jej usta były napięte i gorące, a ruchy języka stawały się coraz bardziej intensywne. Do diabła, ależ jest w tym dobra! Pieszczota trwała przez długą, rozkoszną chwilę i Bentley szybko poczuł, że przestaje nad sobą panować. Zbyt mocno ścisnął jej ramię, jego ruchy stały się zbyt niecierpliwie. Wiedział, że powinien się powstrzymać.. musi się powstrzymać... dokładnie teraz.

- O Boże, Freddie! - wyrwał swój oręż z jej ust, popchnął ją na dywan przy kominku. Wspiął się na nią, rozpaczliwie i niezgrabnie z nogami uwięzionymi w splątane spodnie. Koszula nocna Freddie podsunęła się aż do jej ud. Bentley szarpnął ją raptownie, odsłaniając biodra i usłyszał trzask rwanego materiału. Oderwał go i rzucił w głąb ciemnego pokoju. Potem rozsunął kolaniem jej uda i z jękiem wszedł w nią raptownie.

Ku jego zdumieniu jej wnętrze okazało się rozgrzane niczym lawa. Freddie uniosła nogi i otoczyła go nimi w pasie, a jej biodra uniosły się, wychodząc mu na spotkanie. Przywarła do niego, cała drżąc z pożądania. Zwarła się z nim w rytmie oddechów i ruchów jego ciała, oczy miała szeroko otwarte, a usta lekko rozchylone.

- Proszę... Och, proszę - błagała go, drżąc coraz bardziej.

Bentley starał się jej usłuchać, ale wzrok jego stawał się mętny, a całym ciałem wstrząsał dreszcz. Spazm ekstazy spadł na Freddie z nagłym impetem. W poświęcie kominka Bentley widział, jak jego żona zatracą się w rytmie, dyszy i wygina się pod nim, a w końcu zamiera z okrzykiem. Dwa razy. Trzy razy. Głębokie, okrzyki rozkoszy wyrwały się z jej gardła, a jej całe ciało zakołysało się i zadrżało pod nim. I wtedy jego myśli uciekły i eksplodował w niej. We wnętrzu swej żony.

Och, dobry Boże, jak bardzo ją kochał.

Była to pierwsza klarowna myśl, która przyszła mu do głowy, kiedy odzyskał zdolność myślenia. Niemal wypowiedział ją na głos, lecz chwila ta nie wydała mu się wystarczająco odpowiednia. Głowa jego spoczywała na dywanie, a twarz miał ukrytą w burzy jej włosów. Oddychał głęboko, rozkoszując się zapachem mydła zmieszanego z wonią kobiecości. Freddie nadal obejmowała go jedną nogą w pasie. Bentley zastanawiał się, co też ją napadło; nie wiedział, czym zasłużył sobie na takie doświadczenie, które zmieniło jego spojrzenie na świat. Uważał takie zachowanie kobiety za odbieranie jej szacunku, nawet okrutne, dlatego nie chciał, żeby mu to robiła. Czy to prawda? Już tego nie wiedział. Podobano jej się. Jemu też się podobało, a teraz leżała pod nim w idealnej błogości.

Być może będzie tego żałował rano. Zaczął zastanawiać się, skąd taki pomysł zagościł w głowie jego młodej żony. Powiedział sobie, że to pewnie kobiecy instynkt i miał nadzieję, że się nie myli. Nie miał jednak ochoty zastanawiać się nad tym w tej chwili. Ukłąkł na jedno kolano, wsunął ręce pod ciało Freddie i zaniósł ją do łóżka.

Frederica zbyt często miała wrażenie, że szczęście i bezpieczeństwo to rzeczy, które los wydziela jej w małych, skromnych porcjach, niczym zbyt słodkie łąkocie. Często, jak w wypadku Johnny'ego Ellowsa, szybko okazywało się, że los wyświadcza jej przysługę. W innych sytuacjach rozczarowanie niemal zmiatało ją z nóg i nigdy nie dało o sobie zapomnieć, tak jak tamtego okropnego poranka, kiedy odesłano ją sprzed drzwi domu jej babki.

Tego poranka jednak Frederica obudziła się przed świtem, czując się szczęśliwa, bezpieczna i zupełnie spokojna. Przysunęła się bliżej w ciemnościach do Bentleya, który nadal spał głębokim snem. Leżał nagi na plecach, jednym ramieniem przesłaniając oczy i zajmując dwie trzecie materaca oraz całą kołdrę. Frederica zadrżała po swojej stronie łóżka. W pokoju było chłodno, a jej nie chciało się schodzić z łóżka i szukać koszuli nocnej, ani rozpalać w kominku.

Nie, była tak senna, że o wiele lepszym pomysłem wydawało jej się wsunąć pod koc i wtulić w ciało męża. Przytulił ją, nie budząc się, a jego poranna erekcja wyrzuciła koc, gdy Freddie przerzuciła nogę przez jego udo. W te dni, kiedy nie miał w zwyczaju wstawać o całkowicie chorej porze, zdążyła zauważyć ten fenomen. Niekiedy łagodnie kładł ją na plecy i w cudowny sposób wykorzystywał tenże fenomen natury.

Na tą myśl Freddie wtuliła twarz w jego szyję. Bentley nadal pachniał popiołem i dymem z poprzedniego wieczoru i wyczynów na dywanie przy kominku, pachniał też piżmowym zapachem

śpiącego mężczyzny. Być może wcale nie była taka spokojna? Przesunęła nogę nieco wyżej na jego udzie. Jego erekcja otarła się o jej kolano, wtuliła się więc w niego mocniej, przesuając dłońią po twardych mięśniach płaskiego brzucha ku ciemnym włosom rosnącym wokół jego męskości.

Tak rzadko miała okazję dotykać go w ten sposób. Jednak tego ranka jej awanse zdawały się wywoływać aprobatę Bentleya. Kiedy go musnęła, wydał z siebie głuchy, gardłowy dźwięk i zaczął się niespokojnie wiercić. Ośmielona Frederica przykucnęła nad nim i pocałowała go. Zaspany Bentley odwrócił ku niej twarz, a jego usta zaczęły ślepo, gorączkowo szukać jej warg.

I znowu popieściła aksamitną, ciepłą skórę jego męskości. Powróciło wspomnienie poprzedniej nocy, które ją zaintrygowało. Jak podniecająco było sprawiać mu przyjemność w taki sposób. Frederica doszła do wniosku, że niewinność na nic zdaje się zamężnej kobiecie. Przypomniała sobie raz jeszcze ilustrację, którą widziała: kobietę siedzącą na mężczyźnie i dotykającą się intymnie na jego oczach. Dreszcz podniecenia przeszył jej ciało. Dlaczego nie? Być może pokaże swemu mężowi, że nie jest aż tak niewinna, jak się tego obawiał.

Powoli wspięła się na niego, obejmując kolanami jego biodra z obu stron. Twarz Bentleya poruszyła się, jej wyraz jakby się zmienił. Frederica przez sekundę poczuła się nieco niepewnie. Ale nie było nic niepewnego w jego pulsującej erekcji. Ostrożnie uniosła się na kolanach i powoli osunęła w dół, ostrożnie nadziewając się na jego męskość. Bentley delikatnie się poruszył i jęknął. Wtedy, niczym kociak przy misce mleka, dziewczyna zmrużyła oczy, odrzuciła w tył głowę i raz jeszcze zanurzyła w sobie jego twardy oręż.

W jednej sekundzie rozpętało się piekło. Z mrozącym krew w żyłach krzykiem Bentley poderwał się na łóżku, odrzucając ją w tył. Podskoczył niczym szalenciec, machając pięściami i łokciami. Frederica poczuła twarde uderzenie w skroń i z okropnym traskiem uderzyła głową o drewnianą ramę łóżka.

- Niech cię diabli! Złaż ze mnie! - ryknął. - Odejdź!

Górował nad nią w ciemnościach. Frederica zaczęła się trząść. Bentley poruszył się, jakby znowu chciał gwałtownie rzucić się do przodu. Serce stanęło jej w gardle. Bała się cokolwiek powiedzieć. Bała się poruszyć.

Łóżko zaskrzypiało złowrogo pod jego ciężarem. Przycisnęła ją całym swym ciałem do drewnianego łóżka. Jego silne dłonie zacisnęły się na jej gardle.

- Niech cię diabli! - Głos miał okropny, dyszący, dobiegający niczym z piekielnych czeluści. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Frederica opadła na drewnianą ramę.

- Dobrze...w., w porządku - zaszlochała, zastanawiając się, które z nich postradało zmysły. - Proszę, Bentley, po prostu mnie puść.

Na dźwięk jej głosu coś w nim pękło, uderzyło go niczym błyskawica. Freddie poczuła, jak całe jego ciało sztywnieje, a potem ręce ześlizgują się bezwładnie. Zapadła długa, przeraźliwa cisza i usłyszała wydysane, urywane słowa.

- O Jezu Chryste!

Obudził się, dzięki Bogu. Obudził. Dziewczyna opadła na łóżko z poczuciem nagłej ulgi. Bentley oparł się na piętach, i nawet w ciemnościach czuła na sobie jego palący wzrok. Przeklął raz jeszcze szpetnie i chwycił się za włosy.

- Bentley? - odezwała się łagodnym tonem, ale on nie odpowiadał. Zgiął się wóół, pochylił do przodu, nadal trzymając za głowę, wypychając do przodu łokcie, jakby chciał ją od siebie odgradzić. Jakby chciał zapasać się w sobie i zniknąć.

- Bentley, powiedz coś - wyszeptała. - Proszę, powiedz coś.

- Freddie? - Jego głos dusił się z szoku i przerażenia. - Och, mój Boże...

Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Naprawdę spał. Ale co, do diabła, się z nim działo? Myśl ta nawiedziła ją niczym błyskawica. To było coś, co zrobiła. To, że wspięła się na niego. To było coś, czego nigdy nie pozwałał jej robić. Tak naprawdę wszystko, co robili w łóżku, albo co ona robiła jemu, wydawało się zupełnie skromne w porównaniu ze sprośnymi rysunkami w książce Randolpha. Jak przez mgłę, z uczuciem niesmaku, przypomniała sobie, że już raz odtrącił ją w podobnej sytuacji. *Niech cię diabli, przestań! Przestań dotykać mnie w taki sposób!* Tak wtedy powiedział. Ale jednak w tym wypadku nie zrobiła nic podobnego.

Nagle Frederica poczuła, jak coś gorącego spływa jej po twarzy. Dotknęła skroni opuszkami palców i poczuła, że się lepia. Przypomniała sobie ciężki sygnet, który nosił jej mąż.

- Bentley - ostrzegła go drżącym głosem. - Schodzę teraz z łóżka, muszę znaleźć świecę.

Nic nie powiedział. Szamotała się w ciemności, aż w końcu koło łóżka rozbłysł płomień świecy. Dopiero wtedy Bentley zdjął dłonie z głowy. Odwrócił się i spojrzał na nią z pełnym bezsilności i rozpaczony wyrazem twarzy.

W tej samej chwili zorientowała się, że zobaczył krew. I patrzyła, jak dociera do niego świadomość

tego, co zrobił. Jego twarz się skurczyła, a oczy napęłniły łzami. Wyciągnął jedną dłoń by dotknąć Freddie, ale nie mógł sięgnąć, zupełnie jakby było to jakimś okropnym symbolem ich małżeństwa.

- O Boże, co ja zrobiłem? - Spojrzał w dół na smugę krwi na sygnecie. - Och, Freddie, co zrobiłem tym razem?

## Rozdział 19

### *Głos zza grobu*

Dla Frederiki życie nagle stało się surrealistyczne. Czuła, jakby strach się ulotnił, zabierając jednocześnie ze sobą jakąś część rzeczywistości. Zapalono więcej świec, ale kto to zrobił, tego sobie nie przypominała. Ledwie pamiętała, jak Bentley prowadzi ją w stronę krzesła przy kominku i owija w szlafrok. W milczeniu patrzyła, jak wkłada na siebie ubranie i przynosi miednicę. Zaczął zmywać krew z jej włosów i skroni, a jego dotyk był bardzo czuły.

Co dziwne, nic jej nie bolało. Niemal nic nie czuła. Bentley szeptał coś cichym głosem, a na jego twarzy malował się wyraz zatroskania. Było mu przykro. Tak bardzo przykro. To nie była jej wina. Ale Frederica czuła, że pod spodem, gdzieś w środku czai się w nim przerażenie. Okropny strach. To jednak nie dało jej żadnej pociechy.

Kiedy Bentley wyciskał wodę z flanelki do mycia twarzy, Frederica spojrzała w dół i dostrzegła, że dłonie zaczynają jej się trząść. Wracała rzeczywistość. Dobry Boże, naprawdę była wstrząśnięta. Nie ma jeszcze dziewiętnastu lat. Jest w ciąży. I jest żoną. Żoną mężczyzny, w którego sercu czają się jakieś okropne tajemnice.

Być może nadeszła pora, by stawić czoło prawdzie, że coś jest nie w porządku? Kochała go. Ale czy to miało wystarczyć?

Bentley ponownie dotknął opuszkami palców jej skroni. Chciał ją dokładnie obejrzeć, ale ręka mu drżała.

- Ach, Freddie, będziesz miała siniaka. - W jego głosie zabrzmiał dźwięk podobny do szlochu, ale po stokroć gorszy. - Zastanawiam się, czy mi to kiedykolwiek wybaczysz.

Usiadł naprzeciwko i ujął jej dłonie w swoje. Spojrzał w oczy, ale nie wyrzekł nic więcej. Frederica poszukała w myślach stosownych słów.

- Bentley - odezwała się łagodnym tonem. - Co sobie dokładnie pomyślałeś? Co ci się śniło?

Słowa te spłoszyły natychmiast jego spojrzenie.

- Nie pamiętam.

Kłamał. Czuła to.

- Nie pamiętasz? - spróbowała delikatnie raz jeszcze. - Czy nie chcesz mi powiedzieć?

Bentley zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoju.

- Do diabła, Freddie. Nie mam wytłumaczenia na to, co zrobiłem - przyznał. - Nawet nie będę próbował nic wymyślać. Co wobec tego chcesz usłyszeć? Co mam zrobić?

Frederica nadal była wstrząśnięta.

- Po prostu powiedz mi prawdę - zażądała. - Kocham cię, Bentley, ale musisz przestać ukrywać przede mną tajemnice. I przed samym sobą również.

- Ukrywać? - powtórzył, wpatrując się w okno. - Co takiego skrywam?

Frederica aż zawrzała.

- Nie wiem co - odparła. - Skąd niby miałabym wiedzieć? W ogóle niewiele wiem. Jestem tylko głu-

pią, naiwną dziewczyną, a kiedy staram się być dobrą żoną, kiedy staram się... sprawić ci przyjemność... No cóż, tylko popatrz! Wydaje mi się, że oboje widzimy, co się dzieje!

Bentley odwrócił się od okna i zbliżył do niej. Ujął jej dłonie i uklęknął, by móc patrzeć prosto w oczy.

- Freddie, jesteś dobrą żoną - wymówił te słowa głośno i wyraźnie. - Po prostu to małżeństwo było złym pomysłem.

Frederica wolno pokręciła głową.

- Och, nie - wyszeptała z przerażeniem. - Nie mów tak! Oboje dokonaliśmy tego wyboru. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę.

Bentley zacisnął wargi i pokręcił głową.

- Freddie, to był mój wybór - rzekł stanowczo. - Wybrałem to małżeństwo, zupełnie jak rozpuszczone dziecko wybiera zabawkę zbyt delikatną dla jego rączek. Chciałem ciebie. Do diabła, zdaje mi się, że zawsze jakoś cię kochałem. I sądziłem, że może to być okazja... okazja do... O Boże! Nie wiem, co myślałem! Ale gdybym naprawdę cię kochał, nigdy nie pomyślałbym, że to, czego sam chcę, jest najlepsze, prawda? Nie w chwili, gdy miałeś tysiące lepszych możliwości niż małżeństwo ze mną.

- Co ty wygadujesz, Bentley?

Bentley nadal przed nią klęczał, ale wpatrywał się gdzieś w dal.

- Mówię, że teraz zależy mi na tobie na tyle, by zrobić to, co jest właściwe zamiast tego, co jest samolubne - wyszeptał. - Mówię, że jeśli pragniesz tego, Freddie, jeśli chcesz mnie zostawić... nie będę usiłował cię zatrzymać z powodu tego głupiego układu, jaki zawarliśmy.

Poczuła się, jakby dostała śmiertelny cios, o wiele gorszy niż tamto uderzenie w skroń.

- Mój Boże, więc o to chodzi? - krzyknęła. - Mamy po prostu się poddać? Z powodu... z tego powodu?

- Jezu Chryste, nie tylko o to chodzi, Freddie! Nie rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem - potrząsnęła głową.

Bentley na chwilę zamknął oczy i schylił głowę, opierając ją o jej dłonie, które nadal ścisnął. Milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy uniósł głowę, w jego oczach błyszczały łzy.

'- Chcę tylko, żebyś zrobiła to, co jest dla ciebie dobre, Freddie. I co jest dobre dla dziecka. Cokolwiek to jest, na miłość boską, zrób to, proszę.

Freddie poczuła, jak ścisną jej się gardło.

- Ale ty jesteś moim mężem - wyszeptwała. - Uważam, że żadne z nas nie powinno łatwo się poddać. Jeśli choć trochę mnie kochasz, a ja jestem zakochana w tobie po uszy, czyż jest to moralnie w porządku wszystko zaprzepaszczać?

Bentley opuścił ramiona; Freddie miała nadzieję, że na znak ulgi.

- Wobec tego musimy wyjechać - powiedział łagodnym tonem. - Nie mogę tu zostać. I być może, gdybyśmy byli tylko we dwoje, wszystko lepiej by się ułożyło.

A na te słowa Frederica niemal wybuchnęła płaczem.

- Ucieczka nic nie pomoże! - krzyknęła. - To zupełnie, jakbyś uciekał przed kłopotami, Bentley. Musisz przestać to robić. Chcę wiedzieć, co się z nami złego dzieje. Chcę to naprawić.

- Dobry Boże, Freddie! Nic złego się z nami nie dzieje. Czy to właśnie usiłowałaś naprawić zeszłej nocy? I to co robisz teraz? Chciałaś być dla mnie kimś innym? Nie rób tego.

- Chciałam tylko, żebyś... żebyś przestał myśleć o mnie, że jestem taka niewinna - zaszlochała. - Chciałam tylko sprawić ci przyjemność. Nie chciałam tak cię rozżłościć.

Bentley ponownie dotknął rany na jej skroni.

- Spałem twardym snem, Freddie - przypomniał jej cicho. - Spałem tak mocno, że nie wiedziałem, co robię. - Spojrzał na nią z większą uwagą. - Skąd, do diabła, przyszły ci do głowy takie pomysły? Dlaczego niby miałybyś się czuć nieodpowiednia? Jesteś doskonała, Freddie, taka, jaka jesteś.

Frederica wlepiła wzrok w podłogę, a on ciągnął dalej.

- Freddie to, co zrobiłaś wczoraj w nocy, było niezłą sztuczką - rzekł łagodnym tonem. - Zdaje mi się, że już wtedy wiedziałem, że będziemy musieli o tym porozmawiać.

Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co masz na myśli mówiąc, że musimy porozmawiać?

Bentley nie poruszył się, żeby wstać, ale mocniej ścisnął jej dłoń.

- Jesteś niewinna, Freddie...

- Na miłość boską! Zaraz oszaleję, jeśli dalej będziesz to powtarzać! - przerwała mu. - Nie jestem niewinna. Jeśli kiedykolwiek byłam, z pewnością już nie jestem.

Bentley wyglądał tak, jakby bolało go to, co ma powiedzieć.

- A mimo to fakt pozostaje faktem. Freddie, to, co zrobiłaś zeszłej nocy...

- Och, tak! - przerwała mu ironicznie. - Ta rzecz, która ci się nie podobała!

Bentley zamilkł na dłuższą chwilę, zastanawiając się nad doborem słów.

- Nie gniewam się na ciebie, kochanie - powiedział łagodnie. Potem wstał, usiadł na krześle naprzeciwko i odchrząknął. - Ale ta sztuczka, którą zrobiłaś wczoraj, nie jest rzeczą, o której wiedzą dobrze wychowane panienki. A to, co zrobiłaś dziś rano... Cóż, Bóg mi świadkiem, że cię nie winię. Staram się jedynie zrozumieć, skąd takie pomysły przyszły ci do głowy, żeby być taką... taką...

Nie potrafił skończyć. Frederica oszczędziła mu kłopotu. Podeszła do ubieralni i wróciła z książką Randolpha, którą rzuciła Bentleyowi na kolana. Rozpoznał ją od razu. Wiedziała o tym, ponieważ cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Skąd, na miłość boską, to wzięłaś? - zapytał głosem, z którego zniknęła łagodność.

- Ze starej skrzyni na pościel - przyznała Freddie.  
- Tej w sypialni Cassandry.

Zobaczyła, jak jego palce robią się białe niczym kreda na czerwonej okładce książki, równie białe jak wtedy, kiedy otworzył na oścież drzwi od prasowni Cassandry i natychmiast je zatrzaskał.

- Freddie - wydyszał, wpatrując się w książkę. - Gdybym chciał mieć żonę z gustem i talentami dziwki, tobym się z taką ożenił.

Brutalność tych słów zaszokowała ją, ale skryła to uczucie.

- Cóż, a ja myślę, że jesteś okropnym hipokrytą, Bentley.

Zacisnął szczęki.

- Czy mogłabyś to wyjaśnić?

Frederica zerwała się na równe nogi i spojrzała na niego z góry.

- Mówią, że jesteś największym dziwkarzem w sześciu hrabstwach - oświadczyła. - A mimo to pragniesz żony, która będzie zadowolona z czego? Z te-

go, żeby po prostu leżeć pod tobą? Tego chciałeś? Czy źle cię zrozumiałam? Mam przestać się poruszać? Jęczeć? Czy to jest oznaka złego wychowania, kiedy kobieta ma or...

Bentley położył palec na jej wargach.

- Natychmiast przestań, Frederico! - warknęła. - Przez ostatnie tygodnie nie żyjemy tu całkiem jak w klasztorze i rzeczywiście obojgu nam sprawia to wielką przyjemność. Ale posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia, bo nie mam zamiaru tego powtarzać: Cassandra Rutledge była manipulującą ludźmi dziwką i zimną suką. Nikt w tym domu nie chce, by mu o niej przypominano. Ani ja. Ani Ariane, a już na pewno nie mój brat. Trzymaj się z daleka od jej rzeczy. Trzymaj się z daleka od jej pokoju. I nawet nie wypowiadaj nigdy więcej jej imienia. - Ostatnie słowa padły, kiedy ruszył w stronę drzwi. Położył rękę na klamce i odwrócił się w stronę Frederiki.

- Dokąd idziesz? - spytała słabym głosem.

Na te słowa wyparowała z niego część gniewu.

- Sprowadzić ci pokojówkę - odparł, opuszczając ramiona. - Potrzebny ci opatrunek. Bardzo mi przykro, że cię uderzyłem, Freddie. Naprawdę bardzo mi przykro. Bóg wie, że tego nie chciałem.

Frederica ruszyła w jego stronę.

- Masz zamiar wrócić?

Bentley nie spojrzał na nią.

- Idę do warsztatu wypoziomować drzwi do kościoła - powiedział. - Muszę wypocić trochę tych emocji, bo inaczej wybuchnę.

Mówiąc to, otworzył drzwi, a Queenie niemal wpadła do pokoju. Zachwiała się na progu, a ciężki biust prawie ją przeważał. Bentley chwycił Queenie za ramię, ale było za późno. Odchyliła się do tyłu, uderzając go prosto w twarz szczotką do czyszczenia kominka.



Bentley bez słowa pomógł jej utrzymać równowagę, starł sadzę z twarzy rękawem marynarki i oddalił się wolnym krokiem.

Frederica patrzyła, jak mąż znika w cieniu korytarza. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że Queenie wpatruje się w nią z wyrazem żalości na twarzy. Dobry Boże, czy służąca podsłuchiwała pod drzwiami? Raczej nie było takiej potrzeby. Głęboki głos Bentleya był bardzo donośny. Frederica uniosła brodę.

- Queenie, nie jest tak, jak ci się zdaje.

Służąca wzięła się do roboty i zaczęła się krzątać przy palenisku.

- Och, to nie moja rola, by się nad tym zastanawiać, proszę pani.

Frederica siedziała przez kilka minut, po prostu przyglądając się, jak Queenie pracuje i rozważając, co ma począć ze swoim życiem. Nie była w stanie niczego zrozumieć, a już najmniej rozumiała własne uczucia. Kiedy Queenie skończyła sprzątać, do pokoju wpadła Jennie.

- Och, proszę pani! - rzekła z pośpiechem. - Pan Rutledge powiedział mi... Och, mój Boże! - Pokojówka uklękła przy krześle Frederiki i odgarnęła z czoła włosy swej pani.

- Nie jest tak źle, jak wygląda - odezwała się sucho tonem Frederica. - Ale śmiem twierdzić, że nauczyłam się, by nie budzić mężczyzny akurat wtedy, gdy śni mu się nocne koszmary.

Obie służące spojrzały na nią i wydały z siebie cichy, nerwowy śmiech. Dobry Boże, czy nikt jej nie wierzy? Frederica poczuła, jak na twarzy robi jej się gorąco. Mrucząc pod nosem jakieś komunały, Jennie zniknęła w ubieralni i zaczęła się tam krzątać. Queenie natychmiast odstawiła na miejsce osłonę paleniska i życząc Freddie miłego dnia, odeszła. Nagle Frederica poczu-

ła przemożną chęć pozostania w samotności. Musiała pomyśleć. Męczyły ją jakieś nienazwane myśli.

Pod wpływem impulsu zawołała Jennie. Pokojówka ukazała się, niosąc w rękę kawałki bandaża.

- Tak, proszę pani?

Frederica uśmiechnęła się słodko.

- Pójdź, proszę, do kuchni i przyslij mi tu imbryk mocnej herbaty - poprosiła. - A potem chciałabym się położyć. Pod bandażem rana będzie tylko gorzej wyglądać. Zadzwoń po ciebie później.

Jennie z niepewnym wyrazem twarzy dygnęła szybko i wyszła. Frederica natychmiast ruszyła do ubieralni, by odszukać książki Cassandry. Nie była do końca pewna, dlaczego tak uczyniła. Wiedziała tylko, że stosunki z jej mężem szybkimi krokami zbliżają się do punktu krytycznego. Do miejsca, w którym będą już tylko mogli udawać prawdziwy związek, albo patrzeć, jak wszystko między nimi wali się w nicłość. I z powodów, których nie potrafiła wytłumaczyć, poczuła, że duch Cassandry Rutledge rzucił klątwę nie tylko na ten dom, ale również na jej małżeństwo.

Przyniosła książki na krzesło koło okna. Queenie zajrzała do pokoju z herbatą, ale natychmiast zniknęła. Frederica wypiła łyk herbaty w nadziei, że doda jej sił, a potem otworzyła pamiętnik, jedyną książkę, do której jeszcze nie zajrzała. Na okładce z zielonego płótna nie było żadnej daty, nie znalazła jej też w środku. Zapisanych było jedynie sześć pierwszych stron. Rozczarowana Frederica pomyślała o pozostałych pamiętnikach, które widziała wsunięte w szufladkę kuфра, a potem zerknęła na ten, który trzymała w dłoni. Czyżby to był ostatni pamiętnik Cassandry? Czyżby dlatego nie zavracała sobie głowy, by go datować?

Frederica ponownie się zastanowiła, od jakiego czasu Cassandra nie żyje. Zaczęła przerzucać kartki

pamiętnika. Był to raczej zapis poszczególnych dni. Na pierwszej stronie, pod nagłówkiem: środa, Cassandra umieściła kilka zwykłych spostrzeżeń. Niebieski wełniany strój do konnej jazdy przybył o kilka centymetrów za krótki. Milford miał pamiętać o uzupełnieniu zapasów szampana. Zapięcie szafirowej bransoletki wymagało naprawy. Akapity mówiące o tym podobnych, nic nieznaczących sprawach wiły się ciemnym, pochyłym pismem.

Na dole drugiej strony Cassandra wspomniała coś o przybyciu codziennej poczty: listu od jej ojca i drugiego listu od dżentelmena, którego imienia Frederica nie rozpoznawała.

*Mówi, że wrócił do Anglii i koniecznie musi się ze mną zobaczyć* - napisała Cassandra. - *Błaga mnie o spotkanie. Ulica Mortimer, w przyszłym miesiącu.*

Ulica Mortimer? To adres londyńskiego domu lorda Treyherna. Jej plan brzmiał wysoce niestosownie, ale Cassandra odnotowała to zupełnie bezemocjonalnie. Frederica czytała dalej, ale nie napotkała żadnej wzmianki o kimkolwiek innym, oprócz Cassandry, na pierwszych pięciu stronach. Nie było ani słowa o czasie spędzonym z Ariane ani żadnej informacji o jej mężu. Zamiast tego Cassandra rozpisywała się o monotonii życia na wsi oraz braku gustu sąsiadów. Pamiętnik opisywał w skrócie życie bardzo ograniczonej, skupionej na sobie kobiety. Nagle pod nagłówkiem: niedziela Frederica zauważyła bardzo dziwną wzmiankę.

*Widziałam Thomasa po kazaniu* - napisała. - *List do Efezjan 1: 7, odpuszczenie grzechów! Nie mogłam się powstrzymać, by nie roześmiać mu się w twarz.*

Potem następowała gorzka uwaga na temat pogody w Cotswold i jej niszczącego wpływu na włosy Cassandry. Frederica przerzuciła kartki aż do ostat-

niej. Napisano na niej trzy akapity. Dalej była pusta. Najwyraźniej ostatni dzień życia Cassandry oznaczony był jako czwartek. Frederica przebiegła wzrokiem ostatni ustęp tekstu. Natychmiast poczuła skurcz żołądka. Przeczytała go ponownie, zmuszając się, by robić to powoli. By być pewną.

*Thomas przyszedł, kiedy Cam był na strzyżeniu owiec* - pisała, nagle nierównym pismem. - *Głupiec myśli, że mnie nastraszy. Do licha. Miasto wzywa. Dziś w nocy znowu zmusiłam Bentleya do pomocy, ale mój piękny robi się coraz bardziej uparty. Bardzo niemądrze. Spowiedź, przypomniałam mu, jest dobra dla duszy.*

Frederica zacisnęła oczy i starała się uspokoić oddech. Dobry Boże, to brzmiało, jakby... jakby co? Czując, że robi jej się niedobrze, Frederica przeczytała dwa ostatnie akapity. Po raz pierwszy od wielu dni poczuła mdłości. Zrobiło jej się zimno. Była jak odrętwiała. Zawołowane notatki Cassandry nie pozostawiały wątpliwości co do ich znaczenia. Straszne podejrzenie wysało powietrze z jej płuc.

Nagle, jakby pamiętnik zaczął ją parzyć, odrzuciła go. Wylądował na dywanie, a potem uderzył z hukiem w stolik. Frederica po prostu wpatrywała się w niego, nie mogąc zebrać myśli. Jakakolwiek była prawda, była oburzająca. Frederica nie chciała wiedzieć. Nigdy nie chciała wiedzieć. Jednak już wiedziała. Po prostu nietrudno było czytać między wierszami. Rzeczywistość była o wiele bardziej przerażająca niż rany, jakie mógł zadać jej Bentley. Zapadła się na krzesło w nagłym poczuciu smutku. Bentley miał wiele do wyjaśnienia. To była jego przeszłość, tak. Ale to było... nie do pomyślenia. Z trzęsącymi się dłońmi Frederica wstała, poszła do ubieralni i wyjęła pierwszą suknię, która rzuciła jej się w oczy.

Bentley pochylał się nad stołem i heblował kolejną warstwę drewna, oświetlony blaskiem ognia z paleniska kuźni. Spod hebla wydobywały się długie strużyny dębu, spadając miękko na podłogę. Grzbietem dłoni Bentley starł pot z czoła i wyprostował się. W kuźni stary Angus wykuwał nowe zawiasy do drzwi. Bentley zauważył ze smutkiem, że gdyby chciał zatracić się w pracy, zapomnieć wszelkie swe emocje, musiałby z Angusem wyrąbać całe połacie lasów i zrobić drzwi dla całego królestwa.

Stary Angus odwrócił się od ognia i sięgnął pod skórzaną fartuch w poszukiwaniu chustki.

- Otwory na śruby - krzyknął przez ramię. - Jaka jest odległość? Odmierzać od środka do środka?

Bentley zdjął miarkę z uchwytu, zmierzył odległość i podał kowalowi wymiary. Angus chrząknął, a potem chwycił narzędzia i powrócił do pracy. Go-rąco, zapachy, a nawet rytmiczne uderzanie młota w dziwny sposób kołły zmysły Bentleya. Była to męska robota, prosta i celowa, taka, jakie powinno być życie każdego człowieka, gdyby świat był miejscem idealnym. Z całą pewnością w kuźni nie było miejsca dla kobiet. Ani dla wspomnień o nich.

Bentley wziął do rąk hebel i znowu przypomniał sobie, co uczynił Freddie. Dobry Boże, nadal wrzało w nim oburzenie. Dlaczego jej? Dlaczego akurat teraz? Przecież ten przeklęty sen nawiedzał go już setki razy. Sypiał z setkami kobiet, a nigdy nie zerwał się i nie uderzył żadnej z nich. Oczywiście żadna z nich nie weszła na niego, kiedy spał głębokim snem i był twardy niczym młot Angusa.

Problemem oczywiście była Freddie. Nic z tego, co się wydarzyło, nie było jej winą. Jednak wzbudziła zamęt w jego myślach. Zniszczyła jego pewność, na której nauczył się polegać. Zmusiła go do takiego stopnia intymności, że ledwie mógł to znieść. Byli jednością, zupełnie, jak powiedział wielebny Amherst przed ołtarzem. Tak właśnie się czuł, patrząc jej w oczy, kiedy się kochali. Był razem z nią ciałem i duchem. Nie mógł zachować dystansu i po prostu zaspokoić czysto fizycznego pragnienia. Freddie roz-palała również głód w jego duszy. Pragnienie połączenia się z nią sercem i umysłem. Dobry Boże! Nie mógł otworzyć swego serca ani umysłu przed nikim. Ale też najwyraźniej nie robił nic, by się przed tym bronić, kiedy w grę wchodziła Freddie. Tak więc pewnie to jedynie kwestia czasu. Kwestia czasu, zanim jego żona coś wyczuje lub zobaczy. Albo zacznie zadawać pytania, na które nie mógł odpowiedzieć. Jego młoda żona nie była głupia. I miała rację wjesz-cze jednej sprawie. Trudno byłoby ją oszukać. Czyż-by sądził, że mu się to uda? Czy też podświadomie przywiózł ją do Chalcote, by pomogła mu wygnać duchy przeszłości? Czy w lekkomyślny sposób przekonał sam siebie, że miłość wszystko przezwycięży? Cóż, nic z tego nie zadziało. Był głupcem, że zacią-gnął ją do ołtarza, niezależnie od tego, czy nosiła pod sercem jego dziecko, czy nie.

- Hej, chłopcze! - Głos Angusa przerwał potok jego myśli. - Pracujesz czy marzysz?

Bentley zdał sobie sprawę, że zamarł w połowie ruchu, zgięty w pół nad stołem, a drewniany wiór zwi-sał z hebla. Poderwał ostrze do tyłu i zaklął, widząc ostry ślad, jaki wyrzyło. Kolejne dwa ruchy i udało mu się zeszlifować rysę. Szkoda, że nocnych koszmarów nie da się w podobny sposób wymazać. Ach, ale nie

będzie teraz się nad tym zastanawiał. Zamiast tego pomyśli o heblowaniu drzwi i postara się zatracić w tym prostym zajęciu.

Kiedy Frederica zeszła na dół, lord Treyhern siedział zamknięty w swej bibliotece. Słyszała, jak przez grube drzwi dobiega jego dudniący głos; najwyraźniej był zły. Chciała zapukać, ale opuściła dłoń i odwróciła się, jakiś żałosny dźwięk przykuł jej uwagę. Spojrzała w dół i zobaczyła u progu drzwi miauczącego kotka. Wzięła stworzenie na ręce i przytuliła policzek do jego żółtawej sierści; nie chciała zostawić kociaka samego. Na szczęście w tej chwili pojawiła się pani Naffles.

- Och, biedne maleństwo! - zaszczebiotała, wsuwając kotka w kieszeń fartucha. - Wezmę go, przejdę przez pokój kredensowy.

Frederica wyjaśniła jej swój dylemat, a pani Naffles z radością udzieliła informacji. Warsztaty w Chalcote znajdowały się u stóp wzgórza obok nowego spichlerza.

Był to szereg kamiennych chat, niektóre częściowo otwarte, na przykład kuźnia, z której komina dobywały się białe kłęby dymu. Inne były całkowicie zamknięte za masywnymi, podwójnymi drzwiami. Stojąc na wzgórzu, Frederica słyszała stukanie i przekleństwo. Schodząc ścieżką w dół, zobaczyła, że w głębi kuźni znajduje się drugie pomieszczenie, pełne narzędzi stolarskich.

Jej mąż pochylał się nad niskim stołem, rozebrany do pasa. Po jego umięśnionych plecach ściekała strużka potu. Zrozumiała dlaczego, kiedy stanęła w progu. Z pieca wydobywał się żar, odbijający się

od kamiennych ścian. Służący, na którego mówiono stary Angus, przywitał ją skinieniem głowy, a potem odłożył narzędzia i wyszedł. Bentley był odwrócony do niej plecami i zdawał się nieświadomy jej obecności, heblując zapamiętałe. Stała tak przez dłuższą chwilę, patrząc na pracę jego napiętych mięśni, kurczących się i odpuszczających na przemian, raz za razem, podczas gdy przesuwiał płynnymi ruchami hebel, a jego ostrze wydawało cichy, miękki syczący dźwięk. Było to podobne do Bentleya, że wybrał sobie taką pracę fizyczną. Najwyraźniej wiedział również doskonale, jak się to robi.

Jak przy każdej czynności, której się imał, jego ruchy były powolne, pełne gracji. A mimo to nie można było odmówić im wielkiej siły. Z każdym ruchem jego muskularnych ramion mięśnie pleców naprężyły się i przyciągały hebel z powrotem. Jego tors błyszczał od gorąca kuźni i wysiłku fizycznej pracy. Szelki miał spuszczone po bokach, a ciemne spodnie opierały się na biodrach, co podkreślało jego wąską talię.

Czy w taki sposób te urodziwe okazy męskiego gatunku kuszą i mają kobiety? Takim urokiem i siłą byli w stanie otumanić lekkomyślną istotę, by nie zwracała już uwagi na to, co znajduje się w ich wnętrzu? Nie. Frederica mogła uważać, że jej mąż jest łajdakiem i grzesznikiem. Nie wierzyła jednak, by celowo ją uwiódł albo oszukał co do swego charakteru. Odchrząknęła łagodnie.

- Bentley?

Na dźwięk jej głosu zeszywniał. Wyprostował się i odwrócił nieco, by na nią spojrzeć. Widziała strużki potu spływające niczym łzy z jego twarzy. Wyglądał niemal niewzruszenie, jednak gdzieś w głębi jego spojrzenia migotało jakieś uczucie.

- Bentley - powiedziała łagodnie. - Musimy porozmawiać.

Usłyszała, jak przeklął pod nosem. A potem, ściśkając w dłoni hebel, powoli odwrócił ku niej twarz. Odłożył narzędzie, otarł twarz ramieniem, a potem szybko skinąwszy głową przeszedł obok Freddie i skierował się w stronę cienia pod kasztanowcem. W spokojnej dolinie nie słychać było niczego prócz śpiewu ptaków i szumu wiatru. Pod drzewem stała stara ławeczka, którą Bentley wskazał ruchem ręki, zapraszając, by usiadła. Kiedy to zrobiła, sam rzucił się na miękką trawę.

W tej chwili jednak Frederica zapomniała o fizycznym pięknie swego męża i skoncentrowała się jedynie na strasznym zadaniu, które miała przed sobą. Czuła się, jakby serce podeszło jej do gardła. Powrócił strach i wątpliwości. Nagle poczuła się zupełnie tak, jak wówczas w salonie muzycznym w Strath, kiedy była z nim sama i czekała na wieści, które mają odmienić jej życie.

Leżący w cieniu Bentley podparł się na łokciach i uniósł brodę, by móc lepiej widzieć Freddie. Dłoń trzymał na łupinie kasztana, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. Frederica poczuła, że to ją niepokoi. I nie był to pierwszy raz, kiedy miała wrażenie, że Bentley... nie odczuwa. Albo przynajmniej nie odczuwa w taki sposób, jak inni. Musiała się wpatrywać w niego dziwnym wzrokiem.

- Cóż... Zaczynaj, Freddie - powiedział. - Złe wiadomości nie staną się dobrymi, kiedy się je odkłada na później.

Nagle nie miała już sił i zaczęła prosto z mostu.

- Chcę wiedzieć, czy to prawda, Bentley - wyszeptwała. - Czy to prawda, że miałeś... romans z żoną swego brata?

Bentley odwrócił spojrzenie i wybuchnął gorzkim, niemal zrezygnowanym śmiechem.

- Niech cię! Ale jesteś szybka, Freddie - odparł. - Ale nie, to nie był romans. Do diabła, nawet jej nie lubiłem. Ale pieprzyłem się z nią dość często, jeśli o to ci chodzi.

Frederica poczuła, że całe jej ciało sztywnieje.

- Proszę, nie używaj tego słowa - powiedziała. - Jest wulgarne i obrzydliwe.

Znowu na nią spojrzął, mrużąc oczy przed prześwitującym przez liście słońcem.

- Cóż, bo to, co robiliśmy, było wulgarne i obrzydliwe, Freddie - mówił beznamiętnym tonem. - Więc to jest jedyne słowo, które pasuje. Przykro mi to mówić, kochanie, ale życie to nie tylko sama słodycz.

Frederica wpatrywała się w niego zszokowana.

- Dobry Boże, nie masz żadnych wyrzutów? - Jej głos był teraz pełen złości. - Jak możesz tak po prostu siedzieć i mówić w ten sposób? *Pieprzyłem się z nią*. Zupełnie, jakbyś mówił o pogodzie!

- Bo sypianie z Cassandrą było równie mało istotne - odparł. - I była równie nieprzewidywalna.

Frederica potrząsnęła głową.

- Nie - odparła zduszonym głosem. - Och, nie, Bentley. To nie mogło być bez znaczenia. Proszę, powiedz mi, powiedz, że nie dopuściłeś się cudzołóstwa, jakby to było zjedzenie bułki z masłem. W tak okrutny sposób. Nie z żoną własnego brata. Proszę, powiedz mi, że czujesz się winny. Albo że czujesz żal. Albo chociaż cień wstydu, na miłość boską!

Bentley odwrócił wzrok i znowu zamilkł na dłuższą chwilę.

- Cóż, tu jest pies pogrzebany, Freddie - rzekł w końcu. - Nie czuję za bardzo niczego. Nie mogę sobie na to pozwolić.

- Nie rozumiem cię - wyszeptwała.

Roześmiał się szorstko.

- Nie, nie rozumiesz - przyznał. - Mam w głowie jakąś cholerną zaporę, Freddie. I jeśli ją otworzę, jeśli pozwolę sobie na to, by myśleć o tym, co ona ... Och, do diabła, jakie to ma znaczenie? Co to zmieni? Zrobiłem to. Robiłem to, czego chciała. A Cam, cóż, może tak czy inaczej miałby to gdzieś. Gdyby było inaczej, może cokolwiek by zauważył. Mój Boże, to było tuż pod jego nosem i trwało dłużej, niż chciałbym pamiętać.

Frederica nie mogła znieść jego gorczy.

- Och, Bentley! Mówisz to tak, jakbyś niemal chciał, by się o tym wtedy dowiedział!

Odwrócił się raptownie i spojrzał na nią.

- Tego nie powiedziałem - rzekł ostrym tonem. - I ty mu nie powiesz, Freddie. Zakazuję ci, słyszysz?

Dziewczyna powoli pokręciła głową.

- Nie mam takiego zamiaru - powiedziała. - Sam masz to zrobić, Bentley.

Zacisnął szczęki.

- Chyba oszalałaś.

Frederica wyciągnęła dłoń, ale Bentley jej nie dotknął.

- Musisz, przez wzgląd na rodzinę - wyszeptwała. - To dlatego źle sypiasz. Dlatego dręczą cię koszmary. I dlatego zawsze skaczecie sobie do gardeł. To poczucie winy. Możesz je jednak zmyć, prosząc Cama o wybaczenie.

Piękne usta Bentleya zacisnęły się.

- Po moim trupie, Frederico.

Zebrało jej się na płacz.

- Prędej po trupie naszego małżeństwa - odparła. - Kocham cię, Bentley, ale nic zniosę tej czającej się wokół nienawiści i wściekłości.

Zerwał się na nogi.

- Nie kochasz mnie, Frederico - wydyszał. - Kochasz tylko to, co mogę ci dać. To, jak się czujesz przy mnie w łóżku. Tylko w tym jestem dobry, tylko w tym byłem zawsze dobry i kiedyś ty również się o tym przekonasz.

- Przestań, Bentley! - krzyknęła. - Po prostu przestań! Wiem, co jest w moim sercu.

Spuścił głowę.

- Jesteś dzieckiem, Frederico - wyszeptał. - I strasznym głuptasem, jeśli sądzisz, że wyznając wszystko Camowi, naprawię nasze relacje.

Frederica nie chciała ustąpić.

- Zrób to i ponaprawiaj wszystko - ostrzegła go. - Albo przysięgam, że nie będę żyła z tobą jako twoja żona, Bentley. Nie będę!

Bentley nieobecny wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń.

- Ach, to pójdzie na łatwiznę, o którym mówiłaś, teraz się przydaje, prawda? - odparł cicho. - Wiedziałem, że w końcu tak się stanie. I może tak będzie lepiej, Freddie, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się dziś rano.

- Bentley, nie! - Jej słowa były pełnym przerażenia szeptem.

On potrząsnął głową i znowu się roześmiał, cicho i gorzko.

- Po prostu nie nadaję się jako materiał na męża - odparł. - Sama tak powiedziałaś kilka tygodni temu. Zresztą to nie skończyło się na Cassandrze. Czy wyobrażasz sobie, że to jedyna mężatka, z którą chodziłem do łóżka?

- Przestań, Bentley! Nie chcę tego słuchać!

- Och, daj spokój Freddie, dlaczego nie? - Jego uśmiech był gorzki, a wzrok lodowaty. - Wiesz, co

o mnie mówią! Sypiałem ze wszystkimi: z wdowami, bogatymi damami z towarzystwa, dziewczynkami z tawern i portowymi kurwami i, do cholery, na pewno nie będę szukał ich mężów, żeby przeproszać. O to właśnie chodzi, rozumiesz? Po prostu nie dbam o to. Nie ma dla mnie różnicy. To jak drapanie swędzącego miejsc, a mnie bardzo swędzi, Freddie.

Frederica poczuła, jak narasta w niej oburzenie.

- Czyżby? - wypaliła. - To dlaczego nie prześpisz się z Joan? Zdaje się, że z nią łączy cię więcej uczuć niż ze mną? A skoro nie masz żadnego morale, zawsze pozostaje jeszcze Helene. Tak, to nawet lepiej. A kiedy się nimi zmęczysz, możesz zacząć od żon sąsiadów! To ci zajmie czas aż do nowego roku!

Zobaczyła, jak jego ciało spręży się w nagłej wściekłości.

- Zamknij się, Freddie! - syknął przez ramię. - Powiedziałem, do diabła, że będę ci wierny i jestem. Skończmy po prostu teraz tę farsę małżeństwa, zanim zaczniemy się oboje nienawidzić.

- Czy naprawdę tego chcesz? - wyszeptwała. - Żeby to skończyć?

- A nie powiedziałem tego rano?

W rzeczywistości wcale tego nie powiedział. Ale Frederica była zbyt zraniona, by się z nim kłócić.

- Wobec tego nie zamierzasz rozmawiać z bratem? - spytała, chociaż już czuła, że Bentley się wyslizguje. - Nie przełkniesz dumy i nie poprosisz go o wybaczenie, żebyś mógł przestać sam siebie nienawidzić?

Bentley nagle się zerwał.

- Nie po tej stronie piekła, Freddie, kochanie - odparł, ruszając w stronę kuźni.

Poszła za nim i patrzyła, jak wkłada przez głowę koszulę. Poczowała, że żyły płynącej po policzkach.

- Co robisz? - spytała, kiedy narzucił na siebie kamizelkę. - Dokąd idziesz?

Bentley uniósł wzrok i przyszpilił ją spojrzeniem.

- Idę się upić, Freddie - odparł kwaśnym tonem. - Mam zamiar zalać się w trupa i pozostać w takim stanie bardzo długo. - Z tymi słowami chwycił na palec marynarkę i przewiesił ją sobie przez ramię.

Jednak jego odejście wstrzymał odgłos ciężkich butów, zbliżający się od strony ścieżki. Frederica uniosła głowę i dojrzała nadchodzącego w stronę warsztatu lorda Treyherna, zdejmującego po drodze marynarkę. Zatrzymał się tuż przy wejściu i spojrzał na brata wzrokiem pełnym wściekłości. Dobry Boże, chyba nie słyszał? Nie, to nie było możliwe.

- Frederico - wypalił hrabia. - Wracaj do domu.

Frederica cofnęła się nieco.

- Słucham?

- Wracaj... do... domu - wycedził Treyhern, - Idź teraz. Ja się tym zajmę.

Bentley odrzucił marynarkę.

- Do diabła, jakim prawem rozkazujesz mojej żonie?

Ale Treyhern już podwijał rękawy. To nie wyglądało dobrze.

- Odejdź, Frederico - ostrzegł ją znowu. - Nie każ mi cię zanieść, bo zrobię to, jeśli będę musiał.

Bentley zrobił krok w kierunku brata.

- Odchrzań się, święty Cam! - warknął. - Ona jest moją żoną.

Cierpliwość Frederiki się wyczerpała.

- Nie - poprawiła go. - Nie wydaje mi się.

- Freddie! - Bentley zmrużył oczy.

Frederica starała się wyglądać na wyniosłą, a nie na zranioną.

- Nie mów do mnie „Freddie”! - rzuciła. - Rozwiódłeś się ze mną praktycznie dwie minuty temu! Więc

może sam... sam się odchrząć! - I z tymi słowy określiła się na pięcie i wyszła, trzęsąc się ze złości i bólu.

Bentley patrzył, jak jego żona oddala się ścieżką, i zastanawiał się, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziała. Nie wiedział, jak jego brat rzucił kamizelkę na ziemię. I z całą pewnością nie dostrzegł jego, nadciągającej nie wiadomo skąd, pięści. Poczuł jednak solidnie, jak zderza się z jego szczęką. Zatoczył się do tyłu, uderzając dołem pleców w krawędź kościelnych drzwi. Kiedy usiłował odzyskać równowagę, Cam chwycił go za kołnierz koszuli i podciągnął w górę.

Bentley nie starał się nawet zapytać, co też, takiego uczynił. Do diabła, nie trzeba było nic mówić! Zebrał się więc w sobie w ślepej furii. Szybki unik uchronił go przed kolejnym ciosem. Boże, miał ochotę komuś przylać, było mu więc całkowicie na rękę, że może sprać Cama. Najwyraźniej widział w tym jakieś zrzędzenie losu. Uderzył brata prosto w nos. Hrabiemu głowa odskoczyła do tyłu, a z nosa zaczęła sączyć się krew.

- Ty podły draniu! - wrzasnął Cam, plując krwią. - Ja cię nauczę bić niewinne kobiety w twarz - ponownie wymierzył cios, ale Bentley uskoczył.

- Nigdy nikogo nie uderzyłem! - krzyknął, uderzając Cama w brzuch. Cios był celny i Cam wyładował na pośladkach, wprost na brudnym klepisku. Jednak Bentley zbyt często toczył bójki z bratem, by uznać, że to koniec potyczki. Cam szybko się podniósł, przyciskając pięść do brzucha i kolanem wycelował w krocze Bentleya.

- Ach! - Bentley się skulił. Jednak po kolejnych unikach i kilku ciosach zmusił jakoś Cama do wycofania się w głąb warsztatu. Jego brat był szybki, ale Bentley miał doświadczenie. Niski cios w przepone

i Cam chwycił się za żebra, łapczywie łapiąc oddech. W tym momencie Bentley solidnie przyłożył mu w szczękę i cios odrzucił Cama na piec.

Akurat wtedy wrócił stary Angus, który nigdy nie opuszczał niezłej zabawy.

Bentley dopadł brata. Pochylił się nad nim, przyniatając go pierśią i pchając w tył, aż rozszedł się smród przypalanych włosów. Węgłe nadal się czerwono żarzyły. Cam zerknął za siebie szeroko rozwartymi oczami. Jeszcze parę centymetrów i zapalił się jego koszula.

Stary Angus odrzucił z niesmakiem młot.

- Och, nie byłbym taki prędko, żeby zabijać własnego brata, chłopcze!

Cam jednak żył. Jęknął raz jeszcze i nagłym kopnięciem wyprostował kolano.

Do diabła, tylko nie to! Bentley chwycił się za krocze, puścił Cama i upadł na klepisko. Cam oderwał się od pieca, podszedł chwiejnym krokiem do Bentleya i pogardliwie spojrzął na niego z góry.

- Nie waż się.... nigdy - wydyszał - uderzyć tej dziewczyny.

Bentley wygramolił się na kłęczki.

- Idź do diabła, sir Lancelot! - splunął. - Ty prąwomyślny kutasie!

Stary Angus aż zatrząsł się ze śmiechu. Cam niestety spostrzegł to.

- Ty! - ryknął, wskazując palcem na Angusa. - Ciebie mogę zwolnić, ty obgryziony przez mole, skąpy stary Szkocie!

Stary Angus jedynie klepnął się w kolano i roześmiał się jeszcze głośniejsze.

- Och, dobry Boże, Cam, zostaw go w spokoju! - wystękał Bentley, chwiejąc się na nogach. - Przynajmniej została ci większość włosów.



## Rozdział 20

### *W którym pani Rutledge otrzymuje prezent urodzinowy*

Cam spojrział pańskim okiem na Bentleya, ale dobre samopoczucie psuła mu cieknąca z nosa krew.

- A ty! - zazgrzytał zębami i wytarł nos rękawem koszuli. - Jeśli jeszcze kiedykolwiek podniesiesz rękę na to dziecko, do diabła, jeśli choć ośmielisz się podnieść na nią głos, skończę to, słyszysz mnie? Boże, następnym razem nie wyjdiesz o własnych siłach.

Bentley jednak miał już dość. Zerwał marynarkę z brudnej podłogi.

- To był wypadek, Cam - warknął, wychodząc z warsztatu. - Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Freddie! Bóg jeden wie, że jest na tyle szalona, by powiedzieć ci prawdę.

Cam założył ręce na piersi.

- A ty dokąd sobie idziesz?

- O to również możesz spytać Freddie - wypalił Bentley, udając się ścieżką prowadzącą do stajni.

W dniu, w którym zniknął jej mąż, Frederica zamknęła się w sypialni i przepłakała ciurkiem całe sześć godzin. Ciężar, który spoczywał w jej sercu, był okropny, ale rozpad małżeństwa jeszcze straszniejszy. A najgorsze w tym wszystkim było to, że nie miała się komu zwierzyć. Naprawdę zaczęła polegać na Bentleyu; nie jak na kochanku, lecz jak na przyjacielu także. Był to szokujący wniosek, zwłaszcza że powinna była go znienawidzić. No, może nie znienawidzić. Cokolwiek się stało, kochała go. Bała się, że zawsze tak będzie. I nigdy przedtem nie czuła się taka samotna i zagubiona, nigdy w ciągu całego swego osiemnastoletniego życia.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić fioletową mgiełką, Frederica zwlokła się z łóżka, ściskając w pięści jedną z chustek Bentleya. Materiał pachniał nim, co jeszcze pogłębiło jej żal. Pociągając nosem, podeszła do okna i zerknęła na ścieżkę wiodącą do stajni, tak na wszelki wypadek. Na ścieżce jednak nic się nie działo. Zapadła ciemność, a wraz z nią przeraźliwa cisza. Frederica zaczęła się obawiać, że popełniła okropny błąd. Ale nie było niko- go, nie licząc Helene i lorda Treyherna, kogo mo-

głaby prosić o poradę. Och, jakże tęskniła za swoją rodziną! Zwłaszcza za Zoe. I, co dziwne, za ciotką Winnie- Ona rozumiała mężczyzn i nic jej nie dziwiło. Frederica wróciła do łóżka i zapadła w męczący sen, zastanawiając się, czy nie napisać do ciotki listu.

Kolejnego poranka wstała późno, popłakała sobie rzęsienie, a potem obmyła twarz zimną wodą. Nie wiedziała, co ma mówić, ani co robić. Z całą pewnością nie wiedziała, co powiedzieć rodzinie Bentleya. Być może prawdę, o ile będzie w stanie. Z całą pewnością leżenie w łóżku i uzalanie się nad sobą niczego dobrego nie przyniesie. Można było nurzać się w żalości, ale jedynie tak długo, dopóki pozostawała człowiekowi jakaś doza szacunku do samego siebie, a tego Frederice zostało już bardzo niewiele.

Zadzwoiła po Jennie, spakowała książki Cassandry, by odłożyć je z powrotem do kufra. Jennie jednak przyniosła swej pani wiadomość.

- Chłopak stajenny przyjechał z Bellevue przed śniadaniem, proszę pani - wyjaśniła, strzepując zagniecenia na koszuli nocnej Frederiki. - Mówił, że jego pani bardzo chciałyby się z panią dziś spotkać. Będzie w zakrystii do południa, powiedział. A potem w domu.

Frederica ubierała się w milczeniu, zastanawiając się czego na miłość boską może chcieć Joan. Czy już dowiedziała się o wyjeździe Bentleya? Dobry Boże, czy już cała wieś trąbiła, że mąż zostawił Frederice? Ocieżałym krokiem zeszła na dół na śniadanie. Przy stole zastała jeszcze jedynie Helene.

- Nie rozpaczaj z powodu Bentleya, moja droga - poradziła Helene, nalewając jej kawy. - Wróci. Zawsze wraca, kiedy uspokoi nerwy.

Frederica odsunęła talerz.

- Ale może ja wcale nie chcę, żeby wracał - poskarżyła się. - Uważam, że małżeństwo to zbyt poważna sprawa, żeby odsuwać ją na bok bez żadnego wyjaśnienia.

- Masz rację - przyznała Helene, siadając przy stole. - Ale on cię kocha i wszystko zrozumie. I na pewno szczerze cię przeprosi. Daj mu trochę czasu.

Frederica spojrzała Helene w oczy.

- Myślisz, że mnie kocha?

Helene lekko się uśmiechnęła.

- Och, nie ożeniłby się z tobą, Frederico, gdyby tak nie było. - Słowa Helene brzmiały bardzo stanowczo. - Wierz mi, że Bentley nie robi nic, jeśli tego nie chce. Zawsze taki był. Chociaż pamiętam, że jako dziecko był bardzo słodki i posłuszny.

Jej słowa zmieszały Frederice.

- Czy... czy znałaś go, kiedy był chłopcem?

Helene zarumieniła się.

- Och, mieszkałam tu przez jakiś czas w dzieciństwie - wymruczała. - Kiedy Bentley był małym chłopcem. Nie słyszałaś o starej plotce? Moja matka, Marie, była kochanką Randolpha.

Frederica niemal otworzyła usta w zdumieniu. Marie? Ależ to było imię, które widniało na dedykacji w sprośnej książce Randolpha! Czy to matka Helene? Twarz Helene jeszcze bardziej się zarumieniła.

- Kiedy skończyłam siedemnaście lat, wyjechałam do szkoły do Szwajcarii - ciągnęła Helene. - Potem Cam się ożenił i przez wiele lat nie widziałam się z tą rodziną.

Frederica odstawiła filiżankę.

- Przepraszam - wymruczała, odsuwając krzesło. - Jakoś nie mam apetytu. Chyba pójdę na spacer.

Helene wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła dłoni Frederiki.

- Wobec tego zostawię cię samą, moja droga - powiedziała łagodnym tonem. - Ale nie smuć się. Dla dobra dziecka, dobrze? A jeśli będziesz chciała z kimś porozmawiać, wystarczy, że dasz mi znać.

Frederica skinęła głową i wyszła z jadalni. Helene jest taka miła i w każdym calu jest damą. Jakie to dziwne, że owa tajemnicza Marie była jej matką. Frederica nie wątpiła, że wiązała się z tym jakaś szokująca opowieść. Dobry Boże, czy tylko ona jedna w całym Chalcote nie nosi w sobie żadnej mrocznej tajemnicy?

Na zewnątrz owiało ją rześkie powietrze poranka, ale Frederica nie wzięła płaszcza i niemal po omacku udała się do kościoła świętego Michała. W zakrystii odnalazła Joan, cerującą strój chóralny. Kuzynka Bentleya odłożyła igłę i natychmiast wstała, ściskając Frederikę za ręce.

- Och, dziękuję, że przyszedłaś - powiedziała. - Nie byłam tego całkiem pewna po tym, jak... po tym, co się stało. Nie wiem dokładnie co. Ale Bentley powiedział...

Frederica wpadła jej w słowo.

- Widziałas go? - spytała niecierpliwie.

Joan pokręciła głową ze smutkiem.

- Nie, moja droga - rzekła cicho. - Ale coś, hm... Coś dla ciebie przygotowywałam. Zdaje się, że na twoje urodziny. Bentley zostawił w Bellevue wiadomość, że mam ci to dać teraz. I miałam dać ci ten liścik, który dla ciebie zostawił.

- Na moje urodziny? - Frederica wzięła dwa dokumenty, które podała jej Joan. - Ale to dopiero za kilka miesięcy. Nie wyobrażam sobie, żeby Bentley znał datę.

- Powiedział, że masz urodziny w grudniu - zapewniła ją Joan. - Nalegał, chociaż twierdziłam, że

to bardzo duży wydatek i może najpierw powinien skonsultować to z tobą.

- Skonsultować ze mną? - Frederica zerknęła na dokumenty. Jednym z nich był list, zaklejony czerwoną lakową pieczęcią Bentleya. Drugi dokument był zwinięty i przewiązany niebieską wstążką.

Joan nagle się zdenerwowała.

- Och, doprawdy nie podoba mi się to - mruknęła. - Zastanawiam się, czy nie popełniam błędu. Uważam, że Bentley postawił mnie w bardzo niezręcznej sytuacji i chętnie natarłabym mu za to uszu.

Frederica opadła na krzesło.

- Czy mam... czy mam to otworzyć?

Joan wzruszyła ramionami.

- Tak powiedział mojemu kamerdynerowi - odparła. - Najpierw zwinięty dokument. Zaznaczył to bardzo wyraźnie.

Frederica rozwiązała wstążkę. Był to dokument prawny zaopatrzony w rozmaite pieczęcie i podpisy. Przyjrzała mu się dokładniej. Był to akt własności. Akt własności... czego?

- Bellevue - wyjaśniła Joan, jakby czytała w jej myślach. - To notarialny akt własności Bellevue. Zawiera połowę pierwotnej ziemi Chalcote, tak jak chciała mama w swym testamencie - nagle roześmiała się nieco nerwowo. - Wiesz, że musi pozostać w rodzinie, bo inaczej dziadek John będzie straszył mnie aż w Australii.

Frederica poczuła się całkowicie zmieszana.

- Przepraszam - wypaliła. - W Australii?

Joan wyglądała na skonsternowaną.

- Basil i ja przeprowadzamy się do Australii - powiedziała. - Dobry Boże, czy Bentley nic ci nie powiedział?

- Ani słowa - Frederica pokręciła głową.

Joan roześmiała się.

- Och, to zupełnie w jego stylu! Powiedziałam mu w zaufaniu, to prawda. Ale nie miałam na myśli tego, by trzymał to w tajemnicy przed własną żoną!

Dokument zadrżał w ręku Frederiki. Nagle jakaś część potajemnej rozmowy Bentleya z Joan zaczęła mieć sens.

- Nie rozumiem - wyszeptała. - Czy mamy mieć... czy Bentley kupił Bellevue? Dla mnie?

Twarz Joan posmutniała.

- Nie zależy ci na tym? - wykrzyknęła. - Rozumiem, że jest spore i raczej zbyt eleganckie. Ale Bentley wydawał się taki pewny. Powiedział, że wspominałaś mu o tym, jak bardzo uwielbiasz Gloucestershire i że tęsknisz za własnym domem.

Frederice zebrało się na płacz.

- Ależ Bellevue jest precudne - wyszeptała. - To chyba najpiękniejszy dom, jaki widziałam w życiu.

Joan odprężyła się na krześle.

- Och, to dobrze! - westchnęła. - Wobec tego będzie twoje, Nigdy nie chciałam sprzedawać posiadłości komuś spoza rodziny, więc propozycja Bentleya spadła mi z nieba. A teraz moja droga, domyślam się, że chciałabyś przeczytać list w prywatności. Nie mam pojęcia, co w nim jest, ale jeśli Bentley napisał go pod wpływem nerwów, to pewnie będzie stek bzdur.

Frederica usiłowała oddać jej akt własności.

- Dziękuję ci, Joan - powiedziała. - Ale ja naprawdę nie wiem, to znaczy, chciałam powiedzieć, że być może na jakiś czas wyjadę do Essex.

Joan przyjrzała jej się uważnie.

- Och, nie! Nie powinnaś! - nalegała. - Nie rób ani jednego kroku poza granice tego hrabstwa! Bentley musi po prostu poukładać sprawy sam z sobą.

Frederica spojrzała na nią zaciekawiona.

- Uważasz, że ma jakieś sprawy do poukładania?

Ale Joan odwróciła głowę i zaczęła składać strój chóralny.

- Wszyscy mamy, czyż nie? - odparła niejasno. - Jedni mają tylko tych spraw więcej od innych.

Frederica zebrała się na odwagę.

- Wiesz o Cassandrze, prawda? - wyszeptała. - Podsłuchałam kiedyś w kościele twoją rozmowę z Bentleyem.

Dłonie Joan zastygły w pół ruchu.

- Och, nie pytaj mnie o to - szepnęła. - Proszę, nie pytaj! Kiedyś dzieliliśmy się z Bentleyem wszystkim. Ale teraz... Cóż, musisz porozmawiać ze swoim mężem.

- Przepraszam - powiedziała Frederica. - Ale nigdy nie wiem, kogo mam pytać. Nawet nie wiem, w jaki sposób umarła.

Joan zamilkła na ułamek sekundy.

- Nie jesteśmy pewni - wpatrywała się w stertę ubrań. - Wszystko, co wiemy, to jedynie plotki. Cassandra miała długotrwały romans z Thomasem, kuzynem mojego męża. Był wtedy naszym pastorem.

Frederica uniosła wysoko brwi.

- Pastorem?

Joan uśmiechnęła się słabo.

- Oburzające, prawda? I kiedy się to skończyło, Thomas źle to przyjął. Kłócili się; spadła lampa, myślimy, że to był wypadek. Cassandra zginęła w pożarze.

- O mój Boże! - Frederica usiadła powoli. - A Thomas? Co się z nim stało?

Joan oderwała dziwnie beznamiętny wzrok od sterty ubrań.

- Nie wiesz? - spytała cicho. - Bentley go zabił. Strzelił mu prosto w serce. Nie miał wyboru. Thomas całkowicie oszalał. Porwał Helene i Ariane. Bentley nic ci o tym nie mówił?

Frederica przez chwilę nie mogła oddychać. Nie potrafiła zebrać myśli. Poczowała się, jakby nagle zaczęły na nią napierać ściany. Zdołała tylko pokręcić głową. Później ledwie mogła sobie przypomnieć, jak wychodziła od Joan, ale jakoś udało jej się przejść przez kaplicę. W miejscu, gdzie zdjęto drzwi, wisały kotary z ciężkiego materiału. Frederica przedarła się przez nie i usiadła na progu, próbując się skupić.

Dobry Boże, niemal żałowała, że spytała Joan o Cassandrę. Bentley zabił tego Thomasa? Jakże oburzające. Ale przecież nie miał wyboru. Został postawiony, zdawało się, w sytuacji bez wyjścia. Co też musiał przeżywać? Co musi nadal przeżywać? Przypomniała sobie o liście od niego i wyjęła go z kieszeni. Wyraźne pismo Bentleya było nie do podrobienia.

*Moja droga żono,*

*Zdaję sobie sprawę z tego, że złamałem naszą umowę. Taki, śmiem twierdzić, jest mój honor. Mam nadzieję, że będziesz cieszyć się Bellevue w dobrym zdrowiu. Jeśli Ci to nie pasuje, skontaktuj się z moim agentem przy ulicy Lombard. Stoddard ma wszystkie pełnomocnictwa, by pokrywać Twoje wydatki, w tym również zakup innej nieruchomości. W tej kwestii, proszę, rób jak uważasz. Ja nie jestem w stanie tego zrobić. Będę oczekiwał na wieści o narodzinach dziecka. Napisz, proszę, do mnie do Roseland Cottage, North End Way, Hampstead.*

*Z szacunkiem R.B.R.*

Ręce Frederiki zaczęły drżeć. Przeczytała ponownie list. O Boże! Więc to koniec. Naprawdę ją zostawił. I sama to sprowokowała. Stawiała nierozsądne żądania. Prosiła go, by zrobił coś. czego nie był w sta-

nie wykonać. Coś, co naprawdę miało niewielki wpływ na ich małżeństwo. Na ich wspólną przyszłość. Czy to w porządku? Boże, jakaż jest zmieszana! Być może małżeństwo nie oznaczało, że trzeba rozgrzebywać przeszłość męża. Być może znaczyło tylko tyle, by oczekiwać wierności i uczucia tu i teraz.

Frederica pomyślała raz jeszcze o akcie własności, który otrzymała od Joan. Mieszał jej w głowie. Bentley kupił Bellevue? Wobec tego planował przyszłość. Co prawda z typowym dla niego uporem, ale starał się. Starał się na wielu frontach, dla nich obojga. Ale czyby im się udało? Nigdy się już nie dowie. Zepsuła wszystko. Wczoraj jeszcze była całkowicie przekonana co do słuszności swych działań. A teraz, kiedy zobaczyła już przerażenie na twarzy męża, i kiedy spędziła pierwszą z być może wielu samotnych nocy w swym życiu, nie była już taka pewna.

Poczowała na twarzy strużki gorących łez. Czas już iść i porządnie się wypłakać. Ale to będzie po raz ostatni, przysięgła sobie. Musi myśleć o dziecku. Dlatego też miała zamiar powrócić do swojej rodziny. Może to słabość z jej strony, ale sądziła, że nie da rady przejść przez to wszystko bez ich pomocy. Wstała zdecydowanie i wsunęła list Bentleya do kieszeni.

Wtedy właśnie dostrzegła koło cisów na szczycie wzgórza robotników. Jeden z nich odwrócił się, rzucił łopatę na wóz i poprowadził konia w dół, w stronę bramy do wsi. W pustym miejscu w ostatnim rzędzie grobów dziewczyna dostrzegła, że postawiono nowy kamień. Grobowiec Cassandry. Z powodów, których nie umiała wyjaśnić, zapragnęła go zobaczyć. Czy wówczas wszystko wyda jej się mniej wstrząsające? Czy przekona ją, że przeszłość odeszła już dawno temu?

Kiedy dotarła do szczytu wzgórza, robotnicy otwierali już bramę. Frederica stała samotnie pod ci-

sami i wpatrywała w gładki kamień w kolorze miodu. W jakiś irracjonalny sposób zapragnęła znienawidzić tę już od dawna nieżyjącą kobietę. Chciała ją znienawidzić za to, czego udało jej się osiągnąć i zniszczyć nawet zza grobu.

Nie, widok grobowca nic nie pomógł. Posmutniała Frederica odwróciła się i ruszyła z powrotem. W połowie drogi coś jednak zaczęło ją dręczyć. Zupełnie jakby ciągnięta przez magnes, wróciła i raz jeszcze spojrzała na nagrobek. Daty. Daty muszą być złe. Wpatrywała się w nie, a ręce zaczęły jej drżeć. Upadła na kolana, suknia zapadła się w trawie i świeżej ziemi, a ona dotknęła dłonią najniższej liniiki napisu. Daty śmierci Cassandry. Świeżo wycięty kamień był szorstki pod jej drżącą dłonią. W głowie zaświtało jej przerażające odkrycie

Boże! O Boże! To nie mogła być prawda. Cassandra Rutledge nie żyła od ponad dwunastu lat. Ale Bentley był wtedy... jedynie chłopcem.

*Był w wieku Gervaisa, kiedy się pobrali, powiedziała Catherine tego dnia w sędzie. Ale Cassandra nie była typem opiekunym.*

Frederica poczuła, że robi jej się niedobrze, że zaczyna się dusić. Dobry Boże! Jakże mogła się nie domyślić? Sądziła... zakładała, że... co? Najgorsze. Uwierzyła w najgorsze co do swego męża, ale nie bardziej złe niż on sam o sobie myślał. Mówił o tym, o strasznym horrorze z takim chłodnym dystansem, jakby mówił o kimś innym, a nie o sobie samym.

*Zrobiłem to. Zrobiłem, cokolwiek mi kazała.*

*Nie rozumiesz. W mojej głowie jest jakaś cholera tama i jeśli ją otworzę...*

*Jeśli ją otworzę...*

Frederica nadal dotykała grobowca. Przerażona, cofnęła nagle rękę, jakby się oparzyła. Potem wstała

na nogi i przebiegła przez cmentarz, wybiegła za mur i biegła przez całą drogę aż do Chalcote. Kiedy znalazła się w środku, przemknęła przez zacięzione, chłodne korytarze, otwierając przed sobą drzwi i pędząc bez zastanowienia po schodach. Apartament ogrodowy był otwarty. Wpadła do sypialni i upadła na kolana przy kufrze na bieliznę. Bez chwili namysłu otworzyła szufladkę i zaczęła wyjmować pamiątniki Cassandry, jeden po drugim, aż miała ich tyle, że ledwie mogła je unieść. Zostawiła ostatnie dwa czy trzy w otwartym kufrze, popędziła po schodach do sypialni Bentleya i tam rzuciła pamiątniki na steret pod oknem.

Usiadła i otworzyła pierwszy, który ścisnęła w ręku. Zaczęła czytać go chaotycznie. Z początku znalazła tam jedynie zawoalowane aluzje. Żadnych dowodów. Jedynie ponure sugestie i sarkastyczne uwagi na marginesie, oddzielone dniami, nawet miesiącami narcystycznych bredni. Frederica czytała przez kilka godzin, a na sercu robiło jej się coraz ciężej. Nie chciała widzieć nikogo, kto pukał do pokoju. Wczesnym popołudniem w końcu przyjęła lunch od Queenie, ale jedynie ze względu na dziecko. Kiedy zjadła, powróciła do swego zajęcia. Kiedy już się ściemniało, Frederica zamknęła drżącą ręką ostatni pamiątnik.

Cassandra nie była głupia. Była sprytna w swym uwodzeniu. Och, bardzo sprytna. I niegodziwa ponad wszelkie wyobrażenie. Ale między wierszami można to było zobaczyć. Prawdę. Przerażenie. Dlaczego nikt nie zauważył, co się dzieje? On był zaledwie chłopcem. Kto miał się nim opiekować? Chronić go?

*Cam nie dbałby o to, tak czy inaczej, powiedział Bentley. Gdyby dbał, może by coś zauważył.*

Odpowiedzi. Jeszcze więcej odpowiedzi. O mój Boże, czy wszystkie tu są? Gdzieś w zakamarkach domu niskim, ponurym uderzeniem zegar wybił szóstą. W końcu Frederica dała upust tym ostatnim łzom, na jakie sobie pozwoliła na progu parafii świętego Michała. Płakała z głębi serca i z głębi duszy, a wszechogarniający szloch rozpaczy wstrząsał jej ramionami. Tym razem jednak nie płakała nad sobą.

Wzdłuż szlaków pocztowych w Anglii istniało wiele takich miejsc jak Cat and Currier, miejsc ani nie specjalnie podłych, ani szczególnie brudnych, z niewielkimi pretensjami do elegancji. Gospoda składała się z ciemnego, wąskiego baru, spartańskiej jadalni z jedną czy dwoma prywatnymi wnękami, a na górze znajdowało się kilkanaście pokoi do wynajęcia. Gospoda znajdowała się pomiędzy Cheston-on-the-Water a Londynem więc Bentley bywał tam częstym gościem, gdyż tutaj można było dostać czyste, niezawaszone łóżko i jeśli miało się ochotę, równie czystą do niego towarzyszkę. A potem zagrać w kości lub karty, w nieco mniej czysty sposób.

Jednak Bentley nie wiedział, co się wydarzyło, kiedy obudził się tego szczególnego poranka. Nie wiedział nawet, czy to rzeczywiście poranek. Ktoś jednak miał czelność pukać do drzwi. Niech idą wszyscy w diabły! Przewrócił się na drugi bok z jękiem.

Walenie do drzwi stawało się jednak coraz bardziej natarczywe.

- Panie Rutledge! - rozległ się piskliwy krzyk. - Panie Rutledge, proszę pana, jest wpół do pierwszej! Muszę wiedzieć, czy chce pan zatrzymać pokój. I jest jeszcze kwestia wczorajszych... hm, wydatków.

- Umm... - zdołał wyjęczeć Bentley.

Gospodyni odebrała to jako oznakę nierychliwości.

- Nie, naprawdę nalegam, *sir!* - piskliwy głos stał się jeszcze bardziej przenikliwy. - Trzeba uregulować długi. W barze powstały wielkie szkody.

Bentley schował twarz w poduszkę.

- Och, pieprzcie się wszyscy! - wyjęczał. Nagle jednak zakłuło go poczucie winy. Dlaczego? Wtedy przypomniał sobie. Freddie prosiła go, żeby nie używał tego słowa. I niezależnie od tego, jak głupie się to mogło zdawać, miał zamiar jej posłuchać. Nawet jeśli nie było jej w pobliżu i nie mogła tego słyszeć, czy w tym wypadku, nie słyszeć. Jezu Chryste, jego umysł zmieniał się w gąbkę. A może został wypłukany przez nerki razem z litrami brandy, które najwyraźniej wysączył wczorajszej nocy?

Ale to wszystko zdało się na nic. Nie było wystarczająco dużej ilości alkoholu w całym Bożym królestwie, która pozwoliłaby mu zapomnieć o żonie. By przestał za nią tęsknić. By przestał tęsknić za jej smakiem w swych ustach i ciepłe jej ciało w swoich dłoniach. Nic się nie zmieniło, a mimo to wszystko było inne. Byli niczym jedność. Byli.

Nie wiedział nawet, w jaki sposób, ani kiedy się to stało. Wiedział jednak, że równie dobrze mógłby wyrwać sobie serce, bo bez niej nie umiał żyć. Miał czas, żeby wszystko przemyśleć. Czas, by zastanowić się nad tym, czego żądała. I teraz wiedział. Pora wracać do domu. Pora poprosić o przebaczenie. Najpierw, niech mu Bóg dopomoże, od własnego brata. Potem od swojej żony. Nie dała mu wyboru. Modlił się jedynie, by nie okazało się, że jest już za późno.

Stojąca w korytarzu gospodyni zaczęła wymieniać porozbijane okna, połamane stoliki i potłuczone na-

czynią, za które Bentley miał zapłacić, Zaistniała jeszcze kwestia brakującej części obudowy kominka. Dobry Boże, robił się na to za stary. Co też nawyprowadził wczorajszej nocy? I z kim? Bentley nic nie pamiętał.

Nagle z korytarza dobiegł go drugi głos.

- Popiliśmy wczorajszej nocy, chłopcze? - zapytał zadziorny, damski głosik. - Ach, nie martw się, Rutledge. To dobre na złagodzenie. A teraz daj mi klucz, dobrze?

Stojąca za masywnymi drzwiami gospodyni wydała z siebie dźwięk niezadowolenia. Zaciekawiony Bentley postarał się usiąść. Ruch na korytarzu wzmógł się.

- Bądź dobrym chłopakiem i daj mi ten klucz - odezwała się kobieta wśród odgłosów szamotania się przy drzwiach.

- *Madami* - fuknęła gospodyni. - To szanowana gospoda!

- A ja jestem szanowana zupełnie, jak nasza stara królowa, niech odpoczywa w pokoju!

Kolejne uderzenie, kilka następnych jęków i Bentley zobaczył, jak klucz przekręca się w zamku. Queenie wpadła do pokoju, a jej biust torował sobie drogę niczym para wojennych okrętów. Gospodyni była niewielkiego wzrostu i musiała wspiać się na palce, by niczym pies gończy zajrzeć do środka. Starą się odebrać klucz.

Zirytowana Queenie, obróciła się i wsadziła klucz w dłoń Bentleya.

- Tutaj jesteś, mój śliczny - powiedziała. - Mam prywatną sprawę.

- Śmiem twierdzić, że takie jak ty zawsze mają - rzekła gospodyni nieprzyjemnym tonem. - Ale jest jeszcze kwestia zapłaty za szkody.

Śmiała Queenie podniosła spódnice, ukazując białe, pulchne uda i przywiązaną do nich zieloną sakiewkę. Gospodyni aż otworzyła usta i odwróciła wzrok.

- To jest to, co nazywacie emeryturą na stare lata, chłopcze - zarechotała, wyciągając banknot. Gospodyni odsunęła dłoń od oczu i znowu wstrzymała oddech.

- A teraz zjeżdżaj na dół, zanim połamię ci ręce - odezwała się słodziutko Queenie. - A potem przyslij tu dzbanek mocnej kawy, dwa surowe jajka i kufel piwa.

Gospodyni oddaliła się pospiesznie, Bentley uniósł się na łokciu, kołdra ześlizgnęła mu się do bioder.

- Moja marynarka - wydyszał, wskazując drżącym palcem stertę ubrań na podłodze. - Oddam ci pieniądze, Queenie. A potem wnoś się do diabła! - Jednak pokój zaczął wirować i Bentley był zmuszony ponownie się położyć.

- Nie wyjdę bez ciebie, panie B., ponieważ dałeś mi kiedy dobrą naukę, a Queenie tego nie zapomina. - Wsunęła ramię pod jego plecy i pomogła mu się podnieść. - Chodźmy więc, dobra?

- Odejdź, odczep się! - warknął. - Nie jestem ubrany!

- Och, rany! - rzekła Queenie z udawanym prześlachem. - Moje wrażliwe zmysły!

Wkrótce Bentley siedział już w kalesonach na skraju łóżka. Pokój nieco się uspokoił. Queenie zajrzała mu w oczy.

- Tak, nie wyglądasz zbyt dobrze, panie B. - rzekła energicznie. - Ale gorąca kąpiel, surowe jajka i znowu dojdiesz do siebie.

Bentley skrył twarz w dłoniach. Wyjechał z Chalcote tak szybko, że nie zdążył zabrać ubrania



na zmianę. Cóż za uroczy widok będzie sobą prezentował, kiedy przyjedzie do domu w brudnym ubraniu i z zarośniętą twarzą. Freddie nie będzie chciała mu wybaczyć.

Queenie jednak wskazała na stojącą koło drzwi walizkę.

- Sama spakowałam, tak jak umiałam - powiedziała dumnie. - Ale zapomniałam brzytwy i paska do ostrzenia. A potem Milford wysłał powóz, żeby mnie tu przywieźć, zupełnie jak wielką damę. Oczywiście cały dzień zajęło nam, żeby cię znaleźć.

Bentley był już na nogach. Queenie podeszła do drzwi i zawołała po wannę gorącej wody. Do pokoju wpadła pokojówka z tacą, a Queenie w okamgnieniu napełniła kufel jakąś obrzydliwą miksturą i wlała mu ją do gardła. Wniesiono wannę i napełniono, wrzątkiem z mosiężnych dzbanów. Przez cały czas Queenie narzekała i przymilała się.

- Jak długo tak ją zwodzisz? - spytała w którymś momencie. - To już dwa dni, jak cię nie ma w Chalcote, a biedna pani Rutledge odchodzi od zmysłów.

Dwa dni? Gdzie się, do diabła, podziewał przez te dwa dni? Bentley przypomniał sobie jak przez mgłę, że wygrał sporą sumkę na jakimś meczu bokserskim. I dotarły do niego jeszcze bardziej zamglone wspomnienia, że przegrał wszystko w trakcie całonocnego hazardu. Ale nic więcej nie pamiętał.

- Dobry Boże... - wymamrotał. - Queenie, muszę jechać do domu.

Queenie postawiła parawan przy wannie i skryła za nim Bentleya.

- A, tak trzeba zrobić, panie B. - powiedziała. - Ona wyjeżdża, rozumiesz? A pani bardzo się tym martwi.

Bentley zamarł, wciągając spodnie.

- Kto wyjeżdża?

- Pani Rutledge - odparła Queenie beznamietnym tonem. - Ta jej pokojówka zносиła ze strychu kufry, dwa spakowano szybciej niż zdążyłbyś okiem mrugnąć. Powiedziała, że wyruszają o świcie.

Rozczarowanie poraziło go. Czego jednak miał się spodziewać?

- Być może będę musiał nauczyć się z tym żyć, Queenie? - powiedział cicho. - Frederica i ja... cóż, jest między nami nic porozumienia.

Queenie spojrzała na niego pogardliwie.

- Być może tobie tak się zdaje - wypaliła. - Ale zważ, że twoja żona nie rozumie niczego poza tym, że ma pod sercem dziecko, a nie ma męża, który by jej pomógł.

Bentley jęknął i wszedł do wody.

- Nie rób mi tego, Queenie, błagam cię.

- Tak, zamknięta w pokoju siedzi całymi dniami i płacze - ciągnęła Queenie, stojąc w odległym kącie pokoju. Słyszał, jak strzepuje jego wygniecione ubranie, a potem otwiera walizkę, którą przywiozła. - Nic też nie je - dodała, wzdychając ciężko. - Biedne małżeństwo nie będzie większe od wiewiórki, kiedy się urodzi.

Dziecko. Boże, mówiła o dziecku.

Nagle ton głosu Queenie stał się jeszcze bardziej poważny.

- Pakuję zatem twoje rzeczy, panie B., a ty jej to wszystko wynagrodzisz. Niezależnie od tego, ile cię to będzie kosztowało.

- Mam zamiar spróbować - rzekł, mydląc się pośpiesznie. I mówił to szczerze. Ponieważ nie mógł nawet już dłużej się upijać tak, by nie zrobić sobie krzywdy. Może to była kwestia wieku albo braku nastroju, ale nie mógł już dłużej uciekać, czy robić

większych głupstw, żeby o tym zapomnieć. Poza tym, co tym razem dała mu ta ucieczka? Do diabła, nie wyjechał nawet za Oxfordshire.

Mimo to, te dwa dni pijaństwa nie wyгнаły z pamięci żądań Freddie. Gdyby jednak zrobił to, o co prosiła, wówczas nie miałby brata. Teraz jednak nie miał żony. Powoli docierać zaczął do niego ten dylemat.

Tak, był diabelski wybór. Do tego pchała go prośba Freddie. Ale może było to mniejsze zło. Kochał Cama, oczywiście. Bardziej niżby się chciał do tego przyznać. Ale był już tak zmęczony swym żalosnym, tułaczym życiem. Zmęczony tym, że nie miał kominaka, domu, własnej rodziny. I Bóg mu świadkiem, że bardzo za nią tęsknił, Musiałby zapić się na śmierć, żeby o tym nie myśleć.

Siedział bez ruchu w wannie, kiedy w jego myśli wdarł się głos Queenie.

- Panie B.? - zapytała, łagodniejszym tonem. - Pospiesz się, kochaniutki. Pora wracać do domu.

- Ach, Queenie - wyszeptał. - To chyba najbardziej prawdziwe słowa, jakie wypowiedziałas.

## Rozdział 21

### *Smutne zakończenie i nowy początek*

Parę godzin później Bentley stał już u progu gabinetu swego brata z uniesioną ręką, jakby miał zamiar zapukać. Boże, jak okropnie trudno było to zrobić. Za każdym razem, kiedy stał w tym miejscu, czuł się dokładnie tak samo; żołądek podchodził mu do gardła, serce zapadało się w okropnym poczuciu winy i gniewu, zawsze spodziewając się nadciągających kłopotów.

Teraz jednak los miał go w swoich rękach. Drzwi otworzyły się, a on stanął twarzą w twarz z bratem. Jego nos był teraz prawdziwym okazem: fioletowoczerwony i opuchnięty, a pod okiem miał żółtą opuchliznę. Nos był złamany. I to niefortunnie. Tak ocenił Bentley okiem eksperta. Gdy zejdzie opuchlizna, Cam z pewnością będzie miał w tym miejscu zgrubienie, które na zawsze zmieni jego wygląd.

Na twarzy Cama malował się nieprzenikniony wyraz.

- Okropnie wyglądasz, stary - powiedział, robiąc krok w tył i wpuszczając Bentleya do środka. - Dwudniowa popijawa? Czy golenie się wyszło z mody?

Bentley od razu się zjeżył.

- Jeśli nie jestem tu mile widziany, Cam - rzekł cicho - powiedz to, do cholery.

Cam uśmiechnął się łobuzersko i ruszył w stronę kominka, a potem usadowił się w ulubionym fotelu i wskazał Bentleyowi drugi, stojący naprzeciwko. Spod biurka wybiegł kociak, którego Cam bezwiednie wzięła na ręce. Bentley pomyślał, że w Bełlevue przyda im się kot. Jeśli w ogóle tam zamieszkają. Zatrzasnął drzwi i dołączył do brata.

Cam niemal oficjalnie odchrząknął.

- Bentley, musisz wiedzieć, że zawsze jesteś tu mile widziany - powiedział, głaszcząc kociaka. - Nigdy nie rozumiałem, dlaczego zawsze sugerowałeś, że mogłoby być inaczej. Cieszę się, że wróciłeś do domu i wiem, że Frederice bardzo ulżyło.

Bentley opuścił wzrok.

- Ona nie wie.

Cam zacisnęła ze złością wargi.

- Dobry Boże, Bentley, ona tu odchodzi od zmysłów! Musisz natychmiast do niej iść.

- Nie mogę - odparł cicho Bentley. - Nie przyjmie mnie. Jest coś, co muszę najpierw zrobić. I kiedy to zrobię, Cam, pozwól ci się stłuc na kwaśne jabłko, zanim mnie wyrzucisz na zawsze. Proponuję byś celował w nos.

Cam pociągnął nosem.

- Tak, mój nie wygląda najlepiej - przyznał. - Jednak nie potrzebuję rewanzu, Bentley. Frederica wyjaśniła mi, skąd się wzięła rana na jej skroni. - Potrząsnął głową i z trudem przełknął ślinę. - Chryste, wiedziałem w głębi serca, że nigdy nie zrobiłbyś czegoś podobnego. Błagam cię, przebacz mi. Nerwy ostatnio mi puszczają.

- Współczuję - wymruczał Bentley. - Ale to nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma ogromne znaczenie - odparł Cam. - Oskarżyłem cię o niehonorowe zachowanie i myliłem się.

- Cóż, ta rozmowa jeszcze się nie skończyła.

Cam spojrział na niego dziwnym wzrokiem.

- Zatem śmiało. Co chcesz mi powiedzieć?

Bentley jednak nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, ledwie mógł złapać oddech. Boże, w jaki sposób wyznaje się takie rzeczy, skrywane w tajemnicy przez całe życie?

- Chodzi o... chodzi o Cassandrę.

Na te słowa Cam uniósł wysoko brwi.

- A co to może mieć wspólnego z czymkolwiek?

- Signora Castelli mówi, że przeszłość zawsze odwołuje na teraźniejszość - wyszeptał Bentley. Kiedy Cam spojrział na niego, zamknął oczy i pomyślał o tym, co ma do stracenia. Nadszedł czas, by zacząć mówić, jeśli w ogóle miał wykonać to zadanie.

- Chcę ci powiedzieć wszystko tak, jak było, Cam - zaczął. - Bo nie ma jak tego upiększyć. Cassandra i ja... cóż, mieliśmy ten... było między nami coś.

Cam przechylił głowę na jedną stronę.

- Coś?

- Tak - Bentley wciągnął głęboko powietrze i poczuł, jak ściany pokoju zaciskają się na nim. - Coś fizycznego... Nie, do diabła, seksualnego!

Cam podskoczył na fotelu, aż kociak spadł miękko na podłogę.

- Jaka Cassandra? - jego głos był pusty, beznamiętny. - Nie, och... nie, Bentley. Nie mówisz chyba **że...**

Bentley mu przerwał.

- Przez długi czas, Cam - powiedział, mając nadzieję, że przezwycięży panikę. - A najgorsze z tego jest to, że wiedziałem, że to złe. Czułem się źle. Nie wiem więc, w jaki sposób to usprawiedliwiałem w... we własnej głowie. Ale tak chyba było. Ona powiedziała, że to moja wina i śmiem twierdzić, że tak by-

ło. Powiedziała, że jestem niegodziwy i taki byłem. Wszyscy to wiedzą. A co gorsza, Cam, byłem zadowolony, kiedy umarła. Zadowolony. Tego również się wstydzę.

- Sypiałeś z moją żoną. - W głosie Cama nie było czuć najmniejszych emocji. - Albo ujmijmy to lepiej; moja żona sypiała z tobą.

Bentley przytaknął i wlepił wzrok w poczerniały od sadzy komin paleniska. Koncentrował się przez chwilę. Z trudem odetchnął głęboko, chcąc, by go opuściło to okropne przerażenie.

- Czy ojciec wiedział? - W głosie hrabiego słychać było cichy jęk. - Do diabła, wiedział?

Bentley nie potrafił spojrzeć na brata.

- Tak - wyszeptał. - Śmiał się z tego i puszczał do mnie oko. Uważał, że to wspaniały żart. Ale ja nigdy...Och, Cam, ja nigdy nie uważałem tego za żart. Nie wiem, co myślałem. Wiedziałem tylko, że to niegodziwe. Ale nie przestałem. Nie wiem dlaczego.

Cały czas czekał, aż Cam zerwie się z krzesła i go obje. Cam jednak wydawał się bardziej zdruzgotany niż zły.

- Bentley - powiedział wolno i wyraźnie. - Może pamięć mnie zawodzi. Nie masz jeszcze dwudziestu siedmiu lat, prawda?

- Nie mam - przyznał.

Twarz Cama pobladła niczym płótno.

- A kiedy umarła moja żona... - przerwał i potrząsnął głową, jakby coś chciał sobie uświadomić. - Kiedy Cassandra umarła, miałeś ile? Szesnaście?

- Coś koto tego.

Coś pękło w Camie.

- Coś koło tego? - wybuchnął, podnosząc się do połowy z fotela. - Niech to diabli! Co to znaczy koło tego? Mów mi... ile do cholery miałeś lat?

Kiedy Cam zaczynał przeklinać, był to zły znak.

- Pię... piętnaście - wyszeptał Bentley. - Ale to się skończyło na długo wcześniej. Przysięgam ci, Cam, skończyłem to o wiele wcześniej.

Cam opadł z powrotem na fotel. Palce wbił w oparcie, zamknął oczy, a twarz wykrzywił mu straszny grymas.

- Piętnaście! - wyszeptał, jakby liczył coś w myślach. - I to ledwie, na Boga.

Bentley ledwie usłyszał ostatnie słowa. Nie podobał mu się kolor twarzy brata.

- Przepraszam, Cam - wyszeptał, pragnąc, by brat otworzył oczy. - Cieszę się, że to powiedziałem, I Freddie ma rację, to mnie zżerało żywcem. Czuję się taki... och, nie wiem. Taki martwy niekiedy w środku - ciągnął dalej, a słowa same zaczęły się z niego wlewać i nie mógł przerwać. - Wiem, że mnie nienawidzisz. Do diabła, czasami i ja cię nienawidzę. Ojciec nastawił nas przeciw sobie i to zupełnie rozmyślnie.

- Och, dobry Boże! - padły zduszone słowa. - Pewnie ją do tego nakłonił!

Bentley wzruszył ramionami

- Chciałbym, żebyś wiedział, Cam, że to, co czuję, to nie jest zazdrość. Przysięgam, że nigdy tak nie było. Nigdy nie zazdrościłem ci tytułu ani pozycji i nikt nie zazdrościł ci małżeństwa z Cassandrą. Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to dręczyło. Teraz mam Frederice, bez względu na to, czy na nią zasługuję, czy nie. I bardzo chcę żyć dla niej. Stworzyć wspólne, nasze życie. Tak, sprawiłem jej wiele przykrości. Mojej własnej żonie. A ona nawet nie wie... - Głos mu się załamał. - Boże, ona nawet nie wie najgorszego, a już, jak sądzę, zastanawia się nad tym, czy powinna mnie opuścić. Przysięgła, że tak zrobi, jeśli wszystkiego nie wyznam.

- Nie wyznasz? - Cam wydal z siebie dziwny gardłowy odgłos, a potem zerwał się z fotela i ruszył w stronę okna z wykuszem. Jedną dłoń położył z tyłu głowy, a drugą oparł o framugę okna i pochylił się do przodu. Czy zastanawiał się nad tym, że może rozsądnie byłoby wyrzucić przez nie Bentleya? Dłuższą chwilę Cam tkwił nieruchomo niczym skała, tylko ramiona mu drżały, jakby powstrzymywały jakieś dręczące go uczucie. Bentley zaczął zastanawiać się nad tym, co przyniesie mu los. Nagle poczuł chłód. Poczul mdłości w żołądku. Może będzie tak, jak zawsze go straszyla?

*Tak, idź, powiedz mu\ Nadal widział pełne, różowe usta Cassandry mówiące te słowa. Czuł jej gorący oddech na swoim policzku. Tak, powiedz mu dokładnie, co mi robiłeś, Bentley. Co ja robiłam tobie. Ale powiedz mu też, co czułeś, mój skarbie. Bo to wspomnienie ci się przyda, kiedy wyrzuci cię na ulicę.*

O Chryste! Bentley zamknął oczy. Co on nawyprawił? Czy zostanie wygnany z rodzinnego domu i nigdy nie pozwolą mu tu powrócić? I komu Cam powie? Helene? Wszystkim? Nosił swój wstyd niczym ołowianą zbroję. Nie płakał od wielu lat, ale teraz poczuł gorące łzy napływające mu do oczu.

*Tak, wyznaj wszystko, syczał jedwabisty głos w jego głowie. No, śmiało... powiedz mu, jak to z nami jest. W końcu jesteś w tym bardzo dobry.*

- Och, Bentley, jestem oburzony, że tego nie zauważyłem! - wydyszał Cam spod okna. - Och, były znaki... całkiem wyraźne... śmiem powiedzieć, kiedy teraz o tym pomyślę. - Z jego gardła wydarł się stłumiony jęk i dopiero wtedy Bentley zorientował się, że jego brat płacze.

Unióś się nieco z fotela.

- Dobry Boże, Cam, nie wolno ci myśleć, że...

Ale Cam odwrócił się i spojrzał mu w twarz.

- Myśleć? - wydusił z siebie. - Ja nie myślałem! I nie widziałem także. W tym był cały kłopot, prawda? Mój Boże! Mój Boże! Dlaczego nigdy nie przyszło mi to do głowy? Czy jestem skończonym idiotą? Uwiodła przecież cholernego pastora, nietrudno więc uwierzyć, że uwiodłaby i dziecko, prawda? Ale żadnej z tych rzeczy nie zauważyłem. Wstyd mi, Bentley. Bardzo mi wstyd.

Bentley nie rozumiał, o co chodziło bratu, tak był zmieszany i przerażony.

- Słuchaj, Cam, nie wiedziałem wtedy, że była kochanką Thomasa Lowe - rzekł pospiesznie. - Przysięgam, dowiedziałem się dopiero, kiedy podsłuchiłem ich kłótnię. Co nie czyni niczego, czego się dopuściłem, mniej obrzydliwym, Wolałbym udawać, że byłem zupełnie niewinny, ale Cam, obaj wiemy, że to po prostu nieprawda.

Cam spojrzał uważnie na twarz brata, w jego oczach paliło się jakieś nienazwane uczucie.

- Zostałeś wystawiony na spotkanie ze światem grzechu i zdeprawowania - wyszeptał, ściskając dłoń w pięści. - Ale czy to była twoja wina? Nie. To były działania ojca i mam nadzieję, że będzie się za to smażył w piekle.

- Ale ja wiedziałem, co robię - odparł cicho Bentley. - Wiedziałem.

Na te słowa Cam zbliżył się do niego, przemierzając pokój trzema szybkimi krokami.

- Ach, wiedziałeś, tak? - wysyczał mu w twarz, a policzki nadal miał mokre od łez. - Powiedz mi zatem, ile miałeś lat, kiedy to się zaczęło? Jedenaście? Dwanaście? Byłeś prawiczkiem? Oczywiście, że byłeś. Widzę to w twoich oczach. I byłeś duży jak na swój wiek. O Chryste, to pamiętam! Więc po-

wiedz mi, Bentley, jak się to zaczęło? Co najpierw zrobiła? Pieściła cię? Całowała? Rozebrała się przed tobą?

Teraz Bentley zamknął oczy.

- Tak - wyszeptał. - Wszystko to.

O Boże, to wszystko i o wiele więcej. I było to obrzydliwe. Obrzydliwe i fascynujące, i erotyczne, wszystko razem. Nienawidził tego i pragnął jednocześnie. Przez całe miesiące czuł się tak, jakby jego ciało należało do kogoś innego. Jakby tylko patrzył, byt niewinnym obserwatorem śmiertelnego grzechu.

Ramię Cama spoczęło na jego barku.

- A potem co, Bentley? - zażądał odpowiedzi. - Co dalej? Zwabiła cię do swego łóżka? Czy wprosiła się do twojego?

- Tak - wykrztusił to słowo. - To.

- Kiedy? Jak? Powiedz mi!

Bentley potrząsnął głową,

- O Boże, nie wiem - wyszeptał. - Nie pamiętam. Czy to ma znaczenie?

- Dobry Jezu, oczywiście że ma! - głos jego brata był przepełniony emocjami. - Powiedz mi! Nie karz mnie za to, że cię zawiodłem. Uważasz, że to twoja wina? Nie jest tak, Bentley. Nie jest.

Bentley nic już teraz nie rozumiał.

- Pewnego ranka - wyszeptał. - Zimą, tak mi się zdaje. Była zadymka i obudziłem się. Coś mi się śniło, Boże, nie pamiętam! Wiesz, jak to jest. Budzisz się twardy jak skala... no wiesz. I nagle zjawiała się ona, gola, jak ją pan Bóg stworzył, siedząca już na..., na górze... - Nie mógł wydobyć więcej słów.

Cam wpił palce w jego plecy.

- Niech ją piekło pochłonie! - wyszeptał z wściekłością. - Niech tę sukę pochłonie piekło! - Bentley czuł, jak ciało jego brata trzęsie się z wściekłości.

- Cam? - szepnął Bentley.

- Ile miałeś lat? - spytał.

Bentley z trudem przełknął ślinę.

- Nie wiem - przyznał zgodnie z prawdą. - Może dwanaście? Nie wiem. Tylko tego jestem pewien. Takie rzeczy trudno zapamiętać.

- Bentley, takie rzeczy nie są trudne do zapamiętania. - Cam usiadł i skrył twarz w dłoniach. - Nie można o nich zapomnieć. Ale są tak oburzające, że nie można o nich myśleć, więc chowamy je... chowamy je w sobie.

- W sobie? Gdzie?

Cam roześmiał się gorzko.

- To jak ciemna szafa w naszej pamięci, mówi Helene - wyszeptał ze wrokiem wbitym w podłogę. - Ona twierdzi, że niekiedy upychamy złe rzeczy z naszego życia w takiej szafie i usiłujemy zamknąć drzwi. Ale one zawsze są. Zawsze napierają, nie dają się domknąć i kołaczą klamką. I w końcu te złe wspomnienia wyłażą. Na tysiące sposobów, ale wyłażą. - Cam uniósł wzrok i spojrzał w oczy brata. - Posłuchaj, Bentley. Tb nie była twoja wina. Byłeś sam, a koło ciebie nie było żadnego odpowiedzialnego dorosłego, do którego mógłbyś się zwrócić. Ja zawsze byłem zajęty. Cat była tylko dziewczynką! Dziwię się, że w ogóle przetrwałeś.

Bentley nie mógł już dłużej tego znieść.

- Dlaczego tak mnie wybielasz, Cam? - spytał poważnie. - Na miłość boską, nie rób ze mnie świętego! I nie rób ze mnie jednego z wariatów Helene! Uderz mnie! Kopnij mnie! Wyzwij na pojedynek! Wiedziałem, co robię. W jakiś sposób to mi się podobało. Musiało mi się podobać. Cały czas to robiłem.

- Czy czujesz, że masz wybór? - spytał łagodnie.

O Boże... Nie miał. Taka była oburzająca prawda. Pomyślał o tych wszystkich jej żądaniach, o tych wielu wyprawach, które odbył, przemierzając ciemny korytarz do jej sypialni, z sercem dudniącym w gardle i ze spoconymi dłońmi, i poczuł skurcz w pierśsiach. Poczuł się, jakby z pomieszczenia wyszano całe powietrze. Nie mógł złapać tchu. Krew dudniła mu w żyłach. Żołądek wyrzucił się do góry nogami. Poczuł się nie jak mężczyzna, ale znowu jak dziecko, zmuszony do przyznania się do własnej słabości. Zmuszony przyznać się, że jest, czy raczej był kiedyś, na łasce i niełasce innych. Było to okropne doświadczenie. Upokarzające. W tym momencie zapragnął, żeby ta rozmowa się skończyła. Pożałował, że w ogóle się zaczęła. I zastanowił się, czy nie byłoby prościej, mniej boleśnie pozwolić po prostu Freddie odejść.

- Czy czułeś, że masz wybór? - wyszeptał Cam.

Freddie. Och, Freddie! Nie mógł znieść myśli o jej stracie. Nie mógł znieść myśli o stracie dziecka. Musiał więc nadal odpowiadać na te przekłete pytania Cama.

- Nie, z początku nie - przyznał z cichym westchnieniem. - Powiedziała, och... do diabła, jakie to ma znaczenie?

- Ma znaczenie dla ciebie. Musisz to powiedzieć, Bentley. Musisz wydobyć z siebie te słowa.

Bentley wciągnął głęboko powietrze i poczuł pod powiekami napływające, gorące łzy.

- Nie mogłem jej powstrzymać - wydyszał. - Kiedy oddałem się jej pierwszy raz, już mnie miała i wiedziała o tym. Nie umiałem także panować nad sobą. Uwielbiała to. Śmiała się wtedy i mówiła, że mężczyzna nie może, no wiesz, robić tego, chyba że naprawdę chce...

- To kłamstwo! - krzyknął Cam

- Czyżby? - spytał Bentley. - Nie wiem. Wydawało się prościej zwyczajnie to robić, czuć to i nie czuć jednocześnie, to jakby udawać, że się jest gdzieś indziej. Po prostu ruszać się do momentu, aż była zadowolona, a ja byłem.. Och, do diabła. Cam! To było, jak jakaś okropna wysypka, której nie możesz przestać drapać, nawet kiedy wiedziałem, że już wystarczy i że wszystko zacznie krwawić i boleć. I tak było. O Chryste, zawsze tak było. I myślałem, że gdybyś się dowiedział, znienawidziłbyś mnie. Ona tak mówiła. Przysięgała, że byś mnie wyrzucił.

- Mój Boże, co też musiałeś przeżywać - wyszeptał Cam.

Bentley potrząsnął głową.

- Na początku nie było tak źle. Ona się tylko., drażniła. Zwracała na mnie uwagę, Cam, mówiła, że jestem przystojnym i uroczym młodzieńcem. Ale potem zaczęła mnie dotykać. I mówić różne rzeczy. A potem zaczęła robić tak, żebym... żebym zostawał z nią sam na sam. Dotykała mnie, a kiedy nie odwzajemniałem tych gestów, mówiła, że słyszy twoje kroki. Ze zacznie cię wołać, albo zacznie krzyczeć i powie, że ja ją zmusiłem, żeby mnie dotykała. A potem śmiała się i mówiła, że tylko się drażni. Usiłowałem więc w to wierzyć, ale ty mi nie wierzysz, Cam, prawda?

- Wierzę ci - odparł smutnym tonem Cam. - Ale żałuję, na Boga, że nikomu nie powiedziałeś.

Na twarzy Bentleya pojawiły się kropelki potu.

- Powiedziałem - wyszeptał. - Najpierw powiedziałem Joan. Powiedziałem jej, kiedy się to zaczęło. To dotykanie. To... to drażnienie. A potem powiedziałem jej o tym pierwszym poranku, kiedy obudziłem się i odkryłem, że... że Cassandra siedzi na mnie.

Joan nalegała, żebym powiedział ojcu. I zrobiłem to, Cam! Ale on tylko się roześmiał, klepnął mnie w plecy i powiedział, że jestem jedynym prawdziwym mężczyzną, którego wychował. Powiedział, że ty nie chciałaś Cassandry i że ktoś musiał wykonać to zadanie. Powiedział, że dla mnie to dobre ćwiczenie. Tak więc potem trzymałem głowę na kłódce.

Cam uderzył pięścią w oparcie fotela.

- Pozwolił, żeby cię skrzywdziła na złość mnie.

- Nie wiem. - Bentley znowu wzruszył ramionami - ale kiedy chciałem odmówić, ona przedstawiała to tak... tak niewinnie... Nie, obraziłbym twoją inteligencję twierdząc tak, ale po prostu fizycznie. Przyłapywała mnie w bibliotece albo w pustym korytarzu i po prostu mnie dotykała. I dotykała siebie po całym ciele i mówiła, że tego pragnie i że ty nie chciałyś...

- Masz cholerną rację, nie chciałbym - wydyszał Cam. - Nie miałem zamiaru ryzykować wychowania potomka niewiadomego pochodzenia. Wiesz, jaka była ona, i jej przyjaciele. Śmiem twierdzić, że była to po części jej zemsta za to, że kazałem ich wyprosić. Najpierw Lowe, dopóki jej się nie znudził. A potem ty. Wykorzystała cię, Bentley, tylko po to, żeby zemścić się na mnie.

Bentley nic z tego nie rozumiał.

- Nie wiem...

Ponownie poczuł na ramieniu dłoń.

- Jak długo to trwało, Bentley?

- Nie pamiętam.

Na twarzy Cama pojawił się błagalny wyraz.

- Powiedz mi. Bentley - błagał. - Nie rozumiesz, że muszę to wiedzieć? To był mój obowiązek, by cię chronić. Nic dziwnego, że przez ostatnie piętnaście lat byłeś na mnie zły.

Bentley potrząsnął głową. Czuł się teraz jak odrętwiały. Nie rozumiał, dlaczego jego brat tak mówi.

- Cam, byłem już prawie dorosły - wyszeptał. - Nie szukałem u ciebie ochrony. I z całą pewnością cię nie winiłem. Boże, mam nadzieję, że tak nie było. Było?

- Oczywiście, że mnie winiłeś! - odparł Cam. - Zawiodłem cię i w głębi serca musiałeś to wiedzieć! Byłeś dzieckiem, niezależnie od tego, co powiedział ci ojciec! Uważam, że przekonałem chyba sam siebie, że zbyt mocno przypominałeś ojca, że byłeś taki jak on, ponad wszelkie wyobrażenie.

Bentley zamknął oczy i przełknął ślinę.

- Nie nienawidzisz mnie?

- Jakże mógłbym cię nienawidzić? - odparł Cam łagodniejszym tonem. - Nigdy tak nie czułem. Kocham cię. Wszystko cokolwiek robiłem, Bentley, robiłem dla nas, dla ciebie, Catherine i siebie samego. Zawsze byłem taki zajęty zbiorami, ziemią i dzierżawcami. Zawsze martwiłem się o finanse i o naszą reputację, a tymczasem były o wiele ważniejsze sprawy.

Bentley poczuł, jakby osuwał się w jakiś dziwny stan, podobny do snu.

- Och, to już się skończyło Cam - skłamał. Tym razem jednak, co było dziwne, poczuł, że skłamał. - I, będąc szczerym, od tamtej pory robiłem rozmaite dziwniejsze rzeczy. Cholerny świat jest pełen kobiet z najbardziej wyszukаныmi apetytami, a ja spróbowałem niemal ich wszystkich. W jakiś sposób rzeczy, których wymagała ode mnie Cassandra, wydają się przy tym dość skromne.

- Cóż, ciekawe dlaczego, Bentley - rzekł Cam ponownie zduszonym głosem.

Bentley uśmiechnął się nieco łobuzersko.



- Nie robiłem wszystkiego, co chciała, wiesz - odparł. - Nie zawsze. I jeśli mogłem jej niektórych rzeczy odmówić, to przecież powinienem był być w stanie odmówić wszystkiego, prawda? Ale nie zrobiłem tego. Dopiero kiedy odkryłem, że wcześniej była kochanką Lowe'a. I to jakoś mnie uderzyło, dotarło do mnie, że to złe. Po prostu złe. To znaczy wiedziałem, że nie jestem niczym innym, niż tylko nikczemnym, małym nicponiem Randy'ego Rutledge'a. Wiedziałem, że nigdy niczemu nie sprostam, bo słyszałem to szeptane za plecami tysiące razy. Ale Thomas Lowe był pastorem! Bożym człowiekiem. Och, Cam, może miałem nieco pomieszane w głowie, ale wiedziałem, że to nie jest w porządku.

- Zbyt nisko się cenisz - rzekł łagodnym tonem Cam.

Powoli zaczynało do Bentleya docierać, że brat nie uważa go za winnego, że nie jest zainteresowany zemstą ani karą. Wydawał się natomiast wstrząśnięty z żalu. Czy Cam miał rację? Czy to był grzech Cassandry, a nie jego? Czy Cam go zawiódł? I czy gdzieś w głębi serca winił Cama za to przez te wszystkie lata?

- Pamiętasz jak ci mówiłem, że kiedyś podsłuchiłem jej kłótnię z Lowe'em? - Bentley przerwał ciszę. - Straszyl, że wszystko ci opowie, Cam, nie tylko o ich romansie, ale o wszystkim, jeśli nadal nie będzie się z nim spotykać. Potem ona wpadła w panikę. Była zdesperowana, by się z tego wydostać i błagała mnie, żebym zawiózł ją do Londynu.

- Ty? - Cam uniósł wzrok. - Miałeś zabrać ją do Londynu?

- Wszystko to sobie zaplanowała - uśmiechnął się gorzko Bentley. - Miałem powiedzieć, że chcę się uczyć łaciny w jednej ze szkół w Londynie. Miałem udawać, że to moje nowe zainteresowanie, że chcę

się przygotowywać do kariery prawnika. A ona miała się poczuć w obowiązku towarzyszyć mi w domu przy ulicy Mortimer. Powiedziała, że będziesz bardzo zadowolony, że znalazłem sobie cel w życiu, ucieszysz się, że rozwinąłem w sobie synowskie uczucia do niej, i że się zgodzisz.

- Cóż, to była wariatka - wymruczał Cam.

- Myślę, że wtedy już była - oparł Bentley. - Odmówiłem, a ona mnie straszyla. Powiedziała, że dopilnuje, żebyś mnie wyrzucił, a ojciec mi nie pomoże, ponieważ ty jesteś zbyt bogaty i wpływowy.

- Och, Bentley! - szepnął Cam.

Bentley wzruszył ramionami.

- Wierzyłem jej. Ale los zajął się Cassandrą, no nie? W ciągu następnego tygodnia już nie żyła, a ja powiedziałem sobie, że sprawiedliwości stało się zadość, i że prędzej czy później los postąpi ze mną w ten sam sposób. Przez lata czułem, jak nad moją głową wisi topór.

Ręce Cama zaczęły się trząść.

- Dobry Boże, Bentley, jest mi bardziej przykro niż to mogę wyrazić - wyszeptał, zrywając się chwiejnie na nogi. - W najbliższych dniach będziemy mieli wiele do omówienia. Uważam, że powinniśmy to przedyskutować. Ale wiem, że teraz Frederica cię potrzebuje. A ty potrzebujesz jej. Nie wyobrażam sobie, skąd o tym wiedziała, ale miała rację. Powinieneś był mi powiedzieć.

Bentley zerwał się na nogi.

- Szczerze mówiąc, wolałbym nigdy o tym nie rozmawiać, Cam.

Hrabia potrząsnął głową.

- Są pewne rzeczy, które muszę powiedzieć - odparł, idąc przygarbiony w stronę drzwi. - Rzeczy, które są spóźnione co najmniej o piętnaście lat. Ty

nie musisz już nic więcej dodawać, chyba że będziesz chciał. Nie będę cię męczył dodatkowymi pytaniami. A teraz idź, Bentley. Idź i znajdź swoją żonę i zrób, co trzeba, żeby wszystko wyprostować. Wierz mi, warto.

Kiedy jego brat wyszedł z pokoju, Bentley zdał sobie sprawę, że potrzebuje Frederiki. Był wstrząśnięty tym, co się właśnie stało. Ale strach wreszcie minął, pozostawiając go przytłoczonego jakimś poczuciem straty i żalu, które mógł przegnać jedynie dotyk jego żony.

Frederiki nigdzie nie można było znaleźć. Bentley napotkał Jennie, krzątającą się w jego ubieralni. Na podłodze leżały powystawiane kufry Freddie, wypchane do granic wytrzymałości, z pootwieranymi wiekami. Bentley przez chwilę przyglądał się służącej i zachciało mu się płakać.

- Jennie?

Na ten dźwięk dziewczyna cicho krzyknęła.

- Och, panie Rutledge - wyszeptała, przyciskając dłoń do piersi. - Myślałam...

- Ze się zapilem na śmierć? - odpowiedział jej bardziej radosnym głosem, niż czuł się w istocie. - Przykro mi, Jennie. Miałaś pecha. Gdzie jest pani Rutledge?

- Nie ma jej. - W oczach Jennie nie można było nic wyczytać.

- Nie ma jej?

Jennie wyduła wargi, ale w końcu uległa.

- Poszła na spacer, tak powiedziała.

Bentley omiotł spojrzeniem kufry. Ich widok ukłuł go w serce niczym ostrze noża.

- Rozpakuj je, Jennie - rzekł spokojnie. - Wypakuj każdą rzecz i odłóż na miejsce.

Jennie spojrzała na niego zadziornie.

- Powiedziano mi, że jedziemy do domu.

Bentley usiłował się uśmiechnąć, ale coś ścisnęło mu gardło.

- No cóż, może pojedziecie - przyznał, a jego wyobrażenie nagle stało się mniej przejrzyste. - Ale przypuśćmy, Jennie, jedynie przypuśćmy, że tutaj jest dom. Chcę mieć trochę czasu, nie mam zamiaru nikogo więzić.

W końcu służąca zdobyła się na słaby uśmiech, a potem odwróciła się i zaczęła wyjmować stopy ubrań. Bentley zebrał się do wyjścia z pokoju, ale kiedy dotknął dłońią klamki, dobiegł go głos Jennie.

- Panie Rutledge?

- Tak? - Bentley odwrócił się.

Jennie dygnęła niezgrabnie.

- Być może poszła do Bellevue - zasugerowała. - Miała w ręku jakiś dokument. Zwinięty i przewiązany niebieską wstążką.

## Rozdział 22

### *Złoty pierścionek*

Bentley siedział na szczycie wzgórza w zapadającym zmierzchu. Jedną nogę miał wyprostowaną, drugą, podkurzoną, obejmował rękoma. Było to jego ulubione miejsce na ziemi, to spokojne, niewielkie wzniesienie, skąd było widać cały jego świat. Tutaj urządzili sobie z Freddie piknik, spoglądali na Chalcote i wymyślali imiona dla swoich dzieci. Tym razem jednak Bentley siedział odwrócony plecami do Chalcote i spoglądał na południe. W stronę Bellevue. I, jak miał nadzieję, w stronę swej przyszłości. Ale to będzie zależało od Freddie, czyż nie?

Jakoś udało mu się osiągnąć pokój z Camem, a rezultat był wprost przeciwny do jego strachów i oczekiwań. Bentley nadal nie do końca to wszystko ogarniał rozumem. Zawierając pokój z bratem, zrobił to, o co prosiła go Freddie. Dlaczego więc nadal nawiedzało go poczucie beznadziei? Być może dlatego, że beznadzieja była przez długi czas jego wiernym towarzyszem, że teraz nie wiedział, jak się jej pozbyć. A może dlatego, że strachy z przeszłości ponownie powróciły do jego domu, tym razem ze wszystkimi szczegółami, wymuszonymi przesłuchaniem Cama.

Dobry Boże, blisko piętnaście lat starał się to wygnać wszystkimi możliwymi sposobami. Przypadkowym seksem, morzem alkoholu, niedbałością, uciezkami, wściekłością. Czym się tylko dało. Wykorzystywał to. Wykorzystywał ze wszystkich sił. A teraz chciał już nigdy o tym nie myśleć.

Wieczorny wietrzyk zmierzwił mu włosy. Długie, wysmukłe cienie, które rzucały korony drzew, zniknęły i roztopiły się w fioletowej mgiełce. Księżyc srebrzył już rzekę i pojawiła się pierwsza gwiazda na niebie. Gdzie, do diabła, podziewa się Freddie? Modlił się, by jego trud nie okazał się daremny. Dobry Boże, modlił się, żeby wszystko było w porządku. Po wszystkim, co się wydarzyło, nie mógł zapomnieć tamtego okropnego wieczoru w bibliotece Catherine. Nie mógł zapomnieć wahania dłoni signory Castelli nad kartami. Nie potrafiła odpowiedzieć na jego jedno proste pytanie. Nie mogła przewidzieć przyszłości. I jakkolwiek było to irracjonalne, przerażało go to, ponieważ co by było, gdyby się okazało, że przyszłości nie ma?

Wtedy właśnie zauważył jakiś cień wynurzający się z młodniaka. Drobną kobiecą postać szła w górę wzgórza; była wyprostowana i poruszała się szybko. Bentley wstał i przez dłuższą chwilę obserwował zbliżającą się ku niemu dziewczynę. Patrzył, jak wiatr igra z jej włosami i cienie migoczą na jej twarzy, kiedy się zbliża. Wstał i nagle się zawahał. Poczł się dziwnie, znowu jak słaby, niepewny chłopiec. Wzrok Frederiki spoczywał gdzieś w oddali. Nie zauważyła Bentleya, a on nie mógł wymówić ani słowa.

Stał tak po prostu, upajając się jej widokiem. Wyglądała tak pięknie. Tak... jak trzeba. Boże, jak można kogoś tak kochać? Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć o tym, by ją zostawić? I jak, do diabła, przeko-

na ją, by go przyjęła z powrotem? A jeśli ta jego przedziwna spowiedź przed Camem nie wystarczy, by ją zatrzymać? Jeśli zmieniła zdanie? Powiedział jej kilka nieprzyjemnych, brzydkich rzeczy

I wtedy nagle Frederica go spostrzegła. Uniosła raptownie głowę i szeroko otworzyła oczy. Włosy miała potargane, jakby się spieszyła z ich uczesaniem. Suknię unosiła wysoko jedną ręką, a drugą mocno przyciskała szal do piersi. Na chwilę zamarła.

- Och! - rzekła niemal bez tchu. - Och, dzięki Bogu. To prawda. Bentley, tak bardzo się martwiłam!

Jej słowa i ulga, z jaką je wypowiedziała, uświadomiły Bentleyowi wszystko, co chciał wiedzieć. Rozłożył szeroko ramiona, a ona z uśmiechem zbliżyła się do niego i wtuliła w jego objęcia, przyciskając policzek do wełnianej marynarki.

- Och, Bentley! - wyszeptwała. - Jesteś w domu.

Bentley opuścił ramiona z niewysłowionym uczuciem ulgi. Musnął ustami jej włosy, a potem czoło, zanim nieco ją od siebie odsunął.

- Tak, jestem w domu, kochana Freddie - powiedział łagodnym tonem, starając się nie rozpłakać. - Mój dom jest tam, gdzie ty.

Freddie spojrzała mu w twarz.

- Zatem przybywasz prosto z Chalcote? - spytała niemal niecierpliwie. - Byłeś w domu?

Dopiero wtedy Bentley zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo była niespokojna. Jej twarz wydała się jakaś szczuplejsza, gesty niecierpliwie.

- Tylko na chwilę - odparł.

Na twarzy Freddie pojawił się wyraz ulgi.

- Bentley... - zaczęła. - Ta rzecz, o którą cię prosiłam. Zanim wyjechałeś? Przemysślałam to jeszcze raz...

- Już w porządku, Freddie - przerwał jej łagodnie.

- Ale chcę, żebyś wiedział - powiedziała, wystrzelując szybko słowa. - Myliłam się. Bardzo się myliłam. Zmieniłam zdanie. Zupełnie. Rozumiesz?

W zapadającym zmroku ledwie mógł dojrzeć napływające do jej oczu łzy. To sprawiło jedynie, że trudniej mu było opanować własny płacz.

- Nie płacz Freddie, kochanie - zażartował, schylając głowę, żeby ją pocałować. - O Boże, proszę, nie płacz. Za każdym razem, kiedy płaczesz, robię coś niesłychanie głupiego.

Ale Freddie nie dała się zbić z tropu.

- Spóźniłam się, prawda?

Frederica patrzyła, jak jej mąż powstrzymuje łzy i dopadło ją okropne poczucie winy. O powrocie Bentleya dowiedziała się zupełnie przez przypadek od jednej ze służących z Bellevue, i ruszyła do domu z zamiarem, by prosić go o przebaczenie. Ale Bentley wyglądał na zrozpaczonego i wstrząśniętego. Nigdy przedtem go takiego nic widziała.

- Och, Bentley - wyszeptwała.

Nie było w nim już złości, tylko to zmęczenie życiem, zawsze obecne w jego wzroku.

- Zrobiłem to, Freddie - rzekł zachrypniętym głosem. - Zrobiłem, o co prosiłaś, i czuję się, jakby kamień spadł mi z serca. Cam powiedział, że to nie moja wina. Wszystko to, co uważałem przez te lata za prawdę, zostało wywrócone do góry nogami. Teraz rozumiem, że miałaś rację. Musiałem mu powiedzieć. Musiałem się od tego uwolnić.

Freddie spojrzała na niego i poczuła, jak po policzkach płyną jej łzy.

- Nie miałam racji, prosząc cię o to - wyszeptwała. - Proszę, Bentley, powiedz coś. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

- Nie powiedziałem czego, Freddie?  
- Ile miałeś wtedy lat - jej głos był zduszony. -  
Mój Boże, co ja sobie myślałam?

Bentley chwycił ją za ramiona.

- Z kim rozmawiałaś, Freddie? - wydyszał. - Z Jo-  
an? Z kim?

Patrzył prosto w jej oczy.

- Z Cassandrą - odparła. - Znalazłam jej pa-  
miętniki. Mówią wszystko, jeśli wie się, czego szu-  
kać. Ale kiedy zobaczyłam datę na grobie, o mój  
kochany, wtedy zrozumiałam. To zbyt straszne, by  
się nad tym zastanawiać. Byłeś zaledwie dzieckiem.  
Chłopcem.

Bentley roześmiał się gorzko.

- Czyżby? - spytał, - Nie sądziłem tak. Mój ojciec  
tak nie uważał. Twierdził, że to doskonały dowcip.  
Nie wyobrażasz sobie, Freddie, jaki wtedy byłem.  
Wydoroślałem w szybkim tempie. Od ósmego roku  
życia do osiemnastego czas zleciał mi szybciej niż  
drgnienie oka.

Frederica powoli potrząsnęła głową.

- Po prostu w to nie wierzę - powiedziała. - Dziec-  
ko może zostać narażone na rozmaite niedobre rzeczy,  
ale czy potrafi je zrozumieć? To, co zrobił twój ojciec,  
Bentley, było odrażające moralnie. A w oczach Ko-  
ścioła to, co zrobiła ona, jest zwykłym kazirodztwem.

Bentley był zszokowany tym, że użyła tak okrop-  
nego słowa.

- Wiem, co mówi Kościół, Freddie.

- Wtedy to wiedziałeś...?

- Och., obawiam się, że nie - zawahał się.

Freddie usiadła na trawie, pociągając go za sobą.

- Musisz sobie wybaczyć, Bentley - powiedziała spo-  
kojnie. - Musisz przyznać, że to nie była twoja wina.

- W odpowiednim czasie, Freddie. Teraz wiem, że  
potrafię to zrobić - wyszeptał, a jego głos był łagod-  
ny od zdziwienia. Przez chwilę siedzieli w milczeniu,  
podczas gdy niebo robiło się coraz ciemniejsze i za-  
częły pojawiać się na nim gwiazdy. Bentley wpatrzył  
się w urodzajne pola, które jego rodzina uprawiała  
od ośmiu stuleci. Zrobiło się chłodno, nadszła noc.  
Bentley westchnął i objął ramieniem żonę, przy-  
tulając ją mocno do siebie.

- Uwielbiałem to miejsce jako dziecko - powie-  
dział cicho. - To był mój mały Eden. Biegałem tu  
dziko, bez żadnego nadzoru czy dyscypliny. Tęskni-  
łem za mamą, ale nie byłem nieszczęśliwy. Nigdy  
nie czułem się samotny, nikczemny czy niekochany.  
Nie wówczas. Najgorszą rzeczą, jaka mogła mnie  
przerazić, było straszenie mnie wygnaniem z mego  
ogrodu.

- Tego się obawiałeś? - spytała łagodnie dziewczyna.

Bentley przytaknął, nie patrząc na nią.

- Och, tak - szepnął. - W jakiś sposób pozwoli-  
łem, żeby mnie przekonała, że Cam właśnie tak by  
postąpił. Że wygnałby mnie od tego, co tak dobrze  
znałem i kochałem. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek  
przestał się tego bać. Rzeczywiście czasami chyba go  
do tego prowokowałem tylko po to, żeby już nie cze-  
kać. Zawsze myślałem, że mnie nienawidzi. Mój Bo-  
że, chciałem, żeby mnie nienawidził.

Frederica oparta dłoń o jego plecy i zaczęła łagod-  
nie przesuwając ją w górę i w dół.

- Twój brat z całą pewnością nie może cię niena-  
widzić.

- Nie, to prawda - przyznał Bentley. - Dlaczego  
więc nie umiem uwierzyć, że teraz już jest wszystko  
w porządku?

- Ponieważ nigdy wcześniej sam siebie nie lubiłeś - szepnęła Freddie. - Ale ja cię lubię. I kocham cię też. Przeszłość już jest za nami.

Nagle z gardła jej męża wydobył się zduszony dźwięk.

- Dzięki Bogu, Freddie - odparł. - Ponieważ nie zaznałem w tym miejscu ani chwili spokoju, od kiedy ona mi go zabrała. Nie miałem go tutaj ani gdziekolwiek indziej. Nigdy przez dłuższy czas. To właśnie, nie niewinność, mi zabrała. Moje poczucie spokoju. Przynależności. Dlatego cały czas gnałem z miejsca na miejsce. Śmiem twierdzić, że dlatego tak często przyjeżdżałem do Chatham Lodge. Ponieważ było spokojne i ponieważ zazdrościłem wam tego wszystkiego, co mieliście. To było właśnie to... to, co straciłem. Dom pełen rodziny, przepełniony radością i miłością.

Zaskoczona, przechyliła głowę i spojrzała na niego.

- Czy tak się czułeś? - spytała zdumiona. - Jakież czułe masz serce.

Bentley roześmiał się, ale ona mu przerwała

- Być może to głupio brzmi, ale to prawda. A dlaczego niby mielibyśmy gościć wśród nas takiego drania? Ponieważ nikt z nas nie miałby serca cię wyrzucić, nawet Elliot. Lubiliśmy cię, Bentley. Naprawdę, szczerze.

Bentley poruszył się i przytulił ją mocno, pociągając za sobą, tak że oparła się na nim całym ciężarem.

- Ceniłem tę przyjaźń, Freddie - powiedział, obejmując ją. - Bardziej niż ty, Gus czy ktokolwiek z was się kiedykolwiek dowie. A po tamtej... po tej nocy kręciłem się w okolicy przez dwa dni, czekając tylko na twoją odpowiedź. A kiedy nic nie przyszło, pomyślałem. . Chryste, Freddie, pomyślałem, że wszystko to straciłem! Nie tylko przyjaciół. Nie tylko szansę

bycia z tobą, ale też poczucie przynależności. Poczucie miejsca, które jest domem, które daje spokój.

Frederica przechyliła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- O czym ty mówisz, Bentley?

Bentley nieśmiało wzruszył ramionami.

- Chyba to, że każdy potrzebuje mieć takie miejsce, gdzie może się udać. Miejsce, gdzie zawsze jest się miło witany. Dla mnie to było Chatham Lodge. W Chalchote zniszczyłem wszystko, bo nie umiałem utrzymać ptaka w spodniach. Pomyśleć tylko, że zrobiłbym to drugi raz i stracił cię, Boże tego niemal nie mogłem znieść.

Frederica przyłożyła palce do skroni.

- Tak, ale chodzi mi o to czekanie - powiedziała. - Na co niby czekałeś?

Instynktownie przytulił ją jeszcze mocniej.

- Na odpowiedź od ciebie, kochanie - powiedział, muskając ustami jej włosy.

Freddie spojrzała na niego.

- Odpowiedź na co?

- W sprawie małżeństwa - powiedział, jakby to było oczywiste. - Bolało mnie, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie chcesz wyjść za mnie za męża, mimo tego, co zrobiliśmy. Wiem, że to kryłaś w tajemnicy. I wiem też, że zastanawiałaś się jedynie ze względu na dziecko. I ponieważ nalegałem. Ale Freddie, jeśli zechcesz zostać ze mną, jeśli zgodzisz się spróbować żyć ze mną w Bellevue, przysięgam, że damy radę. Pragnę uczynić cię szczęśliwą. Mam tu wiele do naprawienia, to prawda. Ale nie jestem pewien, czy poradziłbym sobie bez ciebie. Chcę, żebyśmy byli rodziną. Prawdziwą rodziną. Co powiesz?

Ale Frederica była myślami daleko za nim.-

- Bentley, nigdy nie powiedziałeś mi ani słowa o małżeństwie - wyszeptała. - Dlaczego... dlaczego

zostawiłeś mnie w środku nocy i nigdy już się nie odezwałeś? Czego się po mnie spodziewałeś? Ze zjedę na śniadanie i oświadczę, że oddałam ci cnotę? Mój Boże, Gus i Elliot zabiliby cię! A ja mogłabym nie urodzić. Tak więc, rzeczywiście, wyciszyłam wszystko. Co innego miałam zrobić?

Poczuła, jak ciało jej męża sztywnieje.

- Freddie, dobry Boże! - wyszeptał załężnionym głosem. - Nigdy nie zostawiłem cię w środku nocy! Był świt... albo blisko, twoja cholerna pokojówka omal nas nie nakryła. Musiałem półnagi wyskoczyć z twojego okna! Wiesz, jak to wysoko? Wiesz? Omal nie złamałem nogi! Przez dwa tygodnie kulałem!

Frederica roześmiała się ze zdumieniem.

- Och, Bentley! Naprawdę?

- Przestań, Freddie, nie śmiej się ze mnie! - ostrzegł. - Nie po tym cierpieniu i zwątpieniu, które przeżyłem.

Frederica usiłowała opanować śmiech, ale wyobrażenie męża skaczącego nago z drugiego piętra wystawiało jej powagę na ciężką próbę.

- Bentley, tak się cieszę, że teraz wiem, że mnie chciałeś - powiedziała. - Ale nie jestem duchem świętym. Wystarczyło szepnąć słówko albo przynajmniej napisać.

Złość Bentleya stopniała.

- Freddie, mój Boże, zrobiłem to! - wyszeptał, wyglądając na wielce zdumionego. - Napisałem ci bardzo piękne oświadczenia. Spędziłem ponad godzinę nad każdą kartką. Położyłem list na cholernym parapiecie. Z pewnością nie chcesz powiedzieć, że... nie sugerujesz...

- O mój Boże! - Freddie otworzyła szeroko oczy. - O mój Boże, a ja się zastanawiałam, kto zużył całą moją papeterię! Zostawiłeś list? Gdzie? Kiedy?

- Tego samego ranka! - powiedział z uporem. - Nie dostałaś go? Musiałem upewnić się, że rozumiesz, jak się czuję. Chciałem się z tobą ożenić, Freddie. Sądzę, że nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego jak bardzo, dopóki mi nie odpowiedziałaś. Ale tyle czasu zajęło mi pisanie tego cholernego listu... cały czas skreślałem słowa i wyrzucałem kartki, że zanim zdążyłem napisać jak trzeba, pojawiła się służąca. Do diabła, Freddie, musiałem uciekać.

Frederica poczuła okropny ból w piersi i poczuła, że coś ściska ją w gardle. Napisał list z oświadczenia mi? I do tego pięknymi, powiedział. A ona mu uwierzyła. Po tym wszystkim, co przeszli, nie wiedziała, dlaczego to tyle dla niej znaczy, ale znaczyło. Och, znaczyło.

- I chciałeś mnie? - wykrztusiła, a po nosie spłynęła jej łza - Nie tylko dziecka, ale również i mnie? Nie jest ci przykro? Nie żałujesz tego?

Bentley położył jedną dłoń na jej brzuchu, lekko teraz zaokrąglonym, i zakreślił dłonią delikatne kółko.

- Dobry Boże, żałuję niemal wszystkiego w życiu, ale tego? Ciebie? Nie, tych rzeczy nigdy, przenigdy nie pożałuję. - Nagle odchrząknął i na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. - A teraz podaj mi swoją dłoń - dodał szorstkim tonem.

Frederica robiła z zaciekawieniem to, o co ją prosił. A potem zobaczyła, jak Bentley zsuwa z małego palca ciężki sygnet. Ten sam, którego blask dostrzegła w Chatham Lodge tamtej brzemiennej w skutki nocy. Ten sam, któremu z takim napięciem przyglądała się w dniu ślubu. I ten sam, który tak niefortunnie skaleczył jej skroń. Bentley uniósł go wysoko w gładym świetle wieczoru.

- Frederico d'Avillez - wyszeptał. - Czy wyjdiesz za mnie za męża?

Frederica uśmiechnęła się filuternie,

- Już to zrobiłam.

Bentley spojrział jej w oczy i pokręcił głową.

- Nie, to było małżeństwo pełne wątpliwości - odparł. - Kocham cię i tym razem chcę, abyśmy pobrali się na dobre i złe. Na zawsze. Bez możliwości zerwania czy spoglądania wstecz.

- Wiesz, Bentley - szepnęła. - Sądzę, że to również już zrobiłam. Ale tak i tak, i po tysiącuroć tak.

Z ostatnim słowem „tak” Bentley wsunął złoty sygnet na jej palec, tuż nad obrączkę ślubną. Potem objął ją i pocałował, długo i namiętnie, tak jak lubiła.

Kiedy skończył, a trwało to dłuższą chwilę - jako że był mężczyzną nie lubiącym się śpieszyć, Frederica oparła głowę o jego ramię.

- Bentley! - wyszeptała łagodnym ze zdumienia głosem. - Czy wiesz, że jesteś najśłodszym, najlepszym najdoskonalszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam?

I w tej samej chwili wiedziała, że to jest prawda. Pomimo wszystkich złośliwych uśmiezków i żartobliwego sposobu bycia, serce miał ze szczerego złota. Zawsze był dobrym przyjacielem. Stał się cudownym kochankiem. I będzie fantastycznym ojcem. Stanowił uosobienie długiej listy cech, których zawsze oczekiwała od idealnego męża - wszystkich oprócz jednej. Ale może bez tej jednej mogła się obyć?

Wpatrzyła się w oczy męża i pomyślała o tamtym okropnym dniu, kiedy płakała w ramionach Evie, ponieważ jej życie miało na zawsze pozostać puste. Uczepiła się nadziei romantycznej miłości. Czekwała na kochanka ze snów, tego jednego, idealnego, przy którym czuje się bezpieczna i bardzo kochana. Chciała mężczyzny mądrego, dobrze urodzonego

i wartego jej największego szacunku i takiego, który będzie bardzo, bardzo zwykły.

- Och, cóż! - rzekła Frederica.

A potem, śmiejąc się przez łzy, wzruszyła ramionami i zarzuciła mu ręce na szyję. Nie, Bentley Rutledge nigdy nie będzie zwyczajny. Ten diabeł wcielił się! Nawet za milion lat. W końcu nie można mieć wszystkiego, prawda?



## Epilog

### *Opowieść dwukrotnie przedstawiona*

- Najdrożsi, przynieśliście dziś tutaj te dzieci, żeby je ochrzcić i modlicie się do Pana Jezusa, żeby je ocalił od grzechu. - Migoczące szmaragdowe światło padło na modlitewnik wielbnego Prudhome'a, który udzielał sakramentu chrztu.

Nakazał rodzicom chrzestnym, by podeszli do ołtarza. Lord Treyhern i lord Rannoch zrobili krok do przodu, a za nimi podążyły ich żony. Pastor Prudhome odchrząknął głośno.

- Czy wyznajecie wszystkie prawdy wiary, tak jak przedstawiono je w Dziejach Apostolskich? - zaintonował. - I czy chcecie wychować wasze dzieci zgodnie z nimi?

Stojąca za Camem Catherine szturchnęła go lekko, co oczywiście nie było konieczne.

- Wierzymy - odparł Cam, ledwie zerkając do książeczki do nabożeństwa. - I z Bożą pomocą będę tak postępował.

Wielebny Prudhome, który doskonale wiedział, co w trawie piszczy, uśmiechnął się pobłaźliwie do hrabiego. - I czy zamierzasz wychować je w bojaźni bożej? - spytał, uśmiechając się jeszcze bardziej. - I przestrzegać dziesięciorga przykazań?

- Będę, tak mi dopomóż Bóg.

I tak toczył się obrządek, aż wielbny Prudhome wziął dziecko na ręce.

- Nadajcie imię temu dziecku - zwrócił się do rodziców chrzestnych.

- Luciana Maria Teresa dos Santos Rutledge. - Cam wypowiadał cudzoziemskie imiona równie sprawnie jak własne, a wielbny Prudhome powtórzył je za nim, zanurzając dłonie w chrzcielnicy. Luciana wesoło zagruchała i chwyciła do buzi jego koronkowy żabot. Pastor wziął drugie dziecko i powtórzył całą celebrację, nakazując podać imię dziecka.

- Frederic Charles Stone dos Santos Rutledge - odparł płynnie Cam.

Do diabła, pomyślał Bentley. Perfekcyjny jak zawsze.

Rzeczywiście, żadne z rodziców chrzestnych nie pomyliło się w ani jednej sylabie. Frederic Charles Stone dos Santos Rutledge w ciszy zniósł spotkanie z chrzcielnicą, ale kiedy lodowata woda pociekła po jego gołej główce, posłał wielbnemu Prudhome'owi rozszoszczone spojrzenie, a potem beknął tak głośno, aż odbiło się echem od krokwi.

- Boże dopomóż nam wszystkim - szepnęła Freddie za pastorem, który starł coś z białego habitu. - Ten to jest prawdziwy Rutledge.

Chwilę później z kościoła zaczął wylewać się tłum, a podmuchy ostrego, zimowego wiatru podrywały płaszcze i marynarki. Bentley zatrzymał się na najwyższym stopniu i zaczął przetrząsać kieszenie, aż wydobył z nich banknot dziesięciofuntowy.

- Proszę - rzekł, wciskając go w dłoń Gusa Weydena. Nie wydaj wszystkiego na tę twoją rudą tancerkę z opery.

- Co to jest? - wymruczał nieco złośliwy głos zza ich pleców.

Bentley obejrzał się i dojrzał stojącego w drzwiach Rannocha. Niezrażony Gus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bentley założył się ze mną o dziesiątaka, że rodzice chrzestni nie wypowiedzą wszystkich imion, nie myśląc się choć raz - zarechotał Gus i wsunął banknot do kieszeni marynarki.

- Bentley! No wiesz! - oburzyła się Frederica.

Bentley uśmiechnął się i rzucił jej przeciągłe, smutne spojrzenie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, Freddie, ile kosztuje wyżywienie i ubranie dwójki dzieci jednocześnie? - spytał. - A potem wykształcenie. Wyjścia. Wielkie bale. Ustalenia małżeńskie. Mówię ci, że jedno z nas będzie szorować połogi, a drugie zebrać w Covent Garden, kiedy się to skończy.

- Boże uchowaj! - jęknął Rannoch. Zebrał poły płaszcza i przecisnął się przez tłum w dół schodów. Gus mrugnął znacząco i ruszył, by wyrwać małą Lucianę z ramion Evie.

Ignorując zasady dobrego tonu, Bentley objął żonę w pół i razem zeszli ze schodów.

- Nie przypraw Elliota o zawał serca, bo Evie nigdy mi nie wybaczy - ostrzegła go dobrodusznie. - Poza tym, kiedy namawiałeś mnie do ślubu, twierdziłeś, że jesteś bogaty niczym Krezus.

- Poszło wszystko, Freddie, kochanie - powiedział, przesuwając dłonią po klapie marynarki. - Na te wszystkie ubranka do chrztu.

- Bentley, jesteś okropnym kłamcą!

Wtedy u boku Bentleya pojawił się jakiś cień.

- /I *Cavaliere di Dischi* - odezwał się zdyszany, niski głos. - *Buongiorno!*

Bentley odwrócił się powoli i z lekkim przestraszaniem. Chociaż *signora* była z wizytą u Catherine

od tygodnia, nie była obecna na chrzcie. Ale teraz stała tutaj, jakby pojawiła się z kosmosu. Bentley uśmiechnął się i zaoferował jej swoje ramię.

- Dzień dobry, signora Castelli.

Ku jego zdumieniu starsza pani uśmiechała się szeroko. Sądził, że to niemożliwe.

- Bliźniaki! - rzekła, składając razem dłonie. - Bliźniaki! Znowu! To jest we krwi!

Bentley uśmiechnął się ciepło.

- Ciesz się, że sprawia ci to przyjemność, *madame* - rzekł szczerze. - Żartuję sobie, ale to mnie naprawdę cieszy.

Starsza pani szturchnęła go lekko łokciem.

- *Si*, urodzajne te wasze pola, Rutledge! - zachichotała. - Przemyslałam to wszystko bardzo dobrze, *cavaliere*, i widzę, jaki popełniłam błąd.

- Błąd, *madame*? Dziwię się, że w ogóle znasz takie słowo.

*Signora* zmrużyła oczy.

- Pytania zostały zadane, a karty nie mogły odpowiedzieć, no? - powiedziała rozkładając ręce. - I tak też myślałam... *Dio mio!* Naprawdę myślałam, że straciłam dar! Nie mogłam przewidzieć takiego wspaniałego wydarzenia. A teraz twoja siostra, Catherine. Bliźniaki, to oczywiście jak nos na mojej twarzy.

A był to wielce wyrazisty nos.

- Przewidziałeś to, *madame*? - spytał zaciekawiony. Starsza pani przytaknęła z powagą.

- *Si*, kiedy czytałam jej karty - wyszeptwała, mrużąc jedno oko. - Ale to jest różnica, rozumiesz, *cavaliere*? To jej karty czytałam.

Przez całą tę rozmowę Frederica w dziwny sposób pozostawała milcząca. Bentley wymownie ścisnął jej dłoń, która spoczywała na jego ramieniu.

- Wobec tego proszę tylko, abyś trzymała te przekłete karty z dala od Freddie. Jeśli ma przeżyć kolejne narodziny. I ja wolę o tym nie wiedzieć, dopóki nie będę musiał. Ta dwójka już odmieniła moje życie.

- Ach, za późno! - zachichotała kobieta. - Za późno! Za późno!

A późno? Na co? Chyba ta stara kobieta nie miała na myśli, że...

Poczuł, jak Freddie lekko wysuwa się z jego uścisku. Chwytał ją mocno za łokieć i odwrócił w swoją stronę. Jej twarz pobladła. Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Powiedz mi - wydyszał. - Powiedz mi, Freddie, że ta kobieta oszalała. Postradała zmysły. Powiedz, że nie jesteś. . nie jesteś znowu.,.

Freddie potrząsnęła głową z łobuzerskim uśmiechem.

- Och, nie. Ja tylko pozwoliłam jej postawić mi karty! - zaprotestowała. - Wczoraj wieczorem po kolacji, kiedy poszedłeś z Maksem do zbrojowni.

- I...? - zażądał odpowiedzi.

- Cóż - odezwała się niepewnym głosem Freddie. - Pamiętasz, kochany, kiedy żartowaliśmy o drużynie krykieta?

Starsza pani pociągnęła Bentleya za rękaw.

- *Sette cavaliere!* - krzyknęła radośnie. - *Sette!* Najbardziej znacząca z cyfr! W tym małżeństwie będziecie błogosławieni wiele razy! Dzięki Bogu, że to duży dom, no nie?

- *Sette?* - powtórzył Bentley, chwytając w myślach szczątki łaciny i włoskiego, które tam się kołatały. - Ależ to jest... jest...

Starsza pani uniosła wykończoną złotą gałką laskę i potrząsnęła nią w powietrzu.

- Si, siedem! - krzyknęła niczym podekscytowany obserwator przy karcianym stoliku. Zgromadzony tłum zastygł. Helene zakaszłała. A wielebny Prudhome, który niby nie pochwalał zbyt radości w kościele, uśmiechnął się i podszedł do nich.

Starsza pani jedynie zmarszczyła swój imponujący nos, przeżegnała się i odeszła.

Freddie poklepała męża po ramieniu.

- Biedactwo! - wymruczała, kiedy pastor podszedł do nich. - Siedmioro dzieci! Powiedzmy Gusowi. Może zrobi mu się ciebie żal i odda ci dziesiątaka.

Ale Bentley już otrząsnął się z szoku.

- Och, mam lepszy pomysł, Freddie - powiedział i przesunął dłoń, by uszczypnąć ją lekko. - A może tobie zrobiłoby się mniej żal i pozwoliłabyś mi popracować nad numerem trzecim zaraz po lunchu?

A potem Bentley Rutledge zaszokował wszystkich, a tak naprawdę tylko wielebnego Prudhome'a, który od niedawna był tu pastorem, kiedy chwycił żonę w pól, soczyście ją ucałował, a potem uniósł w powietrze i zaczął wirować z nią w koło po kościelnym dziedzińcu.